

Moore Christopher

Krwiopijcy



calibre 0.9.43

CHRISTOPHER MOORE

KRWIOPIJCY

CZEŚĆ I - SZCZENIE

ŚMIERĆ

Zachód słońca malował fioletem wielką Piramidę, podczas gdy Cesarz wzniecał kłęby pary, odlewając się przy kontenerze na śmieci w zaułku poniżej. Nisko snująca się mgła nasuwała się od strony zatoki, owijając się wokół kolumn i betonowych przypór, by omieść wieże, w których obracano pieniędzmi Zachodu. Dzielnica finansowa. Godzinę temu płynęły tędy rzeki mężczyzn w szarych garniturach i kobiet w butach na wysokich obcasach. Teraz ulice, zbudowane na zatopionych statkach i śmieciach z czasów gorączki złota, były opuszczone i ciche, jeśli nie liczyć syreny okrętowej, której dźwięk niósł się po zatoce niczym ryk samotnej krowy.

Cesarz potrząsnął swoim berłem, by strącić ostatnie krople, zadrżał, po czym zapiął suwak i odwrócił się do królewskich psów, czekających u jego stóp.

- Syrena brzmi wyjątkowo smutno tego ranka, nie sądzicie? Mniejszy z psów, boston terier, pochylił głowę i oblizał wargi.

- Bummer, ale z ciebie prostak. Moje miasto rozkłada się na twoich oczach. Powietrze jest gęste od trucizny, na ulicach dzieciaki strzelają do siebie nawzajem, teraz ta zaraza, ta straszna zaraza zabija mój lud całymi tysiącami, a ty myślisz tylko o jedzeniu.

Cesarz skinął głową w stronę większego psa, golden retrievera.

- Lazarus rozumie wagę naszej odpowiedzialności. Czy trzeba umrzeć, by odnaleźć godność? Ciekawe.

Lazarus położył uszy i warknął.

- Obraziłem cię, przyjacielu? Bummer również zaczął warczeć i wycofywać się spod pojemnika na śmieci. Cesarz odwrócił się i zobaczył, że pokrywą powoli unosi blada ręka. Bummer szczeknął ostrzegawczo. Ze śmietnika wynurzyła się postać o czarnych, zmierzwionych, uwalanych odpadkami włosach i skórze białej niczym kość.

Wyskoczyła ze środka i syknęła na mniejszego psa, odsłaniając długie białe kły. Bummer zaszczekał i skulił się za nogą pana.

- Dostyc tego - oznajmił Cesarz, nadymając się i wtykając kciuki pod klapy swojego znoszonego płaszcza.

Wampir strzepnął z czarnej koszuli kawałek zgniłej sałaty i uśmiechnął się.

- Pozwolę ci żyć - powiedział głosem, który brzmiał jak pilnik na starym, zardzewiałym metalu. - To będzie twoja kara.

Przerażony Cesarz otworzył szeroko oczy, ale się nie cofnął. Wampir parsknął śmiechem, po czym odwrócił się i odszedł.

Cesarz poczuł na karku zimny dreszcz, gdy tamten zniknął we mgle. Zwiesił głowę i pomyślał: tylko nie to. Moje miasto umiera od trucizny i zarazy, a teraz jeszcze ten... ten stwór grasuje na ulicach.

Przytłaczająca odpowiedzialność. Cesarz czy nie, jestem tylko człowiekiem. Jestem słaby. Muszę ratować całe imperium, a oddałbym duszę za kubek chrupiących skrzydełek z KFC. Jednakże żołnierzom muszę okazywać siłę. Myślę, że mogło być gorzej. Mogłem zostać Cesarzem Oakland.

- Głowy do góry, chłopcy - zwrócił się do psów. - Jeśli mamy walczyć z tym potworem, potrzebujemy siły. Na North Beach jest piekarnia, zaraz będą wyrzucać wczorajsze pieczywo. Idziemy.

Ruszył przed siebie, myśląc: Neron bawił się, kiedy jego imperium szło z dymem. Ja będę jadł czerstwe wypieki.

Kiedy Cesarz człapał przez California Street, szacując wagę swojej niemocy w porównaniu z perspektywą pączka z cukrem pudrem, Jody wychodziła właśnie z Piramidy. Miała dwadzieścia sześć lat i urodę wywołującą w mężczyznach chęć, by opatulić ją flanelową pościelą i pocałować w czoło przed wyjściem z pokoju. Była urocza, ale nie piękna.

Gdy przechodziła pod masywnymi betonowymi przyporami Piramidy, utykała z powodu wywołanej rajstopami kontuzji. Właściwie to oczko z tyłu, sięgające od pięty do kolana, efekt okropnej metalowej szuflady (Reklamacje X-Y-Z), która wyskoczyła i trafiła ją w kostkę, nie sprawiało bólu. Ale i tak utykała w wyniku uszczerbku na zdrowiu psychicznym. Myślała: moja szafa zaczyna wyglądać jak wylęgarnia strusi. Muszę albo zacząć wyrzucać pojemniki w kształcie jajek po rajstopach „L'eggs”, albo opalić nogi i w ogóle przestać nosić rajstopy.

Nigdy się nie opaliła, po prostu jej to nie wychodziło. Miała bladą cerę, zielone oczy i rude włosy, a słońce powodowało u niej oparzenia i piegi.

Gdy od przystanku autobusowego dzieliło ją pół przecznicy, gnana wiatrem mgła zwyciężyła i Jody doświadczyła całkowitej porażki lakieru do włosów. Schludne, sięgające pasa loki przemieniły się w rozszalałą, potarganą, rudą grzywę. Świetnie, pomyślała, znowu wrócę do domu, wyglądając jak śmierć na urlopie. Kurt się ucieszy.

Ciaśniej opatuliła ramiona kurtką, by osłonić się przed chłodem, wcisnęła teczkę pod biust, niczym niosąca podręczniki uczennica, i kuśtykała dalej. Na chodniku przed sobą zobaczyła kogoś, kto stał przy szklanych drzwiach biura maklerskiego. Zielony blask neonu oświetlał jego sylwetkę na tle mgły. Przez chwilę miała zamiar przejść na drugą stronę ulicy, by go ominąć, ale wtedy musiałyby za

chwilę znowu przekraczać jezdnię, żeby wsiąść do autobusu.

Koniec z pracą po godzinach, pomyślała. Nie warto. Zero kontaktu wzrokowego - taki jest plan.

Mijając mężczyznę, patrzyła na swoje trampki (buty na wysokich obcasach miała w teczce). I już.

Jeszcze parę kroków...

Na rękę poczuła uchwyt dłoni, który zwałił ją z nóg, a teczka poszorowała po chodniku. Dziewczyna zaczęła krzyczeć. Inna dłoń zacisnęła się jej na ustach i pociągnęła z ulicy w zaułek. Jody rzucała się i wierzgała, ale tamten był zbyt silny, zbyt nieporuszony. Jej nozdrza wypełnił zapach gnijącego mięsa i poczuła, że się dławi, choć próbowała krzyczeć. Napastnik obrócił ją i szarpnął za włosy, ciągnąc jej głowę w tył, aż pomyślała, że pęknie jej kark. A potem poczuła ostry ból z boku szyi i ochota do walki zupełnie ją opuściła.

Po drugiej stronie zaułka widziała puszkę po napoju i stare wydanie Wall Street Journal, przyklejoną do cegieł gumę do żucia i znak zakazu postoj. Szczegóły, dziwnie spowolnione i istotne. Jej pole widzenia zwężało się i ciemniało, jakby oczy się zamykały. To będą ostatnie rzeczy, jakie widziałam, pomyślała. Głos w jej głowie był spokojny i zdecydowany.

Gdy wszystko pociemniało, napastnik uderzył ją w twarz. Otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą chudą, białą twarz. Tamten coś do niej mówił.

- Pij - powiedział.

Wepchnięto jej w usta coś ciepłego i mokrego. Poczuła smak żelaza i soli. Znowu się zakrztusiła. To jego ręka. Wepchnął rękę do ust i połamał mi zęby. Czuję smak krwi.

- Pij! Dłonią zatkał jej nos. Opierała się, próbowała oddychać, wyciągnąć jego rękę ze swoich ust, by nabrać powietrza, i omal nie udławiła się krwią. Nagle stwierdziła, że ssie, że pije łapczywie. Gdy chciał cofnąć rękę, złapała ją. Oderwał dłoń od jej ust, odwrócił dziewczynę i znowu ugryzł w szyję. Po chwili upadła. Napastnik zdierał z niej ubranie, ale nie mogła już walczyć. Poczuła coś szorstkiego na piersiach i brzuchu, a potem ją puścił.

- Będzie ci to potrzebne - powiedział. Głos poniósł się w jej głowie takim echem, jakby krzyczał do kanionu. - Teraz możesz umrzeć.

Poczuła coś na kształt wdzięczności. Za jego zgodą poddała się. Jej serce zwolniło, zadrżało i zatrzymało się.

ODGRZEWANA ŚMIERĆ

Słyszała owady przemykające w ciemnościach nad jej głową, czuła zapach spalonego mięsa, a plecy przygniatał jej jakiś ciężar. O Boże, pogrzebał mnie żywcem! Twarz miała przyciśniętą do czegoś

twardego i zimnego - kamień, pomyślała, ale potem poczuła woń asfaltu. Ogarnęła ją panika. Zaczęła się wiercić, by wcisnąć ręce pod siebie. Lewą dłoń przeszył ból, gdy pchnęła. Rozległ się grzechot, potem brzęk i po chwili już stała. Pojemnik na śmieci, który leżał na jej plecach, przewrócił się, rozrzucając odpadki po całym zaułku. Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

Musiał ważyć z tonę. Strach i adrenalina, pomyślała.

Potem spojrzała na swoją lewą rękę i krzyknęła. Dłoń była straszliwie poparzona, naskórek poczerniał i popękał. Wybiegła z zaułka w poszukiwaniu pomocy, ale ulica była pusta. Muszę się dostać do szpitala, zadzwonić na policję...

Zauważyła budkę telefoniczną. Z lampy powyżej unosił się czerwony słup żaru. Spojrzała w dół i w górę pustej ulicy. Nad każdą latarnią widziała żar, wzbijający się czerwonymi falami w górę. Słyszała bzyczenie trakcji trolejbusowej nad sobą i jednostajny szum w kanałach pod ulicą. Czowała zapachy zdechłych ryb i dieslowskich spalin we mgle, rozkładu z błotnistych brzegów Oakland po drugiej stronie zatoki, starych frytek, petów i cuchnącego pastrami z pobliskiego śmietnika, a także pozostałości zapachu kosmetyków „Aramis”, bijące spod drzwi domów maklerskich i banków. Słyszała, jak pasma mgły ocierają się o budynki niczym mokry aksamit. Zupełnie jakby jej zmysły, podobnie jak siła, wyostrzyły się dzięki adrenalinie.

Otrząsnęła się z tej mieszaniny dźwięków i zapachów, po czym ruszyła do budki, trzymając się za nadgarstek poparzonej ręki. Kiedy jednak puściła się pędem, na skórze pod bluzką poczuła coś szorstkiego. Prawą ręką szarpnęła jedwab, żeby wypadło. Spod tkaniny wysunęły się na chodnik pliki pieniędzy. Zatrzymała się i wbiła spojrzenie w powiązane paczki studolarowych banknotów, leżące u jej stóp.

Pomyślała: tu musi być ze sto tysięcy dolarów. Jakiś facet mnie napadł, zaczął dusić, oparzył mi rękę, a potem wypchał mi bluzkę pieniędzmi i położył na mnie pojemnik na śmieci, a teraz widzę żar i słyszę mgłę. Wygrałam w loterii Szatana.

Pobiegła z powrotem do zaułka, zostawiając pieniądze na chodniku. Zdrową ręką przetrząsała rozsypane śmieci, aż znalazła papierową torbę. Potem wróciła na chodnik i wsadziła do niej pieniądze.

Przy budce musiała wykazać trochę zręczności, by wziąć słuchawkę i wybrać numer bez odkładania pieniędzy i bez używania poparzonej ręki. Wybrała numer 911 i czekając na sygnał, popatrzyła na oparzenie. Tak naprawdę wyglądało gorzej niż się czuła. Spróbowała zgiąć rękę i poczerniała skóra zatrzeszczała. Kurczę, to powinno boleć. Powinno mnie też brzydzić, myślała, ale tak nie jest. Właściwie nie czuję się tak źle, biorąc pod uwagę okoliczności. Bardziej obolała byłam po grze z Kurtem w racquetball. Dziwne.

Rozległ się trzask, a potem kobiecy głos.

- Dzień dobry, wybrałeś numer alarmowy San Francisco. Jeśli znajdujesz się w sytuacji zagrożenia, naciśnij jeden. Jeśli niebezpieczeństwo minęło, a dalej potrzebujesz pomocy, naciśnij dwa.

Jody nacisnęła dwójkę.

- Jeśli cię okradziono, naciśnij jeden. Jeśli miałeś wypadek, naciśnij dwa. Jeśli cię napadnięto, naciśnij trzy. Jeśli chcesz zgłosić pożar, naciśnij cztery. Jeśli...

Jody szybko powtórzyła sobie w myślach wszystkie opcje i wcisnęła trójkę.

- Jeśli cię postrzelono, naciśnij jeden. Jeśli pchnięto cię nożem, naciśnij dwa. Jeśli cię zgwałcono, naciśnij trzy. Przy napaściach innego typu naciśnij cztery. Jeśli chcesz wysłuchać menu jeszcze raz, naciśnij pięć.

Jody chciała nacisnąć cztery, ale trafiła w piątkę. Rozległ się ciąg trzasków, a potem nagrany głos rozbrzmiał ponownie.

- Dzień dobry, wybrałeś numer alarmowy San Francisco. Jeśli znajdujesz się w sytuacji zagrożenia...

Jody odłożyła energicznie słuchawkę, a ta rozpadła jej się w ręce, omal nie zrzucając całego automatu.

Odskoczyła i popatrzyła na uszkodzenia. Adrenalina, pomyślała.

Zadzwonię do Kurta. Może tu przyjechać i zabrać mnie do szpitala. Rozejrzała się w poszukiwaniu innego telefonu. Zobaczyła automat obok przystanku autobusowego. Kiedy do niego podeszła, uświadomiła sobie, że nie ma drobnych. Torebkę miała w teczce, a teczka zniknęła. Usiłowała sobie przypomnieć numer swojej karty, ale mieszkali z Kurtem razem dopiero od miesiąca i jeszcze go nie zapamiętała. Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do centrali.

- Chciałabym zadzwonić na koszt abonenta. Mówi Jody. - Podała numer i czekała na połączenie.

Odezwała się automatyczna sekretarka.

- Najwyraźniej nikogo nie ma w domu - powiedziała operatorka.

- On zawsze sprawdza, kto dzwoni - nie ustępowała Jody. - Proszę mu powiedzieć...

- Przykro mi, nie wolno nam zostawiać wiadomości. Rozłączywszy się, Jody zniszczyła telefon.

Tym razem celowo.

Pomyślała: mam banknotów studolarowych na kilogramy, a nie mogę wykonać cholernego telefonu.

Kurt sprawdza, kto dzwoni... ale na pewno jest już bardzo późno. Można się spodziewać, że odbierze.

Gdybym nie była taka wkurzona, chyba bym się rozpląkała.

Ból w ręce ustąpił już całkowicie. Gdy na nią spojrzała, odniosła wrażenie, że oparzenie trochę się

zagoiło. Świruję, pomyślała. Świr pourazowy. I jestem głodna. Potrzebuję opieki medycznej, porządnego posiłku, współczującego gliniarza, kieliszka wina, gorącej kąpieli, przytulenia, karty do wplatomatu, żeby zdeponować te pieniądze. Potrzebuję...

Autobus linii 42 wyjechał zza rogu i Jody odruchowo pomacała się po kieszeniach w poszukiwaniu biletu okresowego. Wciąż go miała. Pojazd zatrzymał się i otworzył drzwi. Wsiadając, machnęła biletem przed oczami kierowcy. Burknął coś w odpowiedzi. Usiadła z przodu, twarzą do trojga innych pasażerów.

Jody jeździła autobusami od pięciu lat. Czasami z powodu pracy albo późnego seansu w kinie jeździła nimi także nocą. Ale dopiero tym razem, z rozczochranymi brudnymi włosami, w porwanych pończochach i poplamionym ubraniu, zdezorientowana i zdesperowana, czuła, że tu pasuje. Psychole rozpromienili się na jej widok.

- Miejsce parkingowe! - wypaliła kobieta z tyłu. Jody podniosła wzrok.

- Miejsce parkingowe! - Kobieta miała na sobie podomkę w kwiatki i uszy Myszki Miki. Pokazała na okno i krzyknęła: - Miejsce parkingowe! Jody odwróciła z zawstydzeniem wzrok. Zrozumiała. Miała samochód, mały, szybki kompakt Hondy, a ponieważ miesiąc temu znalazła przed swoim domem miejsce parkingowe, uruchamiała go tylko we wtorkowe wieczory, kiedy przejeżdżała zamiatarka, a potem natychmiast odstawiała auto na miejsce. W tym mieście to była tradycja. Miejsca należało bronić z narażeniem życia. Jody słyszała, że niektóre miejsca parkingowe w Chinatown przechodzą z pokolenia na pokolenie w obrębie danej rodziny, dba się o nie niczym o groby szanowanych przodków i chroni dzięki sporym łapówkom, płaconym chińskim gangom ulicznym.

- Miejsce parkingowe! - znowu krzyknęła kobieta.

Jody zerknęła na drugą stronę przejścia i nawiązała kontakt wzrokowy z niechlujnym, brodatym mężczyzną w prochowcu. Uśmiechnął się nieśmiało, po czym powoli odchylił połę płaszcza, odsłaniając imponującą erekcję, widoczną w rozporoku spodni w kolorze khaki.

Jody odpowiedziała uśmiechem, po czym wysunęła z kurtki oparzoną, poczerniałą rękę, którą wyciągnęła w jego stronę. Zjeżył się i nakrył płaszczem, a potem nadąsany skulił na siedzeniu. Jody sama była zdumiona, że to zrobiła.

Blisko brodacza siedziała młoda kobieta, która zaciekle pruła sweter. Wyglądało na to, że chce dojść do końca przędzy, a potem wydziergać sweter z powrotem. Starszy mężczyzna w tweedowym garniturze i wełnianym kapeluszu myśliwskim siedział obok, trzymając między kolanami drewnianą laskę. Co kilka sekund wypuszczał ją i zanosił się kaszlem, po czym z trudem próbował ją podnieść, ocierając zarazem oczy jedwabną chusteczką. Zauważył, że Jody na niego patrzy, i uśmiechnął się przepraszająco.

- To tylko przeziębienie - powiedział.

Nie, to coś więcej, pomyślała. Umierasz. Skąd to wiem? Nie wiem skąd, ale wiem. Uśmiechnęła się do starca, po czym się odwróciła i zaczęła wyglądać przez okno.

Autobus jechał teraz przez North Beach, gdzie na ulicach roiło się od marynarzy, punków i turystów.

Dostrzegła czerwoną aurę wokół każdego z nich, a także ślady gorąca w powietrzu, gdy się poruszali.

Potrząsnęła głową, by lepiej widzieć, po czym popatrzyła na ludzi w autobusie. Tak, każdy z nich miał aurę, niektórzy jaśniejszą niż inni. Starca w tweedowym garniturze otaczał ciemny krąg, a także czerwony nimb gorąca. Jody potarła oczy i pomyślała: najwyraźniej uderzyłam się w głowę. Trzeba będzie zrobić tomografię i badanie EEG. To będzie kosztowało majątek. Firma się wkurzy. Może uda mi się przepchnąć roszczenie osobiście. Na pewno do końca tygodnia wezmę zwolnienie. I trzeba zrobić porządne zakupy, kiedy już wypuszczą mnie ze szpitala i z telewizji. Naprawdę porządne zakupy. Zresztą i tak przez jakiś czas nie będę mogła pisać na komputerze.

Popatrzyła na swoją poparzoną rękę i znowu jej się zdawało, że trochę się zagoiła. I tak wezmę zwolnienie, uznała.

Autobus zatrzymał się przy Fisherman's Wharf i Ghirardelli Square. Do środka wsiedli turyści w odblaskowych, nylonowych szortach i więziennych swetrach, gawędząc po francusku i angielsku, kreśląc jednocześnie linie na planach miasta. Jody czuła bijące od nich wonie potu, mydła, morza, gotowanych krabów, czekolady, alkoholu, smażonych ryb, cebuli, chleba na zakwasie, hamburgerów i spalin. Choć była bardzo głodna, zapach jedzenia przyprawił ją o mdłości.

Prosimy o korzystanie z pryszniców podczas pobytu w San Francisco, pomyślała.

Autobus potoczył się wzdłuż Van Ness. Wstała i zaczęła się przeciskać między turystami do drzwi.

Gdy kilka ulic dalej pojazd zatrzymał się przy Chestnut Street, obejrzała się przez ramię, zanim wysiadła.

Kobieta z uszami Myszki Miki wyglądała spokojnie przez okno.

- No, no - powiedziała. - Ile tu miejsc parkingowych. Wysiadając z samochodu, słyszała krzyk kobiety:

- Miejsce parkingowe! Miejsce parkingowe! Uśmiechnęła się. Zaraz, dlaczego to zrobiłam?
CZYSTA MIŁOŚĆ Obrazki o północy: otyła kobieta z paralizatorem, próbująca okiełznać pudła, para starszych gejów, uprawiających chód sportowy w strojach od znanych projektantów, studentka na rowerze górskim - wirujące loki i plama czerwonego gorąca. Telewizory, pobzykujące w hotelach i w domach, odgłosy ogrzewaczy wody i pralek, szelest wiatru w liściach platanów i gałęziach jodeł, szczur, opuszczający swoje gniazdo na palmie - chrobot pazurków na pniu. Zapachy: pot strachu, bijący od kobiety z pudłem, woda różana, ocean, drzewny sok, ozon, olej, zmęczenie i krew - gorąca i słodka niczym posypane cukrem żelazo.

Z przystanku autobusowego musiała minąć tylko trzy przecznice, by dotrzeć do czteropiętrowego budynku, w którym mieszkała z Kurtem, ale miała wrażenie, że pokonuje wiele mil. Odległość wydłużyło nie zmęczenie, lecz strach. Myślała, że już dawno zatraciła swój strach przed miastem, ale

oto pojawił się znowu: zerkanie przez ramię i mocne postanowienie, by patrzeć tylko przed siebie, by iść i nie puścić się biegiem.

Przeszła przez ulicę i zobaczyła, że przed budynkiem stoi jeep Kurta. Wzrokiem poszukała swojej hondy, ale jej nie było. Może wziął ją Kurt - ale po co? Zostawiła mu kluczyki z grzeczności. Tak naprawdę nie miał ich używać. Nie знаła go aż tak dobrze.

Popatrzyła na budynek. W jej mieszkaniu paliło się światło. Skupiła się na oknie w wykuszu i usłyszała głos Louisa Rukeysera, ze swadą relacjonujący tydzień na Wall Street. Kurt lubił przed snem oglądać taśmy z „Wall Street Week”. Mówił, że go odprężają, ale Jody podejrzewała, że doznaje jakiegoś ukradkowego, seksualnego podniecenia, słuchając łysiejących menedżerów, mówiących o obracaniu milionami. A, co tam, jeśli wzrost indeksu Dow Jonesa stawiał mu namiot pod piżamą, nie miała nic przeciw temu. Poprzedni facet, z którym dzieliła mieszkanie, chciał, by na niego sikała.

Gdy ruszyła po schodach na górę, kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Ktoś skrył się za drzewem. Mimo ciemności widziała wystające zza pnia łokieć i czubek buta, ale przeraziło ją coś innego. Nie było aury gorąca. Jej brak wywoływał teraz taki sam niepokój, jak jej pojawienie się przed kilkoma minutami.

Nauczyła się jej spodziewać. Ktokolwiek stał za tym drzewem, był równie zimny, jak ono.

Wbiegła po schodach, nacisnęła guzik domofonu i całą wieczność czekała, aż Kurt odbierze.

- Tak? - zatrzeszczało w głośniku.

- Kurt, to ja. Nie mam klucza. Wpuść mnie.

Zamek zabrzączał i znalazła się w środku. Obejrzała się przez szklane drzwi. Ulica była pusta. Postać zza drzewa zniknęła.

Biegiem pokonała cztery piętra, a przy drzwiach do mieszkania czekał Kurt. Miał na sobie dzinsy i oksfordzką koszulę. Atletycznie zbudowany jasnowłosy trzydziestolatek, który mógłby być modelem, a ponad wszystko pragnął zostać graczem na Wall Street. Zarabiał na życie, przyjmując zlecenia w tanim domu maklerskim, i całymi dniami siedział przy komputerze, ze słuchawkami na uszach, w garniturach, na które nie było go stać, i patrzył, jak pieniądze innych przepływają obok. Ręce trzymał za plecami, by ukryć opaski Velcro, które na noc zakładał na nadgarstki, by ograniczyć ból wywołany zespołem cieśni nadgarstka. Podczas pracy nie chciał ich nosić. To schorzenie było zbyt prostackie. Nocą zaś ukrywał dłonie, na podobieństwo dziecka z aparatem ortodontycznym, które boi się uśmiechnąć.

- Gdzie byłaś? - spytał, raczej rozgniewany niż przejęty. Jody liczyła na współczujący uśmiech, a nie na oskarżenia. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Zostałam dziś napadnięta. Ktoś mnie pobił i przygniół śmietnikiem. - Wyciągnęła ręce, by ją przytulił. - Poparzyli mi rękę - jęknęła.

Kurt odwrócił się do niej plecami i wrócił do mieszkania.

- A gdzie byłaś wczoraj w nocy? Gdzie byłaś dzisiaj? Z dziesięć razy dzwonili dziś z twojego biura.

Jody weszła za nim do środka.

- Wczoraj w nocy? O czym ty mówisz?

- Odholowali twój samochód. Nie mogłem znaleźć kluczyków, kiedy przyjechała zamiatarka.

Będziesz musiała zapłacić, żeby odebrać go z policyjnego parkingu.

- Kurt, nie wiem o czym mówisz. Jestem głodna, boję się i muszę jechać do szpitala. Ktoś mnie napadł, do cholery! Udawał, że układa swoje kasety wideo.

- Jeśli nie chciałaś się angażować, niepotrzebnie się zgodziłaś, żeby się wprowadzić. Nie myśl, że okazje do spotkań z kobietami to dla mnie rzadkość.

Matka mówiła jej: nigdy nie wchodź w związek z mężczyzną, który przewyższa cię urodą.

- Kurt, popatrz na to. - Podniosła poparzoną rękę. - Popatrz! Odwrócił się powoli i spojrzał na nią. Skwaszona mina przerodziła się w wyraz przerażenia.

- Jak to zrobiłaś?

- Nie wiem, straciłam przytomność. Chyba uderzyłam się w głowę. Mój wzrok... Wszystko wygląda dziwnie. Możesz mi pomóc, proszę? Zaczął zataczać ciasne kręgi wokół stolika do kawy i kręcić głową.

- Nie wiem co robić. Nie wiem co robić. - Usiadł na kanapie i zaczął się kołysać.

Jody pomyślała: to jest facet, który zadzwonił do straży pożarnej, kiedy zapchał się sedes, a ja proszę go o pomoc. Co mi przyszło do głowy? Dlaczego pociągają mnie słabi mężczyźni? Co się ze mną dzieje? Dlaczego ręka mnie nie boli? Powinnam coś zjeść czy jechać na pogotowie?

- To straszne - powiedział Kurt. - Muszę wcześniej wstać. Mam spotkanie o piątej. - Znalazłszy się na znanym terenie własnych korzyści, przestał się kołysać i podniósł wzrok. - Nadal mi nie powiedziałaś, gdzie byłaś wczoraj w nocy! Przy drzwiach, obok Jody, stała stara dębowa komoda. Na niej znajdowała się doniczka z japońskiej ceramiki, w której dzielnie rósł filodendron, siedlisko kolonii roztoczy. Gdy Jody złapała doniczkę, usłyszała, jak roztocza poruszają się w swoich maleńkich sieciach. Kiedy się zamachnęła się, by nią rzucić, zobaczyła, jak Kurt mruga, jego powieki poruszały się powoli, niczym elektryczne drzwi garażowe. Rzucając, widziała tętno na jego szyi. Doniczka poleciała przez pokój, ciągnąc za sobą roślinę na podobieństwo ogona komety. Oszołomione roztocza znalazły się w powietrzu. Dno doniczki trafiło Kurta w czoło i Jody zobaczyła, że naczynie pęcznieje, a potem zapada się w sobie. Na podłogę spadł deszcz kawałków ceramiki i grudek ziemi do kwiatów. Roślina zagięła się na głowie mężczyzny i Jody słyszała trzask poszczególnych włókien. Kurt nie miał czasu na zmianę wyrazu twarzy. Nieprzytomny padł na

kanapę. Wszystko trwało jedną dziesiątą sekundy.

Jody podeszła do kanapy i starła ziemię z jego włosów. Na czole miał rozcięcie w kształcie półksiężyca, które na jej oczach zaczęło nabiegać krwią. Poczowała skurcze w żołądku, tak gwałtowne, że z bólu opadła na kolana. Pomyślała: moje wnętrzności zapadają się w sobie.

Słyszała bicie jego serca i powolny, chrapliwy oddech. Przynajmniej go nie zabiłam...

Zapach krwi wypełniał jej nozdrza, był dusząco słodki. Kolejny skurcz zgiął ją w pół. Dotknęła rany na jego czole, po czym cofnęła dłoń. Palce ociekały krwią. Nie zrobię tego. Nie mogę.

Oblizwała palce i wszystkie mięśnie jej ciała zadrgały. Poczowała silny nacisk na podniebienie, a potem w głowie rozległ się głośny trzask, jakby ktoś wyrwał jej zęby. Przesunęła językiem po podniebieniu i wyczuła ostre niczym szpilki punkciki, przebijające się przez skórę za kłami. Rosły jej nowe zęby.

Nie zrobię tego, myślała, wchodząc na Kurta i zlizując krew z jego czoła. Nowe zęby wydłużyły się.

Przeszyła ją fala elektrycznej rozkoszy, a podniecenie wywołało pustkę w umyśle.

Gdzieś w zakamarkach jej głowy cichy głosik raz po raz krzyczał „nie!”, gdy wgryzała się w gardło Kurta, po czym zaczęła pić. Z każdym uderzeniem jego serca słyszała własne jęki. Była to seria orgazmów jak z karabinu maszynowego, gorzka czekolada, źródłana woda na pustyni, chór śpiewający „alleluja” i kawaleria idąca na odsiecz. Wszystko naraz. I przez cały czas cichy głosik krzyczał: „NIE!”.

W końcu zsunęła się i poturlała na podłogę. Usiadła, oparła plecy o kanapę, objęła nogi rękami i przycisnęła twarz do kolan, drżąc w drobnych konwulsjach rozkoszy. Przeszedł ją dreszcz mrocznego ciepła, zupełnie jakby właśnie weszła ze śniegu do gorącej kąpieli.

Ciepło powoli odpłynęło, zastąpione ściskającym serce smutkiem, poczuciem straty tak nieodwracalnej i głębokiej, że czuła się przytłoczona jej ciężarem.

Znam to uczucie, pomyślała. Już go doznawałam.

Odwróciła się, popatrzyła na Kurta i z pewną ulgą stwierdziła, że ciągle oddycha. Nie było żadnych śladów na jego szyi, tam gdzie go ugryzła. Rana na jego czole krzepła i zmieniała się w strup. Zapach krwi wciąż był silny, ale teraz ją odrzucał, niczym woń butelek po winie w skacowany poranek.

Wstała i poszła do łazienki, po drodze zrywając z siebie ubranie. Odkręciła prysznic, po czym ściągnęła resztki rajstop, zauważając, bez szczególnego zaskoczenia, że jej ręka zagoiła się już całkowicie.

Pomyślała: zmieniłam się. Już nigdy nie będę taka sama. Świat uległ przeobrażeniu. Z tą myślą powrócił smutek. Znam to uczucie...

Weszła pod prysznic i stanęła pod strumieniem wody, nie czując jej ani nie słysząc, nie zważając na

kolor gorąca i parę, wirujące w ciemnej łazience. Pierwszy spazm szlochu zaczął przedzierać się w górę z klatki piersiowej, wstrząsnął nią, przetaił szlak żalu. Osunęła się po ścianie kabiny, usiadła na rozgrzanych wodą kafelkach i płakała, dopóki woda nie wystygła. Przypomniła sobie: kolejny prysznic w ciemnościach, gdy zmienił się świat.

Miała piętnaście lat i nie była zakochana, a raczej zakochana jedynie w podnieceniu stykających się języków i szorstkim dotyku dłoni chłopaka na swoich piersiach; zakochana w idei rozkoszy i zbyt pełna zbyt słodkiego wina, które chłopak ukradł ze sklepu 7-Eleven. Nazywał się Steve Rizzoli (co nie miało najmniejszego znaczenia, tyle że zapamiętała to na zawsze) i był dwa lata starszy. Trochę typ niegrzecznego chłopca, z tą fajką do haszu i gładkością surfera. Na kocu wśród wydm Carmelu ściągnął z niej dzinsy, a potem jej to zrobił. Jej, a nie z nią, gdyż pod względem zaangażowania mogłaby się mierzyć ze zwłokami. Było to szybkie, niezdarne i puste, jeśli nie liczyć bólu, który utrzymywał się i narastał jeszcze gdy szła do domu, płakała pod prysznicem, a potem do świtu leżała w swoim pokoju z mokrymi włosami rozrzuconymi na poduszce i pełnym żalu spojrzeniem utkwionym w suficie.

Wyszła spod prysznica i mechanicznie zaczęła się wycierać, po czym pomyślała: czułam to samo, kiedy opłakiwałam swoje dziewictwo. A co opłakuję dzisiaj? Swoje człowieczeństwo? Właśnie. Nie jestem już człowiekiem. I nigdy nie będę.

Gdy sobie to uświadomiła, wydarzenia zaczęły do siebie pasować. Nie było jej przez dwie noce, a nie jedną. Napastnik wepchnął ją pod śmietnik, żeby ochronić ją przed słońcem, ale jej ręka pozostała odsłonięta i uległa poparzeniu. Przespała cały dzień, a kiedy obudziła się następnego wieczoru, nie była już człowiekiem.

WAMPIR

Nie wierzyła w wampiry.

Popatrzyła na swoje stopy na macie kąpielowej. Palce u nóg miała proste niczym niemowlę, jakby nigdy nie zginały ich ani nie ścisnęły żadne buty. Zniknęły blizny na kolanach i łokciach, ślady wypadków z dzieciństwa. Spojrzała w lustro i stwierdziła, że nie ma już drobnych zmarszczek wokół oczu, podobnie jak piegów. Ale jej oczy były całe czarne, bez choćby kawałka tęczówki. Zadrżała, a potem zdała sobie sprawę, że ogląda to wszystko w zupełnej ciemności, i zapaliła światło w łazience. Jej źrenice zwężyły się, a oczy miały barwę tej samej pięknej zieleni, co zwykle. Złapała garść włosów i obejrzała końcówki. Żaden nie był rozdwojony ani złamany. Była - na ile pozwalała sobie przyjąć to do wiadomości - po prostu doskonała. Nowo narodzona dwudziestosześcioletka.

Jestem wampirem. Odczekała, aż myśl powtórzy się kilkakrotnie i usadowi w mózgu, po czym poszła do sypialni, żeby włożyć dzinsy i bluzę.

Wampirem. Potworem. Ale nie czuję się jak potwór.

Gdy wróciła z sypialni do łazienki, żeby wysuszyć włosy, zobaczyła Kurta na kanapie. Oddychał

miarowo, a nad jego ciałem unosiła się zdrowa aura gorąca. Doznała przyływu wyrzutów sumienia, ale zaraz je odepchnęła.

Pieprzyć go, i tak właściwie nigdy go nie lubiłam. Może jestem potworem.

Włączyła lokówkę, której używała co rano do prostowania włosów, a potem ją wyłączyła i rzuciła z powrotem na toaletkę. Ją też pieprzyć. Pieprzyć lokówki, suszarki, wysokie obcasy, tusz do rzęs i rajstopy wyszczuplające. Pieprzyć te ludzkie rzeczy.

Otrząsnęła włosy z wody, złapała szczoteczkę do zębów i wróciła do sypialni, gdzie spakowała torbę na ramię, napełniając ją džinsami i bluzami. Przekopała się przez skrzyneczkę na biżuterię Kurta, aż znalazła zapasowe kluczyki do swojej hondy.

Stojący przy łóżku budzik z radiem wskazywał piątą rano. Nie mam zbyt wiele czasu. Muszę szybko znaleźć jakiś dach nad głową.

Wychodząc, zatrzymała się przy kanapie i pocałowała Kurta w czoło.

- Spóźnisz się na spotkanie - powiedziała.

Nawet nie drgnął.

Wzięła z podłogi torbę z pieniędzmi i wcisnęła ją do torby na ramię, a potem wyszła. Na dworze popatrzyła na obie strony ulicy i zaklęła. Hondę odholowano. Będzie musiała ją odebrać z policyjnego parkingu. Ale można to było zrobić tylko za dnia. Przypomniała sobie, co słońce zrobiło z jej ręką. Muszę znaleźć ciemność.

Potruchtała w dół ulicy, czując się lżej niż kiedykolwiek. Przy Van Ness wbiegła do motelu i tak długo waliła w dzwonek, aż za kuloodporną szybą pojawił się zaspany portier. Zapłaciła gotówką za dwie noce, a potem dała mu jeszcze studolarówkę, by pod żadnym pozorem jej nie przeszkadzano.

W pokoju zamknęła drzwi na klucz, potem podparła je krzesłem i położyła się do łóżka.

Gdy pierwsze promienie brzasku zaróżowiły miasto, ogarnęło ją nagłe zmęczenie. Pomyślała: trzeba odzyskać samochód. Trzeba znaleźć bezpieczne schronienie. A potem chcę się dowiedzieć, kto mi to zrobił. Muszę wiedzieć, dlaczego. Dlaczego ja? Dlaczego pieniądze? Dlaczego? I będę potrzebowała pomocy. Będę potrzebowała kogoś, kto może działać za dnia.

Gdy nad wschodni horyzont wyjrzało słońce, zasnęła jak zabita.

KWIATY I MIASTO SPALONYCH SPRZĘGIEŁ

Thomas Flood (dla przyjaciół Tommy) właśnie dochodził do kulminacyjnego momentu w mokrym śnie, gdy obudziły go krzątania i gadanie pięciu Wongów. Niezaspokojone gejsze w podwiązках

umknęły do krainy snów, pozostawiając go ze wzrokiem wbitym w listwy łóżka powyżej.

Pomieszczenie było niewiele większe od szafy. Trzypiętrowe łóżka ustawiono po dwóch stronach wąskiego przejścia, gdzie pięciu Wongów walczyło o miejsce do wciągnięcia spodni. Wong Dwa pochylił się nad łóżkiem Tommy'ego, uśmiechnął się przepraszająco i powiedział coś po kantońsku.

- Nie ma sprawy - odparł Tommy. Przekręcił się na bok, uważając, by poranną erekcją nie uderzyć w ścianę, i naciągnął kołdrę na głowę.

Pomyślał: prywatność to wspianiała sprawa. Podobnie jak miłość, staje się najbardziej wyrazista, gdy jej brak. Powiniennem napisać o tym opowiadanie. I wpleść w nie mnóstwo gejsz w podwiązkiach i czerwonych lakierkach. Herbaciarnia pełna skośnookich dziwek, autor: C. Thomas Flood. Napiszę je dzisiaj, kiedy już wynajmę skrytkę pocztową i poszukam pracy. A może lepiej zostanę dziś tutaj i zobaczę, kto przynosi kwiaty...

Tommy przez cztery dni z rzędu znajdował na swoim łóżku świeże kwiaty i zaczynało go to niepokoić. Niepokoiły go nie same kwiaty - mieczyki, czerwone róże i dwa mieszane bukiety z wielkimi różowymi wstążkami. W pewnym sensie nawet lubił kwiaty, oczywiście tak jak lubi je prawdziwy mężczyzna, a nie lalusz. Nie przeszkadzało mu, że nie posiada wazonu ani stołu, na którym mógłby ten wazon postawić. Szedł po prostu korytarzem do wspólnej łazienki, zdejmował pokrywę rezerwuaru i wstawiał tam kwiaty. Dodatkowa barwa przyjemnie kontrastowała z brudną łazienką, dopóki szczury nie zjadły kwiatów. Ale to także mu nie przeszkadzało. Niepokoiło go to, że spędził w mieście dopiero niecały tydzień i nikogo tu nie znał. Kto zatem przysyłał mu kwiaty? Pięciu Wongów ustąpiło, strzelając salwami pożegnań, po czym wyszli z pomieszczenia. Wong Pięć zatrzasnął za sobą drzwi.

Muszę pogadać z Wongiem Jeden o zakwaterowaniu, pomyślał Tommy.

Wong Jeden nie należał do pięciu Wongów, z którymi Tommy dzielił pokój. Ten był właścicielem nieruchomości. Był starszy, mądrzejszy i bardziej wyrobiony niż Wongowie o numerach od Dwóch do Sześciu. Wong Jeden mówił po angielsku, nosił przetarty garnitur, niemodny od trzydziestu lat, i laskę z mosiężną główką smoka. Tommy spotkał go na Columbus Avenue tuż po północy, przy płonących szczątkach Rosinante, swojej limuzyny volvo, rocznik '74.

- Zabiłem ją - powiedział Tommy, patrząc, jak spod maski unosi się czarny dym.

- Szkoda - odparł Wong Jeden ze współczuciem w głosie, po czym ruszył w swoją stronę.

- Przepraszam! - zawołał za nim Tommy. Dopiero przyjechał z Indiany, a nigdy dotąd nie był w wielkim mieście, nie wiedział zatem, że tamten i tak przekroczył już wielkomięską granicę dopuszczalnego zaangażowania w kontaktach z obcymi.

Wong odwrócił się i podparł laską.

- Przepraszam - powtórzył Tommy - ale jestem od niedawna w mieście. Zna pan może jakieś miejsce, gdzie mógłbym się zatrzymać? Wong uniósł brwi.

- Masz pieniądze?

- Trochę.

Tamten popatrzył na Tommy'ego, który stał przy płonącym samochodzie, z walizką i pokrowcem na maszynę do pisania. Popatrzył na ten szczery, pełen nadziei uśmiech, na tę twarz i ciemną czuprynę, i w jego umyśle pojawiło się słowo „ofiara”, wydrukowane czcionką dwudziestką, jako część nagłówka na trzeciej stronie Chronicie: „Ofiara morderstwa znaleziona w Tenderloin. Zabójca zatłukł ją na śmierć maszyną do pisania”. Wong westchnął ciężko. Lubił codziennie czytać Chronicie i nie chciał omijać trzeciej strony, dopóki tragedia nie minie.

- Chodź ze mną - powiedział.

Wong ruszył przez Columbus do Chinatown. Tommy poczłapał za nim, raz po raz oglądając się przez ramię na płonące volvo.

- Bardzo lubiłem ten samochód. Dostałem w nim pięć mandatów za prędkość. Ciągłe są w środku.

- Szkoda. - Wong przystanął przy poobijanych, metalowych drzwiach między sklepem spożywczym a targiem rybnym. - Masz pięćdziesiąt dolców? Tommy skinął głową i sięgnął do kieszeni dzinsów.

- Pięćdziesiąt dolców za tydzień - oznajmił Wong. - Dwieście pięćdziesiąt za miesiąc.

- Tydzień wystarczy - stwierdził Tommy, wyjmując z coraz cieńszego zwitka dwie dwudziestki i dziesiątaka.

Wong otworzył i drzwi i ruszył w górę po wąskich nieoświetlonych schodach. Tommy szedł za nim, kilka razy omal się nie wywracając.

- Nazywam się Thomas C. Flood. Właściwie to tylko piszę pod tym nazwiskiem. Ludzie nazywają mnie Tommy.

- Dobrze - odrzekł Wong.

- A pan jak się nazywa? - Tommy zatrzymał się u szczytu schodów i wyciągnął rękę.

Wong popatrzył na jego dłoń.

- Wong - powiedział.

Tommy uklonił się. Tamten mu się przyglądał, zastanawiając się, co też on, do cholery, robi. Pięć dych to zawsze pięć dych, pomyślał.

- Łazienka w korytarzu - oznajmił, otwierając drzwi na oścież i pstrykając włącznikiem światła.

Pięciu zaspanych Chińczyków podniosło głowy z łóżek. - Tommy - powiedział Wong, wskazując Tommy'ego.

- Tommy - powtórzyli chórem Chińczycy.

- To Wong - stwierdził Wong, wskazując mężczyznę na dolnym łóżku po lewej.

Tommy skinął głową.

- Wong.

- To Wong. To Wong. Wong. Wong. Wong - mówił Wong, pokazując po kolei wszystkich mężczyzn, zupełnie jakby przesuwiał koraliki liczydła, co zresztą w myślach czynił: pięćdziesiąt dolców, pięćdziesiąt dolców, pięćdziesiąt dolców. Wskazał puste dolne łóżko po prawej. - Ty śpisz tam. Pa-pa.

- Pa-pa - powtórzyło pięciu Wongów.

- Przepraszam, panie Wong... - odezwał się Tommy. Tamten odwrócił się.

- Kiedy trzeba zapłacić czynsz? Jutro idę szukać pracy, ale nie mam za dużo pieniędzy.

- We wtorek i w niedzielę - odparł Wong. - Pięćdziesiąt dolców.

- Ale mówił pan, że to pięćdziesiąt dolarów za tydzień.

- Dwieście pięćdziesiąt za miesiąc albo pięćdziesiąt za tydzień, płatne we wtorek i w niedzielę.

Wong oddalił się. Tommy wcisnął torbę i maszynę do pisania pod łóżko, po czym wpełzł na materac.

Zanim zdążył się należycie przejąć swoim spalonym samochodem, spał już głęboko. Przejechał volvo z Incontinece w stanie Indiana do samego San Francisco, zatrzymując się tylko po to, by zatankować i skorzystać z łazienki. Zza kółka trzy razy obserwował, jak słońce wschodzi i zachodzi. Nad morzem dopadło go w końcu zmęczenie.

Tommy pochodził od dwóch pokoleń robotników, pracujących w fabryce wózków widłowych w Incontinece. Gdy w wieku czternastu lat ogłosił, że zamierza zostać pisarzem, jego ojciec, Thomas Flood senior, przyjął to z tolerancyjnym niedowierzaniem, jakie rodzice rezerwują zwykle dla potworów pod łóżkiem i wymyślonych przyjaciół. Kiedy Tommy podjął pracę w sklepie spożywczym, a nie w fabryce, ojciec odetchnął z ulgą - sklep przynajmniej należał do związku, więc syn będzie miał przywileje i emeryturę.

Dopiero gdy chłopak kupił stare volvo i w miasteczku zaczęły krążyć plotki, że jest młodym komunistą, Tom senior zaczął się martwić. Ojcowski niepokój narastał z każdą nocą, podczas której nasłuchiwał, jak syn stuka w klawisze przenośnej maszyny „Olivetti”, aż pewnego środowego wieczoru wstąpił na jednego do Starlight Lanes i powiedział kumplom od kręgli, co mu leży na sercu.

- Pod materacem chłopaka znalazłem egzemplarz New York Timesa - wybełkotał przez mgiełkę budweisera. - Muszę się z tym pogodzić. Mój syn to mięczak.

Pozostali członkowie drużyny kręglarskiej Chłodnica Billa pokiwali ze współczuciem głowami. W duchu wszyscy dziękowali Bogu za to, że pocisk trafił w żołnierza obok, a ich synowie mieli szczęśliwie obsesję na punkcie małych chevroletów i dużych cycków. Harley Businsky, który niedawno zyskał niemal boski status, rzuciwszy trzysta punktów, otoczył ramiona Toma swoją niedźwiedzią łapą.

- Może trochę się zagubił - podsunął. - Pogadajmy z chłopakiem.

Gdy do pokoju wpadły dwie błękitne wyszywane koszulki kręglarzy w rozmiarze XXXL wraz z dwoma zalanymi piwem kręglarzami w rozmiarze XXXL, Tommy przewrócił się w tył na swoim krześle.

- Cześć, tato — powiedział z podłogi.

- Synu, musimy porozmawiać.

Przez następne pół godziny obaj mężczyźni poddawali go ojcowskiej wersji procedury dobrego i złego gliniarza, albo sporu Joego McCarthy'ego ze Świętym Mikołajem. Podczas przesłuchania ustalono co następuje: tak, Tommy lubił dziewczyny i samochody. Nie, nigdy nie należał do partii komunistycznej.

I tak, zamierzał kontynuować pisarską karierę, nawet jeśli wykluczało to ochronę ze strony związków zawodowych.

Tommy próbował bronić sprawy zarabiania na życie pisaniem, ale jego argumenty trafiały w próżnię (w znacznej mierze dlatego, że zdaniem obu przesłuchujących mianem Hamleta określano małą porcję wieprzowiny, podawanej z jajkami). Był już wyczerpany i zaczynał się godzić z porażką, gdy z desperacją wypalił:

- Wiecie, Rambo też ktoś napisał.

Thomas Flood senior i Harley Businsky wymienili przerażone spojrzenia. Byli poruszeni, wstrząśnięci, załamani. Tommy nacierał dalej.

- I Pattona. Ktoś napisał Pattona.

Tommy czekał. Mężczyźni siedzieli obok siebie na pojedynczym łóżku, chrząkając, nerwowo przebierając palcami i unikając kontaktu wzrokowego z chłopakiem. Gdziekolwiek zwrócili wzrok, widzieli starannie wypisane markerem cytaty, poprzipinane do ścian. Widzieli książki, długopisy i papier do maszyny. Widzieli powiększone zdjęcia pisarzy. Ernest Hemingway patrzył na nich błyszczącym wzrokiem, który jakby mówił: „Trzeba było iść na ryby, gnojki”.

W końcu Harley stwierdził:

- No, jeśli masz być pisarzem, to nie możesz tu zostać.

- Słucham? - powiedział Tommy.

- Musisz jechać do miasta i przymierać głodem. Nie odróżniam Kafki od aluzji, ale wiem, że jeśli masz być pisarzem, musisz przymierać głodem. Bez tego nie będziesz dobry.

- No, nie wiem, Harvey - odezwał się Tom senior, niepewny, czy podoba mu się pomysł, by jego chudy syn przymierał głodem.

- Kto uzyskał trzysta punktów w zeszłą środę, Tom?

- Ty.

- I mówię, że chłopak musi jechać do miasta i przymierać głodem.

Tom Flood popatrzył na syna, jakby ten stał pod szubienicą.

- Jesteś pewien, że chcesz zostać pisarzem? Tommy skinął głową.

- Zrobić ci kanapkę? Gdyby nie pewien szczególnie marny, fabularyzowany film dokumentalny o zamachu na World Trade Center, Tommy mógłby przymierać głodem w Nowym Jorku, ale Tom senior nie zamierzał pozwolić, by „banda terrorystów z ręcznikami na głowach wysadziła jego syna w powietrze”. Mógłby też przymierać głodem w Paryżu, gdyby pobieżne oględziny samochodu nie wykazały, że samochód nie przetrwałby kontaktu z wodą. Trafił zatem do San Francisco i chociaż z pewnością nie miałby nic przeciwko śniadaniu, bardziej przejmował się kwiatami niż jedzeniem.

Powinienem tu zostać i zobaczyć, kto je przynosi, pomyślał. Złapać go na gorącym uczynku.

Ale już od ponad tygodnia był bezrobotny i wyniesiona ze środkowego zachodu etyka wygoniła go z łóżka.

Wszedł pod prysznic, w trampkach, by stopy nie miały kontaktu z podłogą, a następnie włożył swoją najlepszą koszulę i dżinsy, które nosił tylko podczas szukania pracy, zabrał notebooka i wszedł po schodach do Chinatown.

Na chodniku roiło się od Azjatów. Mężczyźni i kobiety zdecydowanym krokiem mijali stragany, z których sprzedawano żywe ryby, grillowane mięso i tysiące warzyw, których Tommy nie umiał nazwać.

Minął stragan, gdzie żywe, półmetrowe żółwie jaszczurowate próbowały się wydostać z plastikowych skrzynek po mleku. Na wystawie obok, wokół wędzonych świńskich łbów ułożono rzędy kaczych płetw i dziobów, a powyżej wisiały i kruszały całe oskubane bazanty.

Powietrze było ciężkie od woni stłoczonych ludzi, sosu sojowego, oleju sezamowego, lukrecji i spalin

- zawsze te spaliny. Tommy przeszedł przez Grant i przeciął Broadway, wchodząc na North Beach, gdzie tłum zrzędł, a zapachy przerodziły się w mieszankę pieczonego chleba, czosnku, oregano i jeszcze większej ilości spalin. Dokądkolwiek poszedł w tym mieście, napotykał połączenia woni jedzenia i pojazdów, niczym alchemiczne eliksiry jakiegoś szalonego mechanika-smakosza: kurczak

kung pao saab turbo, buick skylark carbonara, autobus słodko-kwaśny, honda bolognese z sosem ze spalonego sprzęgła.

Piskliwy okrzyk wojenny wyrwał Tommy'ego z zapachowego zamyślenia. Podniósł wzrok i ujrzał rolnarza we fluorescencyjnych ochraniaczach i kasku, pędzącego w jego stronę na złamanie karku.

Starzec, który siedział na chodniku i karmił dwa psy croissantami, na chwilę podniósł wzrok i rzucił jeden z rogalików. Psy skoczyły za smakołykiem, naprężając parciane smycze. Tommy skulił się. Rolnarz trafił na smycz i poleciał, zataczając w powietrzu trzymetrowy łuk, zanim runął na ziemię u stóp Tommy'ego jako płatanina osłoniętych ochraniaczami kończyn i kółek.

- Nic się panu nie stało? Tommy wyciągnął dłoń do rolnarza, który w odpowiedzi machnął ręką.

- Nic. - Z otarcia na jego brodzie kapłała krew, a okulary day-glo przekrzywiły mu się na twarzy.

- Powinieneś zwolnić, kiedy jedziesz chodnikiem! - zawołał starzec.

Rolnarz usiadł i odwrócił się w jego stronę.

- O, Wasza Wysokość, nie wiedziałem. Przepraszam.

- Bezpieczeństwo przede wszystkim, synu - odparł starzec z uśmiechem.

- Tak jest. Będę uważał. - Dźwignął się na nogi i skinął Tommy'emu głową. - Przepraszam. - Poprawił okulary i powoli odjechał.

Tommy stał wpatrzony w starca, który ponownie zajął się karmieniem psów.

- Wasza Wysokość?

- Albo Wasza Cesarska Mość - odparł Cesarz. - Jesteś nowy w mieście.

- Tak, ale...

Młoda kobieta w siatkowych pończochach i czerwonych seksownych spodenkach z satyny, która rozkołysanym krokiem przechodziła obok, przystanęła przy Cesarzu i skłoniła się lekko.

- Dzień dobry, Wasza Wysokość - odezwała się.

- Bezpieczeństwo przede wszystkim, dziecko - powiedział Cesarz.

Uśmiechnęła się i poszła dalej. Tommy patrzył za nią, dopóki nie zniknęła za rogiem, po czym z powrotem odwrócił się do starca.

- Witaj w moim mieście - rzekł Cesarz. - Jak sobie radzisz?

- Ja... ja... - Tommy był zmieszany. - Kim pan jest?

- Cesarz San Francisco, regent Meksyku, do usług. Rogalika? - Cesarz podsunął mu białą papierową torbę, ale Tommy pokręcił głową.

- Ten porywczy koleżka - oznajmił Cesarz, wskazując swojego boston teriera - to Bummer. Trochę łobuz, ale to najlepszy wielkooki psiak w mieście.

Mały pies warknął.

- A to - ciągnął Cesarz - jest Lazarus, znaleziony martwy na Geary Street po niefortunnym spotkaniu z francuskim autokarem wycieczkowym i przywrócony do życia dzięki mistycznej, uzdrawiającej sile zapachu trochę przechodzonego kawałka wołowiny.

Golden retriever podał łapę. Tommy uścisnął ją, czując się bardzo głupio.

- Miło cię poznać.

- A kim ty jesteś? - spytał Cesarz.

- C. Thomas Flood.

- Co oznacza „C”?

- Właściwie nic. Jestem pisarzem. Dodałem „C” jako pseudonim artystyczny.

- Afektowane i bardzo dobre. - Cesarz urwał, by przeżuć piętękę croissanta. - No, C, jak miasto? Tommy pomyślał, że być może właśnie go obrażono, ale stwierdził, że rozmowa ze starcem sprawia mu przyjemność. Od przyjazdu do San Francisco nie zamienił jeszcze z nikim więcej niż paru słów.

- Miasto mi się podoba, ale mam trochę kłopotów. Opowiedział o zniszczeniu samochodu, o spotkaniu z Wongiem Jeden, o ciasnym, brudnym pokoju, i zakończył swoją historię opowieścią o tajemniczych kwiatach na łóżku.

Cesarz westchnął ze współczuciem i podrapał się po splątanej, siwiejącej brodzie.

- Obawiam się, że nie mogę ci pomóc w kwestii zakwaterowania. Ja i moi ludzie mamy to szczęście, że całe miasto możemy uważać za swój dom. Ale być może znajdę radę w sprawie pracy i pomogę rozwiązać zagadkę kwiatów.

Urwał i dał Tommy'emu znak, by się zbliżył. Ten przykucnął i nadstawił ucha.

- Tak?

- Widziałem go - szepnął starzec. - To wampir. Tommy wzdrygnął się, jakby ktoś go opluł.

- Kwiaciarz-wampir?

- Jeśli już przyjmiesz do wiadomości, że to wampir, w kwestii kwiaciarza powinno pójść łatwiej,

nie sędzisz?

NIEUMARŁA I LEKKO OSZOŁOMIONA

W sąsiednim pokoju pieprzyli się Francuzi. Jody słyszała każdy jęk i chichot, każde skrzypnięcie sprężyny w łóżku. Z pokoju powyżej dobiegała paplanina z teleturnieju: - Zoofilia za pięćset, Alex. Jody naciągnęła poduszkę na głowę. To właściwie nie była pobudka. Brakowało powolnego przejścia z krainy sennych marzeń do rzeczywistości, brakowało miłego promyka świadomości w przytulnym półmroku snu.

Nie, wyglądało to tak, jakby ktoś po prostu włączył świat na cały regulator, niczym budzik z radiem prezentującym listę czterdziestu najbardziej denerwujących przebojów.

- Prezydenci-przestępcy za sto, Alex.

Jody przewróciła się na plecy i popatrzyła na sufit. Zawsze sądziłam, że seks i teleturnieje kończą się po śmierci, pomyślała. W końcu zawsze mówią „niech spoczywa w pokoju”, nie?

- Vasy plus fort, mon petit cochon d'amour! Chciała się komuś poskarżyć, komukolwiek. Nie cierpiała budzić się samotnie - ani samotnie zasypiać, skoro już o tym mowa. Przez pięć lat mieszkała z dziesięcioma różnymi mężczyznami. Seryjna monogamia. Przed śmiercią miała zamiar zacząć pracować nad tym problemem.

Wypełzła z łóżka i odsunęła gumowane motelowe zasłony. Światło latarń i neonów wypełniło pomieszczenie.

I co teraz? W normalnych okolicznościach poszłaby do łazienki. Nie czuła jednak takiej potrzeby.

Już dwa dni nie siusiałam. Może już nigdy nie będę siusiać.

Poszła do łazienki i usiadła na sedesie, by poddać próbie swoją teorię. Nic. Odpakowała jeden z plastikowych kubków, napełniła go wodą i wypila ją. Poczowała skurcz żołądka i zwymiotowała wodę, która trysnęła na lustro.

Dobra, nie pić wody. Wziąć prysznic? Przebrać się przed wyjściem do miasta? W jakim celu? Na polowanie? Wzdrygnęła się na tę myśl.

Czy będę musiała zabijać? O Boże, Kurt. A jeśli się przeobrazi? Jeśli już do tego doszło? Szybko włożyła ubranie z poprzedniego wieczoru, chwyciła torbę i klucz do pokoju, po czym wyszła z pomieszczenia. Przechodząc przez recepcję, pomachała nocnemu portierowi, a on puścił do niej oko i pomachał w odpowiedzi. Za sprawą studolarowego banknotu zostali przyjaciółmi.

Skręciła za róg i ruszyła przez Chestnut, powstrzymując ochotę, by puścić się biegiem. Przed domem zatrzymała się i skupiła uwagę na oknie mieszkania. Światło było zapalone i gdy się skoncentrowała,

usłyszała, jak Kurt rozmawia przez telefon.

- Tak, ta stuknięta dziwka przywaliła mi doniczką. Nie, rzuciła. Spóźniłem się do pracy dwie godziny. Nie wiem, mówiła o jakimś napadzie. Od paru dni nie było jej w pracy. Nie, nie ma kluczy.

Musiałem jej otworzyć domofonem...

Więc go nie zabiłam. Nie uległ przeobrażeniu, bo inaczej w ogóle nie mógłby pójść do pracy za dnia.

Po głosie wydaje się zdrowy. Wkurzony, ale zdrowy. Ciekawe, czy mogłabym po prostu przeprosić i wyjaśnić, co się stało...

- Nie - powiedział Kurt do słuchawki. - Zdjąłem jej nazwisko ze skrzynki. Mało mnie to obchodzi, i tak nie pasowała do wizerunku, który staram się zbudować. Myślałem, czy nie umówić się z Susan Badistone: Stanford, z bogatego domu, republikanka. Wiem, ale po to Bóg stworzył implanty...

Jody odwróciła się i ruszyła z powrotem do motelu. Zatrzymała się w recepcji i zapłaciła portierowi za dwa kolejne dni, po czym poszła do pokoju, usiadła na łóżku i próbowała się rozpłakać. Łzy nie chciały płynąć.

W innej sytuacji zadzwoniłaby do przyjaciółki i spędziła wieczór przy telefonie, słuchając słów pocieszenia. Zjadłaby ćwierć litra lodów i nie zmrużyła oka, rozmyślając, co zrobić ze swoim życiem.

Rano zadzwoniłaby do pracy, żeby zgłosić chorobę, a potem do swojej matki, mieszkającej w Carmel, by pożyczyć pieniądze na kaucję za nowe mieszkanie. Ale to nie była inna sytuacja - sytuacja, w której wciąż była człowiekiem.

Pewna doza pewności siebie, którą odczuwała poprzedniego wieczoru, zupełnie zniknęła. Teraz była tylko zagubiona i przestraszona. Próbowwała przypomnieć sobie wszystko, co kiedykolwiek czytała i słyszała o wampirach. Nie było tego wiele. Nie lubiła horrorów. Informacje, które sobie przypominała, okazywały się w większości nieprawdziwe. Nie musiała spać w trumnie, to było oczywiste. Było też jednak oczywiste, że nie może wychodzić za dnia. Nie musiała zabijać każdej nocy, a jeśli kogoś ugryzła, ta osoba niekoniecznie musiała się zmienić w wampira. W dupka może tak, ale nie w wampira. Z drugiej strony, Kurt już wcześniej był dupkiem, więc skąd ma wiedzieć? Dlaczego ona się przeobraziła? Musi iść do jakiejś biblioteki.

Muszę odzyskać samochód, pomyślała. I muszę znaleźć nowe mieszkanie. To tylko kwestia czasu, że za dnia wejdzie tu sprzątaczką i spali mnie na grzankę. Potrzebuję kogoś, kto w ciągu dnia może się swobodnie poruszać. Potrzebuję przyjaciela.

Razem z torebką straciła notes z adresami, ale to nie miało znaczenia. Wszystkie jej przyjaciółki były aktualnie w związkach i choć każda okazałaby jej współczucie z powodu zerwania z Kurtem, były zbyt zajęte sobą, by udzielić prawdziwej pomocy. Jody i jej przyjaciółki były sobie rzeczywiście bliskie tylko jako single.

Potrzebuję mężczyzny.

Ta myśl wpędziła ją w depresję.

Dlaczego zawsze do tego dochodzi? Jestem kobietą nowoczesną. Umiem sama otwierać słoiki i zabijać pająki. Umiem obsługiwać konto w banku i sprawdzić poziom oleju w samochodzie. Potrafię się sama utrzymać. Chociaż z drugiej strony, może i nie. Jak mam się utrzymać? Rzuciła torbę na łóóko, wyciągnęła z niej białą, papierową, wypełnioną pieniędzmi torbę po pieczywie, po czym wyrzuciła jej zawartość na łóóko. Policzyła banknoty w jednym pliku, a następnie policzyła pliki. W sumie było trzydzieści pięć plików po dwadzieścia studolarówek. Minus pięćset, które wydała na hotel - prawie siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Poczwała nagłe, gęboko zakorzenione pragnienie, by iść na zakupy.

Ktokolwiek na nią napadł, wiedział, że będzie potrzebowała pieniędzy. Jej przeobrazenie nie było przypadkiem. I pewnie nie było też przypadkiem, że zostawił jej rękę na słońcu, by doznała oparzeń. Skąd inaczej miałyby wiedzieć, że musi się schować przed wschodem słońca? Ale skoro chciał jej pomóc, skoro chciał, by przeżyła, dlaczego jej po prostu nie powiedział, co ma robić? Zbierała pieniądze i wpychała je z powrotem do torby, gdy zadzwonił telefon. Popatrzyła na niego, obserwując pomarańczową lampkę pulsującą w rytm dzwonka. Nikt nie wiedział, gdzie jest. To na pewno recepcja. Po czterech dzwonekach odebrała.

Zanim zdążyła powiedzieć „halo”, odezwał się śmiertelnie poważny męski głos.

- Aha, nie jesteś nieśmiertelna. Wciąż możesz zostać zabita.

Rozległ się trzask i Jody odłożyła słuchawkę.

Powiedział „zostać zabita”, a nie „umrzeć”. „Zostać zabita”.

Złapała torbę i wybiegła w noc.

ZWIERZAKI

Ludzie prowadzący dzienny tryb życia nazywali ich Zwierzakami. Dyrektor sklepu przyszedł pewnego ranka do pracy i zobaczył, że jeden z nich zwiesza się półnagi z ogromnego S w szyldzie Safeway, a pozostali stoją pijani na dachu i obrzucają go piankowymi cukierkami „Campfire”. Dyrektor nawrzeszczał na nich i nazwał zwierzakami. Zawyli radośnie i wznieśli toast, oblewając się nawzajem piwem.

Było ich siedmiu, a teraz zabrakło im przywódcy. Weszli do sklepu około jedenastej i dyrektor poinformował ich, że dostaną nowego szefa.

- Ten facet ustawi was do pionu. Robił już wszystko, jego CV miało cztery strony.

Północ zastała Zwierzaków siedzących przy kasach w przedniej części sklepu i dzielących się

swoimi troskami nad skrzynką bitej śmietany w aerozolu „Reddi Wip”.

- Pieprzyć tego ważniaka ze wschodu - powiedział Simon McQueen, najstarszy. - Będę przerzucał pięćdziesiąt skrzyń na godzinę jak zwykle, a jeśli chce więcej, niech robi to sam. - Simon wessał strumień podtlenku azotu z pojemnika z bitą śmietaną i wychrypiał: - Nie przetrwa dłużej niż pierd na rozgrzanej patelni.

Simon miał dwadzieścia siedem lat, był muskularny i tak naprężony, jak struna banjo. Miał dziobatą twarz i ostre rysy, a także bujną grzywę kasztanowych włosów, które utrzymywał w ładzie za pomocą bandany i czarnego stetsona. Uważał się za kowboja i poetę.

Nigdy nie zbliżył się na odległość strzału z colta do konia ani do książki.

Jeff Murray, były gwiazdor uniwersyteckich rozgrywek koszykarskich, wyciągnął z otwartej skrzynki pojemnik z bitą śmietaną i powiedział:

- Dlaczego po prostu nie awansowali jednego z nas, kiedy odszedł Eddie?

- Bo nie odróżniają własnej dupy od gorącej skały - odparł Simon. - Puszka do góry - dodał szybko.

- Pewnie zrobili to, co wydawało im się najlepsze - odezwał się Clint, krótkowidz, od niecałego kwartału świeżo nawrócony chrześcijanin. Niedawno wybaczone mu dziesięć lat nadużywania narkotyków, był więc pełen zapału do wybaczenia innym.

- Puszka do góry - powtórzył Simon, zwracając się do Jeffa. Ten podniósł pojemnik ze śmietaną, nacisnął dyszę i wciągnął potężny strumień bitej śmietany. Wypełniła mu usta i gardło, trysnęła z nosa i przyprawiła go o atak kaszlu, od którego aż posiniała mu twarz.

Drew, który pełnił w grupie rolę dostawcy trawki, a przez to felczera, zaaplikował mu mocne uderzenie w splot słoneczny i były skrzydłowy wyrzucił z siebie grudę śmietany o rozmiarach małego dziecka.

Jeff opadł na podłogę, ciężko dysząc. Bitą śmietaną bezpiecznie wylądowała na kasie numer 6.

- Działa nie gorzej od rękoczynu Heimlicha - Drew uśmiechnął się - a nie wymaga niechcianej intymności.

- Mówiłem, puszka do góry - powiedział Simon. Rozległo się pukanie w szybę i wszyscy się odwrócili, by zobaczyć chudego, ciemnowłosego dzieciaka w dżinsach i flanelowej koszuli, czekającego przy zamkniętych drzwiach. Przy pasie na prawym biodrze miał metkownicę.

- Oto i nasz ważniak.

Simon podszedł do drzwi, by je otworzyć. Clint złapał skrzynkę z bitą śmietaną i wepchnął ją pod kasę. Pozostali wcisnęli pojemniki gdzie się dało, i stanęli przy kasach, jakby czekali na inspekcję. Czuli, że kończy się pewna epoka. Zwierzaków już nie będzie.

- Tom Flood - powiedział nowy, wyciągając rękę do Simona.

Simon jej nie uściskał, patrzył tylko, aż nowy z zawstyżeniem cofnął dłoń.

- Jestem Sime. A to Drew. - Simon dał mu ręką znak, by wszedł do środka, po czym zamknął za nim drzwi. - Chodźmy po kartę czasu pracy.

Nowy poszedł za Simonem do biura, przystając, by spojrzeć na bitą śmietaną na kasie numer 6, a potem na Jeffa, wciąż dyszącego na podłodze.

- Puszka do góry - powiedział do niego.

Simon odwrócił się do pozostałych i uniósł brwi, po czym wprowadził nowego do biura. Gdy przetrząsał szuflady w poszukiwaniu nowej karty czasu pracy, tamten spytał:

- Grywasz w kręgle, Sime? Simon podniósł wzrok i przyjrzał się twarzy nowego. To mogła być pułapka. Cofnął się i naprężył niczym rewolwerowiec w samo południe.

- Tak, grywam w kręgle.

- Czego używasz?

- Lubię dziesięciokilowe indyki „Butterball”.

- Z siatką czy bez?

- Bez - odparł Simon.

- Tak, siatki są dla emerytów. Osobiście lubię dziesięciokilowe przyprawiane. - Tommy wyszczerzył się w uśmiechu.

Simon odpowiedział uśmiechem i uściskał mu rękę.

- Witamy na pokładzie. - Podał Tommy'emu kartę i wyprowadził go z biura. Na zewnątrz czekała ekipa. - Chłopaki - odezwał się Simon. - To jest Tom Flood.

Tamci przestępowali z nogi na nogę i spoglądali na Tommy'ego.

- Gra w kręgle.

Pracownicy wydali z siebie zbiorowe westchnienie ulgi. Simon przedstawił każdego z nich, opisując pokrótce, czym się zajmują.

- Ten na podłodze to Jeff, dział ciast, koszykarz. Drew, mrożonki i piwo. Troy Lee, szkło, zna kung-fu.

Troy Lee, niski, muskularny, w czarnej satynowej marynarce, ukłonił się lekko.

- Clint - ciągnął Simon - płatki śniadaniowe i soki. Kumpluje się z Panem Bogiem.

Wysoki i szczupły Clint miał kręcone czarne włosy, okulary w grubych rogowych oprawkach i głupawy błogi uśmiech.

Simon wskazał korpulentnego Meksykanina we flanelowej koszuli.

- Gustavo zmywa podłogę i ma czterdziestkę dzieci.

- Cinco niños - sprostował Gustavo.

- Najmocniej, kurwa, przepraszam - odparł Simon. - Piątkę dzieci. - Przeszedł wzdłuż szeregu do niskiego, łysiejącego faceta w sztruksach. - Barry robi w mydlach i karmach dla psów. Włosy mu wypadły, kiedy zajął się nurkowaniem.

- Pierdol się, Sime.

- Wyluzuj, Barry. — Simon ruszył dalej. - Ten ciemnoskóry gość to Lash, nabiał i produkty niespożywcze. Mówi, że studiuje biznes na uniwerku, ale tak naprawdę przemycza broń dla Bloodsów.

- A Simon chce zostać Wielkim Smokiem w Klanie - powiedział Lash.

- Bądź grzeczny, bo nie pomogę ci przy tej pracy frajerskiej.

- Magisterskiej - poprawił Lash.

- Jak zwał, tak zwał.

- A co ty robisz, Sime? - spytał Tommy.

- Szukam doskonałej długowłosej blondynki. Musi być piękna i mieć na imię Arlene, Karlene albo Darlene. Rozmiar jej biustu musi wynosić dokładnie połowę ilorazu inteligencji i musiała widzieć Elvisa po jego śmierci. Widziałaś ją?

- Spore wymagania.

Simon podszedł i stanął z nim twarzą w twarz.

- Nie zwlekaj. Proponuję nagrodę pieniężną i nagranie wideo, na którym próbuje mnie utopić w balsamie do ciała.

- Nie, naprawdę nie mogę ci pomóc.

- W takim razie pracuję w dziale puszek.

- O której przyjeżdża ciężarówka?

- Za pół godziny. O drugiej trzydziści.

- W takim razie mamy czas na parę rzutów.

Nie istnieją oficjalne zasady gry w kręgle indykiem. Dyscypliny nie uznaje ani Akademicki Związek Sportowy ani Międzynarodowy Komitet Olimpijski. Nie ma profesjonalnych zawodów, sponsorowanych przez Stowarzyszenie Hodowców Drobiu, a producenci obuwia sportowego nie oferują specjalnych butów. Nawet najlepsi zawodnicy nie pojawiają się na opakowaniach płatków śniadaniowych ani w programie „Tonight”. Do czasu, gdy telewizja ESPN postanowiła za wszelką cenę wypełnić czymś nocny czas antenowy między zawodami w grze w lotki na trawie a powtórkami meczów futbolu australijskiego, kręgle indykiem stanowiły sport uprawiany potajemnie. Był spychany na margines na równi z dewastacją skrzynek pocztowych za pomocą kijów baseballowych i przewracaniem krów. Pomimo braku oficjalnego uznania, wzniosła i szlachetna tradycja „kulania ptaszora” podtrzymywana jest przez nocne zmiany w supermarketach w całym kraju.

Wśród Zwierzaków to Clint zajmował się ustawianiem kręgli. Ponieważ zawsze zawierali zakłady, religia nie pozwalała Clintowi na grę, ale jego udział w jakiejś formie był niezbędny, by nic nie wygadał kierownictwu. Ustawił dziesięć butelek mydła w płynie „Ivory” w kształt trójkąta na końcu alejki między regałami z warzywami. Zamrażarka z mięsem miała służyć do amortyzacji.

Większość ekipy wybrała indyki z zamrażarki i ustawiła się po przeciwnej stronie alejki.

- Zacznij, Tom - powiedział Simon. - Zobaczymy, co potrafisz.

Tommy postąpił krok w przód i zważył mrożonego indyka w prawej dłoni. Poczł na skórze jego prężącą się, oziębłą moc.

O dziwo, w głowie zabrzmiał mu motyw muzyczny z Rydwanów ognia.

Zmrużył oczy i wybrał cel, a potem wziął rozbieg i ślizgiem puścił ptaka po podłodze. Z ust pracowników rozległ się gromadny jęk podziwu, gdy siedmiokilowy, przyprawiany, świeżo mrożony pocisk zdrowej i smacznej żywności wpadł w butelki mydła niczym pociąg towarowy w chór pijanych staruszek.

- Strike! - krzyknął Clint. Simon skrzywił się. Troy Lee powiedział:

- Nikt nie jest aż tak dobry. Nikt.

- Fart - odrzekł Simon.

Tommy powstrzymał uśmiech i cofnął się.

- Kto teraz? Simon wystąpił z szeregu i popatrzył w dół alejki, obserwując Clintą ustawiającego kręgle. Skóra pod lewym okiem zadrgała mu w nerwowym tiku.

O dziwo, w jego głowie zabrzmiał motyw muzyczny z filmu Dobry, zły i brzydki.

Indyk ciążył mu w dłoni. Niemal czuł, jak drób pulsuje w napięciu - było to Serce oskarżycielem w wydaniu firmy drobiarskiej Butterball. Podszedł do linii, zataczając indykiem szeroki łuk, i rzucił go z donośnym wrzaskiem. Indyk lotem pokonał trzy czwarte odległości, zanim uderzył w podłogę, po czym walnął w butelki z mydłem i w podstawę zamrażarki z mięsem, wgniatając blachę i uszkadzając przewody pośród deszczu iskier i chmury dymu.

Oświetlenie sklepu zamigotało i zgasło. Potężne kompresory systemu zamrażarek ucichły niczym gasnące silniki lotnicze. Powietrze wypełniły zapachy ozonu i spalonej izolacji. Nastąpiła chwila ponurej ciszy. Wszyscy stali bez ruchu, pocąc się, jakby czekali na odgłos nadpływającego U-boota. Zapasowe układy akumulatorowe włączyły oświetlenie awaryjne na końcu wszystkich alejek. Załoga spoglądała to na Simona, który stał na końcu szeregu z szeroko otwartymi ustami, to na spalonego, poczerniałego indyka, który tkwił w ścianie zamrażarki niczym artyleryjski niewybuch.

Spojrzeli na zegarki: mieli dokładnie sześć godzin i czterdzieści osiem minut na dokonanie napraw i ustawienie towaru na półkach, zanim przyjdzie dyrektor, żeby otworzyć sklep.

- Przerwa! - oznajmił Tommy.

Siedzieli na rzędzie wózków przed sklepem, oparci plecami o ścianę. Palili papierosy, jedli, a także, w przypadku Simona, przechwalali się.

- To jeszcze nic - stwierdził Simon. - Kiedy pracowałem w sklepie w Idaho, wjechaliśmy wózkiem widłowym w regał z nabiałem. Sto litrów mleka na podłodze. Wciągnęliśmy je odkurzaczem przemysłowym i przelaliśmy z powrotem do kartonów na dziesięć minut przed otwarciem i nikt się nie zorientował.

Tommy siedział przy Troyu Lee, zbierając się na odwagę, by poprosić o przysługę. Pierwszy raz od przybycia do San Francisco czuł, że gdzieś pasuje, i nie chciał przesadzić. Tak czy owak, była to teraz jego ekipa, nawet jeśli trochę ubarwił swoje CV, by dostać tę pracę.

Tommy postanowił zaryzykować.

- Troy, bez obrazy, ale czy znasz chiński?

- Dwa dialekty - odparł zagadnięty. - A co?

- Widzisz, mieszkam w Chinatown. Z pięcioma Chińczykami. Bez obrazy.

Troy zakrył usta dłonią, jakby oburzony jego bezczelnością. Potem skoczył na równe nogi, przyjął pozycję kung-fu, wydał z siebie kurze gdakanie w stylu Bruce'a Lee i powiedział:

- Pięciu Chińczyków mieszka z tobą? Z bladokórym, wielkookim, barbarzyńskim świńskim psem? - Uśmiechnął się i sięgnął do torby po następną garść chipsów. - Bez obrazy.

Twarc Tommy'ego zapłonęła wstydem.

- Przepraszam. Po prostu zastanawiałem się... to znaczy, potrzebuję tłumacza. W tym mieszkaniu

dziewą się jakieś dziwne rzeczy.

Troy wskoczył z powrotem na swoje miejsce na wózkach.

- Nie ma sprawy, stary. Pójdziemy tam rano, po robocie, o ile nas nie zwolnią.

- Nie zwolnią - odparł Tommy z pewnością w głosie, choć w duchu wcale tej pewności nie miał. - Związek...

- Jezu - przerwał mu Troy i złapał go za ramię. - Zobacz. Wyciągnął rękę w kierunku Fortu Mason, wskazując skraj parkingu. Jakaś kobieta szła w ich stronę. - Trochę późno wyszła z domu - stwierdził. A potem krzyknął do Simona: - Sime, alarm spódniczkowy!

- Bzdura - powiedział Simon, zerkając na zegarek.

Po chwili spojrział w stronę, którą wskazywał Troy. Przez parking rzeczywiście zmierzała ku nim kobieta. Na ile widział z tej odległości, miała ładną figurę.

Zszedł z wózków i poprawił czarnego stetsona.

- Cofnijcie się, chłopcy, ta ruda nie przyszła tu bez powodu, a ten powód czeka na nią tutaj. - Poklepał się po kroczu i afektowanym krokiem, na ugiętych nogach ruszył jej na spotkanie.

- Dobry wieczór, skarbie. Zabłądziłaś w poszukiwaniu ideału? Jeff, który siedział obok Tommy'ego naprzeciwko Troya, pochylił się i powiedział:

- Simon to mistrz. Ten facet bzyka więcej lasek niż cała drużyna Forty Niners razem wzięta.

- Zdaje się, że dzisiaj nie idzie mu tak dobrze - odparł Tommy.

Nie słyszeli, co Simon mówi do kobiety, która wyraźnie nie chciała słuchać. Próbowwała go obejść, ale on zastąpił jej drogę. Ruszyła w inną stronę, a on znów stanął przed nią, nie przestając gadać i się uśmiechać.

- Zostaw mnie w spokoju! - krzyknęła dziewczyna. Tommy zeskoczył z wózków i pobiegł w ich stronę.

- Ej, Simon, odpuść.

Simon odwrócił się, a kobieta zaczęła się oddalać.

- My tylko zawieraliśmy znajomość - stwierdził. Tommy zatrzymał się i położył mu rękę na ramieniu.

Zniżył głos, jakby zdradzał wielką tajemnicę.

- Słuchaj, chłopie, mamy sporo roboty. Nie mogę ryzykować, że znikniesz na całą noc, żeby pokazać tej małej sens życia. Potrzebuję twojej pomocy.

Simon posłał nowemu przełożonemu takie spojrzenie, jakby ten właśnie się obnażył.

- Serio?

- Proszę.

Simon klepnął go w plecy.

- Dobra. - Znowu odwrócił się w stronę sklepu. - Koniec przerwy, chłopaki. Trzeba się brać do pracy.

Tommy popatrzył za nim, a potem puścił się biegiem za kobietą.

- Przepraszam! Odwróciła się i popatrzyła na niego podejrzliwie, ale poczekała, aż ją dogoni. Zwolnił. Gdy podszedł bliżej, zdziwił się, że jest taka ładna. Wyglądała jak mała Maureen O'Hara w tych starych filmach o piratach. W tym momencie włączył się jego pisarski umysł i pomyślał: ta kobieta mogłaby mi złamać serce. Mógłbym się o nią rozbić i spłonąć. Mógłbym ją stracić, pić na umór, pisać głębokie wiersze i z jej powodu umrzeć w ryszotku na gruźlicę.

Nie była to reakcja niezwykła. Często mu się zdarzała, na ogół na widok dziewcząt pracujących w okienkach barów dla zmotoryzowanych. Odjeżdżał z zapachem frytek w samochodzie i gorzkim smakiem nieodwzajemnionej miłości na języku. Zwykle wystarczało go przynajmniej na jedno opowiadanie.

Trochę brakowało mu tchu, gdy już znalazł się przy niej.

- Chciałem tylko przeprosić za Simona. To... to...

- Dupek - dokończyła. -No tak. Ale...

- W porządku - odparła. - Dziękuję za przyście mi na ratunek. - Odwróciła się, by odejść.

Tommy przełknął ślinę. W końcu po to przyjechał do miasta, prawda? Żeby czasem zaryzykować.

Spróbować życia na krawędzi. Tak.

- Przepraszam - powiedział. Znowu się odwróciła. - Jest pani bardzo piękna. Wiem, że to brzmi jak banał. To jest banał. Ale... ale w pani wypadku to prawda. Dziękuję. Do widzenia.

Uśmiechnęła się.

- Jak się nazywasz?

- C. Thomas Flood.

- Pracujesz tu każdej nocy?

- Dopiero zacząłem. Ale... tak, będę. Pięć nocy w tygodniu. Nocna zmiana.
 - Czyli dni masz wolne?
 - Właściwie tak. Chyba że piszę.
 - Masz dziewczynę, C. Thomasie Flood? Znowu przełknął ślinę.
 - Ee, nie.
 - Wiesz, gdzie jest Enrico's na Broadwayu?
 - Znajdę. - Miał nadzieję, że faktycznie znajdzie.
 - Spotkajmy się tam jutro wieczorem, pół godziny po zachodzie słońca, dobrze?
 - Chyba tak. Znaczy, tak. Znaczy, która to będzie godzina?
 - Nie wiem. Muszę kupić kalendarz.
 - W porządku. W takim razie do zobaczenia jutro wieczorem. Muszę wracać do pracy. Mamy awarię.
- Pokiwała głową i uśmiechnęła się.
- Zmieszany, przestąpił z nogi na nogę, po czym ruszył w stronę sklepu. Pośrodku parkingu przystanął.
- Hej, nie wiem, jak masz na imię.
 - Jody.
 - Miło było cię poznać, Jody.
 - Do jutra, C. Thomasie! — zawołała w odpowiedzi. Pomachał jej. Kiedy znowu się odwrócił, Zwierzaki jak jeden mąż patrzyli na niego, powoli kręcąc głowami. Simon zgromił go wzrokiem, a potem odwrócił się na pięcie i wszedł do sklepu.

ZALOTNICZY

Przyjąwszy od podwładnych słuszną porcję uwag, że wykorzystał stanowisko, by poderwać dziewczynę z parkingu, Tommy zdołał ich wreszcie namówić, by wrócili do pracy. Simon, Drew i Jeff odprawili przy zamrażarce do mięsa jakieś mechaniczne czary przy użyciu młotka, przewodów rozruchowych i puszki kitu „Bondo”. Do rana wszystko chodziło niczym mechanizm nasmarowany przez bogów. Tommy powitał z uśmiechem dyrektora przy drzwiach wejściowych i zameldował, że pierwsza noc minęła wspaniale. Powiedział, że jeszcze nie widział tak świetnej załogi.

Pojechał do Chinatown z Troyem Lee. Znaleźli miejsce parkingowe kilka przecznic od jego pokoju i dalszą drogę pokonali piechotą. Słońce wzeszło zaledwie godzinę wcześniej, ale kupcy już otwierali stragany i na chodnikach robiło się tłoczno. Dostawcze ciężarówki blokowały ulice podczas wyładunku świeżych ryb, mięsa i warzyw.

Idąc przez Chinatown z Troyem Lee u boku, Tommy czuł się tak, jakby miał tajną broń.

- Co to jest? - spytał, wskazując stertę czegoś podobnego do selerów na straganie warzywnym.

- Bok czoi. Chińska kapusta. - A to?

- Korzeń żeń-szeń. Podobno dobrze po nim staje. Tommy zatrzymał się przed wystawą sklepu zielarskiego.

- To wygląda jak kawałki poroża jelenia.

- Zgadza się - odrzekł Troy. - Robi się z nich lekarstwa. Gdy przechodzili przez targ rybny, Tommy wskazał duże kolczaste żółwie, próbujące uciec ze skrzynek po mleku.

- Ludzie to jedzą?

- Pewnie, ci, których stać.

- To wygląda jak obcy kraj.

- Nie tylko wygląda — stwierdził Troy. — Chinatown to bardzo zamknięta społeczność. Nie chce mi się wierzyć, że tu mieszkasz. Sam jestem Chińczykiem, a nigdy tu nie mieszkałem.

- To tutaj — oznajmił Tommy stając przed drzwiami.

- Czyli chcesz, żebym spytał ich o kwiaty. I o co jeszcze?

- No, o wampiry.

- Nie zgrywaj się.

- Nie, ten facet, którego poznałem, Cesarz, mówił, że to mogły być wampiry. - Prowadził kolegę po schodach na górę.

- Robił cię w konia, Tommy

- To on powiedział mi o pracy w waszym sklepie i nie kłamał.

Tommy otworzył drzwi i pięciu Wongów uniosło głowy z łóżek.

- Pa-pa - powiedzieli.

- Pa-pa - odrzekł Tommy.

- Ładne miejsce - orzekł Troy. - Założę się, że czynsz zwala z nóg.

- Pięćdziesiąt dolców tygodniowo - wyjaśnił Tommy.

- Pięćdziesiąt dolców - powtórzyło pięciu Wongów. Troy wyprosił gestem Tommy'ego z pomieszczenia.

- Daj mi minutę.

Zamknął drzwi. Tommy czekał w korytarzu, słuchając nosowych, przypominających banjo odgłosów rozmowy między Troyem i Wongami. Po kilku minutach Troy wyłonił się z pokoju i dał koledze znak, by wyszedł z nim na ulicę.

- Jak tam? - spytał Tommy, gdy byli już na chodniku. Troy odwrócił się do niego. Sprawiał wrażenie, jakby z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

- Chłopie, ci goście dopiero przyплыnęli. Trochę trudno było ich zrozumieć, mówią jakimś regionalnym dialektem.

- No i?

- No i przebywają tu nielegalnie, przemycili ich piraci. Wiszą piratom jakieś trzydzieści kawałków za transport, a jeśli ich złapią i deportują do Chin, to i tak mają dług. A tam zarabia się tyle przez dwadzieścia lat.

- No i? - spytał Tommy. - Co to ma wspólnego z kwiatami? Troy zachichotał.

- Zaraz do tego dojdziemy. Widzisz, oni chcą mieć obywatelstwo. Jeśli je dostaną, znajdą lepszą pracę i szybciej spłacą dług. I nie będzie ich można deportować.

- A kwiaty?

- To Wongowie je zostawiają. Zalecają się do ciebie.

- Co?!

- Gdzieś usłyszeli, że w San Francisco mężczyzna może poślubić mężczyznę. Wymyślili, że jeśli nakłonią cię do małżeństwa, dostaną obywatelstwo i będą mogli tu zostać. Masz cichych wielbicieli, stary.

Tommy był oburzony.

- Uważają mnie za geja?

- Nie wiedzą. Myślę, że mają to gdzieś. Pytali, czy mogę w ich imieniu poprosić cię o rękę. - Troy stracił w końcu panowanie nad sobą i parsknął śmiechem.

- Co im powiedziałaś?

- Że spytam.

- Skurwiel.

- Wiesz, nie chciałem im odmawiać bez rozmowy z tobą. Powiedzieli, że dobrze by się tobą opiekowali.

- Idź i powiedz im, że się nie zgadzam.

- Masz coś przeciwko Azjatom? Za wysokie progi, jak dla nas?

- Nie w tym rzecz. Ja...

- Powiem im, że się zastanowisz. Słuchaj, muszę iść do domu i się przespać. Do zobaczenia wieczorem w pracy. - Troy zaczął odchodzić.

- Będiesz dziś opróżniał śmietniki, Troy. Jestem szefem, wiesz? Lepiej nie mów Simonowi i chłopakom.

- Jak sobie życzysz, Nieustraszony Przywódco - rzucił Troy przez ramię.

Tommy stał na chodniku i rozmyślał nad lepszą groźbą. Kawalek dalej Troy odwrócił się i krzyknął:

- Ej, Tommy! Będziesz śliczny w białej sukni. Tommy z mordem w oczach rzucił się biegiem za nim. Zachód słońca. Świadomość spadła na Jody niczym kubeł zimnej wody.

Pomyślała: tęsknię za porannym otępieniem i czekaniem, aż się zaparzy kawa. Do niczego taka pobudka, kiedy wszystkie zmartwienia od razu pędzą jak szalone.

Co mi przyszło do głowy, że dałam sobie tylko pół godziny na przygotowania do randki? Nie mam się w co ubrać. Nie mogę się pokazać w bluzie i dzinsach i poprosić faceta, żeby się do mnie wprowadził. W dodatku nic o nim nie wiem. A jeśli to pijak, damski bokser albo psychopatyczny zabójca? Tacy zawsze pracują na nocną zmianę w sklepach, prawda? Sąsiedzi potem mówią: „Pracował nocami i był zamknięty w sobie. Kto by pomyślał, że poćwiartował i usmażył gazeciarza?”. Z drugiej strony powiedział, że jestem piękna, a każdy ma jakieś wady. Kim jestem, by go oceniać? Jestem...

Nie chciała myśleć o tym, kim jest.

Szybko włożyła dzinsy i gorączkowo próbowała zrobić sobie makijaż za pomocą nielicznych kosmetyków, które miała ze sobą.

Pomyślała: umiem odczytać drobny druk w ciemnościach, widzę żar bijący ze skulonego szczura, a i tak nie mogę nałożyć tuszu, nie kłując się przy tym w oko.

Cofnęła się od lustra i próbowała stłumić w sobie samokrytycyzm. Chciała spojrzeć na siebie obiektywnie.

Wyglądam jak nocny telewizyjny apel o wsparcie ubraniowo niepełnosprawnych, pomyślała. Nic z tego nie będzie.

Odchodząc, rzuciła jeszcze ostatnie spojrzenie w lustro i poprawiła włosy. Potem wyjrzała za drzwi, zerknęła w lustro, przystanęła, by spojrzeć ostatni raz...

- Nie! - powiedziała.

Wybiegła przez drzwi i pognąła po schodach w dół, a potem na przystanek autobusowy na rogu, gdzie przestępowała z nogi na nogę, jakby czekała w kolejce do łazienki na zawodach w picciu piwa.

Przez cały dzień Tommy starał się unikać pięciu Wongów. Obserwował pokój, aż zyskał pewność, że wszyscy poszli, a następnie wkradł się do środka i złapał jakieś czyste ciuchy, wziął prysznic, ubrał się i wymknął. Pojechał autobusem na Levis Plaza, gdzie zdrzemnął się na ławce w parku wśród żerujących gołębi i mew. Późne popołudnie przyniosło zimny wiatr znad zatoki, który obudził go chłodem.

Poszedł przez Sansome w stronę North Beach, próbując rozmasować ślad, który na jego potylicy zostawiły deski ławki. Gdy mijał grupę nastolatków, pozujących i żebrzących przy krawężniku, zaczepił go jakiś krępy chłopak.

- Przepraszam, sir, dorzuci pan ćwierć dolara na kredkę do oczu? Tommy pogrzebał w kieszeni dzinsów i oddał dzieciakowi wszystkie drobne. Dotąd nikt nigdy nie zwrócił się do niego per sir.

- O, dziękuję, sir! - zapiał dzieciak wysokim, damskim głosem. Pokazał pozostałym dłoni z drobnymi z taką dumą, jakby właśnie dostał lekarstwo na raka.

Tommy uśmiechnął się i ruszył dalej. Szacował, że od przyjazdu do San Francisco wydaje na żebraków jakieś dziesięć dolarów dziennie. Tak naprawdę nie mógł sobie na to pozwolić. Inni po prostu odwracali wzrok i szli dalej, ale on najwyraźniej tak nie potrafił. Może wykształcenie tej umiejętności wymagało czasu? Może bezustanny atak rozpaczki niwelował współczucie? Gdy słyszał prośbę o pieniądze na jedzenie, zawsze burczało mu w brzuchu, a ćwierć dolara nie było wysoką ceną za jego ucieszenie. Natomiast tekst o kredce do oczu trafił w pisarską część jego umysłu, tę, która wierzyła, że każda twórcza myśl jest coś warta.

Wczoraj słyszał, jak turysta mówi bezdomnemu, by znalazł sobie pracę.

- Pchanie wózka z supermarketu przez te wzgórza to jest pieprzona praca - odparł bezdomny.

Tommy dał mu dolara.

Było jeszcze widno, kiedy dotarł do Enrico's na Broadwayu. Zatrzymał się na chwilę i popatrzył na nielicznych klientów, siedzących na patio przy ulicy. Jody nie było wśród nich. Podeszedł do kontuaru i zarezerwował stolik na zewnątrz za pół godziny.

- Czy jest tu gdzieś księgarnia? - spytał.

Właściciel, szczupły brodaczek po czterdziestce z doskonałą siwizną prezentera telewizyjnego, uniósł brwi, tym jednym grymasem sprawiając, że Tommy poczuł się jak ostatni męt.

- City Lights jest o jedną przecznicę stąd, na rogu Columbus - oznajmił.

- A, faktycznie - powiedział Tommy, klepiąc się dłonią w czoło, jakby właśnie sobie przypomniał. - Wróć tutaj.

- Już się nie możemy doczekać - odparł tamten. Odwrócił się na pięcie i poszedł w swoją stronę.

Tommy też się odwrócił i poszedł przez Broadway. W pewnej chwili zaczepił go naganiacz przed lokalem ze striptizem - facet w czerwonym fraku i cylindrze.

- Rurki, dziurki i wzgórki. Niech pan wejdzie, sir. Występ zaczyna się za parę minut.

- Nie, dziękuję.

- Niech ją pan przyprowadzi. Ten pokaz przemieni „być może” w „na pewno”, synu. Zanim wyjdziecie, panna będzie już siedziała w kałuży.

Tommy się skrzywił.

- Może - powiedział. Ruszył pospiesznie przed siebie, aż dwoje drzwi dalej znowu został zatrzymany. Tym razem naganiaczką okazała się dorodna kobieta w skórzanym stroju, z kółkiem w nosie.

- Najładniejsze dziewczyny w mieście, sir. Wszystkie gołe. Wszystkie napalone. Proszę wejść.

- Nie, dziękuję. Za parę minut jestem umówiony z kobietą na kolację.

- Niech ją pan...

- Może - rzucił i poszedł dalej.

Zanim dotarł do następnej przecznicy, zaczepiono go jeszcze trzy razy, a on za każdym grzecznie odmawiał. Zauważył, że jako jedyny się zatrzymuje. Inni przechodnie po prostu szli dalej, ignorując naganiaczy.

Tam, gdzie się wychowałem, pomyślał, nie wypada ignorować kogoś, kto do ciebie mówi, zwłaszcza jeśli zwraca się do ciebie „sir”. Chyba muszę się nauczyć miejskich zwyczajów.

Miała piętnaście minut do umówionego spotkania z Tommym w Enrico's. Odejmując jazdę autobusem i krótki kawałek, który musiała przejść piechotą, zostawało około siedmiu minut na znalezienie stroju. Weszła do Gapa na rogu Van Ness i Vallejo z wachlarzem studolarówek w garści i ogłosiła:

- Potrzebuję pomocy. I to już! Sprzedawcy, wszyscy młodzi, wszyscy ubrani w swobodne, bawełniane ciuchy, przerwali rozmowy, podnieśli wzrok, zobaczyli pieniądze w jej dłoni i jednocześnie wstrzymali oddech. Ich mózgi odcinały funkcje organizmu, kierując niezbędną energię na obliczanie prowizji z takiej gotówki. Jeden po drugim zaczęli znowu oddychać i szli w jej stronę z wyrazem otepiałego głodu w oczach - stado wyjątkowo zwawych zombie z młodzieńczej wersji Nocy żywych trupów.

- Noszę czwórkę i za piętnaście minut mam randkę - wyjaśniła Jody. - Ubierzcie mnie.

Opadli ją niczym fala czystego zła w kolorze khaki.

Tommy siedział przy stoliku na zewnątrz, a od chodnika oddzielała go tylko niska, kanciasta, ceglana donica. Aby ominąć naganiaczy z barów ze striptizem, osiem razy przeszedł przez ulicę na krótkim odcinku, dzielącym księgarnię City Lights od Enrico's i był trochę roztrzęsiony od lawirowania między samochodami. Zamówił cappuccino u kelnera, który przyskoczył do niego niczym kura do pisklęcia, a potem ze zdumieniem patrzył, jak kelner wraca z filiżanką wielkości dużej miski do zupy i talerzykiem brązowych, krystalicznych kostek.

- To cukier trzcinowy nierafinowany, skarbie. Znacznie lepszy niż ta biała trucizna.

Tommy wziął łyżkę do zupy i sięgnął po kostkę cukru.

- Nie, nie, nie - ofuknął go kelner. - Do cappuccino używamy łyżeczki demitasse. - Wskazał małą łyżeczkę, spoczywającą na spodku.

- Demitasse - powtórzył Tommy, czując się brawurowo. W Indianie użycie słowa „demitasse” oznaczało tyle, co wyskoczenie z szafy w atmosferze skandalu. San Francisco było wspaniałe! Co za miejsce dla pisarza! A geje wydawali się bardzo mili kiedy już człowiek pogodził się z ich obsesją na punkcie muzyki Barbary Streisand. Tommy uśmiechnął się do kelnera. - Dzięki, chyba mogę potrzebować pomocy ze sztucami.

- Jest taka niezwykła? - spytał kelner.

- Myślę, że złamie mi serce.

- Jak cudnie! - zapiał kelner. - W takim razie musisz wypaść znakomicie. Pamiętaj, używaj sztuców, które leżą na zewnątrz. Duża łyżka służy do nawijania makaronu. To wasza pierwsza randka? Tommy skinął głową.

- W takim razie zamów ravioli. To kawałki na jeden kęs, nie trzeba się cackać. Zrobisz dobre wrażenie, jedząc ravioli. A dla niej zamów kurczaka z rozmarynem, papryką i grzybami leśnymi w sosie śmietanowym. Piękne danie. Smakuje okropnie, ale na pierwszej randce i tak nie zje. Nie masz czasu, żeby lecieć do domu i się przebrać, co? Kelner spojrzał na jego flanelową koszulę tak, jakby to była ohydna padlina.

- Nie. Nie mam więcej czystych rzeczy.

- No cóż, w sumie ma swój farmerski urok.

Tommy dostrzegł kątem oka błysk rudych włosów i podniósł wzrok, by ujrzeć wchodzącą do lokalu Jody. Kelner podążył za jego spojrzeniem.

- To ona?

- Tak odparł Tommy i pomachał, by przyciągnąć jej uwagę.

Zobaczyła go, uśmiechnęła się i podeszła do stolika.

Miała na sobie spódnicę khaki, błękitną batystową bluzkę, błękitne legginsy i pantofle z beżowego zamszu. Do tego pasek z plecionej skóry, zielony szal w szkocką kratę na ramionach, srebrne kolczyki, bransoletkę i zamszowy plecak zamiast torby lotniczej.

Nie odrywając spojrzenia od Jody, kelner pochylił się i szepnął Tommy'emu do ucha:

- Flanek będzie w porządku, skarbie. Od czasów Batmana nie widziałem nikogo, kto by tak przesadził z dodatkami. - Wyprostował się i odsunął krzesło dla Jody. - Cześć, czekaliśmy na ciebie.

Jody usiadła.

- Mam na imię Frederick - oznajmił kelner z lekkim ukłonem. - Będę was dziś obsługiwał. - Uszczypnął skraj jej szala. - Śliczna krata, skarbie. Podkreśla kolor twoich oczu. Przyniosę karty.

- Cześć - powiedziała Jody do Tommy'ego. - Długo czekasz?

- Trochę, nie miałem pewności co do godziny. Coś ci przyniosłem. - Sięgnął pod stół i wyciągnął książkę z reklamówki City Lights. - To kalendarz. Mówiłaś, że ci się przyda.

- Bardzo miło z twojej strony.

Tommy spuścił wzrok i zrobił minę, oznaczającą: „Oj tam, drobiazg”.

- Mieszkasz w okolicy? - spytała Jody.

- Właściwie to szukam mieszkania.

- Naprawdę? A od dawna jesteś w mieście?

- Niecały tydzień. Przyjechałem, żeby pisać. Ten sklep to tylko... tylko...

- Praca - dokończyła za niego.

- Właśnie, tylko praca. A ty co robisz?

- Zajmowałam się reklamacjami w firmie Transamerica. A teraz rozglądam się za czymś innym.

Frederick pojawił się przy stoliku i otworzył przed nimi dwie karty.

- Jeśli wolno mi coś powiedzieć - odezwał się - wyglądacie razem wprost uroczo. Krąży między wami energia, która normalnie elektryzuje, jak w Raggedy Ann and Andy.

Oddalił się.

Jody zerknęła na Toma znad menu.

- Czy właśnie nas obrażono?

- Podobno kurczak z rozmarynem jest wyśmienity - odparł Tommy.

KOLACJA Z WAMPIREM

Coś nie tak z twoim daniem?

- Nie, po prostu nie jestem zbyt głodna.

- Złamiesz mi serce, prawda?

ON WIE, CZY BYŁEŚ GRZECZNY, WIĘC LEPIEJ...

Przez te kilka dni w San Francisco - z powodu nieznajomości otoczenia, tajemnicy z kwiatami i poszukiwania pracy - Tommy zupełnie zapomniał, że jest napalony. Kiedy Jody usiadła naprzeciwko i uderzyło w niego tsunami hormonów, poczuł wstrząs, uświadomiwszy sobie, że zapomniał.

Podczas kolacji nie słyszał większości jej okrągłych zdań i przyjmował wszystkie gładkie kłamstwa, które opowiadała o swoich zwyczajach żywieniowych, jego umysł był bowiem zajęty jedną jedyną, obsesyjną myślą: musi zsunąć ten szal, bo nie widzę jej piersi.

Kiedy Tommy skończył jeść, Frederick podszedł do stolika.

- Coś nie tak z tym daniem? - zwrócił się do Jody.

- Nie, po prostu nie jestem zbyt głodna.

Kelner mrugnął do Tommy'ego i zabrał talerze. Jody oparła się na krzesło i odwiązała szal, po czym przerzuciła go przez oparcie.

- Jaka piękna noc — powiedziała.

Tommy oderwał spojrzenie od jej bluzki i udał, że patrzy na ulicę.

- Mhm - przyznał.

- Wiesz, jeszcze nigdy nie poprosiłam mężczyzny o spotkanie.

- Ja też nie - odparł.

Postanowił, że rzuci jej się do stóp i będzie błagał. „Proszę, proszę, proszę, zabierz mnie do domu i uprawiaj ze mną seks. Nie masz pojęcia, jak bardzo go potrzebuję. Robiłem to tylko dwa razy w życiu i w obu przypadkach byłem tak pijany, że następnego dnia trzeba było mi wszystko opowiadać. Proszę, na miłość boską, zakończ to cierpienie, bzyknij się zaraz ze mną albo mnie zabij!”.

- Masz ochotę na cappuccino? - spytał. Pokręciła głową.

- Tommy, czy mogę ci ufać? Mogę być z tobą szczerą?

- Jasne.

- Słuchaj, nie chcę być zbyt bezpośrednia, ale chyba nie mam wyjścia...

- Wiedziałem. - Opadł w przód, aż jego głowa uderzyła o stół i rozległ się brzęk sztućców. Mówił prosto w obrus. - Właśnie zerwałaś z facetem i ta randka wydawała się dobrym pomysłem, ale teraz myślisz, że nadal go kochasz. A ja jestem bardzo miły i możemy zostać przyjaciółmi. Zgadza się?

- Nie. Nie to chciałam powiedzieć.

- A, w takim razie właśnie wyszłaś z nieudanego związku i nie jesteś gotowa na następny. Musisz przez jakiś czas być sama, żeby się przekonać, czego naprawdę chcesz. Tak?

- Nie...

- Dobra - powiedział w obrus. - Ale to wszystko dzieje się trochę zbyt szybko i może na razie powinniśmy spotykać się z innymi osobami. Wiedziałem. Wiedziałem, że złamiesz mi...

Jody walnęła go łyżką do zupy w potylicę.

- Au! - Usiadł, masując rosnącego guza. - Ej, to bolało.

- Dobrze się czujesz? - spytała, trzymając łyżkę w gotowości.

- Naprawdę bolało.

- Dobrze. - Odłożyła łyżkę. - Zamierzałam powiedzieć, że nie chcę być zbyt bezpośrednia, ale oboje potrzebujemy mieszkania, a ja potrzebuję pomocy w paru sprawach. Podobasz mi się i zastanawiałam się, czy nie zechciałbyś zamieszkać ze mną.

Tommy przestał pocierać potylicę.

- Teraz?
- Jeśli nie masz innych planów.
- Ale my nawet nie, no wiesz...
- Możemy zostać po prostu współlokatorami, jeśli wolisz. Jeśli musisz to przemyśleć, zrozumieć, ale naprawdę potrzebuję twojej pomocy.

Tommy był oszołomiony. Jeszcze żadna kobieta mu czegoś takiego nie powiedziała. Przez te parę minut zaufała mu na tyle, by narazić się na całkowite odrzucenie. Kobiety tak nie postępują, prawda? Może to wariatka? To by mu nie przeszkadzało. Mogła być Zeldą dla jego F. Scotta. Czuł jednak, że jest jej winny jakieś wyznanie, które uczyni go równie bezbronnym.

- Dziś oświadczyło mi się pięciu Chińczyków - powiedział.

Jody nie wiedziała, jak zareagować, odrzekła więc:

- Gratuluję.
- Nie przyjąłem oświadczyn.
- Musisz się zastanowić?
- Nie. Bo mieszkając z tobą, byłbym bigamistą.
- Jesteś miły, ale ściśle rzecz biorąc, byłbyś poligamistą. Tommy uśmiechnął się.
- Podobasz mi się, naprawdę.
- Więc zamieszkajmy razem. Przy stoliku pojawił się Frederick.
- Widzę, że między wami wszystko idzie gładko.
- Poproszę rachunek - powiedziała Jody.
- Już się robi. - Nieco naburmuszony wrócił do środka.
- Złamiesz mi serce, prawda? - spytał Tommy.
- Nieodwracalnie. Masz ochotę na spacer?
- Czemu nie? Frederick wrócił z rachunkiem. Jody wyjęła z plecaka zwitek banknotów i podała mu stówę. Gdy Tommy zaczął protestować i wyciągać pieniądze z kieszeni dzinsów, złapała łyżkę i uniosła ją groźnie.
- Ja płacę.

Tommy usiadł z powrotem.

- Reszta dla ciebie - powiedziała do Fredericka Jody.

- O, co za hojność - zagruchał kelner. Zaczął się cofać od stolika, zgięty w ukłonie.

- A, Fredericku - dodała Jody - Batman przesadza z dodatkami o wiele bardziej, niż ja.

- Przykro mi, że słyszałaś - odparł. - Przerośnięty zmysł estetyczny kiedyś mnie zgubi. - Spojrzał na Tommy'ego. - Masz rację. Ona złamie ci serce.

- Widziałeś Coit Tower? - spytała, gdy wyszli z restauracji.

- Z oddali.

- Chodźmy tam. Nocą jest cała oświetlona.

Przez jakiś czas szli bez słowa. Jody szła po wewnętrznej i splawiła naganiaczy ruchem głowy oraz stanowczym gestem dłoni. Jednemu powiedziała:

- Dzięki, ale urządzimy sobie własne show.

Tommy zakaszłał i potknął się o występ w chodniku. Popatrzył na nią tak, jakby właśnie ogłosiła ponowne przyjście Zbawiciela.

- O północy muszę iść do pracy - oznajmił.

- W takim razie pilnuj czasu.

- Właśnie. Będę.

Nie do wiary, że jestem taka natarczywa, pomyślała Jody. Słyszę, że wypowiadam te słowa, ale mam wrażenie, że wychodzą z ust kogoś innego. A on po prostu się zgadza. Już dawno zostałabym dziwką, gdybym wiedziała, że to daje takie wspaniałe poczucie kontroli.

Minęli dwie wysokie kobiety o ogromnych biustach i niewiarygodnie wąskich taliach, które z bagażnika pordzewiałej toyoty wyładowywały peruki, paczki z cekinami i boa dusiciela. Nowa zmiana w barze ze striptizem, pomyślała Jody.

Tommy był zafascynowany. Jody zobaczyła, że twarz oblewa mu fala gorąca, tak jak wtedy, gdy przyłapała go na obserwacji jej piersi.

Jest taki otwarty, jak małe dziecko, pomyślała. Uroczy, mały, neurotyczny dzieciak. Miałam szczęście, że go spotkałam. Miałam szczęście, biorąc pod uwagę wszystko, co się zdarzyło.

- To co sądzisz o mojej propozycji? - zapytała, kiedy skręcili w Kearny.

- Brzmi w porządku, o ile jesteś pewna. Ale pierwszą wypłatę dostanę dopiero za parę tygodni.

- Pieniądze nie stanowią problemu. Zapłacę.

- Nie, nie mógłbym...

- Słuchaj, Tommy, właśnie to miałam na myśli, kiedy powiedziałam, że potrzebuję twojej pomocy.

Całymi dniami jestem zajęta. Będziesz musiał znaleźć mieszkanie i je wynająć. A jest jeszcze mnóstwo innych spraw, które trzeba załatwić. Po pierwsze, mój samochód stoi na parkingu policyjnym i ktoś musi odebrać go za dnia. Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, mogę ci zapłacić. Wtedy będziesz miał pieniądze.

- To dlatego wczoraj na parkingu spytałaś mnie, czy dni mam wolne?

- Tak.

- Więc to mógł być ktokolwiek, kto ma odpowiednie godziny pracy?

- Twój kumpel ma odpowiednie, a jego nie poprosiłam. Nie. Spodobałeś mi się.

- Nie potrafię tego zrozumieć.

Szedł obok niej, patrząc przed siebie i nic nie mówiąc. Mijali teraz dzielnicę bloków mieszkalnych z kratami w oknach i elektrycznymi zamkami w drzwiach. Przed nimi Jody zobaczyła charakterystyczne fale gorąca, dobywające się z ciemnego wejścia. Były zbyt ciepłe, jak na jedną osobę, i zbyt zimne, jak na żarówkę. Skupiła uwagę i usłyszała szepczących mężczyzn. Nagle przypomniała sobie telefon. „Nie jesteś nieśmiertelna. Wciąż możesz zostać zabita”.

- Przejdźmy na drugą stronę ulicy, Tommy.

- Po co?

- Chodź i już. - Złapała go za kurtkę i wyciągnęła na ulicę. Gdy znaleźli się na chodniku po przeciwnej stronie, Tommy przystanął i popatrzył na nią tak, jakby właśnie walnęła go łyżką w głowę.

- Co to miało znaczyć? Uciszyła go machnięciem ręką.

- Słucham.

Ktoś za nimi się śmiał. Wystarczająco głośno, by ten śmiech było słychać nawet bez czułego słuchu Jody. Oboje się odwrócili. Szczupły mężczyzna w czerni stał pod latarnią ulicę dalej.

- Co go tak śmieszy? - spytał Tommy.

Jody nie odpowiedziała. Skupiła się na tym, czego tam nie było. A nie było nimbu gorąca wokół

mężczyzny w czerni.

- Chodźmy - rzuciła, popędzając Tommy'ego.

Gdy mijali wejście po drugiej stronie ulicy, odwróciła się i pokazała środkowy palec trzem twardzielom, którzy się na nich zaczaili.

Jesteście nikim, pomyślała. Śmiech mężczyzny w czerni wciąż dźwięczał jej w uszach.

Minęło sporo czasu, odkąd wampir słyszał własny śmiech, i teraz, słysząc go, śmiał się jeszcze głośniej. A zatem szczenię znalazło sobie sługę. To był dobry pomysł, żeby zostawić jej rękę częściowo odsłoniętą. Szybko przyswoiła tę lekcję. Tak wiele z nich po prostu łąziło do rana i słońce paliło ich na śmierć. Nie mógł nawet obserwować przedstawienia, jeśli nie chciał podzielić ich losu. Ta tutaj była bardzo interesująca. Bardzo oporna, nie chciała ulec zewowi krwi.

Wydawało się, że kierują nimi tylko dwa instynkty: głód i poszukiwanie kryjówki. A ona zapanowała nad głodem podczas pierwszego żerowania. Była niemal za dobra. Często, jeśli w ogóle przetrwali pierwszą noc, ogarniało ich szaleństwo, gdy próbowali nauczyć się żyć z nowymi zmysłami. Jedna noc i już musiał wysyłać ich do piekła ze skrzyconym karkiem i kilkoma słowami pożegnania. Ale z tą było inaczej.

Rozśmieszyła go. Bała się kilku śmiertelników, których mogłaby zgnieść jak robaki.

Może chroniła nowego sługę? Może powinien zabić tego chłopaka, tylko po to, by zobaczyć jej reakcję? Może. Ale jeszcze nie teraz. Żeby nie przerywać zabawy.

Wspaniale było się roześmiać po tak długim czasie.

SPACEROWANIE, GADANIE I SKAKANIE NOCĄ

Coit Tower sterczała z Telegraph Hill niczym ogromny fallus. Wyglądała imponująco, cała oświetlona, górująca nad miastem. Jej widok przyprawiał Tommy'ego o nerwowość, poczucie niższości i przemożną chęć popisywania się. Właściwie przyznała, że weźmie go do łóżka, zaproponowała nawet, że rozwiąże problem z Wongami. Była spełnieniem marzeń. Bał się jak diabli. Wzięła go za rękę i popatrzyła na miasto.

- Ładny widok, prawda? Mamy szczęście, że noc jest pogodna.

- Masz lodowatą dłoń - stwierdził.

Objął ją i przyciągnął do siebie. Boże, jaki jestem ugrzeczniony. Ostatni kołek. Podjeżdżam do starszej kobiety.

Do starszej kobiety z forszą. I co teraz? Moja ręka leży na jej ramieniu jak zdechła ryba. Dziwak ze

mnie. Gdybym tak mógł wyłączyć umysł, aż będzie po wszystkim. Uchlać się i to zrobić. Nie, tylko nie to. Tylko nie znowu to samo.

Jody zeszywniała. Nie jest mi zimno, pomyślała. Nie było mi zimno od przeobrażenia. Zresztą ciepło też nie. Kurt mawiał, że zawsze jest mi zimno. Dziwne. Widzę gorąco wokół Tommy'ego, ale nie wokół siebie.

- Dotknij mojego czoła - poprosiła.

- Jody, nie musimy tego robić, jeśli nie jesteś gotowa - powiedział. - To znaczy, może, tak jak mówiłaś, powinniśmy zostać po prostu współlokatorami. Nie chcę poddawać cię presji.

- Dotknij mojego czoła, żeby sprawdzić, czy mam gorączkę.

- Aha. - Przyłożył dłoń do jej czoła. - Jesteś zimna jak lód. Dobrze się czujesz? O Boże! Jak mogłam być tak głupia? Oderwała się od niego i zaczęła chodzić w kółko. Facet przed jej mieszkaniem, śmiejący się mężczyzna przy Kearny Street, był zimny. Ona też. Ile było jeszcze wampirów, których nie widziała?

- Co się stało? - spytał Tommy. - Powiedziałem coś nie tak? Muszę mu powiedzieć, stwierdziła. Nie zaufa mi, jeśli będę to przed nim ukrywała. Znowu wzięła go za rękę.

- Chyba powinieneś wiedzieć. Nie jestem tym, na kogo wyglądam.

Cofnął się o krok.

- Jesteś facetem, tak? Wiedziałem. Tata ostrzegał, że tutaj się to zdarza.

Może jednak nie, pomyślała.

- Nie. Nie jestem facetem.

- Jesteś pewna? - A ty?

- Nie musisz być złośliwa.

- Jakbyś się poczuł, gdybym spytała, czy jesteś dziewczyną? Zwiesił głowę.

- Masz rację. Przepraszam. Ale jak ty byś się poczuła, gdyby pięć Chinek poprosiło cię o rękę? W Indianie takie rzeczy się nie zdarzają. Nie mogę nawet wrócić do swojego pokoju.

- Ja też nie — odparła.

- Dlaczego?

- Daj mi przez chwilę pomyśleć, dobra? Nie chciała znowu wracać do motelu przy Van Ness. Wampir wiedział, że tam była. Ale pewnie mógł ją znaleźć nawet po przeprowadzce.

- Tommy, musimy wynająć ci pokój w hotelu. -Jody, dostaję od ciebie sprzeczne sygnały.

- Nie zrozum mnie źle. Nie chcę cię odsyłać do tego pokoiku z Wongami. Myślę, że trzeba wynająć ci pokój.

- Mówiłem, że pierwszą wypłatę...

- Ja stawiam. To będzie zaliczka na poczet twojej nowej pracy w roli mojego asystenta.

Tommy usiadł na chodniku i podniósł wzrok na rozświetlony słup Coit Tower. Zupełnie nie wiem, kim mam być ani co mam robić, pomyślał. Najpierw chce mnie dla mojego ciała, potem jako pracownika, a potem nie chce mnie w ogóle. Nie mam pojęcia, czy powinienem ją pocałować, czy napisać podanie.

Czuję się jak jeden z tych nerwowych piesków podczas testów z użyciem elektrowstrząsów. „Masz kość, Spot”. Zbyt! „Tak naprawdę tego nie chciałeś, co?”.

- Zrobię, co zechcesz - powiedział.

- Dobra - odrzekła. - Dzięki. - Pochyliła się i pocałowała go w czoło.

Zupełnie nie wiem, co mam robić, pomyślała. Jeśli pójdziemy do motelu i do łóżka, to potem on będzie musiał iść do pracy, a kiedy wróci rano, wejdzie do pokoju, otworzy drzwi i oberwe promieniami słońca. Stając w płomieniach na pierwszej randce, na nikim nie zrobi się wrażenia. Oddzielne pokoje to jedyny sposób. Będzie miał dosyć i zostawi mnie, tak jak wszyscy pozostali.

- Tommy, możesz jutro iść po swoje rzeczy?

- Jak sobie życzysz.

- Nie mogę teraz ci tego wytłumaczyć, ale mogę mieć pewne kłopoty, a mam mnóstwo do zrobienia.

Jutro poproszę cię o parę rzeczy. Dasz radę po całonocnej pracy?

- Jak sobie życzysz - odparł.

- Wynajmę ci pokój w moim motelu. Nie będzie mnie do jutrzejszego wieczora. Spotkamy się w recepcji po zachodzie słońca. Kiedy rano wrócisz do pokoju, dokumenty do odbioru wozu będą leżały na łóżku, dobra?

- Jak sobie życzysz. - Wydawał się oszołomiony. Patrzył na swoje kolana.

- Dam ci pieniądze na mieszkanie. Spróbuj znaleźć umeblowane. I bez okien w sypialni. Poszukaj czegoś poniżej dwóch tysięcy miesięcznie.

Nie podniósł wzroku.

- Jak sobie życzysz.

Przejęłam kontrolę nad jego umysłem, pomyślała. Zupełnie jak w filmach, w których wampir potrafi sterować poczynaniami człowieka. Nie chcę tego. Nie chcę do niczego zmuszać go siłą woli. To nie w porządku. I tak był bezradny, a teraz jeszcze zrobiłam z niego zombie. Chcę pomocy, ale nie chcę czegoś takiego. Ciekawe, czy zostało mu dość rozumu, by samodzielnie funkcjonować, czy też go unicestwiłam.

- Tommy - powiedziała surowym tonem - chcę, żebyś wszedł na szczyt wieży i skoczył.

Podniósł wzrok.

- Odbiło ci? Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go.

- Och, tak się cieszę, że nie zmieniałam cię w warzywo.

- Dam ci czas - zapewnił.

Jody stała przed czteropiętrowym budynkiem przy Chestnut, czekając i nasłuchując. W mieszkaniu Kurta nie paliło się żadne światło. Bo to już było mieszkanie Kurta - nie jej, nie ich. W chwili, gdy umówiła się z Tommym, właśnie na niego przeniosła swoje marzenia i rozczarowania związane z życiem we dwoje. U niej zawsze tak to przebiegało. Nie lubiła być sama.

Szli z Tommym przez Telegraph Park, rozmawiając o ich przeszłości i starannie unikając tematu przyszłości, dopóki Tommy nie musiał iść do pracy. Jody wezwała z budki telefonicznej taksówkę i podrzuciła go do sklepu, żegnając na koniec pocałunkiem i obietnicą.

- Spotkamy się jutro wieczorem.

Dopiero kiedy wysiadła z taksówki pod motelem, uświadomiła sobie, że dowód rejestracyjny i karta pojazdu nadal są u Kurta.

Dlaczego nie wzięłam cholernych kluczy, kiedy wychodziłam? Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do drzwi, ale myśl o spojrzeniu Kurtowi w oczy po tym, co mu zrobiła... Nie, sama musi tam wejść. Przedostanie się przez podwójne drzwi przeciwpożarowe i rygle antywłamaniowe nie wchodziło w grę.

Budynek wzniesiono w stylu pseudowiktoriańskim, a jego fasadę zdobiły prefabrykowane, przykręcane ornamenty. Jody próbowała sobie wyobrazić, jak wspina się po ścianie, i zadrżała. Z ulgą stwierdziła, że okiennice w wykuszu na czwartym piętrze są zamknięte. Tędy nie da się wejść.

Budynek Kurta oddzielał od sąsiedniego zaułek o szerokości półtora metra. Okno sypialni znajdowało się właśnie od tej strony. Tu nie było ornamentów, po których można by się wdrapać.

Weszła do zaułka i spojrzała w górę. Okno sypialni było otwarte, a ściana gładka niczym polerowana kamienna płyta. Popatrzyła na przestrzeń dzielącą oba budynki. Zapierając się rękami o jedną ścianę, a nogami o drugą, mogła wspiąć się na górę na podobieństwo pająka. Widziała ludzi pokonujących w

ten sposób skalne kominy w Parku Narodowym Yosemite. Byli to doświadczeni wspinacze, wyposażeni w odpowiedni sprzęt. A nie sekretarki, omijające z daleka ruchome schody z obawy przed połamaniem obcasów.

Skoncentrowała się na otwartym oknie i nasłuchiwała. Głębokie oddechy śpiącej osoby. Nie, dwóch śpiących osób.

- Ty draniu.

Wyskoczyła w górę i zatrzymała się między dwoma budynkami, dwa metry nad ziemią, z nogami na jednej ścianie i rękami na drugiej. Zdumiała się, że potrafi zrobić coś takiego, ale okazało się, że to nie jest takie trudne. Właściwie wcale nie jest trudne. Sprawdziła, na ile naprężone kończyny podtrzymują jej ciężar, i podparcie wydawało się solidne. Przytrzymując się jedną ręką, drugą podciągnęła spódnicę nad biodra, a potem zrobiła ostrożny krok w górę.

Ręka, noga, ręka, noga. Kiedy przystanęła, żeby spojrzeć w dół, znajdowała się dokładnie pod oknem Kurta, dwanaście metrów nad ziemią, na której tylko kosz na śmieci i bezpieczny kot mogły złagodzić jej upadek. Przez chwilę próbowała zaczerpnąć powietrza, ale uświadomiła sobie, że wcale nie brakuje jej tchu. Miała wrażenie, że mogłaby tak wisieć całymi godzinami, gdyby chciała. Strach przed upadkiem gnał ją jednak naprzód. „Nie jesteś nieśmiertelna. Wciąż możesz zostać zabita”.

Lewą ręką poluzowała moskitierę, chwyciła się parapetu, a następnie rozluźniła nogi i przeniosła ciężar ciała na budynek Kurta. Wisząc na jednej ręce, drugą zdjęła moskitierę i opuściła ją na podłogę wewnątrz, a następnie podciągnęła się na parapet, przykucnęła na nim i rozejrzała się po pomieszczeniu.

W łóżku było dwoje ludzi. Widziała fale gorąca, unoszące się przez pościel i rozpraszające się w chłodnym podmuchu z okna. Nic dziwnego, że narzekałam na zimno. Weszła do środka i przystanęła, sprawdzając, czy śpiący się nie poruszają. Nie.

Podeszła z boku do łóżka i z niemal naukowym dystansem popatrzyła na kobietę. Była to Susan Badistone. Jody poznała ją podczas pikniku firmowego Kurta i natychmiast zapalała do niej niechęcią. Jej proste jasne włosy były rozrzucone na poduszce. Jody nawinęła sobie na palec pukiel własnych, rudych włosów. Więc tego chciał. Ten nos był ewidentnie robiony. Ale przecież liczą się tylko pozory, prawda, Kurt? Jody złapała kołdrę i uniosła ją na tyle, by zajrzeć pod spód. Ona ma ciało dwunastoletniego chłopca.

Oj, Kurt, trzeba było pozwolić jej na przejście całego cyklu operacji, zanim sprowadziłeś ją do domu.

Pozwoliła, by kołdra opadła, i Susan się poruszyła. Jody powoli cofnęła się od łóżka. Trzymała wszystkie swoje papiery w teczce pod umywalką w łazience. Weszła tam i otworzyła szafkę. Teczka nadal tam była. Wzięła ją i ruszyła do okna.

- Kto tu jest? - odezwał się Kurt. Usiadł na łóżku i wbił spojrzenie w ciemność.

Jody u kucnęła, kryjąc się poniżej plamy światła z okna, i go obserwowała.

- Kto tu jest, pytam.

- Co się stało? - rozległ się zaspany głos Susan.

- Coś słyszałem.

- To nic, skarbie. Zrobiłeś się nerwowy po tym, co ci zrobiła ta okropna kobieta.

Mogłabym jej skrócić ten kościsty kark, pomyślała Jody. I ta myśl, świadomość, że naprawdę mogłaby to zrobić, sprawiła, że gniew ustąpił. Nie jestem „okropną kobietą”, pomyślała. Jestem wampirem i żadne operacje plastyczne, żadne wykształcenie ani żadne pieniądze nie sprawią, że mi dorównasz. Jestem boginią.

Pierwszy raz od przeobrażenia poczuła się spokojnie i komfortowo we własnej skórze. Czekwała w ciemnościach, aż znowu zasną, po czym wyszła przez okno i umieściła moskitierę na miejscu. Stała na parapecie i wrzuciła teczkę na dach, po czym podskoczyła, złapała się rynny i podciągnęła.

Na tyłach budynku znalazła stalową drabinę, która prowadziła na sam dół. Wspinaczka między budynkami okazała się zupełnie niepotrzebna.

Dobra, może nie była szczególnie mądrą boginią. Ale przynajmniej boginią, która miała swój prawdziwy nos.

NAMYDLIĆ, SPŁUKAĆ, WYRAZIĆ SKRUCHE

Gdy Tommy wszedł do sklepu, usłyszał, że Zwierzaki nucą chórem marsz weselny. Był nieco roztrzęsiony po jeździe taksówką z Telegraph Hill. Najwyraźniej taksówkarz - który miał nerwowy tik i zwyczaj krzyczenia „skurwiele!” z nieregularną częstotliwością i bez wyraźnego powodu - uważał, że jeśli przy pokonywaniu wzgórza wszystkie cztery koła nie oderwą się od ziemi, a samochód przy lądowaniu nie wzniesi snopa iskier, tego wzgórza można równie dobrze wcale nie pokonywać. Wtedy lepiej je ominąć, biorąc ostry zakręt na dwóch kołach i przyciskając pasażerów do drzwi. Tommy złał się potem i poczuł lekkie mdłości.

- Idzie panna młoda — powiedział Troy Lee.

- Nieustraszony Przywódco - zagadnął Simon - wyglądasz, jakbyś właśnie zużył trzy ręczniki.

Simon mierzył powodzenie każdej sytuacji społecznej liczbą ręczników, potrzebnych później do sprzątnia. „Był taki czas w moim życiu” - mawiał - „kiedy miałem tylko jeden ręcznik i nigdy nie mogłem się zabawić”.

- Nie jesteś już na mnie wkurzony? - spytał Tommy.

- Kurde, nie - odparł Simon. - Sam zużyłem dziś wieczorem trzy ręczniki. Wziąłem dwie dziewczyny z chóru od Panny Nieustającego Grzechu do ciężarówki i nauczyłem ich szlachetnej sztuki siorbania kijanek.

- To obrzydliwe.

- Wcale nie. Później ich nie całowałem. Tommy pokręcił głową.

- Ciężarówka przyjechała?

- Tylko tysiąc czterysta skrzyń - oznajmił Drew. - Będziesz miał mnóstwo czasu na planowanie ślubu.
- Podał mu plik czasopism o modzie ślubnej.

- Nie, dziękuję - powiedział Tommy.

Drew schował czasopisma za siebie i wyciągnął drugą rękę, w której trzymał pojemnik z bitą śmietaną.

- Chcesz się wyluzować?

- Nie, dzięki. Możecie rozładować ciężarówkę? Chciałbym coś zrobić.

- Jasne - odparł Simon. - Chodźmy, zróbmy to. Ekipa ruszyła do magazynu. Clint został z tyłu.

- Ej, Tommy - odezwał się ze spuszczoną głową, jakby zawstydzony.

- Tak?

- Przywieźli dziś paletę koszerne go żarcia. Wiesz, przygotowania do Chanuki i w ogóle. Powinno być pobłogosławione przez rabina.

- Tak. No i co?

- Zastanawiałem się, czy mógłbym powiedzieć nad nim parę słów. Znaczący, oni nie wybielili szat we krwi Baranka ani nic, ale Chrystus był Żydem. Więc...

- Dawaj, Clint.

- Dzięki — powiedział Clint. Natchniony Duchem, pognął do magazynu.

Tommy podszedł do nowych regałów przy kasach i zebrał naręczę kobiecych czasopism. Obejrzał się przez ramię, by się upewnić, że żaden ze Zwierzaków nie patrzy, po czym zamknął drzwi na klucz, usiadł przy biurku i zaczął studiować magazyny.

Miał pierwszy raz zamieszkać z kobietą, a nic nie wiedział o kobietach. Może Jody nie była wariatką.

Może one wszystkie takie były, a on po prostu nie miał o niczym pojęcia. Szybko przejrzał spis treści, by zyskać wgląd w kobiecy umysł.

Dostrzegał pewne prawidłowości. Cellulit, PMS i mężczyźni, którzy się nie angażują, byli wrogami.

Rozkosznie dietetyczne desery, małżeństwo i wielokrotny orgazm tworzyły listę sojuszników.

Tommy czuł się niczym szpieg, jakby właśnie przy świetle lampy sporządzał mikrofilmy dokumentów w jakimś bawarskim zamku i jakby w każdej chwili do pomieszczenia mogła wpaść kobieta w mundurze SS i powiedzieć, że ma swoje sposoby, by zmusić go do mówienia. W gruncie rzeczy to ostatnie nie byłoby takie najgorsze.

Wyglądało na to, że kobiety mają jakiś zbiorowy plan, który w znacznej części polega na nakłanianiu mężczyzn, by robili rzeczy, których one same robić nie chcą. Przebiegł wzrokiem artykuł pod tytułem: „Nieopalone miejsca - seksowny kontrast czy powód do wstydu? Opinia psychologa”, po czym przewrócił stronę i natrafił na tekst „Wykorzystaj męskie zamięłowanie do sportu. Jak Vince Lombardi pomoże ci zmusić go do opuszczania deski”. („Kiedy jeden zawodnik wpada do środka, cała drużyna ma mokre tyłki”). Czytał dalej: „Czwarta próba, dziesięć jardów. Joe Montana chce postawić wszystko na jedną kartę. Czy jego liniowi powiedzieliby, że nie pójdą do sklepu po tampony? Nie sądzę”. I jeszcze: „Oczywiście, Richard Petty też nie lubi wkładać kasku. Ale nawet on nie może jeździć bez zabezpieczenia”. Gdy Tommy doszedł do ostrzeżeń, by nigdy nie wykorzystywać Wilta Chamberlaina ani Martiny Navratilovej w charakterze przykładów, był już zupełnie odarty ze złudzeń. Jak postępować z istotą tak przebiegłą, jak kobieta? Przewrócił stronę i jeszcze bardziej upadł na duchu. „Test: czy umiesz mu powiedzieć, że jest do niczego?”.

Właśnie dlatego do osiemnastego roku życia byłem prawiczkiem, pomyślał.

1. To wasza trzecia randka i za chwilę nastąpi chwila intymności, ale kiedy on zdejmuje spodenki, zauważasz, że jest obdarzony przez naturę mniej hojnie, niż się spodziewałaś. Co robisz? A: Pokazujesz palcem i wybuchasz śmiechem.

B: Mówisz: „No, no! Nareszcie prawdziwy mężczyzna”. A potem się odwracasz i chichoczesz pod nosem.

C: Pytasz: „Czy to właśnie nazywają mikrobiologią?”.

D: Idziesz na całość. Może wstyd skłoni go do zaangażowania. W końcu co cię obchodzi, że twoi synowie będą mieli przydomek „Maluch”? 2. Postanawiasz to zrobić. Kiedy zaczynasz odczuwać podniecenie, on dochodzi, przewraca się na plecy i pyta: „Dobrze ci było?”. Co ty na to? A: Mówisz: „Boże, tak! To było najlepsze siedemnaście sekund mojego życia!”.

B: Mówisz: „Jasne, tak dobrze, jak mogłoby być z mężczyzną”.

C: Wkładasz sobie miętówkę do pępka i mówisz: „To dla ciebie, panie Króliku. Możesz ją zjeść, jak będziesz wracał na górę po skończonej robocie”.

D: Uśmiechasz się i wyrzucasz przez okno jego kluczyki do samochodu.

3. Po dłuższych poszukiwaniach po ciemku wydaje mu się, że wreszcie trafił. Kiedy mówisz mu, że wcale nie, on i tak prze naprzód. Jak reagujesz? A: Bierzesz lampkę z szafki nocnej i tłuczesz go, dopóki z ciebie nie zejdzie.

B: Bierzesz lampkę z szafki nocnej i zatłukujesz go na śmierć.

C: Bierzesz lampkę z szafki nocnej, zapalasz ją i mówisz: „Mógłbyś spojrzeć, co robisz?”.

D: Cierpliwie czekasz, aż skończy, cały czas żałując, że nie masz lampki na szafce nocnej.

Telefon w biurze zadzwonił. Tommy zamknął czasopismo.

- Sklep Safeway Marina.

- Tommy, to ty? - spytała Jody.

- Tak, tylko włączyłem swój telefoniczny głos.

- Słuchaj, jesteś zameldowany w pokoju numer dwadzieścia dwa w motelu Van Ness na rogu Chestnut i Van Ness. W recepcji czeka klucz. Dokumenty i kluczyki do mojego samochodu leżą na łóżku.

Zostawiłam ci też papiery, żebyś zaniósł je do Transameriki, i jeszcze trochę pieniędzy. Spotkamy się w recepcji niedługo po zachodzie słońca.

- W którym pokoju mieszkasz?

- Chyba nie powinnam mówić.

- Czemu? Przecież nie przyjdę, nie rzucę się na ciebie ani nic.

- Nie w tym rzecz. Po prostu chcę, żeby wszystko było jak należy.

Wziął głęboki wdech.

- Jody?

- Tak?

- Czy w twoim pokoju jest lampka na szafce nocnej?

- Jasne. Przyśrubowana. A bo co?

- Tak pytam - odparł.

Nagle na tyłach sklepu rozległo się „Satisfaction” Stonesów, z radioodtwarzacza nastawionego tak głośno, że zamiast muzyki popłynęły z niego zniekształcone trzaski. Tommy słyszał, że w tle

Zwierzaki skandują: „Zabić świnię!”.

- Muszę kończyć - powiedział. - Do zobaczenia jutro wieczorem.

- Dobra. Tommy, spędziłam dziś bardzo miły wieczór.

- Ja też - odrzekł. Odłożył słuchawkę i pomyślał: ona jest zła. Zła, zła, zła. Chcę ją zobaczyć nago.

Jeff, upadły skrzydłowy, wparował do środka.

- Ciężarówka rozładowana, chłopie. Akumulatory w motorówce naładowane! Urządzamy hawajską imprezę w dziale warzywnym.

Clark 250, profesjonalna, samobieźna maszyna do mycia podłóg, to cud techniki dla sprzątaczy. Ma rozmiar mniej więcej niewielkiego biurka i jest wyposażona w dwie obrotowe tarcze czyszczące z przodu, a także w wewnętrzny zbiornik, z którego płynie woda z płynem do mycia, oraz w ssawkę z gumową wycieraczką, która wciąga ją z powrotem. Napędzają ją dwa mocne silniki elektryczne, dzięki którym gumowe koła pojadą po każdej powierzchni, zarówno suchej, jak i mokrej. Operator, idący za clarkiem 250, może w niecałą godzinę umyć trzysta pięćdziesiąt metrów kwadratowych podłogi, która będzie potem tak lśniła, że przeglądając się w niej, widzi się duszę. Tak przynajmniej twierdzi broszura. Broszura nie wspomina natomiast, że przy schowanej wycieraczcze i wyłączonej ssawie, operator może sunąć za clarkiem 250 po rzece mydlin.

Wśród Zwierzaków maszynę nazywano motorówką do nart wodnych.

Kiedy Tommy wyszedł z za rogu alejki numer 14, zobaczył Simona, bez koszuli, za to w kowbojskim kapeluszu, piekącego parówki nad trzydziestoma puszkami turystycznego paliwa „Sterno”, ustawionymi na regale ze stali nierdzewnej, na którym zazwyczaj leżały chipsy ziemniaczane.

- Uwielbiam zapach napalmu o poranku - rzucił Simon, wymachując widelcem do grilla. - Pachnie zwycięstwem.

- Cowabunga! - wydarł się Drew. Sunął po dwóch smugach mydlin za motorówką, ciągnąc Lasha na sznurze do bielizny w stronę prowizorycznej rampy. Lash trafił w rampę, wyskoczył w powietrze z bojowym okrzykiem: - Fundusz pracowniczy! Tommy odsunął się w bok, a Lash wylądował na klatce piersiowej, wzbijając twarzą falę mydlin.

Drew wyłączył motorówkę.

- Osiem-dwa! - wykrzyknął Barry.

- Dziewięć-jeden - powiedział Clint.

- Dziewięć-sześć - rzucił Drew.

- Quatro-uno — odezwał się Gustavo.

- Sędzia z Meksyku daje cztery-jeden - powiedział Simon do mikrofonu z widelca. - To zmniejsza jego szanse na awans do finałów, Bob.

Lash wypluł mydliny i odkaslnął.

- Sędziowie z Meksyku zawsze są surowi - stwierdził. Miał brodę z piany, która nadawała mu wygląd chudej, mokrej wersji wujka Remusa.

Tommy pomógł mu wstać.

- Dobrze się czujesz?

- Nic mu nie jest - orzekł Simon. - Jego osobisty trener jest na miejscu. - Wziął z półki orzech kokosowy i odciął czubek wielkim nożem z działu mięsnego. - Doktorze Drew - powiedział, wyciągając kokos w stronę Drew, który z kieszeni na biodrze wyjął pół litra rumu i wlał trochę do skorupy.

- Wypij to - powiedział Simon, podając orzech Lashowi. - Zabij świnie, współniku.

Zaczęli skandować „zabij świnie”, aż Lash wypił wszystko, a mleczko kokosowe zmieszane z rumem, które spływało z kącików jego ust, zaczęło tworzyć smugi na mydlanej brodzie. Przerwał, żeby odetchnąć, i zwymiotował.

- Dziewięć-dwa! - krzyknął Barry.

- Dziewięć-cztery - powiedział Drew,

- Sześć-jeden - zaśpiewał Simon. - Punkty karne za grudki.

- Fuego - stwierdził Gustavo.

Simon przyskoczył do niego.

- Fuego? Co to, kurwa, za liczba? Możesz zostać zdyskwalifikowany jako sędzia, wiesz?

- Fuego - powtórzył Gustavo, wyciągając rękę nad ramieniem Simona i wskazując regał na chipsy, gdzie trzydzieści parówek stało w płomieniach i rozsiewało czarny dym.

Alarm pożarowy zawył syrenim wrzaskiem, zagłuszając Rolling Stonesów.

- Ma połączenie ze strażą pożarną! - wrzasnął Drew do ucha Tommy'ego. - Lada chwila będą przy drzwiach. To ty ich musisz spławić, Nieustraszony Przywódco.

- Ja? Dlaczego ja?

- Po to zarabiasz grubszą forszę.

- Wyłączyć muzykę i zgasić ogień! - krzyknął Tommy. Odwrócił się i ruszył do drzwi wejściowych w chwili, gdy z magazynu wyłonił się Clint.

- Koszerne żarcie pobłogosławione. Dla równowagi pomodliłem się też nad jedzeniem dla gojów.

Wiesz, Tom, chłopaki mówią, że szykujesz się do ślubu, a ja niedługo dostanę pocztą swoją legitymację kapłańską, więc gdybyś potrzebował...

- Clint - przerwał mu Tommy - posprzątaj w dziale warzywnym.

Podszedł do drzwi, otworzył zamek i wyszedł na dwór, by poczekać na strażaków. Zatokę spowijała mgła i snop światła z latarni na wyspie Alcatraz torował sobie drogę nad Fort Mason i nad parkingiem przy Safeway. Tommy odniósł wrażenie, że w tym blasku dostrzega jakąś postać. Był to ktoś szczupły, w czarnym ubraniu.

Wóz strażacki wjechał na parking z wyłączoną syreną, rozcinając mgłę miganiem niebieskiego koguta. Gdy blask reflektorów omiół parking, ciemna postać zrobiła unik i zaczęła biec, trzymając się tuż poza zasięgiem świateł. Tommy nigdy nie widział, żeby ktoś tak szybko biegł. Zdawało się, że chudzielec pokonał sto metrów w kilka sekund. Złudzenie optyczne od tej mgły, pomyślał Tommy.

GRZECZNIE POTĘPIONY

Gdy Tommy wysiadł z autobusu po drugiej stronie ulicy, przed motelem Van Ness stało pięć radiowozów.

Przyjechali mnie zwinąć za ten fałszywy alarm pożarowy, pomyślał. Potem uświadomił sobie, że tylko Jody spodziewała się jego przyjazdu do motelu. Szkoda, pomyślał, w więzieniu sporo bym napisał.

Przeszedł przez ulicę i przy drzwiach powitała go policjantka w mundurze.

- To miejsce zbrodni. Proszę odejść, chyba że jest pan zameldowany.

- Jestem. Muszę wziąć prysznic - odparł. Nauczył się, że nie należy mówić zbyt dużo, kiedy rozmawiał w sklepie ze wściekłym strażakiem. Nie chcieli słuchać, dlaczego do tego doszło. Chcieli tylko zapewnienia, że to się już nie powtórzy.

- Nazwisko? — spytała policjantka.

- C. Thomas Flood.

- Dokument? Podał jej swoje prawo jazdy z Indiany.

- Tu jest napisane „Thomas Flood Junior”. Nie ma „C”.

- „C” to pseudonim artystyczny. Thomas jest pisarzem - wyjaśnił.

Mundurowa poprawiła pałkę.

- Próbujesz ze mną zadzierać?

- Nie, myślałem, że pani chce, żebym tak mówił. Co się dzieje? - Spojrzał nad jej ramieniem na dyrektora motelu, wysokiego, łysiejącego faceta po czterdziestce, który ścierał ręcznikiem odciski palców z kuloodpornej szyby i wyglądał, jakby lada chwila miał się zalać łzami.

- Czy ostatniej nocy był pan w motelu, panie Flood?

- Nie, dopiero wyszedłem z pracy w Safewayu Marina. Jestem tam szefem nocnej zmiany.

- Czyli mieszka pan w San Francisco? - Policjantka uniosła brwi.

- Jestem tu dopiero parę dni. Ciągle szukam mieszkania.

- Gdzie pana szukać, gdyby śledczy chcieli z panem porozmawiać?

- W sklepie, od północy do ósmej. Ale dziś w nocy mam wolne. Pewnie będę tutaj. Co się dzieje?
Mundurowa odwróciła się do dyrektora.

- Czy niejaki C. Thomas Flood jest zameldowany? Mężczyzna pokiwał głową i podał klucz.

- Pokój dwadzieścia jeden - powiedział. Policjantka oddała Tommy'emu prawo jazdy.

- Proszę je wymienić, jeśli chce pan zostać w mieście. Może pan iść do pokoju, ale proszę nie przekraczać żółtej taśmy.

Wyszła z recepcji.

- Co się tu dzieje? - Tommy odwrócił się do dyrektora. Tamten gestem przywołał go bliżej do okienka. Pochylił się i szepnął przez otwór:

- Dziś rano pokojówki znalazły w śmietniku ciało kobiety. Mieszkała w sąsiedztwie, nie w motelu.

- Zamordowano ją? - szepnął Tommy.

- Ją i jej pudła. To fatalnie wpływa na wizerunek motelu. Policja rozmawia ze wszystkimi gośćmi, którzy się wymeldowują. Pukali też do pańskiej przyjaciółki, ale się nie odezwała. - Dyrektor podał mu klucz przez szczelinę razem z wizytówką.

- Chcą, żeby zadzwoniła pod ten numer, kiedy wróci. Przekazuje jej pan to?

- Jasne - powiedział Tommy. Wziął klucz i zastanawiał się, co powiedzieć, by trochę pocieszyć dyrektora. - Ee, przykro mi z powodu pańskiego śmietnika - rzekł w końcu.

Nie pomogło. Dyrektor wybuchł płaczem.

- Biedny piesek - wyszochał.

Na łóżku leżał plik papierów, plan San Francisco i gruba koperta z gotówką. Była też kartka, przyczepiona spinaczem do dokumentów. Napisano na niej: Drogi Tommy Weź te papiery, żeby wyciągnąć moją hondę z parkingu policyjnego. Z tych pieniędzy zapłać mandaty. Nie wiem, gdzie jest parking, ale możesz spytać pierwszego lepszego policjanta. Musisz też iść do siedziby firmy Transamerica po moją ostatnią wypłatę. (Zaznaczyłam Ci na planie).

Nagrałam się na sekretarkę w dziale kadr i zapowiedziałam, że przyjdiesz. Powodzenia w szukaniu mieszkania. Zapomniałam wspomnieć, żebyś nie wynajmował nic w Tenderloin (też zaznaczone na planie).

Kocham, Jody Czemu, do diabła, była taka tajemnicza? Otworzył kopertę i wyjął plik studolarówek, przeliczył, a potem włożył z powrotem. Cztery tysiące dolarów. Nigdy nie widział takiej forsy w jednym miejscu. Skąd ona miała tyle pieniędzy? Na pewno nie z wypełniania druczków w firmie ubezpieczeniowej. Może handlowała narkotykami? Może trudniła się przemytem? Może dokonała defraudacji? Może to wszystko była pułapka? Może go aresztują, kiedy pójdzie na parking po jej samochód? Miała czelność napisać „kocham”. Co napisze następnym razem? Przykro mi, że przeze mnie siedzisz w mamrze. Kocham, Jody.

Z drugiej strony, tak właśnie napisała: „kocham”. O co tu chodziło? Czy to naprawdę coś znaczyło, czy wynikało z przyzwyczajenia? Pewnie do wszystkich pisała „kocham”.

Szanowny Panie Ubezpieczony, z przykrością informuję, że z tytułu polisy nie otrzyma Pan zwrotu za lewatywę barytową, ponieważ wykonał Pan ją w celach rekreacyjnych. Kocham, Jody. Dział reklamacji...

A może nie? Może naprawdę go kochała? Musiała mu ufać, skoro dała mu cztery kawałki.

Wcisnął pieniądze do tylnej kieszeni, wziął dokumenty i wyszedł z pokoju. Zbiegł po schodach na parter i potknął się o duży czarny worek ze zwłokami kobiety w środku. Zastępca koronera złapał go za ramiona, by nie upadł.

- Spokojnie, kolego - powiedział. Był potężnym, włochatym facetem po trzydziestce.

- Przepraszam.

- W porządku, chłopcze. To opakowanie o przedłużonej trwałości. Mój partner poszedł po nosze.

Tommy wbił spojrzenie w czarny worek. Dotąd tylko raz widział martwego człowieka, swojego dziadka. Nie podobało mu się.

- Jak to się... znaczy, czy to było morderstwo?

- Stawiam raczej na fantazyjne samobójstwo. Sama skreśliła sobie kark, puściła sobie krew, a potem

zabiła psa i wskoczyła do śmietnika. Ale ekspert medycyny sądowej obstawia morderstwo. Wybór należy do ciebie.

Tommy był przerażony.

- Puszczono jej krew?

- Jesteś dziennikarzem? - Nie.

- Tak, brakuje około pół litra. I brak widocznych ran. Ekspert musiał dobrać się do serca, żeby pobrać próbkę krwi. Nie był zachwycony. Woli proste sprawy, dekapitacja przez tramwaj linowy, strzelanina, te rzeczy.

Tommy zadrżał.

- Jestem z Indiany. Tam takie rzeczy się nie zdarzają.

- Tutaj też się nie zdarzają, chłopcze.

Wysoki, chudy mężczyzna w niebieskim uniformie koronera wyszedł zza rogu, pchając nosze na kółkach, na których leżał mały, popielaty, martwy pies. Podniósł zwierzę za wysadzaną kryształami smycz.

- Co mam z tym zrobić? - spytał włochatego.

Pies obracał się powoli na końcu smyczy niczym porośnięta sierścią ozdoba choinkowa.

- Do worka i ometkować? - podsunął włochaty.

- Psa? Dla mnie to nowość.

- Mam to gdzieś. Rób, co chcesz.

- Dobra - przerwał im Tommy - miłego dnia, panowie.

Popędził na przystanek. Ujrawszy podjeżdżający autobus, odwrócił się i zobaczył, że dwaj koronerzy wciskają pieska do worka ze zwłokami kobiety.

Tommy wysiadł z autobusu przy kawiarni blisko Chinatown, gdzie wcześniej widział gości w beretach, którzy bazgrali coś w notesach i palili francuskie papierosy. Jeśli szukasz miejsca, w którym mógłbyś przez chwilę posiedzieć i popatrzeć w otchłań, zawsze rozglądaj się za beretami i francuskimi papierosami. Są jak drogowskazy: „Kryzys egzystencjalny, następna w prawo”. A sprawa z czarnym workiem wprawiła Tommy'ego w nastrój zadumy nad bezsensownością życia, przynajmniej na kilka minut, nim zajmie się szukaniem mieszkania. Traktowali tę nieszczęsną kobietę jak kawał mięsa. A przecież ludzie powinni płakać, mdleć i walczyć o jej testament. To musiał być jakiś mechanizm obronny, rozwinięcie tej zdolności miastowych do niezważania na cierpienie.

Przy barze zamówił podwójną mocną kawę. Dziewczyna z fioletowymi włosami i trzema kolczykami w nosie zajęła się jej przygotowaniem, a tymczasem Tommy grzebał w stercie gazet na kontuarze, wyjmując z nich strony z ogłoszeniami. Kiedy płacił dziewczynie, przyłapała go na gapieniu się na jej kolczyki w nosie i uśmiechnęła się.

- Myśl to śmierć - powiedziała, podając mu kawę.

- Miłego dnia - odrzekł Tommy.

Usiadł i zaczął przeglądać ogłoszenia. Gdy poczytał o mieszkaniach na wynajem, odniósł wrażenie, że plik pieniędzy w jego kieszeni się skurczył. Już rozumiał, dlaczego miejscowi wydają się tak rozkojarzeni.

Wszyscy się martwili, jak zarobić na czynsz.

Jego wzrok przyciągnęło ogłoszenie o umeblowanym poddaszu. Był z tych, którzy lubią poddasza.

Wyobrażał sobie, jak mówi: „Nie, nie mogę zostać. Muszę wrócić na poddasze i pisać”. I jeszcze: „Przepraszam, zostawiłem portfel na poddaszu”. Albo jak pisze: „Kochana mamo, właśnie wprowadziłem się na przestronne poddasze w modnej dzielnicy SOMA”.

Odłożył gazetę i odwrócił się do sąsiedniego stolika, do faceta w berecie, który czytał tomik Baudelaire'a i wznosił w popielniczkę piramidę z niedopałków „Disc Bleu”.

- Przepraszam - powiedział Tommy - ale jestem nowy w mieście. Gdzie znajdę modną dzielnicę SOMA? Ten w berecie wydawał się rozdrażniony.

- Na południe od Market - powiedział. A potem wziął swoją książkę i papierosy i wyszedł z kawiarni.

- Przepraszam! - zawołał za nim Tommy. Może gdybym spytał po francusku...

Tommy rozłożył plan, który zostawiła mu Jody, i znalazł na nim Market Street, a potem dzielnicę oznaczoną jako SOMA. Nie leżała daleko od miejsca, które Jody oznaczyła jako Piramida Transamerica.

Złożył plan i wydarł z gazety ogłoszenie o poddaszu. Łatwizna.

Szykując się do wyjścia, podniósł wzrok i zobaczył niezwykle tłustego typa w fioletowej, aksamitnej szacie, który niósł skórzaną teczkę z próbkami, ozdobioną srebrnymi gwiazdkami i półksiężycami. Usiadł przy stoliku obok, a jego sadło wylało się z obu stron wiklinowego krzesła. Następnie zaczął wyjmować różne rzeczy ze swojej teczki. Tommy patrzył na to jak urzeczony.

Grubas miał ogoloną głowę i wytatuowany na niej pentagram. Nakrył swój stolik płachtą czarnej satyny, po czym umieścił szklaną kulę na podstawce ozdobionej mosiężnymi smokami. Potem rozwinął fioletowy, jedwabny szal i wyjął talię do tarota, którą położył obok kuli. Na koniec wyjął z

teczki tabliczkę i postawił ją na stoliku. Na tabliczce napisano: „Madame Natasha. Chiromancja, tarot, wróżbiarstwo.

Wróżba - 5,00 \$. Wszystkie zyski są przeznaczane na badania nad AIDS.

Madame Natasha siedział zwrócony plecami do Tommy'ego. Gdy Tommy gapił się na wytatuowany pentagram, Madame Natasha odwrócił się do niego. Tommy szybko uciekł spojrzeniem.

- Zdaje się, że potrzebujesz wróżby, młodzieńcze - zagadnął Madame Natasha wysokim, kobiecym głosem.

Tommy przełknął ślinę.

- Nie wierzę w takie rzeczy. Ale dzięki.

Tamten zamknął oczy, jakby słuchał szczególnie poruszającej muzyki. Gdy w końcu je otworzył, powiedział:

- Jesteś nowy w mieście. Trochę zagubiony i trochę przestraszony. Jesteś artystą, ale nie zarabiasz w ten sposób na życie. I niedawno odrzuciłeś propozycję małżeństwa. Mam rację? Tommy pogrzebał w kieszeniach.

- Pięć dolarów?

- Usiądź - powiedział Madame Natasha, zapraszając go gestem do swojego stolika.

Tommy przeniósł się na krzesło naprzeciwko, po czym podał mu banknot pięciodolarowy. Madame Natasha wziął swoje karty tarota i zaczął je tasować. Miał drobne, delikatne dłonie i pomalowane na czarno paznokcie.

- O co zapytamy dzisiaj kart? - spytał Madame Natasha.

- Poznałem dziewczynę. Chcę wiedzieć o niej więcej. Madame Natasha pokiwał głową i zaczął rozkładać karty na stole.

- W twojej najbliższej przyszłości nie widzę kobiety.

- Naprawdę? Tamten wskazał kartę z prawej strony układu, który stworzył na stole.

- Tak. Widzisz położenie tej karty? Ona włada twoimi relacjami z ludźmi.

- Na niej jest napisane „śmierć”.

- To nie musi oznaczać śmierci fizycznej. Karta Śmierci może być kartą odrodzenia i oznaczać zmianę. Przypuszczam, że niedawno z kimś zerwałeś.

- Nie - odparł Tom. Wpatrywał się w stylizowany wizerunek szkieletu z kosą. Miał wrażenie, że

szkielet się z niego śmieje.

- Spróbujmy jeszcze raz - zaproponował Madame Natasha . Pozbierał karty, przetasował i zaczął rozkładać jeszcze raz.

Tommy patrzył w miejsce, w którym miała się znaleźć jego karta relacji z ludźmi. Madame zamarł na chwilę w bezruchu, a potem odwrócił kartę. Śmierć.

- Proszę, proszę, co za zbieg okoliczności - powiedział.

- Jeszcze raz - poprosił Tommy.

Tamten znowu przetasował i znowu karta relacji okazała się Śmiercią.

- Co to znaczy? - spytał Tommy.

- To może znaczyć wiele różnych rzeczy, zależnie od innych odpowiedzi. - Madame odwrócił pozostałe karty.

- Więc co to znaczy razem z resztą kart?

- Szczerze?

- Pewnie. Chcę wiedzieć.

- Masz przejebane. - Co?

- Jeśli chodzi o związki? - Tak.

- Masz przejebane.

- A co z moją karierą pisarską? Madame Natasha jeszcze raz poradził się kart, po czym bez podnoszenia wzroku oznajmił:

- Przejebane.

- Wcale nie. Nie mam przejebane.

- Owszem. Przejebane. Tak mówią karty. Przykro mi.

- Nie wierzę w takie rzeczy — stwierdził Tommy.

- A jednak - odparł Madame Natasha. Tommy wstał.

- Muszę iść i poszukać mieszkania.

- Chcesz poradzić się kart w sprawie nowego domu?

- Nie. Nie wierzę w karty.

- Mogę ci powróżyc z ręki.

- Będę musiał dopłacić?

- Nie, to jest w cenie.

- Dobra.

Tommy wyciągnął dłoń, a Madame Natasha ujął ją delikatnie w obie ręce. Tommy rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt nie widzi, i zaczął przytupywać, jakby mu się spieszyło.

- Jak rany, często się onanizujesz, prawda? Facet przy stoliku obok parsknął kawą na swoje groszowe wydanie Sartre'a i podniósł wzrok. Tommy cofnął rękę.

- Nie!

- No, no, nie kłam. Madame Natasha wie.

- A co to ma wspólnego z mieszkaniem?

- Po prostu sprawdzam swoją dokładność. Coś w stylu wyzerowania wariometru.

- Niezbyt często - stwierdził Tommy.

- W takim razie muszę skalibrować wróżbę. Na pierwszy rzut oka uznałbym cię za onanistę pierwszej wody. Nie ma się czego wstydzic. Biorąc pod uwagę twoją kartę relacji, powiedziałbym, że to jedyna opcja.

- Mylisz się.

- Jak sobie chcesz. Pokaż dłoń. Tommy wyciągnął z ociąganiem rękę.

- O, nareszcie dobre wieści - oznajmił Madame Natasha. - Znajdziesz mieszkanie.

- To dobrze - stwierdził Tommy, znowu cofając dłoń. - Muszę iść.

- Nie chcesz wiedzieć o szczurach?

- Nie. - Tommy odwrócił się i ruszył do drzwi. Gdy do nich dotarł, obejrzał się i powiedział: - Nie mam przejebane.

Miłośnik Sartre'a podniósł wzrok znad książki i powiedział:

- Wszyscy mamy. Wszyscy.

LISTA ZADAŃ DLA GRZECZNIE POTĘPIONEGO

Kiedy się wie, że przyszłość jest ponura, nie ma sensu się spieszyć. Tommy postanowił iść do dzielnicy finansowej piechotą. Człapał przed siebie z żałobną miną kogoś, kto ma przejebane na kosmiczną skalę.

Przeszedł przez Chinatown, zobaczył, jak trzech Wongów kupuje losy loterii w sklepie z alkoholem, i ruszył do pokoju, by wziąć swoje ubrania i maszynę do pisania, zanim wróca. Trochę poweselał, wspinając się ostatni raz po wąskich schodach, ale znowu dopadły go słowa Madame Natashy: „W twojej najbliższej przyszłości nie widzę kobiety”.

Był to jeden z powodów, dla których przybył do San Francisco: żeby znaleźć dziewczynę. Kogoś, kto dostrzeże w nim artystę. Nie tak jak dziewczyny w rodzimej miejscowości, które widziały w nim stukniętego mola książkowego. To wszystko były elementy planu: mieszkać w San Francisco, pisać opowiadania, patrzeć na most, jeździć tramwajami linowymi, jeść Rice-a-Roni i mieć dziewczynę - osobę, z którą mógłby się dzielić swoimi przemyśleniami, najlepiej po kilku godzinach boskiego seksu. Nie szukał ideału, tylko kogoś, kto dałby mu poczucie bezpieczeństwa. Ale nie teraz. Teraz był potępiony i skazany na zagładę.

Popatrzył na horyzont i zdał sobie sprawę, że źle skręcił i trafił do dzielnicy finansowej, o kilka przecznic od Piramidy. Szedł zygzakiem od budynku do budynku, unikając kontaktu wzrokowego z mężczyznami i kobietami w biznesowych strojach, którzy też unikali kontaktu wzrokowego, co parę kroków spoglądając na zegarek. Oni mieli przed sobą przyszłość.

Gdy dotarł do stóp Piramidy, trochę brakowało mu tchu, a ręce bolały go od niesienia dobytku. Usiadł na betonowej ławce przy fontannie i przez chwilę przyglądał się ludziom.

Wszyscy byli tacy zdecydowani. Wiedzieli, dokąd idą i kogo chcą zobaczyć. Mieli idealne włosy.

Ładnie pachnieli. Nosili ładne buty. Spojrzał na własne skórzane adidas. Przejebane.

Ktoś usiadł obok niego na ławce, a on nie podniósł wzroku, zakładając, że to kolejna osoba, która wpędzi go w poczucie niższości. Wpatrywał się w kawałek betonu wokół swoich stóp, gdy właśnie na tym kawałku pojawił się boston terier, który upadł mu spodnie psimi smarkami.

- Nieładnie, Bummer - powiedział Cesarz. - Nie widzisz, że nasz przyjaciel jest smutny? Tommy spojrzał na twarz Cesarza.

- Wasza Wysokość. Cześć.

Mężczyzna miał najbardziej krzaczaste brwi, jakie Tommy widział w życiu, zupełnie jakby nad oczami przycupnęły mu dwa szare jeżozwierze.

Cesarz dotknął swojej korony, zrobionej z kawałków blachy z puszek po piwie połączonych żółtą

włóczką.

- Dostałeś pracę?

- Tak, zatrudnili mnie od razu. Dzięki za cynk.

- To uczciwa praca. Ma w sobie pewien wdzięk. Nie to, co ta tragedia.

- Jaka tragedia?

- Ci nieszczęśnicy. Ci biedni nieszczęśnicy. - Cesarz wskazał przechodniów.

- Nie rozumiem.

- Ich czas minął i nie wiedzą co robić. Powiedziano im, co chcieli usłyszeć, a oni uwierzyli. Mogą ożywiać swoje marzenia tylko w towarzystwie innych, takich jak oni, którzy odzwierciedlają ich złudzenia.

- Mają bardzo ładne buty - zauważył Tommy.

- Muszą wyglądać jak należy albo inni rzucą się na nich jak wygłodniałe psy. To upadli bogowie.

Nowi bogowie to producenci, projektanci, wykonawcy. Nowi bogowie to dzieciaki bez podbródków, które wolą jeść biały cukier i oglądać filmy science fiction niż przejmować się butami. A ci nieszczęśnicy rozpaczliwie przenoszą papiery, w nadziei że ujrzą jakieś mistyczne przesłanie, które ocali ich przed nowymi, niezdarnymi, promiennymi bóstwami i ich pełnym mikroprocesorów światem. Niektórzy przetrwają, ma się rozumieć, ale większość upadnie. Do nietwórczego myślenia lepiej nadają się maszyny.

Biedacy - niemal słychać, jak się poca.

Tommy popatrzył na szereg doskonale ubranych ludzi biznesu, a potem na sfatygowany płaszcz Cesarza, na swoje buty i znów na Cesarza. Z jakiegoś powodu czuł się teraz lepiej niż przed paroma minutami.

- Naprawdę się o nich troszczysz, co?

- To moi ludzie.

Atrakcyjna kobieta w szarym żakiecie i butach na wysokich obcasach podeszła do Cesarza i wręczyła mu pięciodolarowy banknot. Pod żakietem miała jedwabną kamizelkę i Tommy dostrzegł górną część jej koronkowego stanika, gdy się pochyliła. Był zahipnotyzowany.

- Wasza Wysokość - powiedziała - w Cafe Suisse jest dziś promocja na sałatkę z kurczakiem. Myślę, że przypadnie do gustu Bummerowi i Lazarusowi.

Lazarus zamierdał ogonem. Bummer szczerknął, słysząc swoje imię.

- Bardzo miło z twojej strony, dziecko. Moi ludzie będą zachwyceni.

- Miłego dnia - powiedziała i odeszła. Tommy patrzył na jej łydki.

Dwaj mężczyźni, którzy przechodzili obok, pochłonięci kłótnią na temat cen i zysków, przerwali rozmowę i ukłonili się.

- Idźcie z Bogiem - powiedział im Cesarz. Odwrócił się do Tommy'ego. - Ciągle jeszcze szukasz sobie siedziby czy teraz już tylko kobiety?

- Nie rozumiem.

- Masz samotność wypisaną na czole.

Tommy poczuł się tak, jakby jego ego właśnie dostało prawym prostym w szczękę.

- Właściwie to poznałem dziewczynę i dziś po południu wynajmę dla nas mieszkanie.

- Mój błąd - odparł Cesarz. - Źle cię zrozumiałem.

- Wcale nie. Mam przejebane.

- Słucham?

- Jasnowidz powiedział mi, że w mojej przyszłości nie ma kobiety.

- Madame Natasha?

- Skąd wiesz?

- Nie możesz bezgranicznie wierzyć w przepowiednie Madame Natashy. On umiera i to maćci jego wizje. Zaraza.

- Przykro mi - powiedział Tommy.

Tak naprawdę poczuł ulgę, a potem wyrzuty sumienia. Nie miał prawa uważać się nad sobą. Cesarz nie miał niczego oprócz swoich psów, a jednak darzył wszystkich bliźnich głęboką sympatią. Drań ze mnie, pomyślał Tommy.

- Wasza Wysokość, mam trochę pieniędzy, gdybyś potrzebował...

Cesarz uniósł banknot, który dała mu kobieta.

- Mamy wszystko, czego nam potrzeba, synu. — Wstał i pociągnął za sznury służące za smycze Bummera i Lazarusa. - I powinienem iść, zanim ludzie mi się zbuntują z powodu głodu.

- Ja chyba też. - Tommy wstał i zrobił taki ruch, jakby chciał uścisnąć mu dłoń, ale w końcu tylko się uklonił. - Dziękuję za towarzystwo.

Cesarz puścił do niego oko, odwrócił się na pięcie i poprowadził żołnierzy za sobą, lecz po chwili przystanął i się obejrzał.

- A, synu, nie dotykaj niczego, co ma ostrze, kiedy będziesz w środku. Nożyczek, noży do papieru i tak dalej.

- Czemu? — spytał Tommy.

- Chodzi o kształt budynku. To piramida. Nie chcą tego ujawniać, ale zatrudniają na pełen etat faceta, który chodzi i tępi noże do papieru.

- Żartujesz.

- Bezpieczeństwo przede wszystkim - powiedział Cesarz.

- Dzięki.

Tommy wziął głęboki wdech i sprężył się przed atakiem na Piramidę. Gdy opuścił rozświetlony chodnik i wszedł pod masywne betonowe przypory, poczuł przez swoją flanelową koszulę falę chłodu, jakby beton przechował zimną wilgoć nocnej mgły i teraz oddawał ją niczym wkład do lodówki turystycznej. Gdy doszedł do recepcji, trząsł się z zimna. Ochroniarz omiótł go podejrzliwym wzrokiem.

- Szukam działu kadr firmy Transamerica.

Strażnik zrobił taką minę, jakby Tommy wykąpał się w szambie.

- Jest pan umówiony?

- Tak. - Tommy zamachał mu przed nosem papierami Jody.

Ochroniarz zaczął wybierać numer, gdy nagle podszedł jego kolega i zabrał mu słuchawkę.

- On jest w porządku - powiedział. - Wpuść go. - Ale...

- To przyjaciel Cesarza.

Pierwszy strażnik odłożył słuchawkę i oznajmił:

- Dwudzieste pierwsze piętro, proszę pana. - Ręką wskazał windy.

Tommy wjechał windą na dwudzieste pierwsze piętro, a potem ruszył za drogowskazami, aż znalazł odpowiedni dział. Starsza, na oko nadgorliwa kobieta kazała mu usiąść w recepcji i powiedziała, że zaraz się nim zajmie. A potem ze wszystkich sił starała się zachowywać tak, jakby zniknął z powierzchni Ziemi.

Tommy usiadł na czarnej skórzanej sofie, która westchnęła pod jego ciężarem, wybrał czasopismo ze stolika z czarnego kamienia i czekał. Przez następną godzinę przeczytał dział z poradami dotyczącymi domów i wnętrz („zmielona kawa w kociej kuwecie wypełni twój dom smakowitym zapachem espresso za każdym razem, gdy kotek pójdzie za potrzebą”) i recenzję nowego musicalu Jonestown! („dżingiel z reklamy Kool-Aid w wersji Lloyd Webbera jest chłodny i poruszający zarazem. Donny Osmond genialny w roli Jima Jonesa”) - Pożyczył korektor od nadgorliwej kobiety, po czym dokonał poprawek w wyglądzie swoich butów, które następnie zaczął suszyć pod halogenową lampą do czytania, która wyglądała niczym ramię robota dzierżącego słońce. Kiedy zaczął wrywać próbki zapachów z magazynu GQ i pocierać nimi skarpetki, kobieta powiedziała mu, że może wejść.

Wziął buty i do biura wszedł w skarpetkach. Kolejna na oko nadgorliwa kobieta, nadzwyczaj przypominająca pierwszą na oko nadgorliwą kobietę, włącznie z łańcuszkiem na okularach do czytania, posadziła go naprzeciwko siebie, a potem zaczęła przeglądać dokumenty Jody, zupełnie go ignorując.

Spojrzała na ekran komputera, nacisnęła parę klawiszy, a potem czekała, aż komputer coś zrobi.

Tommy włożył buty i czekał.

Nie podniosła wzroku.

Przełknął ślinę. Stukała w klawisze.

Sięgnął w dół, otworzył walizkę i wyjął swoją przenośną maszynę do pisania. Nie podniosła wzroku.

Stukała w klawisze i patrzyła na ekran.

Otworzył futerał z maszyną, wkręcił kartkę papieru i wpisał kilka liter.

Podniosła wzrok. Wpisał parę następnych.

- Co pan robi? - spytała.

Pisał. Nie odrywał oczu od papieru.

Kobieta podniosła głos.

- Spytałam, co pan robi.

Nie przerywając pisania, Tommy spojrzął na nią.

- Przepraszam, ignorowałem panią. Słucham?

- Co pan robi? - powtórzyła.

- To wiadomość. Przeczytam ją pani. „Czy nikt inny nie widział, że oni wszyscy byli sługami Szatana? Musiałem oczyścić świat z ich zła. Jestem ręką Boga. Przecież inaczej ochrona nie wpuściłaby mnie do ich budynku z karabinem w walizce. Jestem boskim narzędziem”. - Przerwał i uniósł wzrok. - Na razie tyle, ale pewnie na końcu przeproszę mamę. Co pani sądzi? Uśmiechnęła się tak, jakby próbowała zamaskować wzdęcie, i podała mu kopertę.

- To czek z ostatnią wypłatą dla Jody. Proszę ją pozdrowić. Życzę miłego dnia, młodzieńcze.

- Wzajemnie - odparł. Pozbierał swoje rzeczy i, pogwizdując, wyszedł z biura.

Modna dzielnica SOMA wyglądała, zdaniem Tommy'ego, jak teren przemysłowy: dwu- i trzypiętrowe budynki ze stalowymi, obrotowymi drzwiami i oknami w stalowych ramach. Na parterze znajdowały się etniczne restauracje, undergroundowe kluby taneczne, warsztaty samochodowe, a gdzieś tam także odlewnie. Tommy zatrzymał się przed jedną z nich, by popatrzeć, jak dwaj długowłosi mężczyźni wlewają ołów do formy.

Artyści, pomyślał. Nigdy nie widział prawdziwych artystów, i choć ci tutaj wyglądali raczej na członków gangu motocyklowego, chciał z nimi porozmawiać. Niepewnie przekroczył próg.

- Dzień dobry - powiedział.

Mężczyźni zmagali się z ogromną chochlą, we dwóch trzymając wielki uchwyt przez azbestowe rękawice. Jeden uniósł głowę.

- Won! - krzyknął.

- Dobra, widzę, że jesteście zajęci. Do widzenia - odparł Tommy.

Stanął na chodniku i spojrzął na plan. Z agentem z biura nieruchomości miał się spotkać gdzieś tutaj.

Rozejrzał się po ulicy. Była pusta, nie licząc nieprzytomnego faceta na rogu. Tommy już miał zamiar obudzić go i spytać, czy to na pewno modna dzielnica SOMA, gdy obok zahamował zielony jeep. Za kierownicą siedziała kobieta po czterdziestce o potarganych, siwych włosach. Opuściła szybę.

- Pan Flood? - spytała. Tommy skinął głową.

- Nazywam się Alicia DeVries. Zaparkuję i pokażę panu poddasze.

Wycofała jeepa na miejsce, które wydawało się o dwadzieścia centymetrów za krótkie, tylnymi kołami wjechała na krawężnik, a potem wyskoczyła, ciągnąc za sobą torebkę o rozmiarach walizki Tommy'ego. Poprowadziła go do drzwi przeciwpożarowych przy odlewni. Poczł ciągnący się za nią zapach paczuli.

- Ta okolica wygląda zupełnie jak Soho dwadzieścia lat temu - powiedziała. - Ma pan szczęście, że trafił na jedno z tych poddaszy teraz, zanim zrobią spółdzielnię i zaczną je sprzedawać za miliony dolarów.

Otworzyła drzwi i ruszyła po schodach.

- To miejsce ma niezwykłą energię - stwierdziła, nie oglądając się. - Sama chciałabym tu zamieszkać, tyle że na rynku jest dołek i musiałabym sprzedać mieszkanie w Heights.

Tommy podążał za nią, wciągając walizkę po schodach.

- Pan maluje, panie Flood?

- Jestem pisarzem.

- Ach, pisarzem! Sama trochę piszę. Któregoś weekendu chcę napisać książkę, jeśli znajdę czas. Coś o obrzezaniu kobiet, tak myślę. Może coś o małżeństwie. Ale w gruncie rzeczy co to za różnica, prawda? - Zatrzymała się na szczycie schodów i przekręciła klucz w kolejnych drzwiach przeciwpożarowych.

- To tutaj. - Otworzyła drzwi na oścież i gestem zaprosiła Tommy'ego do środka. - Ładne miejsce do pracy i sypialnia z tyłu. Na dole pracuje dwóch rzeźbiarzy, a po sąsiedzku malarz. Pisarz będzie w tym budynku doskonałym uzupełnieniem. Jaka jest pańska opinia na temat obrzezania kobiet, panie Flood? Tommy był wciąż jakies trzy tematy w tyle, stał więc na schodach, a jego umysł próbował nadrobić stracony dystans. Tacy ludzie jak Alicia stanowili powód, dla którego Bóg stworzył kawę bezkofeinową.

- Uważam, że każdy powinien mieć jakieś hobby - odparł, strzelając na oślep.

Alicia zacięła się niczym przegrzany karabin maszynowy.

Wyglądała tak, jakby widziała go pierwszy raz i jakby nie podobało jej się to co widzi.

- Wie pan, że potrzebna będzie wysoka kaucja, o ile lokal zostanie panu wynajęty?

- Dobra - powiedział Tommy i wszedł do mieszkania, zostawiając ją za drzwiami.

Poddasze miało rozmiary mniej więcej boiska do piłki ręcznej. Pośrodku znajdowała się wyspa

kuchenna, a w jednej ze ścian widniały okna, sięgające od podłogi do sufitu. Były tu: stary dywan, kanapa i niski plastikowy stolik do kawy przy kuchni. Przeciwległą ścianę zajmowały puste półki na książki, których linię łamały tylko drzwi do sypialni.

Półki załatwiły sprawę. Tommy chciał tu mieszkać. Już widział, jak te półki wypełniają Kerouac, Kesey, Hammett, Ginsberg, Twain, London, Bierce i wszyscy inni pisarze, którzy żyli i tworzyli w San Francisco. Jedną półkę przeznaczy na książki, które sam napisze: w twardej oprawie i w trzydziestu językach. Stanie też na niej popiersie Beethovena. Prawdę mówiąc, nie lubił Beethovena, ale uważał, że powinien mieć jego popiersie.

Powstrzymał chęć, by krzyknąć: „Biorę!”. To były pieniądze Jody. Musiał sprawdzić, czy w sypialni nie ma okien.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. W pomieszczeniu było ciemno jak w jaskini. Pstryknął włącznikiem światła i na jednej ze ścian rozjarzyła się listwa oświetleniowa. Na podłodze, na sprężynowej podkładce, leżał stary materac. Powierzchnię ścian stanowiły gołe cegły. Żadnych okien.

Za kolejnymi drzwiami znajdowała się łazienka z wolno stojącą umywalką i wielką wanną na nóżkach, całą w plamach rdzy i farby. Okien nie było. Tommy był tak podekscytowany, że omal się nie zmoczył.

Wbiegł do głównego pomieszczenia, w którym Alicia stała z ręką wspartą na biodrze i wypychała go do mentalnej przegródki na chamstwo i barbarzyństwo, jaką dla niego przygotowała.

- Biorę - oznajmił.

- Musi pan wypełnić...

- Dam cztery tysiące dolarów gotówką. Teraz. - Wyciągnął z dzinsów plik banknotów.

- Ile par kluczy pan potrzebuje?

DWOJE TO JESZCZE NIE PARA

Świadomość zgasła niczym żarówka. Tępy ból w głowie, ostre sztylety w kolanach i podbródku. Jody leżała pod prysznicem. Woda ciągle leciała - leciała tak na nią cały dzień. Wypełzła spod prysznica na zeszywniałych rękach i kolanach, po czym ściągnęła ręcznik z wieszaka.

Usiadła na podłodze łazienki i osuszyła się, ocierając wodę szorstkim ręcznikiem frotte. Miała wrażliwą skórę, niemal jak poobcieraną. Ręczniki zrobiły się wilgotne, bo łazienkę przez czternaście godzin wypełniała para. Sufit ociekał wodą, na ścianach gromadziła się wilgoć. Chwyciła się umywalki i dźwignęła na nogi, a potem otworzyła drzwi i, zataczając się, poszła do łóżka.

Uważaj, o co prosisz, pomyślała. Żałowała, że budzi się tak gwałtownie, jak po wystrzale. Nie przyszło jej do głowy, że może zasypiać w ten sam sposób. Widocznie brała prysznic, gdy weszło słońce, runęła na podłogę i została tam na cały dzień.

Siedząc na łóżku, delikatnie dotknęła podbródka. Żuchwę przeszył ból. Upadając, musiała uderzyć o półeczkę na mydło. Na kolanach też miała siniaki.

Siniaki? Coś tu nie pasowało. Zerwała się na równe nogi i podeszła do toaletki. Włączyła światło i nachyliła się do lustra, a potem aż jęknęła. Na jej podbródku widniał niebieski siniec z żółtą obwódką.

Włosy miała strasznie splątane, dorobiła się też niewielkiej łysiny w miejscu, gdzie na głowę lała jej się woda.

Cofnęła się i oszołomiona usiadła na łóżku. Coś było nie tak, bardzo nie tak, oprócz tych obrażeń.

Światło. Dlaczego włączyła światło? Poprzedniej nocy mogłaby przejrzeć się w lustrze dzięki promieniom sączącym się spod drzwi do łazienki. Ale chodziło o coś więcej. Napięcie w ustach, jakiś ucisk, jak wtedy, gdy w dzieciństwie pierwszy raz założono jej klamery ortodontyczne.

Przesunęła językiem po zębach i poczuła ostre szpikulce, przebijające się przez podniebienie tuż za kłami.

Pomyślała, że czuje się coraz gorzej przez brak... Nie potrafiła nawet o tym myśleć. Będzie jeszcze gorzej. Znacznie gorzej.

Odczuwała głód - nie w żołądku, lecz w całym ciele, jakby jej żyły miały się zapaść do środka.

Dręczyło ją też napięcie w mięśniach, jakby w jej ciele naprężały się struny fortepianowe. Coraz gwałtowniej się poruszała i miała ochotę lada chwila wyskoczyć przez okno.

Muszę się uspokoić. Uspokoić. Uspokoić.

Powtarzała sobie tę mantrę, wstając i podchodząc do telefonu. Odniosła wrażenie, że naciśnięcie zera, a potem oczekiwanie, aż odezwie się recepcjonista, wymaga ogromnego wysiłku.

- Dzień dobry, dzwonię z pokoju numer dwieście dziesięć. Czy w hallu ktoś czeka? Tak, to on.

Mógłby mu pan powiedzieć, że zejdem za parę minut? Odłożyła słuchawkę i poszła do łazienki, gdzie zakręciła prysznic i wytarła lustro. Przejrzała się w nim i z trudem powstrzymała, by nie zalać się łzami.

To dopiero przedsięwzięcie, pomyślała. Odwróciła głowę i spojrzała na łyse miejsce. Było na tyle małe, że mogła je zakryć włosami, wystarczyło parę spinek. Ślad na podbródku mógł wymagać wyjaśnień.

Kilka razy przeciągnęła palcami po włosach, żeby ułatwić sobie ich ułożenie. Walczyła z napięciem

w rękach, które narastało z każdą chwilą. Do łazienki z furkotem wleciała duża ćma i skierowała się do światła nad lustrem. Jody, zanim się zorientowała, co robi, złapała ją w powietrzu i zjadła.

Popatrzyła na swoje odbicie, przerażona widokiem rudowłosej nieznajomej, która właśnie zjadła ćmę.

Mimo to przez jej ciało przepłynęła fala ciepła, zupełnie jak po dobrej brandy. Siniak na brodzie zaczął blednąć na jej oczach.

Pierwsze, co zobaczyła w lobby, to był uśmiech Tommy'ego.

- Ładnie - powiedział. - Ten strój robi wrażenie. Podoba mi się, jak upięłaś włosy.

Uśmiechnęła się i niepewnie stanęła przed nim, myśląc, że chyba powinna uścisnąć go na powitanie, ale bała się podejść zbyt blisko. Czula jego zapach, był to zapach jedzenia.

- Znalazłeś mieszkanie?

- Niesamowite poddasze, na południe od Market. Nawet umeblowane. - Zdawało się, że zaraz wybuchnie z emocji. - Wydałem wszystkie pieniądze. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu.

- W porządku - odparła. Chciała tylko znaleźć się z nim sam na sam.

- Spakuj się - powiedział. - Chcę ci je pokazać. Skinęła głową.

- Zaraz przyjdę. Poproś recepcjonistę, żeby wezwał taksówkę.

Odwróciła się, by wyjść. Złapał ją za ramię.

- Ej, wszystko w porządku? Dała mu znak, by zbliżył się na odległość szeptu.

- Chcę cię tak bardzo, że ledwo to znoszę.

Odsunęła się i pognęła po schodach do pokoju. W środku pozbierała swoje nieliczne rzeczy i ostatni raz zerknęła w lustro. Miała na sobie dzinsy i batystową bluzkę z poprzedniego wieczoru. Rozpięła bluzkę i uwolniła się od stanika, po czym zapięła ją do połowy. Wcisnęła stanik do torby i zamknęła pokój po raz ostatni.

Gdy wróciła do hallu, Tommy czekał już na dworze przy niebieskiej taksówce DeSoto. Otworzył jej drzwi, wszedł i podał kierowcy adres.

- Będiesz zachwycona - powiedział. - Na pewno. Przysunęła się do niego, mocno chwyciła jego rękę i wsunęła ją sobie między piersi.

- Nie mogę się doczekać - szepnęła.

Cichy głosik w jej głowie spytał: „Co ty wyprawiasz? Co chcesz mu zrobić?”. Głos był tak cichy i

obcy, jakby dochodził z zewnątrz, z ulicy.

Tommy odsunął się i włożył rękę do kieszeni džinsów, z której wyjął kopertę.

- Tu jest twój czek z wypłatą. Nie otwierałem. Wzięła kopertę i schowała ją do torby, a potem znów się do niego zbliżyła. Umknął w stronę drzwi i ruchem głowy wskazał kierowcę, który obserwował ich w lusterku.

- Nie zwracaj na niego uwagi - szepnęła Jody. Polizała go po szyi i aż zadrżała, czując smak i ciepło jego ciała.

- Nie mogłem odebrać twojego samochodu z parkingu. Musi to zrobić właściciel.

- Nieważne - odparła, wciskając twarz pod jego podbródek.

Taksówka się zatrzymała i kierowca odwrócił się do nich.

- Sześć dziesięć - oznajmił.

Jody rzuciła dwudziestaka przez oparcie, sięgnęła ręką ponad Tommym i otworzyła drzwi, po czym wypełzła na zewnątrz i wyciągnęła go za sobą z samochodu.

- Gdzie to jest? Tommy zdążył tylko wskazać drzwi, a już go do nich popchnęła. Wspięła mu się na plecy, gdy kluczem otwierał drzwi, a potem prześliznęła się obok i pociągnęła go na schody.

- Jesteś tym naprawdę podekscytowana, co? - spytał.

- Jest super. - Stała przy drzwiach przeciwpożarowych na szczycie schodów. - Otwórz - poleciła.

Tommy przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi na oścież.

- Proszę! Weszła do środka, złapała go za koszulę i wciągnęła za sobą.

- Spójrz na te wszystkie półki na książki - powiedział. Zerwała mu koszulę i mocno go pocałowała.

Wyrwał się, by zaczerpnąć tchu.

- W sypialni nie ma okien, tak jak chciałaś.

- Gdzie? - spytała.

Wskazał otwarte drzwi, w które natychmiast go wepchnęła. Padł twarzą na materac. Odwróciła go i zerwała z niego džinsy, chwyciwszy je za pasek.

- Czyli podoba ci się? - spytał.

Rozdarła mu koszulę i przycisnęła go do materaca, trzymając jedną rękę na jego piersi, a drugą zdejmując z siebie spodnie. Weszła na niego i pocałunkiem stłumiła kolejne pytanie.

W końcu zrozumiał, odpowiedział pocałunkiem i próbował się dostosować do jej pośpiechu, a po chwili już wcale nie musiał próbować. Oderwała się od jego ust i poczuła, że wysuwają się jej kły. Jęknął, gdy wprowadziła go w siebie. Z jej piersi dobył się głośny pomruk, po czym odwróciła mu głowę na bok i ugryzła go w szyję.

- Au! - wrzasnęła. Przytrzymała go i warknęła przy jego szyi.

Kurz ze starego materaca wzbił się powietrze i wirował w rytmie ich ciał.

- O kurde! - krzyknął Tommy, wbijając palce w jej pośladki. Jody odpowiedziała kocim wrzaskiem, dochodząc, a potem opadła mu na pierś i zlizwała krew, która ciekła z nakłuc na jego szyi.

Drżała, a on pomiędzy jękami raz po raz powtarzał „o kurde”. Po kilku minutach sturlała się z niego.

Leżąc, czuła, jak przenika ją ciepła, ożywcza fala.

Tommy potarł szyję.

- Było cudownie - powiedział. - Niesamowicie. Jesteś... Przekreśliła się.

- Tommy, muszę ci coś powiedzieć.

- Jesteś piękna - dokończył.

Uśmiechnęła się do niego. Nagląca potrzeba ustąpiła miejsca poczuciu winy. Mogłam go zabić, pomyślała. Wyciągnął rękę i dotknął jej warg.

- Co masz na zębach? Skaleczyłaś się?

- To krew, Tommy. Twoja krew.

Znowu dotknął swojej szyi, która już całkowicie się zagoiła.

- Moja krew?

- Nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobiłam. Nigdy tak się nie czułam.

- Ja też nie. Było wspaniale!

- Jestem wampirem.

- W porządku - odparł. - W szkole średniej znałem taką jedną dziewczynę, która zrobiła mi malinę na pół szyi.

- Nie. Naprawdę jestem wampirem. - Patrzyła mu w oczy, nie uśmiechając się ani nie odwracając wzroku. Czekwała.

- Nie rób sobie ze mnie jaj, dobra? - powiedział.

- Widziałeś kiedyś, żeby ktoś tak zerwał dzinsy?
- To był mój zwierzęcy powab, nie? Wstała, podeszła do drzwi sypialni i zamknęła je, odcinając światło z pokoju.
- Widzisz coś?
- Nie - odparł.
- Pokaż palce. Nie mów mi, ile. Zrobił to.
- Trzy - stwierdziła. - Jeszcze raz. Usłuchał.
- Siedem.
- Kurde - powiedział. - Jesteś jakimś medium? Otworzyła drzwi. Do środka wlało się światło.
- Masz wspaniałe ciało - pochwalił.
- Dzięki. Muszę zrzucić dwa kilo.
- Zróbmy to jeszcze raz, ale bez butów.
- Tommy, musisz mnie posłuchać. To ważne. Nie żartuję. Jestem wampirem.
- Daj spokój, Jody, chodź. Zdejmę ci buty. Spojrzała w górę. Sześć metrów nad nimi wisiały odsłonięte stalowe belki.
- Patrz. - Skoczyła, złapała belkę i zawisała. - Widzisz?
- Kurde - powiedział.
- Masz tu jakąś książkę?
- W walizce.
- Przynieś.
- Uważaj. Jeszcze spadniesz.
- Przynieś książkę.

Poszedł do pokoju, patrząc w górę, gdy przechodził pod nią. Wrócił z książką Kerouaca.

- I co teraz? Zejdź na dół. Zaczynam się denerwować.
- Zamknij drzwi i otwórz książkę.

Zamknął drzwi i pomieszczenie znowu pograżyło się w ciemnościach. Jody przeczytała na głos pół strony, zanim znowu otworzył drzwi.

- Kurde - mruknął.

Puściła belkę i opadła na podłogę. Tommy cofnął się i usiadł na materacu.

- Jeśli postanowisz odejść, zrozumieć - powiedziała.

- Kiedy się kochaliśmy... byłaś w środku zimna.

- Słuchaj, nie chciałam ci zrobić krzywdy. Oczy mu się rozszerzyły.

- Rzeczywiście jesteś wampirem, prawda?

- Przepraszam. Potrzebowałam pomocy. Potrzebowałam kogoś.

- Naprawdę jesteś wampirem. - Tym razem było to stwierdzenie.

- Tak, Tommy. Jestem.

Namyślał się przez chwilę, po czym powiedział:

- To najfajniejsza rzecz, jaką w życiu słyszałem. Zróbmy to bez butów.

CZEŚĆ II - GNIAZDO

NAUKA LIZANIA

Zdjęli buty i zrobili to znowu. Za drugim razem nie spieszyli się tak bardzo i próbowali zrobić na sobie nawzajem wrażenie swoim repertuarem materacowych sztuczek. Jody uważała, by nie wyjść na zbyt doświadczoną, a Tommy starał się wykorzystać wszystko, co kiedykolwiek czytał, od Penthouse'a po National Geographic, bo nie chciał się wydać zbyt naiwny, jednocześnie tłumiąc w sobie ochotę, by przy każdym jej ruchu krzyknąć „o raju”. Po obu stronach było zbyt wiele myślenia, po wszystkim zaś oboje pomyśleli: no, było całkiem w miarę. Ostre kły Jody pozostały bezpiecznie schowane.

- Co krzyknąłeś na koniec? - spytała.

- To był okrzyk miłosny Bantu. Zdaje się, że tłumaczy się go jako „O, mała, wypoleruj spodek moich ust”.

- Ciekawe - stwierdziła.

Leżeli przez chwilę w milczeniu, odczuwając niepewność i lekkie zażenowanie. Fizyczna intymność, którą dzielili, nie znajdowała odzwierciedlenia w emocjach. Byli sobie obcy.

Tommy czuł, że powinien się zdobyć na jakieś osobiste wyznanie, by dorównać porażającemu zaufaniu, jakim go obdarzyła, wyznając swoją tajemnicę. Był bardzo zaciekawiony i lekko przestraszony zarazem. Nie chodziło przecież o to, że pokazała mu ukryty tatuaż. Była wampirem. Jak dorównać czemuś takiemu? I gdzie to zaklasyfikować? Pod „Przygoda”, pomyślał. Chciałem przygody, no i ją mam.

- Tommy - odezwała się, nie spoglądając na niego i mówiąc mniej więcej do sufitu. - Zrozumiem, jeśli nie zechcesz zostać, ale chciałabym, żebyś został.

- Jeszcze nigdy z nikim nie mieszkałem. To dla mnie coś nowego. Znaczy, masz w tym na pewno więcej doświadczenia niż ja.

- No, niezupełnie. Mieszkałam z paroma facetami.

- Paroma?

- Z dziesięcioma, zdaje się. Ale nie w takiej sytuacji.

- Z dziesięcioma? Musisz mieć swoje lata. Bez obrazy. Znaczy, wiedziałem, że jesteś starsza, ale myślałem, że o parę lat, a nie parę wieków.

Przekręciła się i spojrzała mu w oczy.

- Mam dwadzieścia sześć lat.

- Jasne, dwadzieścia sześć. Ale pewnie już od dawna tak wyglądasz. Pewnie masz zdjęcia z Abrahamem Lincolnem i takie tam, co?

- Nie, mam dwadzieścia sześć lat od mniej więcej sześciu miesięcy.

- Ale jak długo... znaczy... czy urodziłaś się jako...

- Jestem wampirem od czterech dni.

- Czyli masz dwadzieścia sześć lat.

- To właśnie mówię.

- I mieszkałaś z dziesięcioma facetami? Wyszła z łóżka i zaczęła zbierać swoje ubranie.

- Słuchaj, brak mi trzeźwej oceny sytuacji, jeśli chodzi o związki. Dobra? Odwrócił się od niej.

- No, wielkie dzięki.

- Nie chodziło mi o ciebie, tylko o przeszłość. Usiadł na brzegu materaca i zwiesił głowę.

- Czuję się wykorzystany.

- Wykorzystany? - Przeskoczyła przez materac i stanęła przed nim. - Wykorzystany? - Wsunęła mu palec pod brodę i uniosła głowę, żeby na nią popatrzeć. - Powierzyłam ci mój największy sekret.

Zaproponowałam, że będę dzielić z tobą życie.

- O, to rzeczywiście wyjątkowy przywilej. - Odsunął się od niej i dalej się dąsał.

Jody podniosła but z podłogi i szykowała się, by walnąć nim Tommy'ego, ale po chwili przypomniała sobie, co zrobiła Kurtowi, więc odrzuciła but z powrotem.

- Dlaczego zachowujesz się jak dupek?

- Napiałś się mojej krwi.

- Tak, no, przepraszam za to.

- Nawet nie spytałaś.

- A ty nie protestowałeś.

- Myślałem, że to był element seksu.

- Bo był.

- Był? - Przestał się dąsać i podniósł na nią wzrok. - Kręci cię to? Jody zastanowiła się: dlaczego mężczyźni nigdy nie są gotowi na promieniowanie radioaktywne po wybuchu? Dlaczego nie mogą po prostu przez to przejść, tylko stają się mazgajami albo agresywnymi dupkami? Nie rozumieją, że przytulanie się po wszystkim nie ma nic wspólnego z ciepłymi, słodkimi uczuciami. To po prostu najmądrzejszy sposób na przetrwanie postkoitalnej depresji.

- Tommy, miałam taki orgazm, że zwinęły mi się palce u nóg. Jeszcze z żadnym mężczyzną tak się nie czułam.

Ile razy już to mówiłam? - pomyślała.

- Tak? Skinęła głową.

Uśmiechnął się, dumny z siebie.

- Zróbmy to jeszcze raz.

- Nie, musimy porozmawiać.

- Dobra. Ale potem...

- Ubierz się.

Wyskoczył nagi z sypialni, by zabrać z walizki świeżą parę dżinsów. Gdy się ubierał, przez głowę przepływały mu nieskończone możliwości, jakie daje życie. Zaledwie tydzień temu miał przed sobą perspektywę życia w przemysłowym miasteczku - pracy, ochrony związków, kolejnych fordów na kredyt, hipoteki, zbyt wielu dzieci i żony, która utyje. Jasne, odpowiedzialność i utrzymywanie rodziny miały w sobie pewien szlachetny rys — choć tam nie sposób było się bez tego obyć. Ale kiedy w osiemnaste urodziny usłyszał od ojca, że powinien zacząć planować emeryturę, poczuł, że przyszłość zaciska się na nim niczym anakonda. Ojciec wyraźnie dał mu do zrozumienia, że pieniędzy na koledz nie ma, więc kiedy Tommy poprzymiera już głodem w wielkim mieście, będzie mógł wrócić do domu, podjąć pracę w fabryce i zacząć wreszcie dorosłe życie. Ale nie teraz. Teraz był facetem z San Francisco, częścią świata.

Stworzył związek z wampirem i zagrożenie zwykłym nudnym życiem całkowicie zniknęło. Wiedział, że powinien się bać, ale za bardzo się cieszył, żeby o tym myśleć.

Wcisnął się w dżinsy i wbiegł z powrotem do sypialni, gdzie Jody się ubierała.

- Jestem głodny - powiedział. - Wyjdźmy coś zjeść.

- Nie mogę jeść - oznajmiła.

- W ogóle?

- O ile mi wiadomo, w ogóle. Nie mogę nawet wypić szklanki wody.

- No, no. A musisz codziennie pić krew?

- Nie wydaje mi się.

- A czy to musi być... znaczy, możesz używać zwierząt czy muszą to być ludzie? Jody pomyślała o ćmie, którą zjadła, i poczuła się tak, jakby wychyliła koktajl zmieszany z dwóch części wstydu i pięciu części obrzydzenia ze szczyptą mdłości.

- Nie wiem. Nie dostałam żadnych instrukcji.

Skakał po całym pomieszczeniu niczym nadpobudliwe dziecko.

- Jak to się stało? Sprzedałaś duszę Szatanowi? Czy ja też zmienię się w wampira? Macie jakieś sabaty czy coś? Podeszła do niego.

- Słuchaj, nie wiem. Nic nie wiem. Daj mi się ubrać i pójdziemy po coś do jedzenia dla ciebie.

Później wyjaśnię, dobra?

- Nie musisz mnie ranić.

- A może muszę - warknęła, zaskoczona jadem w swoim głosie.

Cofnął się od niej, ze strachu szerzej otwierając oczy. Czowała się okropnie. Dlaczego to powiedziałam? To się zdarzało zbyt często, taka utrata panowania nad sobą - pokazanie oparzonej ręki menelowi w autobusie, znokautowanie Kurta, zjedzenie ćmy, a teraz pogrożki. W żadnej z tych sytuacji nie podjęła świadomej decyzji. Zupełnie jakby wampiryzm wiązał się z niepohamowanym, jadowitym przypadkiem napięcia przedmiesiączkowego.

- Przepraszam, Tommy. Jest mi trudno.

- W porządku. - Podniósł dzinsy, które zniszczyła, i zaczął opróżniać kieszenie. - Chyba nadają się do wyrzucenia. - Wyciągnął wizytówkę, którą dał mu dyrektor motelu. - O, zapomniałem ci powiedzieć.

Ten gliniarz chce z tobą pogadać.

Jody przerwała wkładanie butów.

- Gliniarz?

- Tak, zeszłej nocy pod motelem ktoś zabił starszą kobietę. Kiedy przyszedłem rano, wokół roило się od glin. Chcieli rozmawiać ze wszystkimi, którzy mieszkali w motelu.

- Jak ona zginęła? Wiesz?

- Ktoś skręcił jej kark i... - Urwał i wbił w nią spojrzenie, cofając się w stronę łazienki.

- Co? - spytała. - Miała skręcony kark i co?

- Straciła dużo krwi - szepnął. - Ale nie było żadnych ran. - Wpadł do łazienki i zatrzasnął drzwi.

Jody usłyszała, że przekręca zamek.

- Nie zabiłam jej, Tommy.

- W porządku - odparł.

- Otwórz drzwi. Proszę.

- Nie mogę. Robię siusiu. - Odkręcił wodę.

- Wyjdź, nie zrobię ci krzywdy. Chodźmy po coś do jedzenia dla ciebie. Wszystko wyjaśnię.

- Idź, idź - powiedział. - Dogonię cię. Kurczę, naprawdę musiałem iść do łazienki. Pewnie dlatego, że wypilem dziś tyle kawy,

- Tommy, przysięgam, że dowiedziałam się o tym dopiero od ciebie.

- No proszę - powiedział przez drzwi. - Znalazłem ten krzyżyk, który zgubiłem w zeszłym tygodniu.

A to co? Moja szczęśliwa fiołka z wodą święconą.

- Przestań. Nic ci nie zrobię. Nikogo nie chcę skrzywdzić.

- O, mój wieniec z czosnku. Nie pamiętałem, co z nim zrobiłem.

Jody chwyciła klamkę i pociągnęła. Klamka poszła w drzazgi, a drzwi wyleciały z zawiasów. Tommy dał susa do wanny, po czym wyjrzał ponad krawędzią.

- Chodźmy po coś do jedzenia - powiedziała. - Musimy pogadać.

Wstał powoli, gotów zanurkować do otworu odpływowego, gdyby zrobiła jakiś ruch. Cofnęła się.

Spojrzał na zniszczoną framugę.

- Potrąca nam z kaucji. Wiesz o tym? Jody odrzuciła drzwi na bok i podała mu rękę, by pomóc mu wyjść z wanny.

- Mogę ci kupić frytki? Bardzo bym chciała popatrzeć, jak jesz frytki.

- To chore, Jody.

- W porównaniu z czym? Doszli do Market Street, gdzie nawet o dziesiątej na chodnikach roiło się od mętów i prostytutek, a także pediatrów, którzy zdołali uciec z centrum konferencyjnego Moscone i udać się na poszukiwanie hamburgerów, pizzy i piwa w samym sercu San Francisco. Jody patrzyła na widma gorąca, ciągnące się za przechodniami, podczas gdy Tommy rozdawał monety niczym duch policjantki, która przez całe życie wręczała mandaty i teraz próbowała odkupić winy.

Włożył ćwierćdolarówkę w rękawiczkę bez palców należącą do kobiety, która udawała robota, ale wyglądała raczej jak golem, świeżo ulepiony z mułu wybranego z rynsztoka. Jody zobaczyła wokół niej czarną aurę, jak wokół starca w autobusie. Czowała rozkład i otwarte rany. Odciągnęła Tommy'ego.

Kilka kroków dalej odezwała się:

- Wiesz, nie musisz dawać im wszystkim pieniędzy tylko dlatego, że proszą.

- Wiem, ale jeśli daję im pieniądze, to potem przed zaśnięciem nie widzę ich twarzy.

- Tak naprawdę wcale im nie pomagasz. Ona kupi za to alkohol albo narkotyki.

- Na jej miejscu też bym tak zrobił.

- Słuszna uwaga - przyznała Jody. Wzięła go za rękę i poprowadziła do baru z hamburgerami o nazwie No Guilt. Pomarańczowe stoliki z laminatu nad wykładziną w kolorze biurowej szarości, wielkie podświetlone zdjęcia lśniącego tłuszczem jedzenia, rodziny radośnie pochłonięte wspólnym zatykaniem sobie arterii. - Może być?

- Rewelacja - odparł.

Zajęli stolik przy oknie i Jody zadrżała, gdy Tommy zamówił zestaw hamburgerów i pudełko frytek.

- Opowiedz mi o tej kobiecie, która zginęła - poprosiła.

- Miała psa, małego, szarego psa. Znaleźli ją razem z tym psem w śmietniku przy motelu. Była stara.

Teraz już zawsze będzie stara.

- Słucham?

- Ludzie na zawsze pozostają w wieku, w którym zmarli. Mój starszy brat zmarł na białaczkę, kiedy miałem sześć lat. On miał osiem. Kiedy o nim myślę, zawsze widzę ośmiolatka, a mimo to ciągle jest moim starszym bratem. Nigdy się nie zmienia, tak jak nie zmienia się ta część mnie, która go pamięta. A ty?

- Nie mam rodzeństwa.

- Nie, chodziło mi o to, czy pozostaniesz taka sama. Czy już zawsze będziesz wyglądała tak jak teraz.

- Nie zastanawiałam się nad tym. To pewnie możliwe. Na pewno wiem, że od czasu przemiany bardzo szybko wracam do zdrowia.

Kelnerka przyniosła jedzenie. Tommy wycisnął keczup na frytki i ruszył do ataku.

- Mów - powiedział z ustami pełnymi hamburgera. Jody powoli zaczęła swoją opowieść, z zazdrością patrząc na każdy jego kęs. Najpierw opowiedziała o swoim życiu przed atakiem, o dorastaniu w Monterey i o tym, jak porzuciła koledż, gdy wydawało jej się, że życie płynie zbyt wolno. Potem o przeprowadzce do San Francisco, o swoich posadach i miłościach, a także o kilku lekcjach, które dostała od życia. Opowiedziała o tej nocy, kiedy nastąpił atak, aż przesadzając ze szczegółami, i zdała sobie sprawę, jak niewiele rozumie z tego co ją spotkało. Opowiedziała o przebudzeniu, o przemianie, jakiej uległy jej zmysły i siła. I właśnie wtedy zaczęło jej brakować słów. Nie dało się opisać części tego co widziała i czuła. Wspomniała o telefonie w motelu i o drugim wampirze, który ją śledził.

Kiedy skończyła, miała w głowie jeszcze większy mętlik niż przedtem.

- Czyli nie jesteś nieśmiertelna - stwierdził Tommy. - Powiedział, że możesz zostać zabita.

- Zdaje się, że tak. Nie mam wrażenia, że się zmieniam. Zniknęły wszystkie blizny z dzieciństwa, zmarszczki. Moje ciało chyba trochę zyskało.

Uśmiechnął się.

- Faktycznie masz wspaniałe ciało.

- Mogłabym zrzucić ze dwa kilo - odparła. Wzięła głęboki wdech i nagle szeroko otworzyła oczy, jakby sobie przypomniała o materiałach wybuchowych, które zostawiła w piekarniku. - O mój Boże!

- Co? - Rozejrzał się dookoła, sądząc, że zobaczyła coś przerażającego i niebezpiecznego.

- To straszne.

- Co? - nie ustępował.

- Właśnie do mnie dotarło, że zawsze będę jak pulpet. Mam dzinsy, w które nigdy się nie wcisnę.

Zawsze będę ważyła o te dwa kilo za dużo.

- I co z tego? Każda kobieta, którą znałem, uważała, że musi zrzucić dwa kilo.

- Ale one mają szansę, mają nadzieję. A ja jestem skazana na nadwagę.

- Mogłabyś przejść na płynną dietę.

- Bardzo śmieszne. - Uszczypnęła się w biodro, by potwierdzić swoje spostrzeżenie. - Dwa kilo.

Gdyby tak poczekał z tym atakiem jeszcze tydzień. Byłam na diecie jogurtowo-grejpfrutowej. Dałabym radę. I już zawsze byłabym szczupła. - Uświadomiła sobie, że się zadręcza, więc skupiła się na Tommym.

- A w ogóle jak tam twoja szyja? Potarł miejsce, w które go ugryzła.

- W porządku. Nie wyczuwam żadnego śladu.

- Nie czujesz się osłabiony?

- Nie bardziej niż zwykle. Uśmiechnęła się.

- Nie wiem, ile... To znaczy, nie mam żadnego sposobu, żeby cokolwiek zmierzyć.

- Nic mi nie jest. To było nawet sexy. Zastanawiam się tylko, jakim cudem tak szybko się zagoiło.

- Zdaje się, że to tak działa.

- Zróbmy małą próbę. - Wyciągnął rękę do jej twarzy. - Poliz mój palec.

Odepchnęła jego dłoń.

- Tommy, skończ jeść, a potem możemy zrobić to w domu.

- Nie, to eksperyment. Porobiły mi się skórki od rozcinania pudeł w sklepie. Chcę sprawdzić, czy to wyleczysz. - Dotknął jej dolnej wargi. - No już, poliz.

Niepewnie wysunęła język i polizała czubek jego palca, a potem wzięła go do ust i przesunęła po nim językiem.

- Rany - powiedział. Wyciągnął palec i spojrział. Rozcięta, oderwana skórka przy paznokciu zniknęła.
- To genialne. Zobacz.

Uważnie obejrzała palec.

- Podziałało.

- Jeszcze jeden. - Wsunął jej do ust drugi palec. Wypluła go.

- Przestań.

- No dalej. - Nacisnął na jej usta. - Prooooooszę.

Rosły facet w bluzie Forty-Niners nachylił się do niego od sąsiedniego stolika.

- Koleś, możesz zbastować? Tu są moje dzieci.

- Przepraszam - powiedział Tommy, wycierając ślinę wampira w koszulę. - Robiliśmy tylko taki eksperyment.

- Dobra, ale to nie jest odpowiednie miejsce, tak?

- Jasne - odparł Tommy.

- Widzisz? - szepnęła Jody. - Mówiłam.

- Chodźmy do domu - powiedział. - Mam pęcherz na dużym palcu u nogi.

- Nie ma, kurwa, mowy, gryzipiórku.

- Nie ma dużo kalorii - namawiał, szturchając jej stopę swoim trampkiem. - Smaczny i zdrowy.

- Ani mi się śni. Westchnął z rezygnacją.

- Dobra, chyba mamy poważniejsze zmartwienia niż mój palec czy twoja nadwaga.

- Na przykład jakie?

- Na przykład takie, że wczoraj na parkingu przed sklepem widziałem gościa, który chyba jest tym drugim wampirem.

Gdy wrócili, na chodniku naprzeciwko poddasza spał jakiś menel. Tommy, pełen strawy z baru szybkiej obsługi oraz radości wywołanej dwukrotnym bzykaniem, chciał mu dać dolara. Jody zatrzymała go i wepchnęła na schody.

- Włóż na górę - powiedziała. - Przyjdę za chwilę. Stała w drzwiach i przez chwilę patrzyła na kloszarda. Nie było wokół niego nimbu gorąca, więc założyła najgorsze. Czekala, aż się odwróci na drugi bok i znowu zacznie z niej śmiać. Po porcji krwi Tommy'ego czuła siłę i pewność siebie, więc musiała stłumić ochotę, by stawić wampirowi czoło, by stanąć z nim twarzą w twarz i wrzasnąć. Szepnęła więc po prostu „duppek” i zamknęła drzwi. Jeśli miał równie czuły słuch jak ona, w co nie wątpiła, na pewno ją usłyszał.

Zastała Tommy'ego w łóżku, śpiącego jak kamień.

Biedak, pomyślała. Biegał po całym mieście i załatwiał moje sprawy. Pewnie nie spał dłużej niż parę godzin, odkąd się spotkaliśmy.

Nakryła go kołdrą, pocałowała w czoło i podeszła do okna w pokoju, by popatrzeć na menela po drugiej stronie ulicy.

Tommy śnił o bebopowych zdaniach, czytanych przez nagą rudowłosą kobietę, gdy zbudził się i zobaczył, że ta kobieta śpi obok niego. Objął ją i przyciągnął, ale nie doczekał się żadnej reakcji, żadnego jęku czy odwzajemnionego uścisku. Była nieprzytomna.

Nacisnął guzik podświetlenia na zegarku i sprawdził godzinę. Dochodziło południe. W pomieszczeniu było tak ciemno, że wskazówka latała mu przez kilka sekund przed oczami, kiedy już puścił guzik.

Poszedł do łazienki i przez chwilę szukał po omacku, aż znalazł włącznik światła. Pojedyncza świetlówka pyknęła, zafurczała i w końcu się zapaliła, rozsiewając zielonkawy blask przez drzwi do sypialni.

Wygląda jak martwa, pomyślał. Spokojna, ale martwa. A potem przejrzał się w lustrze. Ja też wyglądam jak martwy.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to blask świetlówki usunął mu z twarzy oznaki życia, a nie jego dziewczyna-wampirzyca. Posłał sobie poważne spojrzenie i pomyślał o tym, jak opiszą go za sto lat, gdy już będzie naprawdę sławny i naprawdę martwy.

Jak wielu wielkich pisarzy, Flood charakteryzował się niespokojnym wejrzeniem i niezdrową bladością, zwłaszcza w blasku świetlówki. Zdaniem tych, którzy go znali, już w tym wczesnym okresie dało się wyczuć, że ten młodzieniec zasłynie jako wielki literat, a także wulkan seksu. Jego drogę przez życie znaczył szlak wspaniałych ksiązek i złamanych serc. Choć powszechnie wiadomo, że miłość jego życia przyprawiła go o zgon, wcale tego nie żałował, co udowodnił choćby w swojej przemowie po otrzymaniu Nagrody Nobla: „Poszedłem za swoim penisem do piekła i wróciłem z gotową historią”.

Tommy pokłonił się głęboko przed lustrem, uważając, by medal za Nobla nie brzęknął o umywalkę, po czym rozpoczął wywiad ze sobą, głośno i wyraźnie mówiąc do szczoteczki do zębów.

- Po pierwszej udanej przejażdżce autobusem uświadomiłem sobie, że San Francisco należy do mnie. To tam stworzyłem swoje najlepsze dzieła, tam też poznałem swoją pierwszą żonę, uroczą, choć mocno niezrównoważoną Jody...

Zamachał mikrofonem-szczotką, jakby wspomnienia były zbyt bolesne, ale prawdę mówiąc, usiłował sobie przypomnieć nazwisko Jody. Uznał, że powinno być to jej nazwisko panięńskie, choćby z przyczyn historycznych.

Zajrzał do sypialni, gdzie uroczą, choć mocno niezrównoważoną Jody spała nago na materacu, na wpół przykryta kołdrą. Pomyślał, że się nie obrazi, jeśli ją obudzi. Nie musi iść do pracy ani nic.

Podszedł do łóżka i dotknął jej policzka.

- Jody - szepnął. Ani drgnęła. Lekko nią potrząsnął.

- Jody, kochanie. Nic.

- Ej - powiedział, łapiąc ją za ramiona. - Ej, obudź się. - Nie zareagowała.

Ściągnął z niej kołdrę. Tak samo robił jego ojciec w chłodne zimowe poranki, gdy Tommy nie chciał wstać do szkoły.

- Pobudka, żołnierzu! Dupa do góry i nogi na podłogę! - rzucił, naśladując, na ile potrafił, głos surowego sierżanta.

Wyglądała naprawdę świetnie, gdy tak leżała naga w słabym świetle z łazienki. Trochę się podniecił.

Jak bym się poczuł, myślał, gdybym się obudził i zobaczył, że się ze mną kocha? Hmm, pewnie byłbym mile zaskoczony. To chyba lepsza pobudka niż zapach smażonego bekonu i niedzielne kreskówki.

Tak, na pewno będzie zadowolona.

Wpełzł do łóżka i ostrożnie ją pocałował. Była trochę zimna i nie poruszała żadnym mięśniem, ale był pewien, że to się jej podoba. Przeciągnął palcem przez dolinkę między jej piersiami, a potem po brzuchu.

A co, jeśli się nie obudzi? Jeśli to zrobimy, a ona ciągle będzie spała? Jak bym się czuł, gdybym się obudził i usłyszał od niej, że zrobiliśmy to, kiedy spałem? Nie miałbym nic przeciw temu. Byłoby mi trochę smutno, że tyle mnie ominęło, ale na pewno bym się nie pogniewał. Może bym ją tylko spytał, czy było mi dobrze. No, ale kobiety są inne.

Połaskotał ją, by uzyskać jakąkolwiek reakcję. Znowu ani drgnęła.

Jest taka zimna. Jeśli w ogóle się nie poruszy, może być trochę strasznie. Chyba lepiej poczekam.

Powiem jej, że o tym myślałem, ale uznałem, że to nie byłoby uprzejme. Spodoba jej się taki tekst.

Westchnął głęboko, wstał i przykrył ją kołdrą. Powinienem jej coś kupić, pomyślał.

Jody gwałtownie odzyskała świadomość i poczuła, że gryzie coś twardego. Otworzyła oczy i zobaczyła, że na krawędzi materaca siedzi Tommy. Uśmiechnęła się.

- Dzień dobry - powiedział.

Sięgnęła do tego, co miała w ustach.

Złapał ją za rękę.

- Nie gryź. To termometr. - Spojrzał na zegarek, a potem wyciągnął jej termometr z ust i odczytał temperaturę. - Trzydzieści pięć i jeden. Zbliżasz się.

Usiadła i popatrzyła na termometr.

- Do czego? Uśmiechnął się nieśmiało.

- Do temperatury ciała. Kupiłem ci koc elektryczny. Jest włączony od sześciu godzin.

Przeciągnęła dłonią po kocu.

- Ogrzewałeś mnie?

- Fajnie, co? - odparł. - Poszedłem też do biblioteki i przyniosłem książki. Czytałem całe popołudnie.

- Wziął stertę książek i zaczął je przekładać, czytając tytuły i podając jej kolejne tomy. - Przewodnik po wampiryzmie. Mity i legendy o wampirach. Te, które czają się nocą... dość złowrogi tytuł, nie? Trzymała książki tak, jakby zrobiono je z robaczywych owoców. Okładki przedstawiały powstające z trumien straszliwe stwory, napadające na mniej lub bardziej roznegliżowane kobiety oraz włóczące się po zamczyskach na wysokich skałach. Litery na okładkach ociekały krwią.

- To wszystko o wampirach?

- To książki niebeletrystyczne, które akurat mieli. Zamówiłem więcej, ściągną z innych bibliotek. A zobacz beletrystykę. - Podniósł z podłogi drugą stertę.

- Uczta krwi. Czerwone pragnienie. Kły. Drakula. Marzenie Drakuli. Dziedzictwo Drakuli. Ostatni rejs „Fevre Dream”. Wampir Lestat. Powstało ze sto takich powieści.

Nieco oszołomiona Jody przyglądała się książkom.

- Mam wrażenie, że na tych okładkach powtarza się pewien motyw.

- Tak - potwierdził Tommy. - Wampiry najwyraźniej mają słabość do bielizny. Masz może upodobanie do seksownych koszulek nocnych?
- Raczej nie. - Jody zawsze uważała, że to trochę głupie wydawać masę pieniędzy na coś, co wkładasz tylko po to, by ktoś zaraz to z ciebie zdjął. Wnioskując jednak z tych okładek, wampiry uważały bieliznę za smakowity dodatek.
- Dobra - powiedział Tommy, podnosząc z podłogi notes i odhaczając jakiś punkt. - Brak zamiłowania do bielizny. Zrobiłem listę wampirzych cech z rubrykami „prawda” i „fałsz”. Ponieważ ominął cię wykład, musimy po prostu poszczególne punkty przetestować.
- Jaki wykład? Odłożył długopis i spojrzał na nią tak, jakby stanęła w kolejce do kasy ekspresowej z wózkiem pełnym artykułów spożywczych i czekiem bez pokrycia.
- Wiadomo, że w każdej powieści o wampirach jest wykład wyjaśniający. Zwykle wygłasza go jakiś stary profesor z dziwnym akcentem, czasem inny wampir. Ciebie wykład najwyraźniej ominął.
- Na to wygląda - przyznała Jody. - Widocznie byłam zajęta gonieniem kobiety w bieliźnie.
- W porządku - odparł Tommy i znów zajął się listą. — Bez wątpienia nie musisz spać w rodzimej ziemi. – Odhaczył punkt. - Wiemy też, że ci, których ugryziesz, niekoniecznie stają się wampirami.
- Nie. Dupkami to może tak...
- Nieważne - powiedział i przeszedł do następnego punktu. - Dobra, światło słoneczne ci szkodzi. - Odhaczył. - Możesz wejść do domu bez zaproszenia. A co z płynącą wodą?
- Jak to co?
- Podobno wampiry nie mogą wejść do płynącej wody. Próbowalaś wejść do jakiejś płynącej wody?
- Parę razy brałam prysznic.
- W takim razie to będzie fałsz. Chuchnij. - Pochylił się do niej.
- Dopiero się obudziłam. Najpierw umyję zęby.
- Wampiry mają jakoby „cuchnący oddech drapieżnika” albo, w niektórych przypadkach, „oddech jak woń rozkładu z prosektorium”. No dalej, chuchnij.
- Jody z ociąganiem chuchnęła mu w twarz. Usiadł i zaczął rozmyślać nad listą.
- No i? - spytała.
- Myślę. Muszę wyjąć słownik z walizki.
- Po co?

- Nie jestem pewien, co to jest prosektorium.

- Mogę umyć zęby, kiedy będziesz sprawdzał?

- Nie, czekaj, może będę musiał powąchać jeszcze raz. - Podeszedł do walizki i wyłowił słownik.

Kiedy szukał „prosektorium”, Jody złożyła dłonie i powąchała własny oddech. Pachniał dość paskudnie.

- Jest - powiedział, stukając palcem w definicję. - „Rzeczownik rodzaju nijakiego. Budynek lub pomieszczenie, w którym dokonuje się sekcji zwłok. Patrz też: poranny oddech”. Chyba możemy oznaczyć to jako „prawda”.

- Mogę już umyć zęby? - Jasne. Weźmiesz prysznic?

- Chciałabym. A co?

- Mogę ci pomóc? Wiesz, w temperaturze pokojowej jesteś znacznie atrakcyjniejsza.

Uśmiechnęła się.

- Wiesz jak zauroczyć dziewczynę. - Wstała i poszła do łazienki. Tommy czekał na materacu.

- No chodź! - zawołała, odkręcając wodę.

- Przepraszam - odparł, zrywając się na równe nogi i wyswobadzając z koszuli.

Zatrzymała go przy drzwiach łazienki, kładąc mu dłoń na piersi.

- Chwileczkę, drogi panie. Mam pytanie.

- Dawaj.

- Mężczyźni to świnię. Prawda czy fałsz?

- Prawda! - krzyknął.

- Odpowiedź prawidłowa! Wygrał pan! - Rzuciła mu się w ramiona i pocałowała go.

TEMAT MIESIĄCA: OBLICZA STRACHU

Simon McQueen wlażł kiedyś na grzbiet tony wkurzonej wołowiny o imieniu Muffin, po czym został stratowany na miążgę na oczach zdumionego tłumu miłośników rodeo, ale i tak zdołał uszczypnąć sanitariuszkę w tyłek, gdy zabierano go na noszach, i zaśpiewać przy tym nieco przekreconą wersję „I’ve Got Friends in Low Places”. Simon McQueen wdał się kiedyś w bójkę z bandą skinheadów i

trzech spośród nich zdołał pozbawić przytomności, zanim ciosy nożem w brzuch i glanem w głowę sprawiły, że stał się bezradny. Simon wyskoczył z samolotu, spadł z dachu kościoła luterańskiego, staranował radiowóz swoim pikapem, przeschmugłował pół tony marihuany przez granicę z Meksykiem w wypchanej krowie i dla draki przepłynął połowę dystansu na wyspę Alcatraz, zanim Straż Przybrzeżna wyłowiła go i ocuciła. Zrobił to wszystko bez cienia strachu. Ale tej nocy, rozłożony na kasie numer 3 w swoich obcisłych wranglerach i butach Tony Lama ze skóry zwierząt zagrożonych wyginięciem, ze srebrnymi ostrogami i czarnym stetsonem na twarzy - Simon McQueen bał się.

Bał się, że jedna z dwóch jego wielkich tajemnic wyjdzie na jaw.

Reszta Zwierzaków opowiadała sobie nawzajem o swoich weekendowych przygodach, ubarwiając wątki dotyczące balang i panienek, podczas gdy Clint zapewniał Boga, że tamci nie wiedzą, co czynią.

Simon usiadł, odsunął stetsona z twarzy i powiedział:

- Żaden z was nie dałby sobie rady z dupą, nawet gdyby nasadzili ją wam na głowę.

Zamilkli, każdy bowiem zastanawiał się, jak w nowatorski i budzący podziw sposób powiedzieć „spierdalaj”, gdy w drzwiach pojawił się Tommy.

- Nieustraszony Przywódca! - wykrzyknął Lash. Tommy uśmiechnął się i zasymulował stepowanie.

- Panowie - powiedział - wyciągnąłem rękę i dotknąłem oblicza Boga.

Simon bardzo się zdenerwował, że przeszkadzają mu w ponurych rozmyślaniach.

- Co się stało, poszedłeś na Castro Street i dałeś się nawrócić? Na ten komentarz Tommy machnął ręką.

- Nie, Sime... mogę ci mówić „Sime”, prawda? Widzisz, zeszłej nocy, mniej więcej o tej porze - tu zerknął na zegarek - pod sufitem mojego nowego mieszkania wisiała ruda dziewczyna i czytała mi na głos Kerouaca. Jeśli teraz umrę, będę wiedział, że nie zmarnowałem życia. Jestem gotowy do pracy. Jak tam dostawa?

- Duża - odparł Troy Lee. - Trzy tysiące skrzyń. Ale najgorsze, że czytnik się zepsuł. Trzeba będzie użyć książek zamówień.

Słowa Troya wywołały u Simona ból podobny do ostrej niestrawności. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie iść do domu, symulując chorobę, ale wiedział, że bez jego pomocy Zwierzaki nie dadzą rady dokończyć rozładunku do rana. Strach ścisnął go za gardło. Nie potrafił posługiwać się książką zamówień.

Simon McQueen nie umiał czytać.

- No to do roboty - powiedział Tony.

Zabrali się do pracy z zapamiętaniem, jakie zwykle przejawiali tylko na imprezach. Świszczały nożyki do cięcia pudeł, strzelały metkownice, a przy krańcach regałów puste kartony piętrzyły się na wysokość ramion.

Musieli nie tylko poradzić sobie z wyjątkowo dużą dostawą, ale jeszcze wygospodarować dodatkową godzinę na wypełnienie zamówień. Zazwyczaj sprawę załatwiał czytnik kodów kreskowych, ale skoro się zepsuł, każdy z nich musiał się zająć odręcznym wpisywaniem towarów do wielkiej książki zamówień, pod postacią segregatora z luźnymi kartkami. Przed piątą rano większość dostawy znalazła się na półkach, a Simon McQueen rozważał pomysł, czy nie upuścić noża i skaleczyć się w nogę, dzięki czemu mógłby się schronić w ambulatorium. Ale wtedy światło dzienne mogłoby ujrzeć tajemnica jeszcze gorsza niż analfabetyzm. Tommy wszedł między regały, gdzie znajdował się Simon, niosąc książkę zamówień.

- Lepiej zacznij, Sime. - Podał mu książkę i ołówek.

- Mam jeszcze sto skrzynek do rozładowania - odparł Simon, nie podnosząc wzroku. - Niech ktoś inny zacznie.

- Nie, masz największy dział. Dawaj. - Tommy szturchnął go książką w ramię.

Simon podniósł głowę, a potem rzucił nóż i powoli wziął segregator. Otworzył go i popatrzył na pierwszą stronę, potem na półkę, potem znowu na papier.

- Nie przesadzaj z zamówieniami na soki, mamy spory zapas w magazynie.

Simon skinął głową i spojrzał na książkę, a następnie na półkę z warzywami przed sobą.

- Nie ta strona, Simon - zauważył Tommy.

- Wiem - warknął Simon w odpowiedzi. - Po prostu szukam. - Zaczął przewracać kartki, po czym zatrzymał się na stronie z dodatkami do ciast i znów popatrzył na półkę z warzywami. Czuł na sobie spojrzenie Tommy'ego i marzył, by ten chudy, mały, pedałowaty mól książkowy, ten fiutek i skurwiel poszedł sobie i zostawił go w spokoju.

- Simon.

Simon podniósł błagalny wzrok.

- Daj mi książkę - poprosił Tommy. - Myślę, że wypełnię dziś zamówienia ze wszystkich działów.

Będziecie mieli więcej czasu na układanie towarów, a ja i tak muszę się lepiej zapoznać ze sklepem.

- Umiem to zrobić - powiedział Simon.

- Wiem - odparł Tommy i wziął książkę. - Ale po co marnować twoje zdolności na te bzdury? Gdy się oddalał, Simon po raz pierwszy tej nocy wziął głęboki wdech.

- Flood! - zawołał. - Stawiam piwo po fajrancie. Tommy nie obejrzał się.

- Wiem - powiedział.

Jody stała przy oknie na pograżonym w mroku poddaszu, patrząc na menela leżącego na chodniku po drugiej stronie ulicy i klnąc pod nosem. Wyoś się, draniu, myślała. Mimo to miała pewne poczucie bezpieczeństwa wynikające ze znajomości pozycji wroga. Dopóki ten tutaj leżał na chodniku, Tommy był bezpieczny w sklepie.

Nigdy wcześniej nie czuła potrzeby, by kogoś chronić. Zawsze była po drugiej stronie, to ona szukała ochrony, silnego ramienia, na którym mogłaby się oprzeć. Teraz sama była silnym ramieniem, przynajmniej po zachodzie słońca. Odprowadziła Tommy'ego po schodach na dół i zaczęła z nim na taksówkę, która zawiozła go do pracy. Gdy patrzyła za odjeżdżającym samochodem, pomyślała, że pewnie właśnie tak czuła się mama, kiedy pierwszy raz odprowadziła ją do szkolnego autobusu, tyle że Tommy nie ma pudełka na drugie śniadanie z namalowaną Barbie. Nie spuszczała z oczu wampira leżącego po drugiej stronie ulicy.

Mijały godziny, a ona raz za razem zadawała sobie te same pytania, nie znajdując rozwiązania swojego problemu ani nie dostrzegając żadnej logiki w zachowaniu wampira. Czego chciał? Dlaczego zabił staruszkę i zostawił ją w śmietniku? Czy próbował ją przerazić albo zastraszyć, czy może w tym wszystkim kryło się jakieś przesłanie? „Nie jesteś nieśmiertelna. Wciąż możesz zostać zabita”.

Jeśli chciał ją zabić, dlaczego po prostu tego nie zrobił? Po co udawać śpiącego kloszarda, obserwować ją, czekać? Przed brzaskiem musiał znaleźć schronienie. Jeśli go przetrzymam, to może... Może co? Nie mogę iść za nim, bo i mnie dopadnie słońce.

Poszła do sypialni i z plecaka wyjęła kalendarz, który dał jej Tommy. Słońce wstanie o 6:12.

Spojrzała na zegarek. Miała godzinę.

Czekała przy oknie do szóstej, a potem wyszła, by stawić wampirowi czoło. Wychodząc, odruchowo wyciągnęła rękę, by zgasić światło, i wtedy zdała sobie sprawę, że wcale go nie zapaliła. Jeśli to przeżyję, pomyślała, zaoszczędzę majątek na rachunkach.

Nie zamknęła drzwi na klucz, zeszła na dół i podparła drzwi przeciwpożarowe puszką po napoju, znalezionej na klatce schodowej. Być może będzie musiała szybko wrócić do środka, a nie chciała, żeby zatrzymały ją zamki i klucze.

Aż buzowała w środku, gdy podchodziła do wampira, a instynkt walki lub ucieczki przeszywał ją jak błyskawica. Kilka metrów dalej poczuła bijący od wampira odór rozkładu. Zatrzymała się i głośno przełknęła ślinę.

- Czego właściwie chcesz? - spytała.

Wampir ani drgnął. Jego twarz zasłaniał gruby kołnierz płaszcza.

Zrobiła kolejny krok naprzód.

- Co mam robić? Smród stał się silniejszy. Skupiła uwagę na rękach wampira, chcąc dostrzec jakiś ruch, który ostrzegłby ją przed ewentualnym atakiem. Nic takiego nie nastąpiło.

- Odpowiadaj! - zażądała.

Podeszła i odsunęła mu kołnierz z twarzy. Zobaczyła zamglone oczy i kość sterczącą z szyi. W tym momencie na jej twarzy zacisnęła się dłoń, która zwała ją z nóg.

Próbowała sięgnąć za siebie i podrapać twarz napastnika, ale szarpnął nią w bok. Otworzyła usta do krzyku i wtedy dwa jego palce wsunęły się jej do ust. Z całej siły zacisnęła zęby. Rozległ się krzyk i była wolna.

Odwróciła się do napastnika, gotowa do walki, z jego odciętymi palcami wciąż w ustach.

Wampir stał przed nią, trzymając się za krwawiącą dłoń.

- Dziwka - powiedział. A potem się uśmiechnął. Przełknęła jego palce i syknęła:

- Pierdol się, dupku. - Przykucnęła i przywołała go gestem.

Wampir ciągle się uśmiechał.

- Smak krwi wampira dodał ci odwagi, szczenię. Nie posuwaj się za daleko.

Dłoń przestała mu krwawić, na jej oczach pokrywając się strupami.

- Czego chcesz? Wampir spojrzał w niebo, które nabierało różowej barwy, grożąc zbliżającym się świtem.

- W tej chwili chcę znaleźć miejsce do spania - powiedział aż zbyt spokojnym głosem. Zerwał strup z palców i trysnął krwią jej w twarz. - Do następnego spotkania, moje kochanie. - Odwrócił się na pięcie i przebiegł przez ulicę do zaułka.

Jody stała, patrząc za nim i aż drżąc z woli walki. Odwróciła się i popatrzyła na martwego kloszarda - przynętę. Nie mogła go tu zostawić, bo ściągnąłby policję. Nie tak blisko mieszkania.

Zerknęła na jaśniejące niebo, po czym wzięła trupa na plecy i weszła z powrotem na poddasze.

Tommy wbiegł po schodach i wpadł na poddasze, chcąc jak najszybciej podzielić się swoim odkryciem analfabetyzmu Simona, gdy jednak przekroczył próg, ostry zapach rozkładu, jak ze wzdętego ścierwa na jezdni, niemal zwałił go z nóg.

Co znowu zrobiła? - pomyślał.

Otworzył okna, by przewietrzyć mieszkanie, po czym poszedł do sypialni, ostrożnie uchylając drzwi

na tyle, by się prześlizgnąć, nie wpuszczając przy tym światła słonecznego na materac. Tutaj smród był znacznie silniejszy i Tommy aż się zakrztusił, zapalając światło.

Jody leżała na materacu, z elektrycznym kocem naciągniętym pod samą szyję. Na jej twarzy widniała zakrzepła krew. Po grzbiecie Tommy'ego przebiegły ciarki, silniejsze niż wszystko co czuł, odkąd ojciec pierwszy raz zdradził mu tajemnicę sprzedawanych w parku sportowym hot dogów. („Pyski i dupska”, powiedział tata podczas rozgrzewki. „Aż mnie ciarki przeszły”, odrzekł Tommy).

Na poduszce przy głowie Jody leżała kartka. Tommy podpełznął tam i zabrał kartkę, po czym wrócił do drzwi, by ją przeczytać.

Tommy, przepraszam, że tak wyglądam. Już prawie świt, a nie chcę utknąć pod prysznicem. Wyjaśnię Ci to wieczorem. Zadzwoń do Searsa i każ dostarczyć największą zamrażarkę skrzyniową, jaką mają. Pieniądze są w moim plecaku.

Tęskniłam za Tobą w nocy.

Kocham, Jody Tommy wycofał się z sypialni.

ROBALOŻERCA Z BERBERYJSKIEGO WYBRZEŻA

Tommy obudził się na kanapie, czując się tak, jakby stoczył dwudniową bitwę. Na poddaszu panowała ciemność, jeśli nie liczyć sączącego się przez okna blasku latarń. Usłyszał, że Jody bierze prysznic. Nowa zamrażarka szumiała w kuchni. Przekręcił się i jęknął. Jego mięśnie skrzypnęły niczym zardzewiałe zawiasy. Miał wrażenie, że głowę wypełnia mu wata, jak na kacu, ale przyczyną nie było kilka piw wypitych po pracy ze Zwierzakami, lecz werbalne lanie, jakie dostał od sprzedawcy z działu AGD w Searsie.

Sprzedawca, pulchny nerwus o imieniu Lloyd, który nosił ostatni klasyczny dres na świecie (błękitny z granatowymi lampasami), rozpoczął swój atak od pięciominutowego narzekania na zanik robienia na drutach (zupełnie jakby dobrze ukierunkowane wysiłki działaczy Greenpeace w białych gumiakach i złotych łańcuchach mogły ocalić robienie na drutach od zagłady), a potem przeszedł do półgodzinnego wykładu o tragediach, jakie spadły na tych nieszczęśników, którzy nie wykupili przedłużonej gwarancji na swoje zamrażarki „Kenmore Freezemaster”.

- No i - zakończył Lloyd - nie dość, że stracił pracę, dom i rodzinę, to jeszcze zepsuła się mrożona żywność, która mogła ocalić dzieci z sierocińca, a wszystko dlatego, że chciał zaoszczędzić osiemdziesiąt siedem dolarów.

- Wezmę ją - oświadczył Tommy. - Wezmę najdłuższą gwarancję, jaką dajecie.

Lloyd położył mu dłoń na ramieniu w ojcowskim geście.

- Nie pożałujesz tego, synu. Sam nie stosuję nachalnych metod sprzedaży, ale goście, którzy sprzedają

te gwarancje po dostawie, są jak mafia. Dzwonią o każdej porze, napastują cię, znajdą cię wszędzie i zrujną ci życie, jeśli nie ustąpisz. Sprzedałem raz mikrofalówkę facetowi, który obudził się z końską głową w łóżku.

- Proszę - powiedział Tommy błagalnym tonem. - Podpiszę wszystko, ale muszą to dostarczyć natychmiast. Dobra? Lloyd potrząsnął jego dłonią, by uruchomić przepływ gotówki.

- Witam w lepszym świecie mrożonej żywności.

Tommy usiadł na kanapie i popatrzył na olbrzymią zamrażarkę, buczącą w słabym świetle w kuchni.

Po co ją kupiłem? Po co ją chciała? Nawet nie poprosiłem o wyjaśnienia, po prostu ślepo wypełniłem polecenie. Jestem niewolnikiem, jak Renfield w Drakuli. Ile mam czasu, nim zacznę jeść robale i wyć po nocach? Wstał i w majtkach oraz jednej skarpetce wszedł do łazienki. Odór rozkładu był tak dojmujący, że aż go dławił. To z powodu tego smrodu postanowił spać na kanapie w salonie, zamiast wpełznąć na materac obok Jody. Zasnął przy lekturze Drakuli Brama Stokera, bo chciał się doksztąpić w kwestii miłości swojego życia.

Ona jest diabłem, pomyślał, patrząc na parę wypełzającą spod drzwi łazienki.

- Jody, to ty? - spytał pary. A para dalej wypełzała. - Jestem pod prysznicem - oznajmiła Jody spod prysznicza. - Wejdz.

Podszedł i otworzył drzwi do łazienki.

- Jody, musimy porozmawiać.

W pomieszczeniu było aż gęsto od pary. Ledwie dostrzegł kabinę prysznicową.

- Zamknij drzwi. Strasznie tam śmierdzi. Podszedł bliżej do prysznicza.

- Martwi mnie rozwój wypadków - powiedział.

- Kupiłeś zamrażarkę?

- Tak, między innymi o tym chciałem powiedzieć.

- Wziąłeś największą, jaką mieli, prawda?

- Tak, i podpisałem dziesięcioletnią umowę serwisową.

- To model skrzyniowy, a nie szafkowy?

- Tak, do cholery, ale nawet mi nie powiedziałaś, po co mam ją kupić, a ja to zrobiłem i już. Odkąd cię poznałem, czuję się tak, jakbym nie miał wolnej woli. Śpię całymi dniami. Nie piszę. Prawie już nie widuję światła słonecznego.

- Tommy, pracujesz od północy do ósmej. Kiedy chciałbyś spać?

- Nie przekręcaj moich słów. Nie będę jadł dla ciebie robali.

Ona jest diabłem, pomyślał.

- Umyjesz mi plecy? — Odsunęła drzwi kabiny i Tommy jak zahipnotyzowany wbił wzrok w kaskadę wody spływającą między jej piersiami. - No? - powiedziała, kręcąc biodrami.

Zsunął slipy, zdjął skarpetkę i wszedł pod prysznic.

- Dobra, ale nie będę jadł żadnych robali.

Po szaleńczym i nagim pościgu przez sypialnię usiedli na kanapie, wycierając się i oglądając nową zamrażarkę.

- Duża, bez dwóch zdań- stwierdziła Jody.

- Kupiłem z dziesięć mrożonych potraw, żeby nie wyglądała tak pusto.

- Będziesz musiał je wyjąć i przełożyć do zwykłej lodówki - odparła.

- Dlaczego? Myślę, że się nie zmieszczą.

- Wiem, ale chcę coś w niej umieścić, a nie sądzę, żebyś chciał trzymać razem z tym swoje mrożone potrawy.

- Co?

- Kojarzysz ten smród w sypialni?

- Właśnie miałem o tym wspomnieć. Co to?

- Zwłoki.

- Zabiłaś kogoś? - Odsunął się od niej na kanapie.

- Nie, nikogo nie zabiłam. Daj mi wyjaśnić. Opowiedziała mu o menelu, o tym, jak się doń podkradła, myśląc, że to wampir, i o walce, która się potem rozpętała.

- Myślisz — spytał Tommy - że próbował cię zabić?

- Nie sądzę. Raczej chciał mi pokazać, że jest lepszy czy coś takiego. Jakby mnie sprawdzał.

- Więc odgryzłaś mu palce?

- Nie miałam innego pomysłu.

- Jak było?

- Szczerze?

- Jasne.

- Dostałam kopa. Niesamowitego kopa.

- To było lepsze niż wypicie mojej krwi?

- Inne.

Odwrócił się do niej plecami i zaczął dąsać. Przysunęła się i pocałowała go w ucho.

- To była walka, Tommy. Nie miałam orgazmu ani nic, ale przysięgam, poczułam się silniejsza, kiedy... kiedy przełknęłam.

- To dlatego byłaś cała w zaschniętej krwi, kiedy wróciłem do domu?

- Tak, już prawie świtało, gdy wniosłam ciało na górę.

- To następna sprawa - powiedział. - Dlaczego przyniosłaś tu tego cuchnącego trupa?

- Policja znalazła już jedno ciało przy motelu. Mają moje nazwisko. Teraz znaleźliby następną ofiarę zabitą w ten sam sposób tuż obok miejsca, gdzie mieszkam. Pewnie by nie zrozumieli.

- Więc będziemy to trzymać w zamrażalniku?

- Tylko dopóki nie wymyślę co z nim zrobić.

- Dziwnie się czuję, kiedy mówisz o tym „on”.

- W takim razie dopóki nie wymyślę co z „tym” zrobić.

- W pobliżu jest wielka zatoka.

- A jak mielibyśmy to tam niezauważenie przetransportować?

- Zastanowię się.

Jody wstała, owinęła się ręcznikiem i wróciła do sypialni.

- Zaraz włożę to do środka. Może lepiej przenieś te swoje potrawy. - Przystanęła przy drzwiach. - I skończyły mi się czyste ubrania. Będziesz musiał iść do pralni automatycznej .

- Czemu sama nie pójdziesz? Popatrzyła na niego z powagą.

- Wiesz, że nie mogę wychodzić za dnia.

- O, nie - odparł. - Nie wyciągaj tego argumentu. Nie znam ani jednej pralni automatycznej, która nie byłaby czynna całą noc. Poza tym nie mogę być non stop twoim niewolnikiem. Muszę mieć trochę czasu na pisanie. I być może będę miał ucznia.

- Ucznia?

- Kolegę z pracy, Simona. Nie umie czytać. Zamierzam mu zaproponować, że go nauczę.

- Miło z twojej strony - powiedziała Jody. Potrząsnęła włosami, upuszczając ręcznik na podłogę, i przyjęła pozę rodem z rozkładówki. - Na pewno nie chcesz zająć się praniem?

- Nie ma mowy. Nie masz nade mną żadnej władzy.

- Na pewno? - Zmysłowo oblizła wargi. - Pod prysznicem mówiłeś co innego.

Umiem się oprzeć jej złu, pomyślał. Nie poddam się. Wstał i zaczął zbierać swoje ubranie.

- Zdaje się, że miałaś przenieść jakieś zwłoki?

- W porządku - warknęła. - Zrobię to pranie, kiedy będziesz w pracy. - Odwróciła się i poszła do sypialni.

- Dobra. A ja poszukam jakichś smacznych robali - szepnął do siebie Tommy.

Północ zastała Jody na schodach, dźwigającą w dół wypełniony brudnymi ubraniami worek na śmieci, przewieszony przez ramię. Gdy wyszła na chodnik i odwróciła się, by zamknąć drzwi, uświadomiła sobie, że nie ma bladego pojęcia, gdzie w tej okolicy jest pralnia automatyczna. Obrotowe stalowe drzwi do odlewni były otwarte i dwaj krzepcy rzeźbiarze pracowali w środku, przygotowując gipsową formę wielkości człowieka. Pomyślała, żeby spytać ich o wskazówki, ale uznała, że może lepiej poczekać i spotkać się z nimi wtedy, gdy będzie z nią Tommy. Wnętrze odlewni świeciło czerwienią od gorąca roztopionego w tyglu brązu i w jej wyczulonych oczach wyglądało jak pracownia w samym piekle.

Stała przez chwilę, patrząc, jak fale gorąca wylewają się nad górną krawędzią drzwi, a potem wirują i nikną na nocnym niebie niczym duchy. Chciała podzielić się z kimś tym widokiem, ale oczywiście nikogo nie było, a nawet gdyby był, nie widziałby przecież tego, co ona.

Pomyślała, że w krainie ślepców jednooki może być bardzo samotny.

Westchnęła ciężko i skierowała wzrok w stronę Market Street, gdy usłyszała za sobą donośne staccato drobnych kroków. Rzuciła pranie i obróciła się na pięcie. Boston terier warczał na nią przez chwilę, po czym cofnął się kawałek i zaniósł się szczekaniem, zahaczającym o psią apopleksję, aż się zdawało, że jego owadzie oczy lada chwila wyskoczą z orbit.

- Bummer, przestań! — dobiegł krzyk z rogu ulicy. Jody podniosła wzrok i zobaczyła nadchodzącego siwego starca w płaszczu, z rondlem na głowie i groźnie zaostrzonym drewnianym mieczem w ręce. Golden retriever człapał przy nim z mniejszym rondlem przywiązany do głowy, i dwiema

pokrywami od pojemników na śmieci przytroczonymi do boków, co nadawało mu wygląd małego, porośniętego sierścią statku wikingów.

- Bummer, wracaj tu.

Piesek cofnął się o kilka kroków, a potem odwrócił i podbiegł do mężczyzny. Jody zauważyła, że ma małą blachę do ciasta przymocowaną nad uszami gumową taśmą.

Starzec podniósł teriera wolną ręką i podszedł do Jody.

- Bardzo przepraszam - powiedział. - Żołnierze są gotowi, ale obawiam się, że za bardzo rwą się do bitwy. Nic się pani nie stało? Jody uśmiechnęła się.

- Nic mi nie jest. Trochę się przestraszyłam i nic więcej. Ukłonił się.

- Pozwoli pani, że się przedstawię...

- Pan Cesarz, prawda? - Jody od pięciu lat mieszkała w San Francisco. Słyszała o Cesarzu, ale dotąd widywała go tylko z daleka.

- Do usług - odparł. Terier warknął podejrzliwie i starzec wepchnął pieska głową naprzód do przepastnej kieszeni swojego płaszcza, którą następnie zapiął na guzik. Ze środka dobiegały stłumione warknięcia.

- Proszę wybaczyć zachowanie mojego podwładnego. Odwagi mu nie brakuje, ale gorzej z manierami. To jest Lazarus.

Jody skinęła głową retrieverowi, który wydał ciche warknięcie i cofnął się o krok. Pokrywy od pojemników na śmieci zagrzechotały o chodnik.

- Jestem Jody. Bardzo mi miło.

- Mam nadzieję, że wybaczy mi pani tę opinię - powiedział Cesarz - ale ulice nocą nie wydają mi się bezpiecznym miejscem dla młodej kobiety. Zwłaszcza w tej okolicy.

- Dlaczego w tej okolicy? Cesarz przysunął się bliżej i powiedział szeptem:

- Na pewno zauważyła pani, że ja i moi ludzie jesteśmy gotowi do bitwy. Ścigamy groźnego krwiożerczego łotra, który krąży po mieście. Nie chcę pani niepokoić, ale ostatnio widzieliśmy go na tej właśnie ulicy. Prawdę mówiąc, zabił mojego przyjaciela, tam, po drugiej stronie ulicy.

- Widział go pan? — spytała Jody. - Dzwonił pan na policję?

- Policja tu nie pomoże - odparł Cesarz. - To nie jest pospolity przestępca, do jakich tu przywykliśmy. To wampir. - Uniósł drewniany miecz i sprawdził ostry czubek opuszką palca.

Jody była wstrząśnięta. Próbowwała się opanować, ale na jej twarzy malował się strach.

- Przestraszyłem panią - stwierdził Cesarz.

- Nie... nie, nic mi jest. Po prostu... Wasza Wysokość, żadne wampiry nie istnieją.

- Jak pani chce - powiedział. - Ale myślę, że rozsądniej byłoby poczekać z załatwianiem spraw do świtu.

- Muszę zrobić pranie, bo inaczej nie będę miała na jutro żadnych czystych ubrań.

- W takim razie proszę przyjąć naszą eskortę.

- Nie, naprawdę, Wasza Wysokość, nic mi nie będzie. Przy okazji, gdzie tu jest najbliższa pralnia automatyczna?

- Jest jedna niedaleko stąd, ale w Tenderloin. Nawet za dnia kobieta nie powinna tam chodzić sama.

Naprawdę muszę nalegać, byś poczekała, moja droga. Może do tego czasu zdołamy zlikwidować tego drania.

- Dobrze - zgodziła się Jody. - Skoro pan nalega. Mieszkam tutaj. - Wyłowiła klucz z dzinsów i otworzyła drzwi. Odwróciła się z powrotem do Cesarza. - Dziękuję.

- Bezpieczeństwo przede wszystkim - odrzekł Cesarz. - Dobrej nocy. - Piesek w jego kieszeni warknął.

Jody weszła do środka i zamknęła drzwi, po czym poczekała, aż usłyszy, że Cesarz odchodzi. Potem odczekała jeszcze pięć minut i w końcu wróciła na ulicę.

Zarzuciła sobie pranie na ramię i skierowała się w stronę Tenderloin, myśląc: no to pięknie. Ile trzeba czasu, żeby policja wysłuchała Cesarza? Tommy i ja będziemy musieli się wyprowadzić, a nawet jeszcze się nie urządził. A ja nie cierpię prania. Nie cierpię. Zlecę to komuś, jeśli Tommy się tym nie zajmie.

I musimy mieć sprzątaczkę, jakąś miłą, godną zaufania kobietę, która będzie przychodziła po zmroku. I nie będę kupowała papieru toaletowego. Nie używam, więc nie będę kupowała. I trzeba coś zrobić z tym dupkiem wampirem. Boże, jak ja nie cierpię prania! Pokonała dwie przecznice, gdy z bramy przed nią wyłonił się jakiś mężczyzna.

- Ej, mała, trzeba ci pomóc. Przyskoczyła do niego.

- Pierdol się, z боку! - wrzasnęła z taką wściekłością, że krzyknął i wskoczył z powrotem do bramy, a potem zawołał za nią potulnie „przepraszam”.

Pomyślała, że nie będzie sortować. Wszystko razem, w ciepłej wodzie. Jeśli biel stanie się szara, mam to gdzieś.

Nie będę sortowała. Skąd mam wiedzieć, jak usunąć plamy z krwi? Kto ja jestem? Pani Dobra Rada?

Boże, jak ja nie cierpię prania! Ubrania podskakiwały, bawiły się i nurkowały jak uszyte z materiału delfiny. Jody siedziała na składanym stoliku naprzeciwko suszarki i oglądała to widowisko, rozmyślając o ostrzeżeniu Cesarza, Powiedział: „Ulice nocą nie wydają mi się bezpiecznym miejscem dla młodej kobiety”. Jody się z nim zgadzała. Jeszcze nie tak dawno byłaby przerażona, gdyby znalazła się w nocy w Tenderloin. Nie pamiętała nawet, żeby zaglądała tam w dzień. Gdzie się podział ten strach? Co się z nią stało, że mogła stanąć twarzą w twarz z wampirem i odgryźć mu palce, wnieść zwłoki po schodach i bez mrugnięcia powieką wepchnąć je pod stelaż? Gdzie lęk i obrzydzenie? Nie brakowało jej tych uczuć, po prostu zastanawiała się, co się z nimi stało.

Rzecz nie w tym, że zupełnie nie było w niej strachu. Bała się światła dziennego, bała się, że znajdzie ją policja, a Tommy porzuci ją i zostawi samą. Nowe lęki i znajome lęki. Ale nie przerażały jej ani ciemności, ani przyszłość, ani nawet stary wampir - a teraz, skosztowawszy jego krwi, wiedziała, że jest stary, bardzo stary. Widziała w nim wroga i jej umysł obmyślał strategię, by go pokonać, ale tak naprawdę nie budził już w niej strachu. Ciekawość tak, ale nie strach.

Suszarka zatrzymała się i materiałowe delfiny opadły i znieruchomiały, jakby złapane w sieć na tuńczyki. Jody zeskoczyła ze stolika, otworzyła urządzenie i dotykała ubrań, sprawdzając, czy nie są wilgotne, gdy usłyszała kroki na chodniku przed pralnią. Obejrzała się i zobaczyła wysokiego czarnoskórego mężczyznę, którego zapędziła do bramy. Wszedł do pralni w towarzystwie dwóch niższych mężczyzn. Wszyscy trzej mieli srebrne kurtki LA Raiders, buty za kostkę i złowrogie uśmiechy na twarzach.

Odwróciła się z powrotem do suszarki i zaczęła wpychać ubrania do worka. Pomyślała, że powinna je składać.

- Ej ty! Dziwko! - zawołał ten wysoki.

Jody spojrzała na tylną część pralni. Jedyne drzwi znajdowały się od frontu, za trzema mężczyznami.

Odwróciła się i popatrzyła na nich.

- Co tam, Raidersi? — spytała z uśmiechem. Poczowała nacisk na podniebienie: kły się wysuwały.

Trzej mężczyźni rozdzielili się i ustawili wokół składanego stolika, by ją otoczyć. W innym życiu byłby to jej najgorszy koszmar. W tym życiu po prostu się uśmiechnęła, gdy dwaj z nich złapali ją z tyłu za ręce.

Zobaczyła kropelkę potu na skroni wysokiego, gdy podszedł bliżej i wyciągnął rękę, żeby rozerwać jej koszulę. Szarpnięciem wyswobodziła prawą rękę i złapała go za nadgarstek, gdy kropla zaczęła spadać.

Strzaskała mu przedramię, kość przebiła mięśnie i skórę, gdy cisnęła nim, głową naprzód, w szklane drzwiczki suszarki. Sięgnęła nad swoim ramieniem, złapała jednego z kibiców Raidersów za włosy i walnęła jego twarzą o podłogę, po czym obróciła się ku ostatniemu z napastników i pchnęła go na krawędź składanego stolika, łamiąc mu kręgosłup tuż nad biodrami. Zawirował i poleciał w tył nad rzędem pralek. Kropla potu spadła na podłogę obok mężczyzny ze strzaskaną twarzą.

Wśród brzęczenia neonów i jęków mężczyzny ze złamanym kręgosłupem, Jody załadowała resztę prania do worka na śmieci. Pomyślała, że kiedy dojdzie do domu, te rzeczy całe będą pogniecione.

Następnym razem Tommy robi pranie! Gdy doszła do drzwi, przejechała językiem po zębach i z ulgą stwierdziła, że kły się schowały.

Obejrzała się przez ramię na jatkę, którą po sobie zostawiała, i krzyknęła:

- Forty-kurwa-Niners! Mężczyzna ze złamanym kręgosłupem jęknął.

NIEZRĘCZNA SYTUACJA JODY

Przez kilka pierwszych dni Tommy czuł się nieswojo z powodu trupa w zamrażarce, ale po jakimś czasie trup spowszedniał, stał się znajomą zamrożoną twarzą, widywaną przy każdym posiłku. Tommy nazwał go Peary, po pewnym badaczu Arktyki.

W ciągu dnia, po powrocie z pracy, a przed położeniem się do łóżka z Jody, Tommy pałętał się po mieszkaniu, gadając z początku do siebie, a potem, gdy już oswoił się z tą myślą, do Peary'ego.

- Wiesz, Peary - powiedział pewnego ranka, wystukawszy na maszynie dwie strony opowiadania - mam pewien kłopot z odnalezieniem swojego głosu w tej historii. Kiedy piszę o małej wiejskiej dziewczynce z Georgii, która pylistą drogą idzie boso do szkoły, przypominam Harper Lee, ale kiedy piszę o jej biednym ojcu, niesprawiedliwie skazanym na ciężkie roboty za kradzież chleba dla swojej rodziny, zaczynam lekko nawiązywać do Marka Twaina. A kiedy dziewczynka dorasta i zostaje głową mafii, mój styl to z kolei Sydney Collins Krantz. Co mam robić? Peary, bezpieczny przy zamkniętej pokrywie i zgaszonym świetle, nie odpowiadał.

- I jak mam się skupić na literaturze, kiedy czytam te wszystkie książki o wampirach dla Jody? Ona nie rozumie, że pisarz to szczególna istota, że różni się od innych. Nie mówię, że jestem lepszy, po prostu chyba wrażliwszy. A zauważyłeś, że ona nigdy nie robi zakupów? Co porabia całymi nocami, kiedy jestem w pracy? Tommy bardzo starał się zrozumieć sytuację Jody i obmyślił nawet podczas lektury serię eksperymentów, które miały na celu odkrycie ograniczeń, płynących z jej nowego stanu. Wieczorami, po tym, jak już się obudzili, wzięli wspólny prysznic i bzyknęli się raz czy dwa, rozpoczął się proces naukowy.

- No dalej, kochanie, spróbuj - powiedział Tommy wkrótce po przeczytaniu Drakuli.

- Próbuję - zapewniła Jody. - Nie wiem co mam zrobić.

- Skup się - odparł. - Przyj.

- Jak to „przyj”? To nie poród, Tommy. Na co mam przeć?

- Postaraj się, żeby wyrosła ci sierść. Spróbuj przekształcić swoje ręce w skrzydła.

Jody zamknęła oczy i skupiła się, wyężając całą uwagę, a Tommy odniósł wrażenie, że jej twarz nieco nabrała koloru.

- To bez sensu - uznała w końcu.

I tak stwierdzono, że Jody nie może się zmienić w nietoperza.

- Mgła - powiedział Tommy. - Spróbuj się zmienić w mgłę. Jeśli kiedyś zapomnisz klucza, będziesz mogła po prostu wsączyć się pod drzwiami z powrotem.

- Nie umiem.

- Próbuj dalej. Wiesz, ile twoich włosów zbiera się w odpływie pod prysznicem? Jeśli się zatka, będziesz mogła tam wniknąć i go odetkać.

- To jest jakaś motywacja.

- Próbuj.

Spróbowała, ale bez powodzenia, więc następnego dnia Tommy przyniósł ze sklepu preparat do rur „Drano”.

- Mógłbym zabierać cię do parku i rzucać ci frisbee.

- Wiem, ale nie mogę.

- Kupię ci różne zabawki do gryzienia. Może być piszcząca kaczka, jeśli chcesz.

- Przykro mi, Tommy, ale nie mogę się zmienić w wilka.

- W książce Drakula chodzi po zamkowym murze głową w dół.

- Szczęściarz.

- Mogłabyś spróbować na naszym budynku. To tylko trzy kondygnacje.

- I tak długo się spada.

- Nie spadniesz. Drakula w książce nie spada.

- W książce też lewituje, nie? -Tak.

- Ale tego już próbowaliśmy, prawda?

- No tak.

- Czyli można przyjąć, że książka to fikcja, mam rację?

- Spróbujmy czegoś innego. Przyniosę listę.
- Czytanie w myślach. Wniknij ze swoimi myślami do mojego umysłu.
- Dobra, wnikam. Co myślę?
- Masz to wypisane na twarzy.
- Może się mylisz. Co myślę?
- Chcesz, żebym cię przestał zamęczać tymi eksperymentami.
- I?
- I chcesz, żebym zaniósł nasze ubrania do pralni. - I?
- Tylko tyle wyczytałem.
- Chcę, żebyś przestał mnie pocierać czosnkiem, kiedy śpię.
- Potrafisz czytać mi w myślach!
- Nie, ale kiedy obudziłam się dziś wieczorem, jechało ode mnie jak z pizzerii. Przestań z tym czosnkiem.
- Czyli nie wiesz o krucyfiksie?
- Dotykałeś mnie krucyfiksem?
- Nic ci nie groziło. Miałem pod ręką gaśnicę na wypadek gdybyś stanęła w płomieniach.
- Uważam, że to niezbyt ładnie eksperymentować na mnie, kiedy śpię. Jak byś się czuł, gdybym coś w ciebie wcierała, kiedy śpisz?
- No, to zależy. A o czym mówimy?
- Po prostu mnie nie dotykaj, kiedy śpię, dobra? Związek powinien się opierać na wzajemnym zaufaniu i szacunku.
- Czyli młotek i kołek nie wchodzi w rachubę?
- Tommy!
- Kmart ma promocję na młotki. Zastanawiałaś się, czy jesteś nieśmiertelna. Nie zamierzałem sprawdzać bez pytania.
- Jak myślisz, po jakim czasie zapomnisz, jak to jest uprawiać seks?

- Przepraszam, Jody. Naprawdę przepraszam.

Kwestia nieśmiertelności rzeczywiście nie dawała Jody spokoju. Stary wampir powiedział, że może zostać zabita. ale informację tego rodzaju niełatwo zweryfikować. Oczywiście z pomysłem testu wyskoczył Tommy, po długiej rozmowie z Pearym, kiedy to pewnego ranka szukał pretekstu, by nie pracować nad swoim opowiadaniem o dziewczynce z Południa.

Jody obudziła się pewnego wieczoru i zastała go w wannie, gdy wsypywał kostki lodu z foremki do wielkiej wanny na nóżkach.

- W szkole średniej pracowałem latem jako ratownik -powiedział.

- No i?

- Musiałem się nauczyć podstawowego podtrzymania życia. Przez pół lata wypompowywałem śmierdzącą wodę basenową z wyczerpanych dziewięciolatków.

- No i?

- Utonięcie.

- Utonięcie?

- Tak, utopimy cię. Jeśli jesteś nieśmiertelna, nic ci się nie stanie. Jeśli nie, w zimnej wodzie zachowasz świeżość i będę mógł cię ożywić. Na Pearym jest jeszcze ze trzydzieści foremek z lodem.

Przyniesiesz trochę?

- Tommy, sama nie wiem.

- Chcesz wiedzieć, prawda?

- Ale w wannie lodowatej wody?

- Przemyślałem wszystkie możliwości. Broń palna, noże, zastrzyk z azotanu potasu. To jedyny sposób, który na pewno cię nie zabije. Wiem, że chcesz to sprawdzić, ale nie chcę cię przy tym stracić.

Mimo wszystko Jody poczuła wzruszenie.

- To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałam.

- Też nie chciałabyś mnie zabić, prawda? Trochę przejmował się faktem, że Jody pożywia się nim co cztery dni. Nie dlatego, by czuł się chory albo osłabiony. Przeciwnie, odkrył, że każde ugryzienie dodaje mu energii, miał wrażenie, że staje się silniejszy. W sklepie rozładowywał dwa razy więcej towaru, a jego umysł wydawał się bystrzejszy i czujniejszy. Robił postępy w pracy nad opowiadaniem. Zaczynał z utęsknieniem czekać na kolejne ugryzienia.

- No to już - powiedział. - Do wanny.

Jody miała na sobie jedwabną koszulę nocną, którą opuściła na podłogę.

- Jesteś pewien, że jeśli się nie uda...

- Nic ci nie będzie. Wzięła go za rękę.

- Ufam ci.

- Wiem. Właż. Weszła do zimnej wody.

- Orzeźwia - stwierdziła.

- Nie sądziłem, że poczujesz.

- Czuję zmiany temperatury, tyle że nie robią na mnie wrażenia.

- Sprawdzimy to w dalszej kolejności. Zanurz się. Położyła się w wannie, a jej włosy pokryły powierzchnię wody niczym czerwone wodorosty. Tommy zerknął na zegarek.

- Kiedy się zanurzysz, nie wstrzymuj oddechu. Będzie ciężko, ale wciągnij wodę do płuc. Zostawię cię pod powierzchnią przez cztery minuty, a potem cię wyciągnę.

Jody oddychała głęboko i patrzyła na niego z błyskiem paniki w oczach. Nachylił się i pocałował ją.

- Kocham cię - powiedział.

- Naprawdę?

- Oczywiście. - Wepchnął jej głowę pod wodę. Wynurzyła się z powrotem.

- Ja ciebie też - powiedziała. Potem znów się zanurzyła. Próbowwała zassać wodę, ale jej płuca na to nie pozwoliły, więc wstrzymała oddech. Cztery minuty później Tommy wsunął ręce pod jej pachy i wyciągnął ją.

- Nie zrobiłam tego - oznajmiła.

- Jezu, Jody, nie dam rady powtarzać tego bez końca.

- Wstrzymałam oddech.

- Na cztery minuty?

- Myślę, że mogłabym nawet na parę godzin.

- Spróbuj jeszcze raz. Musisz wciągnąć wodę do płuc, albo nigdy nie umrzesz.

- Dziękuję, panie trenerze.

- Proszę.

Dała nura i zassała wodę zamiast oddechu, zanim zdążyła o tym pomyśleć. Słuchała, jak kostki lodu dzwonią na powierzchni, patrzyła na światło z łazienki, sączące się przez wodę, co jakiś czas zasłaniane twarzą Tommy'ego, gdy na nią patrzył. Nie czuła paniki, nie dławiła się, nie dręczyła jej nawet klaustrofobia, której się spodziewała. Właściwie było to nawet przyjemne.

Tommy wyciągnął ją, a ona odkaszlęła, wypluwając wodę, po czym zaczęła normalnie oddychać.

- Dobrze się czujesz?

- Świetnie.

- Naprawdę utonęłaś.

- Nie było tak źle.

- Spróbuj jeszcze raz.

Tym razem zostawił ją pod wodą na dziesięć minut. Odkaszlęła i stwierdziła:

- No to chyba mamy jasność.

- Widziałaś długi tunel ze światłem na końcu? Zmarłych krewnych, którzy na ciebie czekali? Ogniste wrota piekieł?

- Nie, tylko kostki lodu.

Tommy odwrócił się i usiadł ciężko na łazienkowym dywaniku, plecami do wanny.

- Czuję się tak, jakbym to ja utonął.

- A ja czuję się świetnie.

- Widzisz, w tym właśnie sęk. Jesteś nieśmiertelna.

- Chyba tak. Przynajmniej na tyle, na ile możemy to zbadać. Mogę już wyjść z wanny?

- Jasne. - Podał jej ręcznik nad swoim ramieniem. - Jody, odejdziesz ode mnie, kiedy się zestarzeję?

- Masz dziewiętnaście lat.

- Tak, ale w przyszłym roku będę miał dwadzieścia, potem dwadzieścia jeden, a potem będę jadł przetartą fasolę, ślinił się i co pięć sekund pytał, jak masz na imię, a ty będziesz żwawą dwudziestosześcioletką i będziesz miała mnie dosyć za każdym razem, gdy trzeba będzie mi zmienić brudne gacie.

- Brzmi całkiem fajnie.

- No ale będziesz miała tego dosyć, nie?

- Nie przesadzasz trochę? Świetnie kontrolujesz pęcherz. Widziałam, jak wypiełeś sześć piw bez chodzenia do toalety.

- Jasne, teraz tak, ale...

- Słuchaj, mógłbyś na to spojrzeć z mojego punktu widzenia? Też myślę o tym dopiero pierwszy raz.

Zdajesz sobie sprawę, że nigdy nie będę miała siwych włosów ani chodziła drobnymi kroczkami? Nigdy nie będę powoli jeździła samochodem i godzinami uskarżała się na zdrowie. Nigdy nie pójde do restauracji Denny's, żeby zwinąć te małe opakowania z dżemem i wynieść je w ogromnej torebce.

Podniósł na nią wzrok.

- Czekalaś na coś takiego?

- Nie w tym rzecz. Może jestem nieśmiertelna, ale straciłam ogromną część swojego życia. Na przykład frytki. Brakuje mi jedzenia frytek. Wiesz, jestem Irlandką. Od czasu klęski głodu wywołanej zarazą ziemniaka moi rodacy denerwują się, jeśli nie mogą co parę dni zjeść frytek. Pomyślałeś o tym choć przez chwilę?

- Chyba nie.

- Nawet nie wiem kim jestem. Nie wiem jaki mam cel. Stworzyła mnie jakaś tajemnicza istota, a ja nie mam bladego pojęcia po co. Nie wiem, czego on ode mnie chce ani co powinnam robić. Wiem tylko, że kieruje moim życiem w sposób, którego nie rozumiem. Masz pojęcie, jak to jest?

- Właściwie dokładnie wiem, jak to jest.

- Naprawdę?

- Pewnie, każdy wie. A przy okazji, Cesarz mi powiedział, że dzisiaj znaleźli następne ciało. W pralni automatycznej w Tenderloin. Skręcony kark i brak krwi.

ANIOL

Gdyby inspektor Alphonse Rivera zmienił się w ptaka, zostałby wroną. Był szczupły i miał ciemną karnację, a także ostre rysy i czarne oczy, w których można było dostrzec podejrzliwość i przebiegłość.

Ten wroni wygląd sprawiał, że co jakiś czas jako tajniak podszywał się pod dilera kokainy. Bywał Kubańczykiem, Meksykaninem, a raz Kolumbijczykiem. Prowadził więcej mercedesów i nosił

więcej garniturów od Armaniego niż większość prawdziwych handlarzy narkotyków, ale po dwudziestu latach zajmowania się narkotykami w trzech różnych wydziałach, przeniósł się do wydziału zabójstw, twierdząc, że powinien pracować z lepszymi ludźmi - martwymi, ściślej rzecz biorąc.

Ach, ten cudowny wydział zabójstw! Proste zbrodnie, popełniane z pasji, zwykle rozwiązywane w ciągu dwudziestu czterech godzin albo nie rozwiązywane w ogóle. Żadnych kantów, żadnych walizek z rządowymi pieniędzmi, żadnego udawania, tylko prosta dedukcja. Czasami bardzo prosta: martwa żona w kuchni, pijany mąż w przedpokoju z dymiącą trzydziestką ósemką, i Rivera w tanim włoskim garniturze z przeceny, delikatnie rozbrajający świeżo upieczonego wdowca, zdolnego powiedzieć jedynie „wątróbka z cebulką”. Ciało, podejrzany, narzędzie zbrodni i motyw - sprawa rozwiązana, pora na następną. Zgrabnie i elegancko. Aż do teraz.

Gdyby moje szczęście dało się zamknąć w butelce, zaklasyfikowano by je jako broń chemiczną, pomyślał Rivera. Jeszcze raz przejrzał raport koronera. „Przyczyna śmierci: pęknięcie piątego i szóstego kręgu (skręcony kark). Utrata dużej ilości krwi. Brak widocznych ran”. Gdyby traktować to jak pojedynczy przypadek, miał w rękach po prostu enigmatyczny raport, ale to nie był pojedynczy przypadek. Były to już drugie zwłoki w ciągu miesiąca, które utraciły dużo krwi mimo braku widocznych ran.

Rivera popatrzył nad blatem biurka na swojego partnera, Nicka Cavuto, który czytał kopię raportu.

- Co o tym myślisz? - spytał.

Cavuto gryzł niezapalone cygaro. Był krzepkim, łysiejącym mężczyzną o chrapliwym głosie, gliniarzem w trzecim pokoleniu, znacznie twardszym od swojego ojca i dziadka, był bowiem gejem.

- Myślę, że jeśli zastanawiasz się nad urlopem, to będzie dobry moment, żeby go wziąć - powiedział.

- Czyli dostaniemy w dupę.

- Na to jeszcze za wcześnie. Powiedzmy, że na razie zaproszono nas na kolację, a pocałunek na dobranoc był z języczkiem.

Rivera uśmiechnął się. Lubił, kiedy Cavuto starał się, by wszystko brzmiało jak w filmie z Bogartem.

Przedmiotem dumy wielkiego detektywa był komplet powieści Dashiella Hammetta w pierwszym wydaniu, z autografem autora.

- Gdzie te czasy, kiedy w pracy policjanta najbardziej liczyły się nos i dobry trop - mawiał Cavuto. - Komputery są dla cieniasów.

Rivera znów się skupił na raporcie.

- Zdaje się, że facet i tak za miesiąc już by nie żył: „dziesięciocentymetrowy guz w wątrobie”.

Złośliwy nowotwór wielkości grejpfruta.

Cavuto przesunął cygaro do drugiego kącika ust.

- Ta stara baba koło motelu Van Ness też się już wybierała na tamten świat. Niewydolność serca. Za słaba na bypassy. Wcinała nitroglicerynę jak cukierki M&M's.

- Morderca, który dokonuje eutanazji - powiedział Rivera.

- Czyli zakładamy, że to ten sam?

- Jak uważasz, Nick?

- Dwa zabójstwa, taki sam modus operandi i brak motywu. Nie podoba mi się, jak to brzmi. - Cavuto potarł skronie, jakby próbował wycisnąć z siebie napięcie przez kanaliki łzowe. - Byłeś w San Junipero, kiedy zabijał Night Stalker. Nie można się było nawet odlać, żeby nie wpaść na jakiegoś dziennikarza.

Proponuję wyciszyć sprawę. Na użytek gazet ofiary obrabowano. Brak związku między zabójstwami.

Rivera pokiwał głową.

- Muszę zajarać. Chodźmy pogadać z tymi gośćmi, którzy parę tygodni temu oberwali w pralni automatycznej. Może te sprawy są powiązane? Cavuto podźwignął się z krzesła i zabrał kapelusz z biurka.

- Tego, który wymyślił zakaz palenia na komisariacie, należałoby wychłostać lufami pistoletów.

- A czy to nie prezydent popierał tę ustawę? - Tym bardziej. Cienias.

Tommy leżał i patrzył w sufit, próbując złapać oddech i wydobyć prawą stopę z beznadziejnie spletanego prześcieradła. Jody grała ze sobą w kółko i krzyżyk, rysując palcem po jego spoczonej piersi.

- Ty już się nie pocisz, prawda? - spytał.

- Najwyraźniej nie.

- I nawet nie brakuje ci tchu. Robię coś nie tak?

- Nie, było wspaniale. Tracę oddech tylko kiedy... kiedy...

- Kiedy mnie gryziesz.

- Właśnie.

- A czy miałaś... -Tak.

- Jesteś pewna? -A ty?

- Nie, ja udawałem. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Naprawdę? - Spojrzała na mokrą plamę (po swojej stronie, ma się rozumieć).

- A myślisz, że dlaczego tak ciężko dyszę? Nie tak łatwo udawać ejakulację.

- No, mnie nabrałeś.

- Widzisz.

Sięgnął w dół i odwinął prześcieradło ze swojej stopy, a potem położył się z powrotem i wbił wzrok w sufit. Jody zaczęła skręcać spocone kosmyki jego włosów w loki i układać z nich rogi.

- Jody - zaczął niepewnie Tommy.

- Mmmm?

- Kiedy się zestarzeję, to znaczy, o ile będziemy jeszcze razem...

Pociągnęła go za włosy.

- Au. No dobra, będziemy razem. Słyszałaś o satyriasis? - Nie.

- Przytrafia się to starym facetom. Ciągłe im stoi, ganiają nastolatki i ruchają wszystko co się rusza, aż trzeba im włożyć kaftan bezpieczeństwa.

- No, no, ciekawe schorzenie.

- Tak, no, kiedy się zestarzeję i zacznę zdradzać objawy... - Tak?

- Pozwól, żeby toczyło się to swoim torem, dobrze?

- Nie będę się mogła doczekać.

Rivera trzymał plastikowy kubek z sokiem pomarańczowym dla płataniny rurek i gipsu, która się nazywała LaOtis Smali. LaOtis pociągnął przez słomkę, a następnie odepchnął ją językiem. Gips, pokrywający jego ciało od kolan po czubek głowy, miał otwory na twarz i rurki. Cavuto stał przy szpitalnym łóżku i robił notatki.

- Czyli razem z kolegami robił pan pranie, kiedy nieuzbrojona, rudowłosa kobieta zaatakowała was tak, że wszyscy wylądowaliście w szpitalu? Zgadza się?

- To była ninja, facet. Znam się na tym. Mam w kablówce kanał o kick-boxingu.

Cavuto międził w zębach niezapalone cygaro.

- Pański kolega James twierdzi, że miała metr dziewięćdziesiąt i ważyła dziewięćdziesiąt kilo.

- Nie, facet, miała metr sześćdziesiąt, metr sześćdziesiąt pięć.
- Drugi z pańskich kumpli - Cavuto zajrzał do notesu - Kid Jay zeznał, że to była banda Meksykanów.
- Nie, facet, coś mu się przyśniło. To była jedna dziwka ninja.
- Kobieta, metr sześćdziesiąt wzrostu, posłała trzech silnych facetów do szpitala?
- Tak. Zajmowaliśmy się swoimi sprawami. Wlazła i chciała wysepić trochę kasy. James powiedział „nie”, wsadził pranie do suszarki, a ona jazda na niego. To ninja.- Dziękuję, panie LaOtis, bardzo nam pan pomógł. - Cavuto posłał Riverze znaczące spojrzenie i obaj wyszli ze szpitalnej sali.

W korytarzu Rivera powiedział:

- Czyli szukamy bandy rudowłosych ninja z Meksyku.
- Myślisz, że w którejkolwiek z tych opowieści jest chociaż ziarenko prawdy?
- Wszyscy byli nieprzytomni, kiedy ich przywieziono, i bez dwóch zdań nie próbowali uzgadniać zeznań. Jeśli więc odrzucisz wszystko, co do siebie nie pasuje, zostaje ci kobieta z długimi rudymi włosami.
- Myślisz, że kobieta mogła im to zrobić i jeszcze bez walki skrócić kark tamtym dwojgu ludziom?
- W życiu - odparł Rivera. W tym momencie odezwał się jego pager i policjant sprawdził numer. - Mam zgłoszenie.

Cavuto zatrzymał się.

- Dobra, a ja tam wrócę i pogadam z LaOtisem. Spotkamy się przed izbą przyjęć.
- Tylko spokojnie, Nick, facet jest cały w gipsie. Cavuto uśmiechnął się.
- Jest w tym coś erotycznego, nie? - Odwrócił się i poczłapał z powrotem do sali LaOtisa Smalla.

Jody odprowadziła Tommy'ego na Market Street, popatrzyła, jak zjada hamburgera z frytkami, i wsadziła go do autobusu numer 42, którym pojechał do pracy. Zabijanie czasu, gdy Tommy pracował, robiło się już nużące. Próbowwała siedzieć na poddaszu, oglądała nocne talk-shows i stare filmy w kablówce, trochę sprzątała, ale o drugiej w nocy czuła się już jak kot w klatce i wychodziła, by powłóczyć się po ulicach.

Czasami szła po Market Street, mijając uliczników i uczestników konferencji, czasami zaś wsiadała w autobus, jechała na North Beach, na Broadway, gdzie obserwowała zataczających się marynarzy i punków, pijanych i naćpanych, albo dziwki i szulerów grających w swoje gry. Właśnie na tych zatłoczonych ulicach czuła się najbardziej samotna. Co jakiś czas miała ochotę kogoś zaczepić i zwrócić jego uwagę na niezwykłą ciepłą aureolę albo mroczną aurę otaczającą chorego. Jak dziecko opowiadające, jakie zwierzęta przypominają mu obłoki płynące po letnim niebie. Ale nikt inny nie

widział tego, co ona, nikt nie słyszał składanych szeptem propozycji i stanowczych odmów ani szelestu pieniędzy przechodzących z rąk do rąk w bramach i zaułkach.

Czasami zaś skradała się bocznymi uliczkami, słuchając symfonii odgłosów, których nie słyszał nikt inny, i wyczuwając całe spektrum zapachów, na których opisanie już dawno wyczerpała cały swój zasób słownictwa.

Pomyślała, że tak właśnie żyje zwierzę. Nic, tylko doświadczenie, bezpośrednie, natychmiastowe, niewerbalne. Wspomnienia i skojarzenia, ale bez słów. Poeta o moich zmysłach mógłby spędzić całe życie na próbach opisania uczuć, jakich doznaje człowiek, gdy słyszy oddech budynku i wyczuwa starzenie się betonu. Tylko po co? Po co pisać piosenkę, jeśli nikt nie umie zagrać melodii ani zrozumieć słów? Jestem sama.

Cavuto wyszedł przez dwuskrzydłowe drzwi izby przyjęć i dołączył do Rivery, który stał przy brązowym służbowym fordzie i palił papierosa.

- Co to za wezwanie? - spytał Cavuto.

- Mamy następnego. Skręcony kark. Na południe od Market. Starszy mężczyzna.

- Kurwa - zaklął Cavuto, szarpiąc za klamkę i otwierając drzwi samochodu. - Co z utratą krwi?

- Na razie nie wiadomo. Gość jest jeszcze ciepły. - Rivera rzucił peta na parking i wsiadł do samochodu. - Wyciągnąłeś coś więcej z LaOtisa?

- Nic ważnego. Wcale nie robili prania, tylko weszli tam, bo szukali dziewczyny. Ale obstaje przy tej historii o ninja.

Rivera uruchomił silnik i spojrzał na partnera.

- Dałeś mu wycisk? Cavuto wyciągnął pióro firmy Cross z kieszeni na koszuli i uniósł je.

- Silniejsze od miecza.

Rivera skrzywił się na myśl, co też Cavuto mógł zrobić LaOtisowi przy użyciu pióra.

- Nie zostawiłeś śladów, co?

- Całe mnóstwo. - Cavuto się uśmiechnął.

- Nick, nie możesz robić takich...

- Spokojnie - przerwał mu Cavuto. - Po prostu napisałem mu na gipsie: „Dzięki za wszystkie informacje. Dzięki nim parę osób na pewno pójdzie siedzieć”. Podpisałem się i powiedziałem, że tego nie zeskrobie, dopóki nie powie prawdy.

- Zeskrobałeś? - Nie.

- Jeśli zobaczą to jego kumple, to go zabiją.

- Pieprzyć go - odparł Cavuto. - Rudowłose wojowniczkini nini, akurat.

Czwarta rano. Jody patrzyła na neonowe reklamy piwa, z brzęczeniem rzucające kolorowy blask na mokre od rosy chodniki przy Polk Street. Ulica była pusta, Jody dla rozrywki zabawiała się więc w gry sensoryczne - zamykała oczy i słuchała cichego skrzypienia swoich trampek, odbijającego się echem od ścian budynków. Jeśli się skupiła, mogła bez patrzenia przejść parę przecznic, nasłuchując przełączających się świateł i wyczuwając subtelne zmiany prądów powietrznych na skrzyżowaniach. Kiedy czuła, że zaraz na coś wpadnie, mogła zaszurać nogami, a odbity dźwięk tworzył w jej umyśle zarys otaczających ją ścian, słupów i przewodów. Jeśli stanęła w ciszy, mogła sięgnąć umysłem jeszcze dalej i wytworzyć sobie w głowie mapę całego San Francisco. Dźwięki rysowały linie, a zapachy uzupełniały je kolorami.

Słuchała łodzi rybackich, kołyszących się przy nabrzeżu półtora kilometra dalej, kiedy usłyszała kroki i otworzyła oczy. Pojedyncza postać wyłoniła się zza rogu parę domów przed nią i ruszyła ze spuszczoną głową przez Polk Street. Jody weszła do wnętrza drzwi zamkniętej rosyjskiej restauracji i obserwowała idącego. Smutek bił od niego czarnymi falami.

Nazywał się Philip. Przyjaciele mówili mu Philly. Miał dwadzieścia trzy lata. Wychował się w Georgii i w wieku szesnastu lat uciekł do San Francisco, bo nie chciał udawać kogoś, kim nie był. Uciekł do San Francisco, by znaleźć miłość. Po jednonocnych przygodach ze starszymi bogatymi mężczyznami, po doświadczeniach w barach i łaźniach, po odkryciu, że nie jest dziwolągiem i że takich jak on jest więcej, resztki niepewności i wstydu opadły niczym czerwony pył Georgii. Znalazł miłość.

Mieszkał ze swoim ukochanym w atelier w dzielnicy Castro. W tymże atelier, siedząc na krawędzi wypożyczonego ze szpitala łóżka, napełnił strzykawkę morfiną, którą następnie wstrzyknął partnerowi i trzymał go za rękę w chwili śmierci. Później wyniósł nocniki, statyw do kroplówki i urządzenie, za pomocą którego usuwał płyn z płuc ukochanego, by wyrzucić to wszystko na śmietnik. Lekarz powiedział, żeby zatrzymał te rzeczy. Że będzie ich potrzebował.

Tego ranka pochowali jego ukochanego, wzięli kwadrat z haftowanej tkaniny, który leżał na trumnie, złożyli i dali mu, jakby dawali flagę wdowie po poległym żołnierzu. Mógł zatrzymać go na jakiś czas.

Miał go teraz w kieszeni.

Włosy wypadły mu od chemioterapii. Bolały go płuca i stopy. Mięśaki, którymi było poznaczone jego ciało, najgorsze były na stopach i na twarzy. Bolały go stawy i nie mógł jeść, ale wciąż mógł chodzić.

Więc szedł.

Szedł przez Polk Street, ze zwieszoną głową, o czwartej nad ranem. Bo mógł. Wciąż mógł chodzić.

Kiedy dotarł do wejścia do rosyjskiej restauracji, Jody stanęła mu na drodze, a on stanął i na nią spojrzał.

Gdzieś bardzo głęboko odnalazł w sobie uśmiech.

- Jesteś aniołem śmierci? - spytał.

- Tak - odparła.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedział Philly. Wyciągnęła do niego rękę.

ANIELSKI PYŁ

Skrzynia pikapu Simona była zapełniona zalanymi piwem Zwierzakami, którzy napawali się poranną mgłą i spekulowali na temat stanu cywilnego nowej kasjerki. Uśmiechnęła się do Tommy'ego, kiedy przysła, doprowadzając całą ekipę do stanu psychoseksualnego szaleństwa.

- Wyglądała, jakby dwie łodzie podwodne holowały ją przez ten sklep.

- Klasa bufory. Pierwsza klasa.

- Chłopaki, nie umiecie w kobiecie zobaczyć niczego oprócz cycków i tyłka? - spytał Tommy.

- Nie - odparł Troy.

- W życiu - zawtórował mu Simon.

- Gada jak to facet w stałym związku - zauważył Lash.

- Właśnie - powiedział Simon. - Dlaczego nigdy nie pokażesz się ze swoją kobitką?

- Mewa! - krzyknął Barry.

Simon wyciągnął wiatrówkę spod brezentu na skrzyni, wymierzył do przelatującej w górze mewy i strzelił.

- Znowu pudło! - wydarł się Barry.

- Nie zabijesz ich wszystkich, Simon — powiedział Tommy, któremu wciąż dzwoniło w uszach od wystrzału. — Nie lepiej przykrywać samochód na noc plandeką?

- Nie po to płacisz za dwadzieścia warstw ręcznie nakładanego lakieru, żeby je zasłaniać - odparł Simon.

Wiatrówka powędrowała pod brezent, a ze sklepu wyszedł dyrektor.

- Co to było? Co to było? - Gorączkowo rozglądał się po parkingu, jakby spodziewał się zobaczyć kogoś z karabinem.

- Tłumik strzelił - powiedział Simon.

Dyrektor zaczął szukać wzrokiem hałasującego samochodu.

- Jechali w stronę Mariny - oznajmił Tommy.

- Powiedzcie, jeśli wrócą - polecił dyrektor. - W tym mieście obowiązują pewne normy hałasu. - Odwrócił się, by wrócić do sklepu.

- Ej, szefie! - zawołał za nim Simon. - Ta nowa dziewczyna... jak się nazywa?

- Mara - odparł tamten. - I zostawcie ją w spokoju. Miała ostatnio ciężkie przejścia.

- Nie ma faceta? - spytał Troy.

- Jest pod ochroną - powiedział dyrektor. - Mówię poważnie. Parę miesięcy temu straciła dziecko.

- Tak jest, szefie - zabrzmiała chóralna odpowiedź Zwierzaków. Dyrektor wszedł do sklepu.

Simon oderwał puszkę piwa z sześciopaku. Drugą podał Tommy'emu.

- Nieustraszony Przywódco, jeszcze browarka?

- Nie, muszę wracać do domu.

- Ja też - powiedział Simon. - Muszę wyczyścić furę z ptasiego gówna. Podwieźć cię?

- Pewnie. A możemy się zatrzymać w Chinatown? Chcę kupić coś dla Jody.

Simon pokręcił głową.

- Martwię się o ciebie, synu. Wiesz, niejeden facet stracił już życie pod pantoflem. — Wypił piwo i zgniótł puszkę. -Wypad z wozu, dziewczyny. Nieustraszony Przywódca i ja jedziemy po tampony.

- Rzutki! - krzyknął Troy.

Pół tuzina puszek po piwie wzbiło się w powietrze. Simon oddał dwa szybkie strzały z wiatrówki.

Nienaruszone puszki spadły na parking. Wiatrówka wylądowała pod brezentem. Ze sklepu wyszedł dyrektor.

Simon oznajmił:

- Widziałem go, szefie. Błękitny chevrolet nova rocznik '72 z wypchanym myszokoczkiem na antenie. Trzeba to zgłosić.

Dłonie Jody pokrywał tłusty pył: szczątki Philly'ego. Ciało rozpadło się kilka sekund po rym, jak skończyła pić, i pozostała tylko sterta ubrań. Patrzyła na nią przez chwilę, a potem otrząsnęła się z szoku i zebrała ubrania, po czym zaniósła je do pobliskiego zaułka.

Wywołany krwią haj uderzył w nią niczym strumień espresso z węża strażackiego. Oparła się o śmietnik, przyciskając ubrania do piersi, jak kocyk, który daje dziecku poczucie bezpieczeństwa. Zaułek zakołysał się jej przed oczami, wyprostował się, a potem zaczął wirować, aż pomyślała, że zaraz zbierze jej się na wymioty.

Kiedy zaułek przestał się ruszać, przeszukiwała ubrania, aż znalazła portfel. Otworzyła go i zaczęła wyciągać zawartość. Ta sterta ubrań była osobą. „Philip Burns”, głosiło prawo jazdy Miał przy sobie pomięte zdjęcia przyjaciół, kartę biblioteczną, rachunek z pralni i pięćdziesiąt sześć dolarów. Philip Burns w praktycznym, poręcznym opakowaniu. Schowała portfel do kieszeni, wrzuciła ubrania do pojemnika na śmieci, a potem wytarła dłonie o dzinsy i chwiejnym krokiem wytoczyła się z zaułka.

Zabiłam człowieka, pomyślała. Mój Boże, zabiłam człowieka. Co powinnam czuć? Pokonała cztery przecznice, nawet nie patrząc, dokąd idzie, ale słuchając rytmu własnych kroków przez szumiący w głowie haj. Philly rozlał się jej na bury, więc przystanęła i usiadła na krawężniku, żeby je wyczyścić.

Co to jest? - pomyślała. To nic. Nie tym byłam, zanim zostałam wampirem. Co to jest? To niemożliwe. To nie jest człowiek. Człowiek nie może rozpaść się w parę sekund w pył. Co to jest? Zdjęła skarpetki i otrzepała je.

To pieprzone czary, pomyślała. Nie jakaś historyjka z którejś książki Tommy'ego. Nie coś, z czym można by eksperymentować w łazience. To nie jest naturalne. I czymkolwiek jestem ja, to też nie jest naturalne. Wampiry to magia, a nie nauka. A jeśli, kiedy wampir zabija, dzieje się coś takiego, to dlaczego policja znajduje ciała? Dlaczego mam tego faceta w zamrażarce? Włożyła skarpetki i buty, po czym ruszyła w dalszą drogę. Zaczynało się rozwidniać, więc przyspieszyła kroku, spojrzała na zegarek i puściła się biegiem. Nabrała zwyczaju codziennego sprawdzania w kalendarzu godziny wschodu słońca, by nie zastał jej zbyt daleko od domu. Przez pięć lat spędzonych w San Francisco nauczyła się rozkładu ulic, ale jeśli chciała biec, musiała też poznać boczne uliczki i zaułki. Nie mogła pozwolić, by ktoś ją zobaczył, gdy poruszała się tak szybko.

Kiedy biegła, w jej głowie odezwał się jakiś głos. Był to jej głos, ale nie jej. Był to głos, który nie ubierał w słowa tego, co mówiły jej zmysły, a jednak rozumiał. Głos, który kazał jej ukrywać się przed światłem, chronić siebie, walczyć albo uciekać. Głos wampira.

- Zabijanie jest dla ciebie normalne - powiedział. Jej ludzka część zbuntowała się.

- Nie! Nie chciałam go zabić.

- Pierdol go. Tak miało być. Jego życie należy do nas. To miłe uczucie, nie? Jody przestała się opierać. Uczucie naprawdę było miłe. Odepchnęła ludzką część na bok i pozwoliła, by władanie objął nad nią drapieжник i pokierował nią w wyścigu ze słońcem o życie.

Nick Cavuto krążył wokół nakreślonego kredą obrysu zwłok, jakby zamierzał skoczyć na trupa i

zagrać w klasy.

- Wiesz - powiedział, spoglądając na Riverę, który przy żółtej taśmie, otaczającej miejsce zbrodni, próbował spławić reportera Chronicle - wkurza mnie ten gość.

Rivera przeprosił dziennikarza i stanął przy Cavuto nad zwłokami.

- Nick, uspokój się - szepnął.

- Ten truposz utrudnia mi życie - stwierdził Cavuto. - Proponuję wpakować mu kulkę i zabrać portfel. Prosta sprawa, rana postrzałowa, motyw rabunkowy.

- Nie miał portfela - powiedział Rivera.

- No i proszę, rabunek. Duży upływ krwi od rany postrzałowej, skręcił kark, kiedy padał na ziemię.

Reporter ożywił się.

- Więc to był napad rabunkowy? Cavuto zgromił go wzrokiem i położył rękę na swojej trzydziestce ósemce.

- Rivera, co byś powiedział na mordercę samobójcę? Pismak zabił tego faceta, a potem strzelił sobie w łeb. Sprawa zamknięta, a my możemy iść na śniadanie.

Dziennikarz cofnął się od linii.

Dwaj pomocnicy koronera podeszli do zwłok, pchając nosze na kółkach, na których leżał czarny worek.

- Skończyliście? - zwrócił się jeden z nich do Cavuto.

- Tak - odparł policjant. - Zabierzcie go. Koronerzy rozwinęli worek, po czym położyli na nim ciało.

- Hej, inspektorze, tę książkę też do worka?

- Jaką książkę? - Rivera odwrócił się. Egzemplarz W drodze Kerouaca w miękkiej oprawie leżał na narysowanej kredą linii, tam gdzie wcześniej były zwłoki. Rivera włożył białe bawełniane rękawiczki i z kieszeni marynarki wyciągnął torebkę na dowody rzeczowe. - Już wiem, Nick. Facet ćwiczył się w szybkim czytaniu. Skręcił kark przy wyjątkowo głębokim rozdziale.

Jody zerknęła na jaśniejące niebo, skoczyła w zaułek i przeszła w trucht. Od domu dzieliła ją tylko jedna przecznica, więc wiedziała, że dotrze na miejsce na długo przed wschodem słońca. Przeskoczyła pojemnik na śmieci, dla czystej przyjemności, a potem przebiegła po stercie skrzyń niczym futbolista po przewróconych obrońcach. Na wywołanym krwią haju była bardzo silna i szybka, poruszała się lekko, jej ciało samo biegło, robiło uniki i skakało. Nie było w tym żadnej myśli, tylko płynny ruch i idealna równowaga.

Nigdy w życiu nie była sportsmenką. Podczas gry w kick-ball wybierano ją do składu jako ostatnią, z wufu zawsze dostawała tróje i nie miała szans, żeby załapać się do czirliderek. Była świadomą własnych ograniczeń marną tancerką o poczuciu rytmu typowym dla poddanych chowowi wsobnemu Aryjczyków.

Ale teraz napawała się ruchem i siłą, choć jej instynkt krzyczał, by się schowała przed światłem.

Usłyszała głosy policjantów zanim jeszcze zobaczyła niebiesko-czerwone światła radiowozów, tańczące na ścianach na krańcu zaułka. Mięśnie stężały jej ze strachu i niemal upadła w pół kroku.

Podpełzła naprzód i zobaczyła radiowozy oraz samochód koronera, zaparkowane przed jej domem.

Na ulicy roilo się od policjantów i dziennikarzy. Zerknęła na zegarek i cofnęła się do zaułka. Do wschodu słońca zostało pięć minut.

Zaczęła się rozglądać za jakąś kryjówką. Zobaczyła kontener i kilka dużych pojemników na śmieci, troje stalowych drzwi z potężnymi zamkami i piwniczne okno z grubymi stalowymi prętami. Podbiegła do okna i spróbowała pociągnąć za pręty. Lekko się poruszyły. Spojrzała na zegarek. Dwie minuty. Zapała się nogami o cegły i z całej siły pociągnęła za pręty. Zardzewiałe gwinty wyrwały się z zaprawy i pręty drgnęły o kolejny centymetr. Próbowwała zajrzeć w okno, ale wzmocniona drutem szyba była zmatowiała od brudu i starości. Znowu szarpnęła, a pręty głośno zaprotestowały i puściły. Rzuciła kratę na ziemię i cofnęła się, by kopniakiem wybić szybę, gdy za oknem usłyszała jakiś ruch.

O mój Boże, w środku ktoś jest! Obejrzała się na śmietnik, odległy o jakieś piętnaście metrów. Zerknęła na zegarek. Jeśli dobrze chodził, słońce właśnie wzeszło. Była...

Szyba za nią rozpadła się na kawałki. Dwie ręce wysunęły się przez okno, chwyciły ją za kostki i wciągnęły do środka, kiedy straciła przytomność.

- Te żółwie są wadliwe - stwierdził Simon.

- W porządku, Simon - powiedział Tommy.

Byli na targu rybnym w Chinatown, gdzie Tommy próbował kupić dwa duże żółwie jaszczurowate od starego Chińczyka w gumowym fartuchu i wysokich buciorach.

- Pan nie zna ziówia! - upierał się starzec. - Te ziówia pielsia klasa. Pan gównno wie o ziówia.

Żółwie umieszczono w pomarańczowych pojemnikach, by je unieruchomić. Starzec polewał je wężem ogrodowym, żeby nie wysychały.

- A ja mówię, że te żółwie są wadliwe - nie dawał za wygraną Simon. - Mają całkiem zamglone oczy. Te żółwie są naćpane.

- Naprawdę, Simon, jest w porządku - powiedział Tommy.

Simon odwrócił się do niego i szepnął:

- Z nimi trzeba się targować. Inaczej cię nie szanują.
- Ziówia nienaćpane - odparł Chińczyk. - Cie pan ziówia, płac pan cteldzieści dolców.

Simon zsunął czarnego stetsona na tył głowy i westchnął.

- Słuchaj no, Hop Sing, w tym mieście można iść do mamra za sprzedawanie naćpanych zółwi.
- Nienaćpane. Pioldol się, kowboju. Cteldzieści dolców albo won.
- Dwadzieścia.
- Cidzieści.
- Dwadzieścia pięć i najpierw je wypatroszysz.
- Nie - wtrącił Tommy. - Chcę je żywe.

Simon spojrział na kolegę tak, jakby ten właśnie puścił fluorescencyjnego bąka.

- Próbuję tu negocjować.
- Cidzieści - powiedział starzec. - Takie jak są.
- Dwadzieścia siedem - zaproponował Simon.
- Dwadzieścia osiem albo sio do domu - odparł Chińczyk.

Simon odwrócił się do Tommy'ego.

- Zapłać mu.

Tommy odliczył banknoty i podał je starcowi, który je przeliczył i wsunął w kieszeń gumowego fartucha.

- Twój kolega kowboj nie zna ziówia.
- Dzięki - odrzekł Tommy. We dwóch wzięli pojemniki z zółwiami i załadowali je na skrzynię półciężarówki Simona.

Gdy wsiedli do kabiny, Simon powiedział: - Trzeba wiedzieć jak postępować z tymi małymi skurwysynami.

Odkąd spuściliśmy na nich atomówki, źle nas traktują.

- Spuściliśmy atomówki na Japończyków, a nie na Chińczyków.

- Co za różnica. Trzeba było się uprzeć, żeby je wypatroszył.
- Nie, chcę je dać Jody żywe.
- Prawdziwy z ciebie czaruś, Flood. Większość facetów zapłaciłaby okup czekoladkami i kwiatami.
- Okup?
- Wzięła twojego fiuta na zakładnika, nie?
- Nie, chciałem tylko dać jej prezent. Chciałem być miły.

Simon westchnął ciężko i potarł grzbiet nosa, jakby chciał się pozbyć bólu głowy.

- Synu, musimy porozmawiać.

Simon miał jasno sprecyzowane poglądy na temat postępowania z kobietami. W drodze do dzielnicy SOMA dał popis elokwencji, a Tommy słuchał, myśląc: gdyby o nim wiedziały, miałyby zapewniony tytuł Najkoszmarniejszego Mężczyzny Cosmopolitan przez następną dekadę.

- Wiesz - powiedział Simon - kiedy byłem dzieciakiem w Teksasie, chodziliśmy przez pola arbużów i kopaliśmy je po drodze, aż trafiliśmy na któryś tak dojrzały, że pękał. Wtedy wyżeraliśmy miąższ i szliśmy do następnego. Tak należy traktować kobiety, Flood.

- Kopać jak arbuzy?

- Właśnie. Weźmy tę nową kasjerkę. Ona cię chce, chłopie. Ale ty sobie myślisz: mam dziewczynę w domu, więc jej nie potrzebuję. Zgadza się?

- Zgadza - przyznał Tommy.

- Błąd. W domu masz dziewczynę, której kupujesz prezenty, prawisz komplementy, chodzisz po domu na palcach, żeby jej nie wkurzyć, i w ogóle zachowujesz się jak niewolnik bez kręgosłupa. Ale jeśli podjedziesz do tej nowej kasjerki, zyskasz punkt przewagi nad swoją kobietą. Będziesz mógł robić co chcesz i kiedy chcesz, a jak zrobi się upierdliwa i nie zechce ci dać, możesz zawsze iść do kasjerki. Twoja kobieta będzie się musiała bardziej postarać. Będzie miała konkurencję. Prawo podaży i popytu. Boże, błogosław Amerykę. To seksualny kapitalizm.

- Pogubiłem się. Myślałem, że to uprawa arbużów.

- Wszystko jedno. Rzecz w tym, że jesteś pod pantoflem, Flood. I dlatego nie możesz mieć szacunku do siebie. I nie możesz się zabawić. - Simon skręcił w ulicę Tommy'ego i zatrzymał pikapa przy krawężniku. - Coś tu się dzieje.

Przed domem parkowały cztery radiowozy, a furgonetka koronera właśnie odjeżdżała.

- Zaczekaj tutaj - poprosił Tommy.

Wysiadł z samochodu i ruszył w stronę gliniarzy. Odziany w garnitur policjant o ostrych latynoskich rysach wyszedł mu na spotkanie. U jego paska wisiał otwarty pokrowiec z odznaką. Trzymał plastikową torebkę. W środku Tommy dostrzegł egzemplarz W drodze z pozaginаныmi rogami. Rozpoznał plamy kawy na okładce.

- Ulica zamknięta, proszę pana - oznajmił policjant. -Prowadzimy dochodzenie.

- Ale ja tu mieszkam - powiedział Tommy, wskazując poddasze.

- Naprawdę? - spytał gliniarz, unosząc brwi. - A skąd pan jedzie?

- Co tu się, kurwa, dzieje, kolego? - odezwał się Simon, który stanął za Tommym. - Mam w ciężarówce zdychające żółwie, a nie mam cholernego czasu.

- O Chryste — jęknął Tommy i zwiesił głowę.

Wystarczyło pięć minut, by przekonać policję, że Tommy przez całą noc pracował i nic nie widział.

Większą część rozmowy wziął na siebie Simon. Tommy był tak wstrząśnięty widokiem swojej książki w rękach gliniarza, że nie umiał odpowiedzieć nawet na najprostsze pytania. Zdołał jednak przekonać funkcjonariusza, że przyczyną szoku są zwłoki znalezione przed jego domem. Czasami opłacało się grać wizerunkiem w stylu „dopiero wypadłem z ciężarówki z burakami z Indiany”.

Wnieśli żółwie po schodach i postawili pojemniki na podłodze w części kuchennej.

- Gdzie twoja kobitka? - spytał Simon, spoglądając na wielką zamrażarkę skrzyniową.

- Pewnie jeszcze śpi - odparł Tommy. - Weź sobie piwo z lodówki. Zajrzę do niej.

Tommy uchylił drzwi sypialni, po czym wślizgnął się do środka i zamknął je za sobą. Pomyślał, że nie może tu wpuścić Simona. Będzie chciał obudzić Jody i...

Łóżko było puste.

Tommy pobiegł do łazienki i zajrzał do wanny, przypuszczając, że świt zastał Jody właśnie tam, ale jeśli nie liczyć kółka w rdzawym kolorze, wanna była pusta. Zajrzał pod stelaż, nie znalazł tam nic oprócz starej skarpetki, a potem otworzył na oścież drzwi szafy i odepchnął na bok wiszące ubrania. W jego gardle zaczęła narastać fala paniki, która znalazła ujście w okrzyku:

- Nie!

- Wszystko w porządku? - spytał z kuchni Simon.

- Nie ma jej! Simon otworzył drzwi.

- Masz niezłą chatę, Flood. Odziedziczyłeś jakiś szmal czy jak? - spytał Simon. A potem zauważył wyraz paniki na twarzy Tommy'ego. - Co się stało?

- Nie ma jej.

- Pewnie wyszła, żeby kupić sobie rogalika czy coś.

- Nie może wychodzić w ciągu dnia - odparł Tommy, zanim zdał sobie sprawę, co mówi. - Znaczy, nigdy nie wychodzi tak wcześnie.

- Spokojnie. Myślałem, że chcesz nauczyć mnie czytać. Napijmy się piwka i przeczytajmy parę jebanych książek, dobra?

- Nie, muszę jej poszukać. Mogła wyjść na słońce...

- Wyluzuj, Flood. Nic jej nie jest. W najgorszym razie spotkała się z innym facetem. Może jesteś już wolnym człowiekiem. - Simon podniósł książkę ze sterty przy łóżku. - Przeczytajmy tę. Co to za książka? Tommy nie słuchał. Oczyma duszy widział zwęglone ciało Jody, leżące gdzieś w rynsztoku.

Jak mogła na to pozwolić? Nie sprawdziła w kalendarzu? Musiał jej poszukać. Ale gdzie? Nie da się przeszukać całego miasta wielkości San Francisco.

Simon rzucił książkę z powrotem na stertę i wyszedł z sypialni.

- No dobra, stary, spadam stąd. Dzięki za piwo.

- Okej - powiedział Tommy. A potem wizja dnia spędzonego na samotnym oczekiwaniu wywołała w nim nową falę paniki. - Nie, Simon! Czekaj. Poczytamy.

- Tę z samej góry - poprosił Simon. - Co to za książka? Tommy podniósł ją

- Wampir Lestat. Napisała Anne Rice. Słyszałem, że dobra.

- No to weźmy po browcu i jedźmy z tym kształceniem.

Rivera miał zaczerwienione oczy i wyglądał, jakby spał w garniturze. Usiadł przy biurku i zaczął przeglądać notatki. Nieważne jak je przewracał, i tak nie miały sensu, nie ukazywały żadnego wzorca.

Ofiary łączył tylko i wyłącznie sposób, w jaki zginęły: brak motywu. Na raport z sekcji musieli poczekać jeszcze przynajmniej dwanaście godzin, ale nie było wątpliwości, że zabójstw dokonała ta sama osoba.

Nick Cavuto wszedł do sali odpraw z pudełkiem paczków i egzemplarzem San Francisco Examiner.

- Kurwa, nadali mu przydomek. Examiner nazwał go Skręcaczem Karków. Kiedy już nazwą mordercę, mamy dwa razy więcej problemów. Masz coś? Rivera machnął ręką w stronę notatek rozrzuconych na jego biurku i wzruszył ramionami.

- Wymiękam, Nick. Nie mogę odczytać nawet własnego pisma. Sam na to spójrz.

Cavuto wyjął z pudełka patyk z gałązki klonu i usiadł naprzeciwko Rivery. Złapał garść papierów i przejrzał je, po czym zatrzymał się i zaczął kartkować je w drugą stronę. Podniósł wzrok.

- Gadałeś rano z tym młodym Floodem, tak? Rivera patrzył na paczki. Aż ścisnęło go w żołądku na myśl o zjedzeniu jednego z nich.

- Tak, mieszka naprzeciwko miejsca, w którym znaleźliśmy ciało. Pracuje w Safewayu w Marinie.

Tej nocy, gdy nastąpiło zabójstwo, też pracował.

Cavuto uniósł brwi.

- Ten młody mieszkał w motelu, przy którym znaleźliśmy staruszkę.

- Żartujesz.

Cavuto podał partnerowi notatki.

- Lista gości. Mundurowa rozmawiała z chłopakiem. Powiedział, że był w pracy, ale nikt tego nie potwierdził.

Rivera podniósł skruszone spojrzenie.

- Nie wierzę, że to przeoczyłem. Chłopak miał lekkiego pietra, kiedy z nim rozmawiałem. Gadał głównie jego kumpel.

Cavuto zebrał papiery.

- Idź do domu. Weź prysznic i połóż się spać. Zadzwoń do dyrektora Safewaya i upewnij się, czy pracował, kiedy popełniono zabójstwa. Pojedziemy tam dziś wieczorem i pogadamy z chłopakiem.

- Dobra, spytajmy go, jak pozbawia ofiary krwi.

Tommy przez dwie godziny próbował wytłumaczyć Simonowi różnicę między samogłoskami a spółgłoskami, zanim się w końcu poddał i odesłał kowboja do domu, by ten nawoskował półcieżarówkę i obejrzał „Ulicę Sezamkową”. Może czytanie nie było Simonowi przeznaczone? Może Simon miał mieć wybitny instynkt i zero inteligencji? W pewnym sensie Tommy go podziwiał. Simon niczym się nie przejmował, po prostu akceptował wydarzenia, oceniając je na bieżąco. Był jak silny, wolny i wyluzowany Cassidy w porównaniu z Tommym, czyli introwertycznym, przesadnie skłonny do analizy Kerouakiem. Może umieścić Simona w opowiadaniu o dziewczynce dorastającej na Południu? Opowiadaniu, nad którym by pracował, gdyby nie martwił się o Jody.

Cały dzień siedział na kanapie, czytając Wampira Lestata, aż nie mógł się już skupić. Potem zaczął chodzić po mieszkaniu, co rusz spoglądając na zegarek i nawijając do Peary'ego, który cierpliwie słuchał z zamrażarki.

- Wiesz, Peary, to samolubne z jej strony, że nie zostawiła mi kartki. Nie mam pojęcia, co robi, kiedy jestem w pracy. Mogłaby mieć dziesięć romansów, a ja bym nawet o tym nie wiedział.

Osiem razy sprawdzał w kalendarzu porę zachodu słońca.

- Wiem, wiem, zanim poznałem Jody, nic mi się tak naprawdę nie przytrafiało. Dlatego tu przyjechałem, nie? Dobra, może to nie w porządku z mojej strony, ale chyba lepiej by mi było z normalną kobietą. Jody po prostu nie rozumie, że nie jestem taki, jak inni. Że jestem kimś szczególnym. Jestem pisarzem. Znoszę stres gorzej niż inni faceci, bo biorę go do siebie.

Tommy podgrzał mrożony posiłek i zostawił otwartą pokrywę zamrażarki, by Peary lepiej go słyszał

- Wiesz, muszę wejrzeć w przyszłość. Kiedy zostanę sławnym pisarzem, będę jeździł na tournée promujące moje książki. No i co wtedy powiem? „Przykro mi, nie mogę jechać. Moja żona umrze z głodu, jeśli zostawię ją samą”? Chodził w kółko między żółwiami, podejmującymi bezowocne wysiłki, by wydostać się z pojemników. Jeden uniósł kolczastą głowę i popatrzył na Tommy'ego.

- Wiem, co czujecie, chłopaki. Czekacie, aż ktoś was zje. Myślicie, że nie wiem, jak to jest? Kiedy nie mógł już patrzeć żółwiom w oczy, zaniósł je do łazienki, a potem wrócił do pokoju i usiłował przebrnąć jeszcze przez kilka rozdziałów Wampira Lestata.

- To jakieś bzdury - zwrócił się do Peary'ego. - Napisali tu, że wampiry nie uprawiają seksu po przemianie. Oczywiście, tu jest mowa tylko o wampirach-mężczyznach. A co jeśli udawała? Wiesz, może jest oziębła, oprócz sytuacji, w których pije moją krew.

Wpędzał się właśnie w stan absolutnej seksualnej niepewności - stan, który wydawał mu się znajomy i niemal miły - gdy nagle zadzwonił telefon. Dosłownie zerwał słuchawkę z widełek.

- Halo.

Odezwał się kobiecy głos, zaskoczony, lecz starający się tego nie okazywać.

- Halo. Czy mogę rozmawiać z Jody?

- Nie ma jej - odparł Tommy. - Poszła do pracy - dodał szybko.

- Dzwoniłam do pracy i powiedzieli, że odeszła ponad miesiąc temu.

- Ee, ma nową pracę. Nie znam telefonu.

- Kimkolwiek pan jest - powiedziała kobieta, nie siląc się już na uprzejmość - czy może jej pan powiedzieć, że nadal ma matkę? Proszę jej też powiedzieć, że przyjęło się informować matkę o zmianie numeru telefonu. I jeszcze że muszę wiedzieć, jakie ma plany na święta.

- Dobrze, powtórzę - zapewnił Tommy.

- To pan jest tym maklerem? Jak to było... Kurt?

- Nie, nazywam się Tommy.

- Do Bożego Narodzenia zostały tylko dwa tygodnie, Tommy, więc jeśli nic się nie zmieni, to pewnie się spotkamy.

- Cieszę się - powiedział. Tak jak cieszę się z leczenia kanałowego, dodał w myślach.

Mama Jody się rozłączyła. Tommy odłożył słuchawkę i zerknął na zegarek. Do zachodu słońca została tylko godzina.

- Ona żyje - powiedział do Peary'ego. - Jestem tego pewien. Skoro przetrwała swoją matkę, to przetrwa wszystko.

Słyszała pędzącą przez rury parę, szczury buszujące w podartych papierach, pracę kądziółków przednich pajaka snującego sieć, a także dyszenie psów. Otworzyła oczy i rozejrzała się. Leżała na plecach na podłodze piwnicy. Sama. Wokół wały się kartonowe pudła. Przez rozbite okno sączył

się blask księżycy i odgłosy ulicy.

Wstała i wspięła się na skrzynkę, by wyrzeć przez okno. Powitało ją szczeknięcie i warkot psiaka o wylupiastych oczach z rondlem przymocowanym do głowy.

- Błę! - Starła ślinę z policzka.

Cesarz opadł na kolana i wsunął rękę przez okno.

- O Boże, nic ci się nie stało, moja droga?

- Nie, nic. Zupełnie nic.

- Nie jesteś ranna? Wezwać policję?

- Nie, dziękuję. Mógłbyś mi pomóc? - Wskoczyłaby przez okno, ale w obecności Cesarza nie był to najlepszy pomysł. Chwyliła jego dłoń i pozwoliła, by ją wyciągnął.

Stanąła w zaułku i otrzepała dzinsy. Bummer szczekał jak najęty. Cesarz podniósł psiaka i wsunął go do ogromnej kieszeni płaszcza.

- Muszę przeprosić za zachowanie Bummera. Czegoś takiego nie można usprawiedliwić, ale to ofiara chowu wsobnego. Jestem królewskiej krwi, więc mogę sobie pozwolić na wyjątki. Jeśli to jakaś pociecha, tylko dzięki uporowi Bummera zapuściliśmy się w ten zaułek i cię znaleźliśmy.

- No, dzięki - powiedziała Jody. - Nie wiem, co się dokładnie stało.

- Sprawdź, czy masz wszystkie kosztowności, skarbie. Bez wątpienia napadł cię jakiś złoczyńca.

Może potrzebujesz opieki lekarskiej?

- Nie, jestem tylko lekko roztrzęsiona. Powinnam iść do domu.

- Pozwól więc, żebyśmy odprowadzili cię do drzwi.

- Nie, nie trzeba. Mieszkam na końcu tego zaułka. Cesarz uniósł palec w geście ostrzeżenia.

- Proszę, moja droga. Bezpieczeństwo przede wszystkim. Jody zadrżała.

- No dobrze. Dzięki. - Bummer wiercił się i parskał. Wyglądało to jak... no, jak pies w kieszeni. - Czy on ma czym oddychać?

- Bummerowi nic się nie stanie. Po prostu jest strasznie podekscytowany, odkąd wyruszyliśmy na wojnę. Pierwszy raz rusza do walki.

Jody popatrzyła na złowrogo zaostrzony miecz Cesarza.

- A jak tam bitwa?

- Zdaje się, że wkrótce dopadniemy siły zła. Łajdak szczerze, a my odniesiemy zwycięstwo.

- To fajnie - stwierdziła Jody.

Kiedy Tommy usłyszał, że ktoś wchodzi po schodach, cisnął książkę przez pokój, pobiegł do drzwi wejściowych na poddasze i otworzył je na oścież. Na klatce stała Jody.

- Cześć - powiedziała.

Tommy był rozdarty. Nie wiedział, czy wziąć ją w ramiona, czy zepchnąć ze schodów. Po prostu stał.

- Cześć - odrzekł.

Pocałowała go w policzek, przesunęła się obok i weszła do środka. Tommy zastanawiał się jak zareagować.

- Wszystko w porządku? Gdy już się upewnił, że nie spotkała jej krzywda, naskoczył na nią za to, że cały dzień jej nie było.

Opadła na kanapę niczym szmaciana lalka.

- Miałam bardzo ciężką noc.

- Gdzie byłaś?

- W piwnicy, niedaleko stąd. Zadzwoiłabym, ale nie żyłam.

- To nie jest śmieszne. Martwiłem się. W nocy znaleźli trupa przed domem.

- Wiem, widziałam gliniarzy tuż przed świtem. To dlatego nie mogłam wrócić.

- Ci gliniarze mieli mój egzemplarz W drodze w torebce na dowody. Zdaje się, że mam kłopoty.

- Było na niej twoje nazwisko?

- Nie, ale na pewno cała masa moich odcisków palców. Skąd się tam wzięła ta książka?

- Wampir ją zostawił.

- Skąd ją miał? Była tutaj, w mieszkaniu.

- Nie wiem. Próbuje nas wystraszyć. Zostawia ciała w pobliżu, żeby policja powiązała nas z zabójstwami. Choć w ogóle nie musi zostawiać ciał. Zabija tych ludzi tak, żeby były dowody.

- Co masz na myśli? Dlaczego w ogóle nie musi zostawiać ciał?

- Tommy, chodź tutaj. Usiądź. Muszę ci coś powiedzieć.

- Nie podoba mi się ten ton. Złe wieści, tak? Wielki zawód? Ostatniej nocy byłeś z innym facetem.

- Usiądź i zamknij się, proszę.

Tommy usiadł, a ona mu opowiedziała. Opowiedziała o zabójstwie, o ciele, które zmieniło się w pył, i o tym jak wciągnięto ją do piwnicy.

Kiedy skończyła, Tommy siedział przez chwilę i patrzył na nią, a potem się odsunął.

- Wzięłaś pieniądze tego faceta?

- Wydawało mi się, że źle by było je wyrzucić.

- A nie było źle go zabić?

- Nie było. Mogę to wyjaśnić. Czułam, że powinnam to zrobić.

- Jeśli byłaś głodna, wystarczyło powiedzieć. Nie mam nic przeciw temu, naprawdę.

- To nie tak, Tommy. Słuchaj, nie wiem jak to zaklasyfikować. W sensie emocjonalnym. Nie czuję się tak, jakbym kogoś zabiła. Staram się wytłumaczyć, że ciało rozpadło się w pył. Nie było ciała. Ludzie, których zabija wampir, nie umierają od ugryzienia. Zanim umrą, skreca im karki. Robi to specjalnie, żeby mnie przestraszyć. Obawiam się, że mógłby cię skrzywdzić, żeby dać mi się we znaki. Od dawna to podejrzewałam, ale nie chciałam ci nic mówić. Jeśli postanowisz odejść, zrozumieć.

- Nie mówiłem nic o odejściu. Nie wiem co robić. Jak byś się czuła, gdybym ci powiedział, że kogoś zabiłem?

- Zależy. Ten facet chciał umrzeć. Cierpiał. I tak by umarł.

- Chcesz, żebym odszedł?

- Oczywiście, że nie. Ale chcę, żebyś spróbował zrozumieć.

- Próbuję. Cały czas. Myślisz, że po co robiłem te wszystkie eksperymenty? Zachowujesz się tak, jakby to było dla mnie łatwe. Przez cały dzień byłem kłębkim nerwów, niepokoiłem się o ciebie, a ty spałaś w piwnicy tuż obok. No i co? Kto cię tam wciągnął?

- Nie wiem.

- Ktokolwiek to był, uratował ci życie. Czy to był ten wampir?

- Już mówiłam, że nie wiem.

Tommy przeszedł przez pokój i podniósł z podłogi egzemplarz Wampira Lestata w miękkiej oprawie.

- Ten facet, Lestat, wie, kiedy w pobliżu pojawia się inny wampir. Wyczuwa to. A ty wyczuwasz?

- Jasne, i dlatego mamy trupa w zamrażarce. Nie, nie wyczuwam.

Tommy pokazał jej książkę.

- Tutaj opisano całą historię rasy wampirów. Myślę, że ta Anne Rice zna prawdziwego wampira albo coś.

- To samo myślałeś o Bramie Stokerze. A ja godzinę stałam na krześle i próbowałam zmienić się w nietoperza.

- Nie, to co innego. Lestat nie jest zły, on lubi ludzi. Zabija tylko morderców, którzy nie mają skrupułów. Wie, kiedy w pobliżu pojawiają się inne wampiry. Lestat umie latać.

Jody zerwała się z kanapy i wyrwała mu książkę z ręki.

- A Anne Rice umie pisać, Tommy, ale nie robię z tego sensacji.

- Niepotrzebnie bierzesz to do siebie.

- Słuchaj, może w jednej z tych książek, które czytasz, napisano prawdę, ale skąd mamy wiedzieć, w której? No? Nikt nie dał mi pieprzonej instrukcji obsługi, kiedy dostałam te kły. Robię co w mojej mocy.

Tommy odwrócił wzrok, a potem opuścił głowę.

- Masz rację, przepraszam. Jestem zagubiony i trochę się boję. Nie wiem, co robię. Do diabła Jody, może teraz masz AIDS, przecież nie wiemy...

- Nie mam AIDS. Wiem, że nie.

- A skąd wiesz? Nie możemy cię wysłać na badania ani nic.

- Wiem, Tommy. Czułabym, gdybym się zaraziła. Jeśli nie liczyć słońca i jedzenia, nawet nie mam już na nic alergii. Balsamy do rąk i mydła, do których wcześniej nie mogłam nawet podejść, żeby nie dostać wysypki, przestały na mnie działać. Zrobiłam kilka własnych eksperymentów. Moje ciało nie pozwala, żeby cokolwiek zrobiło mi krzywdę. Jestem bezpieczna. A poza tym... - Urwała i uśmiechnęła się, czekając aż zapyta.

- Co poza tym?

- Użył prezerwatywy.

Tommy znowu wbił spojrzenie w podłogę i nic nie odpowiedział, ale po chwili nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

- To absolutnie chore, Jody. Skinęła głową i roześmiała się.

- Kocham cię - powiedział, podchodząc do niej i biorąc ją w ramiona.

- Ja ciebie też - odparła, przytulając go.

- To naprawdę chore, wiesz o tym?

- Tak - przyznała. - Tommy, nie chcę psuć tej pięknej chwili, ale muszę wziąć prysznic. - Pocałowała go i delikatnie odepchnęła, po czym skierowała się do łazienki.

- Ee, Jody! - zawołał za nią. - Kupiłem ci dziś prezent w Chinatown.

Da się to jakoś wyjaśnić, pomyślała, stojąc w łazience i patrząc na żółwie. Na pewno istnieje logiczny powód, dla którego w mojej wannie są dwa olbrzymie żółwie jaszczurowate.

- Podobają ci się? - Tommy stanął za nią w drzwiach.

- To znaczy, że one są dla mnie? - Próbowwała się uśmiechnąć. Naprawdę próbowała.

- Tak, Simon pomógł mi je przywieźć do domu. Uznałem, że nie dam rady przewieźć ich autobusem.

Wspaniałe, co? Jody znowu zajrzała do wanny. Żółwie próbowały się wspinać na siebie nawzajem. Przy każdym ruchu ich pazury skrzypiały na emalii.

- Nie wiem co powiedzieć - stwierdziła.

- Pomyślałem, że możemy karmić je rybami i tak dalej, a ty miałabyś w domu zapas krwi.

Odwróciła się i popatrzyła na niego. Tak, mówił poważnie. Śmiertelnie poważnie. -Ty chyba nie...

- Nazywają się Scott i Zelda. Zelda nie ma palca u tylnej łapy. Po tym się je odróżnia. Podobają ci się? Wydajesz się trochę małomówna.

Trochę, pomyślała. Nie mogłeś przynieść mi kwiatów ani biżuterii, jak większość facetów. Musiałeś to powiedzieć za pomocą gadów.

- Pewnie nie mam co liczyć, że zachowałeś paragon? Na jego twarzy pojawił się wyraz wielkiego zawodu.

- Nie podobają ci się.

- Nie, są w porządku. Ale bardzo chciałam wziąć prysznic. Nie wiem, czy chcę się przed nimi rozbierać.

- A - powiedział i rozpromienił się. - Zabiorę je do salonu.

Ściągnął ręcznik z wieszaka i zaczął manewry nad wanną, by zarzucić go na Zeldę.

- Musisz uważać. Potrafią odgryźć palec.

- Rozumiem - powiedziała Jody. Ale wcale nie rozumiała. Pomysł, by ugryźć któregoś z tych kolczastych stworów w wannie, przyprawiał ją o dreszcze.

Tommy skoczył i po chwili podniósł Zeldę, owiniętą ręcznikiem jak becikiem i kłapiącą zółwią paszczą przed jego twarzą.

- Nie cierpi, kiedy się ją podnosi.

Pazury Zeldy drapały ręcznik i jego koszulę, gdy zwierzę usiłowało pływać w powietrzu. Położył zółwia na grzbiecie na posadzce łazienki i przygotował ręcznik, by rzucić się do wanny po Scotta.

- Lestat umie przywoływać do siebie zwierzęta, kiedy jest głodny. Może uda ci się je wytresować.

- Przestań z tym Lestatem, Tommy. Nie będę piła krwi z zółwi.

Odwrócił się do niej, poślizgnął i wpadł do wanny. Scott kłapnął paszczą, o włos mijając jego rękę, i wczepił się w rękaw dzinsowej koszuli.

- Nic mi nie jest! Nic mi nie jest. Nie dosięgnął mnie. Jody wyciągnęła go z wanny. Scott wciąż trzymał go za rękaw i ani myślał puścić.

Zółwie nie znoszą wysokości. Nie lubią przebywać nawet pół metra nad ziemią. To właśnie jest powód, dla którego tak długo opierały się ewolucji: lęk wysokości. Ich tok myślenia przedstawia się następująco: jasne, najpierw łuski zmienią nam się w pióra i zanim się obejrzysz, już będziesz latał, ćwierkał i siadał na drzewach. Już to widzieliśmy Dzięki, ale wolimy zostać tutaj, w błocie, gdzie nasze miejsce. Żaden zółw nie wleci radośnie w szklane drzwi.

Scott nie puszczał rękawa, przynajmniej dopóki Tommy stał.

- Pomóż mi - poprosił Tommy. - Zabierz go.

Jody szukała na zółwiu jakiegoś miejsca, za które mogłaby złapać. Kilka razy wyciągała i cofała rękę.

- Nie chcę go dotykać. Zadzwoił telefon.

- Odbiorę - powiedziała i wybiegła z łazienki. Tommy zaciągnął Scotta do drzwi, trzymając nogi w bezpiecznej odległości od paszczy Zeldy.

- Zapomniałem ci powiedzieć...

- Halo - odezwała się Jody do słuchawki. - O, cześć, mamó.

MAMA I PASZTET Z ŻÓŁWIEM

Jest w mieście - oznajmiła Jody. - Przyjdzie tu za parę minut. Odłożyła słuchawkę na widełki, Tommy stanął w drzwiach łazienki, z wciąż dyndającym na rękawie Scottem.

- Brakuje ci spinki do mankietu - zauważyła Jody.

- Zdaje się, że nie puści. Mamy jakieś nożyczki? Złapała go za rękaw, parę centymetrów nad miejscem, w które wczepił się Scott.

- Gotów? Skinął głową, a ona oderwała rękaw na wysokości ramienia. Scott przyczał się w sypialni, nadal ściskając rękaw paszczą.

- To była moja najlepsza koszula - stwierdził Tommy, patrząc na swoją odsłoniętą rękę.

- Przepraszam, ale musimy tu posprzątać i uzgodnić jakąś historyjkę.

- Skąd dzwoniła?

- Z hotelu Fairmont. Mamy jakieś dziesięć minut.

- Czyli nie zamieszka u nas?

- Żartujesz? Moja matka pod jednym dachem z ludźmi, którzy żyją w grzechu? Nigdy w życiu, mój ty żółwiku.

Tommy nie zareagował na „żółwika”. Sytuacja była wyjątkowa, nie było więc czasu na obrażanie się.

- Twoja matka używa określeń w stylu „życie w grzechu”?

- Pewnie wyhaftowała je sobie i powiesiła nad telefonem, żeby nie zapomnieć użyć go co miesiąc, kiedy dzwonię.

- Już po nas. Dlaczego nie zadzwoniłaś do niej w tym miesiącu? Mówiła, że zawsze dzwonisz.

Jody chodziła w kółko, próbując pomyśleć.

- Bo nie dostałam przypomnienia.

- Jakiego przypomnienia?

- Okresu. Zawsze dzwoniłam, kiedy miałam okres, żeby to co nieprzyjemne załatwić za jednym razem.

- Kiedy ostatni raz miałaś okres? Zastanawiała się przez chwilę. Zanim uległa przemianie.

- Nie wiem, osiem, dziewięć tygodni temu. Przykro mi, nie do wiary, że zapomniałam.

Tommy podszedł do kanapy, usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

- Co teraz zrobimy? Jody usiadła obok niego.

- Raczej nie zdążymy przemaalować mieszkania.

Przez następne dziesięć minut, podczas gdy sprząтали poddasze, Jody starała się przygotować Tommy'ego na to, czego miał zaraz doświadczyć.

- Nie lubi mężczyzn. Mój ojciec zostawił ją dla młodszej, kiedy miałam dwanaście lat, i mama uważa, że wszyscy faceci to padalce. Kobiet właściwie też nie lubi, bo jedna ją zdradziła. Była jedną z pierwszych kobiet, które uzyskały dyplom Stanford, i trochę się snobuje. Mówi, że zламаłam jej serce, kiedy nie poszłam na Stanford. Od tamtej pory to już równia pochyła. Nie podoba jej się, że mieszkam w San Francisco, nigdy nie zaakceptowała żadnej mojej pracy, faceta, sposobu ubierania się.

Tommy przerwał szorowanie zlewu w kuchni.

- To o czym mam mówić?

- Chyba najlepiej, żebyś siedział cicho i wyglądał na skruszonego.

- Zawsze wyglądam.

Jody usłyszała, że ktoś otworzył drzwi na klatkę schodową.

- Przyszła. Idź zmienić koszulę.

Tommy pobiegł do sypialni, po drodze ściągając koszulę z jednym rękawem. Nie jestem na to gotowy, pomyślał. Muszę popracować nad sobą, zanim będę gotowy do prezentacji.

Jody otworzyła drzwi. Stała w nich jej matka, która nie zdążyła zapukać.

- Mamo! - powiedziała z takim entuzjazmem, na jaki tylko mogła się zdobyć. - Świetnie wyglądasz.

Frances Evelyn Stroud stała na schodach, patrząc na swoją najmłodszą córkę ze skrywaną dezaprobatą. Była niską korpulentną kobietą, ubraną w kilka warstw wełny i jedwabiu pod kaszmirowym płaszczem. Siwiejąca blondynka upięła i ułożyła włosy za pomocą lakieru w ten sposób, by ukazać perłowe kolczyki wielkości mniej więcej piłeczek do ping-ponga. Brwi miała wyskubane, a potem namalowane z powrotem, kości policzkowe były wydatne i podkreślone różem, wargi obrysowane, pociągnięte szminką i mocno zaciśnięte. Miała takie same oszałamiające zielone oczy jak córka, lśniły w nich teraz iskierki potępienia. Kiedyś była ładna, teraz jednak wkraczała do limbusu dla kobiet po menopauzie, nazywanych przystojnymi.

- Mogę wejść - raczej stwierdziła, niż zapytała.

Jody, która już podnosiła ręce, by ją uściskać, gwałtownie je opuściła.

- Oczywiście - odparła i odsunęła się na bok. - Miło cię widzieć - dodała, zamykając drzwi.

Tommy wyskoczył z sypialni do kuchni i zahamował, ślizgając się w samych skarpetkach.

- Cześć - powiedział.

Jody położyła rękę na plecach matki. Frances lekko się wzdrygnęła pod tym dotykiem.

- Mamo, to jest Thomas Flood. Jest pisarzem. Tommy, to moja matka, Frances Stroud.

Tommy podszedł do Frances, wyciągając rękę.

- Bardzo mi miło...

Mocno ścisnęła swoją torebkę od Gucciego, po czym zmusiła się, by podać mu rękę.

- Pani Stroud - powiedziała, nie chcąc narazić się na to, że usłyszy swoje imię z ust Tommy'ego.

Jody przerwała ten niezręczny moment, by mogli przejść do następnego.

- Mamo, mogę wziąć twój płaszcz? Może usiądziesz? Frances Stroud oddała córce płaszcz takim gestem, jakby oddawała bandziorowi karty kredytowe. Jakby nie chciała wiedzieć, dokąd ten płaszcz trafi, świadoma, że i tak więcej go nie zobaczy.

- To twoja sofa? - spytała, ruchem głowy wskazując kanapę.

- Usiądź mamo. Napij się czegoś. Mamy... - Zdała sobie sprawę, że nie wie, co mają. - Tommy, co mamy? Tommy nie spodziewał się, że tak szybko zaczną się pytania.

- Sprawdź - powiedział, po czym pognął do kuchni i otworzył na oścież szafkę. - Jest kawa, zwykła i bezkofeinowa. - Poszperał w szafce, szukając kawy, cukru i śmietanki w proszku. - Mamy ovaltinę i... - Otworzył lodówkę. - Piwo, mleko, sok żurawinowy i piwo. Dużo piwa. To znaczy nie dużo, ale sporo i... - Zajrzał do zamrażarki.

Peary patrzył na niego spomiędzy mrożonych dań. Tommy zatrzasnął pokrywę. - To wszystko. Tu nic nie ma.

- Poproszę kawę bezkofeinową - powiedziała matka Stroud. Odwróciła się do Jody, która zwinęła kaszmirowy płaszcz matki i cisnęła go w kąt szafy.

- Więc rzuciłaś pracę w Transamerice. Pracujesz, skarbie? Jody usiadła na wiklinowym krześle, oddzielona od matki wiklinowym stolikiem do kawy. (Tommy postanowił urządzić poddasze w tandetnym stylu Pier 1 Imports. W rezultacie brakowało tylko wiatraka pod sufitem i kakadu, by mieszkanie wyglądało jak tajski burdel).

- Mam pracę w marketingu - odparła Jody. To brzmiało poważnie. Brzmiało profesjonalnie.

Brzmiało jak kłamstwo.

- Mogłaś mi powiedzieć, oszczędziłabyś mi wstydu. A tak zadzwoniłam do Transameriki tylko po to, by się dowiedzieć, że cię zwolnili.

- Zrezygnowałam. Nie zwolnili mnie.

Tommy, który siłą woli próbował stać się niewidzialny, podszedł, by podać kawę bezkofeinową, którą postawił na wiklinowej tacy razem ze śmietanką i cukrem.

- A pan, panie Flood, jest pisarzem? Co pan pisze? Tommy rozpromienił się.

- Pracuję nad opowiadaniem o dziewczynce z Południa. Jej ojca skazano na ciężkie roboty.

- Więc pochodzi pan z Południa?

- Nie, z Indiany.

- O - powiedziała, jakby właśnie się przyznał, że wychowały go szczury. - A gdzie pan studiował?

- Ee, właściwie jestem samoukiem. Uważam, że własne przeżycia to najlepsza szkoła. - Zdał sobie sprawę, że się poci.

- Rozumiem - odrzekła. - A gdzie mogę przeczytać pańskie dzieła?

- Jeszcze nie doczekałem się publikacji. - Przesząpił z nogi na nogę. - Ale pracuję nad tym - dodał szybko.

- Zatem ma pan inną pracę. Też w marketingu? Do akcji wkroczyła Jody. Zobaczyła, że od Tommy'ego aż bije para.

- Jest menedżerem w Safewayu w Marinie, mam. -Było to drobne kłamstewko, bez znaczenia w porównaniu z gobelinem kłamstw, który przez lata tkła wokół matki.

Matka Stroud przeszła córkę spojrzeniem ostrym niczym skalpel.

- Wiesz, Jody, nie jest za późno, żeby starać się o przyjęcie na Stanford. Jesteś trochę starsza od innych studentów pierwszego roku, ale mogłabym pociągnąć za parę sznurków.

Jak ona to robi? - zastanawiała się Jody. Jak to możliwe, że wchodzi do mojego domu, a ja po paru minutach czuję się jak śmieć? I po co jej to?

- Mamo, nie mam ochoty na powrót do szkoły. Kobieta uniosła filiżankę, jakby chciała pociągnąć łyk kawy, ale znieruchomiała.

- Oczywiście, skarbie. Nie chcesz zaniedbywać swojej kariery i rodziny.

Był to werbalny cios, zadany z uprzejmą, egzaltowaną złośliwością. Jody poczuła, że coś się w niej dzieje, jakby ktoś wrzucił do kwasu tabletki cyjanku. Jej poczucie winy zawisło na szubienicy i ostatni raz zadrgało z przetrąconą szyją. Żałowała tylko dziesięciu tysięcy zdań, które zaczęła od „kocham swoją matkę, ale...”. Mówisz tak, żeby inni nie uznali cię za zimną i nieczułą, pomyślała. Teraz już za późno.

- Może i masz rację, mamó - powiedziała. - Może gdybym poszła na Stanford, zrozumiałabym, dlaczego nie przyszłam na świat z wrodzonymi umiejętnościami gotowania, sprzątanania, wychowywania dzieci, kierowania swoją karierą i związkami. Zawsze się zastanawiałam, czy to brak edukacji, czy wada genetyczna.

Matka była nieporuszona.

- Nie mogę odpowiadać za genetyczne pochodzenie twojego ojca, skarbie.

Tommy cieszył się, że uwaga matki Stroud zwróciła się w inną stronę, zobaczył jednak, że oczy Jody się zwężają, a miejsce urazy zajmuje w nich gniew. Chciał jej pomóc. Chciał się przyczynić do zawarcia pokoju. Chciał się schować w kącie. Chciał wkroczyć do akcji i rozdawać kopniaki. Na jednej szali położył swoje dobre wychowanie, a na drugiej anarchistów, buntowników i ikonoklastów, którzy byli jego bohaterami. Mógłby zjeść tę kobietę żywcem. Był pisarzem i słowo stanowiło jego broń. Nie miała najmniejszych szans. Zniszczy ją.

I zrobiłby to. Już brał głęboki wdech, by zaatakować ją słownie, gdy dostrzegł strzęp dzinsu powoli znikający pod ramą kanapy. Rękaw oderwany od jego koszuli. Wstrzymał oddech i spojrzał na Jody.

Uśmiechała się i milczała.

- Wiesz, twój ojciec miał na Stanford stypendium sportowe - mówiła dalej matka Stroud. - Inaczej nigdy by go nie przyjęli.

- Na pewno masz rację - odparła Jody. Uśmiechnęła się uprzejmie, słuchając nie swojej matki, ale melodyjnego skrobania żółwich pazurów o dywan. Skupiła się na tym dźwięku i usłyszała powolne bicie Scottowego serca.

Matka pociągała bezkofeinową kawę. Tommy czekał.

- Jak długo będziesz w San Francisco? - zapytała Jody.

- Wpadłam tylko na zakupy. Sponsoruję przyjęcie dobroczynne na rzecz symfonii w Monterey i chciałam kupić sukienkę. Oczywiście, mogłam coś znaleźć w Carmel, ale wtedy wszyscy widzieliby ją już wcześniej. To z mora życia w niewielkiej społeczności.

Jody kiwnęła głową, jakby to rozumiała. Nie odczuwała żadnej więzi z tą kobietą, już nie. Frances Evelyn Stroud była obcą, niemiłą osobą. Jody czuła się bardziej związana z żółwiem pod kanapą.

A pod kanapą Scott dostrzegł łuskowaty wzór na butach matki Stroud. Nigdy nie widział włoskich czółenek ze sztucznej krokodylej skóry, ale umiał rozpoznać łuski. Kiedy spokojnie leżysz zagrzebany

w mule na dnie stawu i widzisz łuski, oznacza to pożywienie. Gryziesz.

Frances Stroud wrzasnęła i zerwała się na równe nogi, wrywając prawą stopę z buta i padając na wiklinowy stolik do kawy. Jody chwyciła matkę za ramiona i postawiła ją z powrotem na podłodze.

Frances wyrwała się i zaczęła wycofywać przez pokój, patrząc, jak spod kanapy wylania się żółw jaszczurowaty i radośnie gryzie jej czólenko.

- Co to jest?! Co to za stwór?! On zjada mój but! Zatrzymać go! Zabić! Tommy przeskoczył przez kanapę i rzucił się w stronę żółwia, chwytając obcas, zanim but całkiem zniknie w żółwiej paszczy. Scott wbił pazury w dywan i szarpnął w tył. Tommy został z obcasem w dłoni.

- Częściowo go odzyskałem. Jody stanęła przy matce.

- Chciałam wezwać specja od szkodników, mamó. Gdybym wiedziała z większym wyprzedzeniem...

Matka Stroud wydawała z siebie urywane, pełne oburzenia sapnięcia.

- Jak możesz tak żyć? Tommy podał jej obcas.

- Nie chcę go. Wezwij mi taksówkę.

Tommy zawahał się, dostrzegając okazję, ale przepuścił ją i podszedł do telefonu.

- Nie możesz iść bez butów, mamó. Dam ci jakieś. -Jody poszła do sypialni i wróciła z parą najjaskrawszych tramppek. - Proszę, mamó, wrócisz w nich do hotelu.

Kobieta, która bała się gdziekolwiek usiąść, oparła się o drzwi i wsunęła stopy w trampki. Jody zawiązała jej sznurowadła i wsunęła nietknięte czólenko do jej torebki.

- Proszę. - Cofnęła się o krok. - Aha, co zrobimy ze świętami? Matka Stroud, ze wzrokiem wlepionym w Scotta, tylko pokręciła głową. Żółw zaklinował się między nogami stolika do kawy i ciągnął za sobą mebel po całym poddaszu.

Pod dom podjechała taksówka, rozległ się klakson. Kobieta oderwała spojrzenie od gada i popatrzyła na córkę.

- W święta będę w Europie. Muszę już iść. - Otworzyła drzwi i wyszła przez nie tyłem.

- Pa, mamó - powiedziała Jody.

- Miło było panią poznać, pani Stroud! - zawołał za nią Tommy.

Kiedy taksówka odjechała, odwrócił się do Jody i powiedział:

- Całkiem nieźle poszło, co? Chyba mnie polubiła. Jody z opuszczonym wzrokiem opierała się o drzwi.

Uniosła głowę i cicho zachichotała. Po chwili już zwijała się ze śmiechu.

- Co? - spytał Tommy.

Podniosła na niego załzawione ze śmiechu oczy.

- Chyba już mogę poznać twoich rodziców, nie?

- Nie wiem. Mogą być źli, że nie jesteś metodystką.

POWRÓT ŚNIADANIA

Cesarz leżał z rozłożonymi rękami na krańcu pomostu w marinie jachtklubu Saint Francis, patrząc na chmury przepływające nad zatoką. Bummer i Lazarus leżały obok z łapami do góry i drzemały. Całą trójkę można by wziąć za scenę ukrzyżowania, gdyby nie fakt, że psy się uśmiechały.

- Panowie - powiedział Cesarz. - Wydaje mi się, że piosenka Otisa Reddinga o siedzeniu na pomoście nad zatoką ma spory sens. Po całonocnym polowaniu na wampiry to najprzyjemniejszy sposób na spędzenie dnia. Bummer, myślę, że zasłużyłeś na pochwałę. Kiedy nas tu prowadziłeś, byłem pewien, że marnujesz nasz czas.

Bummer nie odpowiedział. Śnił mu się park pełen ogromnych drzew i maleńkich listonoszy. Łapy mu drgały i parskał sennie za każdym razem, gdy schrupał któremuś głowę. W snach listonosze smakują jak kurczaki.

Cesarz powiedział:

- Ale chociaż to miłe, smakuje poczuciem winy i odpowiedzialności. Siedzimy tego łotra od dwóch miesięcy i nie zrobiliśmy najmniejszych postępów. A jednak się wylegujemy i napawamy ładną pogodą.

W tych chmurach widzę twarze ofiar.

Lazarus przekręcił się i polizał dłoń Cesarza.

- Masz rację, bez snu nie bylibyśmy gotowi do bitwy. Może Bummer okazał się mądrzejszy, niż przypuszczaliśmy, że nas tu przyprowadził.

Cesarz zamknął oczy i dał się ukołysać do snu odgłosowi fal obmywających pirsy.

Sto metrów dalej stał na kotwicy trzydziestometrowy jacht motorowy, zarejestrowany w Holandii.

Pod pokładem, w wodoszczelnej krypcie ze stali nierdzewnej, wampir przesypiał dni.

Tommy spał już od godziny, kiedy obudziło go walenie do drzwi na dole. W mroku sypialni

szturchnął Jody, która jednak była nieprzytomna, bo trwał dzień. Spojrzał na zegarek. 7:30 rano.

Poddasze aż się zatrzęsło od tego walenia. Wypełzył z łóżka i w bieliźnie poczłapał do drzwi. Blask poranka, sączący się przez okna poddasza, na chwilę go oślepił i Tommy uderzył gołenią o kant zamrażarki, gdy przechodził przez kuchnię.

- Już idę! - krzyknął. Dźwięk był taki, jakby w drzwi łomotano młotem.

Kuśtykając jak Quasimodo i jedną ręką trzymając się za goleń, zszedł po schodach, po czym odemknął drzwi na dole. Przez szparę zajrzał do środka Simon. Tommy ujrzał w jego ręce młotek, gotowy do kolejnego uderzenia.

- Stary, chodźmy usiąść - powiedział Simon.

- Ja śpię, Sime. Jody śpi.

- No ale już wstałeś. Obudź kobitkę, przyda się śniadanie.

Tommy otworzył drzwi nieco szerzej i zobaczył, że za Simonem stoi Drew z głupkowatym uśmiechem jak po trawce.

- Nieustraszony Przywódca! Była tam cała ekipa Zwierzaków. Trzymali torby z zakupami i czekali.

Tommy pomyślał, że tak się musiała czuć Anna Frank, kiedy u drzwi stanęło gestapo.

Simon precyzyjnie przeszedł przez drzwi, a Tommy aż odskoczył, by nie nadepnął mu na palce.

- Hej.

Simon rzucił okiem na wypchane erekcją spodnie gospodarza.

- To zwykły świtaniec czy w czymś przeszkodziliśmy?

- Mówiłem, że spałem.

- Jesteś młody, może ci jeszcze urośnie. Nie przejmuj się.

Tommy spojrzał w dół na swój znieważony członek. Simon przemknął obok niego na schody, a za nim podążyła reszta Zwierzaków. Clint i Lash zatrzymali się i pomogli mu wstać.

- Spałem - powiedział żałośnie Tommy. - Dziś mam wolne.

Lash poklepał go po ramieniu.

- Odwołałem dziś zajęcia. Myśleliśmy, że przyda ci się moralne wsparcie.

- Dlaczego? Nic mi nie jest.

- Wczoraj w nocy do sklepu przyjechali gliniarze. Szukali cię. Nie podaliśmy im twojego adresu ani nic.

- Gliniarze? - Tommy zaczynał się budzić. Z poddasza dobiegł odgłos otwieranych piw. - Czego ode mnie chcieli?

- Chcieli zobaczyć twoje karty czasu pracy. Sprawdzić, czy pracowałeś tej czy tamtej nocy. Nie powiedzieli, o co chodzi. Simon próbował odwrócić ich uwagę i oskarżył mnie o dowodzenie grupą czarnych terrorystów.

- Miło z jego strony.

- Tak, to równy gość. Powiedział tej nowej kasjerce, Marze, że się w niej kochasz, ale wstydzisz się to powiedzieć.

- Przebacz mu - odezwał się pobożnym tonem Clint -albowiem nie wie, co czyni.

Na schodach pojawił się Simon.

- Flood, dałeś tej lasce jakieś dragi? Nie chce się obudzić.

- Nie włączcie do sypialni! - Tommy odepchnął Lasha i Clinta, po czym pognął na górę.

Cavuto żuł niezapalone cygaro.

- Mówię ci, jedźmy do chłopaka do domu i przyciśnij-my go.

Rivera podniósł wzrok znad sterty wydruków komputerowych.

- Po co? Pracował, kiedy dokonano morderstw.

- Bo oprócz niego nic nie mamy. Co z odciskami na książce? Wyszło coś?

- Na okładce było kilka dobrych odcisków, ale komputer nie znalazł odpowiednika. Co ciekawe, żaden z nich nie należał do ofiary. Facet nawet nie dotknął książki.

- A co z tym chłopakiem? Odciski pasują?

- Nie da się tego stwierdzić, bo nigdy nie pobierano mu odcisków. Odpuść, Nick. On nie zabił tych ludzi.

Cavuto przeciągnął dłonią po łysinie, jakby próbował wymacać guz, w którym kryła się odpowiedź.

- Aresztujmy go i zdejmijmy odciski.

- Pod jakim zarzutem?

- Jego spytamy. Znasz to chińskie przysłowie: „Codziennie bij dziecko. Jeśli nie wiesz za co, ono

będzie widziało.

- Myślałeś kiedyś o adopcji? - Rivera przewrócił ostatnią stronę wydruku i wyrzucił go do kosza przy biurku. – Nic nie mamy. Wszystkie zabójstwa z dużym upływem krwi wiążą się z okaleczeniami.

Nie ma tu wampirów.

Przez dwa miesiące unikali tego słowa. A teraz proszę. Cavuto wyjął zapalną, potarł ją o podeszwę buta i okrężnym ruchem przysunął do koniuszka cygara.

- Rivera, nie będziemy określać sprawcy słowem na „w”. Nie pamiętasz Night Stalkera? Pieprzony Skręcacz Karków, którego wymyśliła prasa, to wystarczające nieszczęście.

- Nie powinieneś tu palić — powiedział Rivera. - Te kiełkojady napiszą skargę.

- Walić ich. Bez palenia nie mogę myśleć. Sprawdźmy przestępców seksualnych. Poszukajmy wcześniejszych gwałtów i napaści z utratą krwi. Może facet właśnie dojrzał do zabijania. A potem sprawdzimy transwestytów.

- Transwestytów?

- Tak, chcę nagłośnić tę sprawę z rudą. Brak tropu psuje nam wizerunek.

Obudziła ją mieszanka zapachów, która uderzyła jej nozdrza niczym skarpeta wypełniona piaskiem: przypalone jajka, boczek, piwo, syrop klonowy, dym z trawki, whiskey, wymioty i męski pot. Te wonie niosły ze sobą wspomnienia sprzed przemiany - wspomnienia balang w szkole średniej i pijanych surferów leżących twarzą w dół w kałuży wymiocin. Wspomnienia kaca. Ponieważ pojawiły się wkrótce po wizycie matki, wywołały w niej ochotę, by paść z powrotem na łóżko i schować się pod kołdrą.

Człowieczeństwo wiąże się z paroma rzeczami, za którymi nie tęsknię, pomyślała.

Włożyła spodnie od dresu i jedną z koszul Tommy'ego, po czym otworzyła drzwi sypialni. Odniosła wrażenie, że statek Naleśniki świata wpłynął w kuchni na rafę. Wszystkie płaskie powierzchnie były pokryte pozostałościami śniadania. Przeszła przez ten bałagan, uważając, by nie kopnąć żadnego talerza, patelni, filiżanki ani puszki po piwie. Za zamrażarką i blatem dostrzegła ocalałego rozbitka.

Tommy leżał na kanapie, wsparty pod boki, z pustą butelką po bushmill's przy głowie, i chrapał.

Stała tak przez chwilę, rozważając w myślach różne opcje. Z jednej strony, chciała wpaść we wściekłość. Obudzić go i nawrzeszczyć za to, że zbeczczył świętość ich domu. Napad słusznego gniewu wydawał się bardzo kuszący. Z drugiej strony, do tej pory Tommy był bardzo troskliwy. A poza tym na pewno wszystko posprząta. Zresztą kac, który go czekał, będzie gorszą karą niż jej dąsy, choćby trwały cały tydzień. No i wcale nie była taka zła. Sprawa wydawała się błaha. To tylko bałagan. Miała twarde orzech do zgryzienia.

A co tam, nic się nie stało. Po prostu zrobię mu kawę i poślę spojrzenie typu „bardzo mnie

zawiodłeś", pomyślała.

- Tommy - odezwała się. Usiadła na skraju kanapy i delikatnie nim potrząsnęła. - Skarbie, obudź się.

Zdemolowałeś dom i chcę, żebyś za to pocierpiał.

Otworzył nabiegłe krwią oko i jęknął.

- Niedobrze mi - oznajmił.

Usłyszała konwulsyjny bulgot z jego żołądka i zanim zdążyła pomyśleć co robi, złapała go pod pachami i pociągnęła przez pokój do kuchennego zlewu.

- O mój Boże! - krzyknął, a jeśli chciał coś dodać, jego słowa utonęły w odgłosie, jaki towarzyszył wydalaniu do zlewu zawartości żołądka.

Jody trzymała go, uśmiechając się z satysfakcją osoby trzeźwej i pewnej siebie.

Po kilku sekundach torsji jęknął i podniósł na nią wzrok. Z oczu popłynęły mu łzy, a z nosa pasma glutów.

- Zrobić ci drinka? - spytała radośnie.

- O mój Boże! - Głowa Tommy'ego wróciła do zlewu, a konwulsje znowu wstrząsnęły jego ciałem.

Jody poklepała go po plecach, raz po raz powtarzając: „Biedactwo”, aż się wynurzył dla nabrania powietrza.

- Co powiesz na jakieś śniadanie? - spytała. Jeszcze raz zanurkował do zlewu.

Po kilku minutach torsje ustąpiły i Tommy oparł się o krawędź zlewu. Jody odkręciła kran i za pomocą wysuwanej końcówki do zmywania obmyła mu twarz.

- Domyślam się, że rano urządziliście sobie z chłopakami małą imprezkę, tak? Pokiwał głową, nie podnosząc wzroku.

- Próbowałem ich nie wpuścić. Przepraszam. Jestem ostatnim mętem.

- Owszem, skarbie. - Poczochrała mu włosy.

- Posprzątam.

- Zgadza się - odparła.

- Bardzo mi przykro.

- To prawda. Może wrócimy na kanapę i usiądziemy?

- Wody - wyjęczał Tommy.

Nalała mu szklankę wody i przytrzymała go, kiedy pił, a potem pokierowała nim do zlewu, gdy woda postanowiła wrócić.

- Skończyłeś? - spytała. Skinął głową.

Zaciągnęła go do łazienki i umyła mu twarz, pocierając trochę zbyt mocno, niczym rozgniewana matka, chcąc doprowadzić do ładu umazane czekoladą dziecko.

- A teraz usiądź, zrobię ci kawę.

Tommy chwiejnym krokiem wrócił do salonu i runął na kanapę. Jody znalazła w kredensie filtry i otworzyła szafkę, by poszukać filiżanki, ale wszystkie naczynia zostały użyte podczas imprezy Zwierzaków. Walały się teraz po domu, wywrócone do góry dnem albo w połowie wypełnione whisky, rozcieńczoną stopniałym lodem.

Lodem?!

- Tommy! Jęknął i złapał się za głowę.

- Nie krzycz.

- Tommy, używaliście lodu z zamrażarki?

- Nie wiem. Simon robił za barmana.

Jody zgarnęła talerze i rondle z pokrywy zamrażarki, po czym otworzyła ją na oścież. Foremki do lodu, te które Tommy przyniósł do doświadczenia z utonięciem, były puste i walały się w środku.

Zaszroniona twarz Peary'ego była skierowana prosto na nią. Zatrzasnęła pokrywę i pognąła przez pokój do Tommy'ego.

- Niech to szlag, jak mogłeś być taki nieostrożny?

- Nie krzycz. Proszę, nie krzycz. Posprzątam.

- W dupie mam sprzątanie! Ktoś był przy zamrażarce. Ktoś widział ciało.

- Chyba zwymiotuję.

- Wchodzili do sypialni, kiedy spałam? Widzieli mnie? Tommy złapał się za głowę, jakby mogła w każdej chwili pęknąć, rozrzucając mózg po podłodze.

- Musieli się dostać do łazienki. Nic się nie stało. Przykryłem cię, żeby nie dosięgło cię światło.

- Ty idioto! - Złapała filiżankę i chciała nią w niego rzucić, ale się opamiętała. Musi wyjść, zanim

zrobi mu krzywdę. Zadrzała, odstawiając naczynie na blat.

- Wychodzę, Tommy. Posprzątaj ten bałagan. - Odwróciła się i poszła do sypialni, żeby się przebrać.

Kiedy się z niej wyłoniła, wciąż trzęsąc się z gniewu, Tommy stał w kuchni z wyrazem skruchy na twarzy.

- Wrócisz do domu, zanim wyjdę do pracy? Zgromiła go wzrokiem.

- Nie wiem. Nie wiem, kiedy wrócę. Dlaczego nie powiesiłeś na drzwiach tabliczki „Zobacz prawdziwego wampira”? Igrasz z moim życiem, Tommy.

Nie odpowiedział. Odwróciła się i wyszła, trzaskając drzwiami.

- Nakarmię twoje żółwie! - zawołał za nią.

CZEŚĆ III - ŁOWCY

ZROBIONA NA BÓSTWO

Tommy miotał się po poddaszu, zbierając puszki po piwie i talerze, żeby zanieść je do kuchni. - Zdzira! - zwrócił się do Peary'ego. - Drapieżna dzzira. Nie sądzę, żebym miał doświadczenie w tej kwestii. W Cosmopolitan nie ma artykułów, w których radzą jak sobie radzić z wampirem. Pije krew, śpi całymi dniami, nienawidzi żółwi, budzi dreszcz, nie kupuje papieru toaletowego, nieczuła dzzira! Wrzucił talerze do zlewu.

- Nie tego chciałem. Paru kumpli wpada na śniadanie, a jej odpieprza. Czy ja zrobiłem awanturę, kiedy jej matka przyszła bez zapowiedzi? Czy choćby pisałem, kiedy przyniosła do domu trupa i wsadziła go pod łóżko? Bez obrazy, Peary. Czy narzekam na jej pokręcony rozkład dnia? Na jej upodobania kulinarne? Nie. Nie mówię ani słowa. Przecież po przyjeździe do San Francisco nie mówiłem: „O, nie mogę się doczekać, kiedy spotkam kobietę, której radością życia będzie wysysanie płynów z mojego organizmu”. No dobra, może i mówiłem, ale wcale tak nie myślałem.

Tommy zawiązał worek na śmieci, pełen puszek po piwie, i rzucił go w kąt. Łoskot poniósł się echem po jego czaszce, przypominając mu o kacu. Złapał się za pulsujące skronie i poszedł do łazienki, gdzie wymiotował tak długo, aż miał wrażenie, że żołądek wyrzucił mu się na drugą stronę. Dźwignął się znad sedesu i otarł oczy. Z wanny przyglądały mu się dwa żółwie jaszczurowate.

- Na co się gapicie? Scott otworzył pysk i zasyczał. Zelda zanurkowała pod brudną wodę i popłynęła w róg wanny.

- Chcę wziąć prysznic. Musicie sobie trochę połazić. Znalazł ręcznik i wydobył żółwie z wanny, a

potem sam do niej wszedł i stał pod prysznicem do czasu, aż woda zrobiła się zimna. Gdy się ubierał, patrzył na Scotta i Zeldę, które łąziły po sypialni i wpadały na ściany, po czym cofały się i szły w drugą stronę, by walnąć w inną ścianę.

- Źle się tu czujecie, co? Nikt was nie docenia? Wygląda na to, że Jody nie robi z was użytku.

Wybredny wampir, kto to słyszał? Nie ma powodu, żebyśmy wszyscy byli tacy przygnębieni.

Tommy używał pojemników, w których przyniósł Scotta i Zeldę, jako koszy na brudne ubrania.

Wyrzucił teraz brudy na podłogę i wyłożył pojemniki wilgotnymi ręcznikami.

- Chodźcie. Idziemy do parku.

Włożył Scotta do środka i zniósł go po schodach na chodnik. Potem wrócił na górę po Zeldę i wezwał taksówkę. Kiedy znów wyszedł na ulicę, jeden z motocyklistów/rzeźbiarzy stał przed odlewnią i ocierał bandaną pot z brody.

- Mieszka pan na górze, tak? - Rzeźbiarz miał jakieś trzydzieści pięć lat, długie włosy i brodę. Nosił brudne dżinsy i dżinsową kamizelkę bez koszulki pod spodem. Piwny brzusek wystawał spod kamizelki i zwieszał się nad paskiem niczym duży włochaty worek z kaszanką.

- Tak, nazywam się Tom Flood. - Postawił skrzynię na chodniku i wyciągnął rękę. Rzeźbiarz ścisnął ją, aż Tommy skrzywił się z bólu.

- Jestem Frank. Mój partner to Monk. Jest w środku.

- Monk?

- Skrót od Monkey. Robimy w mosiądzu. Tommy rozmasował zmiażdżoną dłoń.

- Nie rozumiem. -Jaja mosiężnej małpy.

- Aha - powiedział Tommy, kiwając głową, jakby zrozumiał.

- Co to za żółwie?

- Zwierzątka domowe - wyjaśnił Tommy. - Robią się zbyt duże do naszego mieszkania, więc pojedę taksówką do Golden Gate Park i wpuszczę je do stawu.

- To dlatego twoja stara wyszła taka wkurwiona?

- Tak, nie chce ich już w domu.

- Pieprzone baby - powiedział ze współczuciem Frank. -Moja poprzednia ciągle suszyła mi głowę, że trzymam skuter w salonie. Skuter mam dalej.

Zdaniem Franka bez wątpienia Tommy powinien wynieść Jody w plastikowej skrzynce. Frank miał go za mięczaka.

- To nic takiego. - Tommy wzruszył ramionami. - I tak były jej. Mam to gdzieś.

- Dwa żółwie mogłyby mi się przydać, jeśli chcesz zaoszczędzić na taryfie.

- Serio? - Wizja ładowania gadów do taksówki i tak nie budziła w Tommym zachwyty. - Ale nie zjesz ich, prawda? Znaczący, mam to gdzieś, ale...

- Ani mi to, kurwa, w głowie.

Niebieska taksówka podjechała i zatrzymała się. Tommy dał znak kierowcy, po czym odwrócił się z powrotem do Franka.

- Karmiłem je hamburgerami.

- Super - odparł Frank. - Sam je wcinam.

- Muszę jechać. - Tommy otworzył drzwi taksówki i obejrzał się. - Mogę je odwiedzić?

- Kiedy chcesz - zapewnił tamten. - Na razie. - Pochylił się i podniósł skrzynkę z Zeldą.

Tommy wsiadł do samochodu.

- Safeway w Marinie - powiedział. Będzie w pracy o dwie godziny za wcześnie, ale nie chciał zostać na poddaszu i narazić się na kolejną tyradę po powrocie Jody. Dla zabicia czasu może poczytać albo coś.

Gdy taksówka ruszyła, obejrzał się przez tylną szybę i zobaczył, jak Frank wnosi drugą skrzynkę do środka. Tommy czuł się tak, jakby porzucił własne dzieci.

Chyba nie wszystko się zmieniło, kiedy ja się zmieniłam, pomyślała Jody. Znalazła się w domu towarowym Macy's przy Union Square, nawet nie wiedząc, jak tam dotarła. Zupełnie jakby prowadził ją jakiś instynkt nawigacji, uruchamiany przez konflikty z mężczyznami. W przeszłości już tu trafiała, z torebką pełną chusteczek umazanych smugami łez i garścią kart kredytowych z limitem wykorzystanym niemal do cna. Była to powszechna i bardzo ludzka reakcja. Widziała inne kobiety, które robiły to samo: szperały między półkami, sprawdzały tkaniny i ceny, wstrzymywały łzy i gniew, a przy tym naprawdę wierzyły sprzedawcom, mówiącym im, że wyglądają olśniewająco.

Jody zastanawiała się, czy domy towarowe wiedzą, jaką część zysków zawdzięczają kłótniom domowym. Gdy mijala wystawę z nieprzyzwoicie drogimi kosmetykami, zauważyła reklamę: „Krem młodości Melange. On nigdy nie zrozumie, dlaczego jesteś tego warta”. Tak, wiedziały. Prawe i skrzywdzone szukały pocieszenia na wyprzedaży w Macy's.

Do Bożego Narodzenia zostały dwa tygodnie i sklepy przy Union Square były otwarte do późnego wieczora. Nad każdym stoiskiem wisiała lameta i lampki, a wszystkie rzeczy, które nie były na

sprzedaż, ozdobiono sztuczną jemiolą, czerwonymi i zielonymi wstążkami, a także mniej lub bardziej udanymi plastikowymi imitacjami śniegu. Tłumy objuczonych klientów krążyły między regałami niczym radosna świąteczna wersja Marszu Śmierci na Bataan. Nie zatrzymywali się, bo jakiś pracownik ozdabiający wystawę mógłby ich wziąć za manekiny i potraktować śniegiem w aerozolu.

Jody patrzyła na ciepłe ślady lampek, wdychała zapachy toffi, karmelu, a także tysiąca wód po goleniu i dezodorantów, słuchała szumu silników napędzających elektryczne elfy i renifery, nad którym górowały łagodne dźwięki kolęd. Podobało jej się.

Święta są lepsze, kiedy jesteś wampirem, pomyślała.

Kiedyś tłumy ją drażniły, ale teraz przypominały raczej... bydło - niegroźne i pozbawione świadomości. Jej drapieżna strona uważała nawet, że kobiety w futrach, które kiedyś działały jej na nerwy, były nie tylko nieszkodliwe, ale wręcz oświecone w tym świecie wzmocnionych zmysłów.

Chciałabym nago wytarzać się w norkach, pomyślała. Zmarszczyła brwi. Ale nie z Tommym.

Przynajmniej przez jakiś czas.

Przylapała się na tym, że obserwuje tłumy w poszukiwaniu ciemnej aury, zdradzającej zdychającą zdobycz, a potem opamiętała się i zadrżała. Popatrzyła nad ich głowami jak osoba unikająca kontaktu wzrokowego w windzie, i jej wzrok przyciągnął jakiś czarny błysk.

Była to koktajlowa sukienka, minimalistycznie wyeksponowana na manekinie o kształtach wychudzonej Wenus z Milo w czapce Świętego Mikołaja. Mała czarna - garderobiany odpowiednik broni jądrowej; bielizna noszona na wierzchu, skuteczna nie ze względu na to czym jest, lecz na to czym nie jest. Aby nosić małą czarną, trzeba mieć nogi i ciało. Jody miała. Ale trzeba mieć także pewność siebie, a na tę nigdy nie potrafiła się zdobyć. Spojrzała na swoje dzinsy i bluzę, potem na sukienkę, potem na tenisówki. Przepchnęła się przez tłum do sukienki.

Pulchna, ze smakiem ubrana sprzedawczyni, podeszła do niej od tyłu.

- Mogę w czymś pomóc? Wzrok Jody był utkwiony w sukience, jakby to była Gwiazda Betlejemska z obfitym dodatkiem kadzidła i mirry.

- Chciałabym obejrzeć tę sukienkę w rozmiarze trzy.

- Dobrze - powiedziała kobieta. - Przyniosę też piątkę i siódemkę.

Jody pierwszy raz spojrzała na kobietę i zobaczyła, że patrzy ona na jej bluzę tak, jakby lada chwila mogły wyrosnąć z niej macki, które ją uduszą.

- Trójka będzie w sam raz - stwierdziła Jody.

- Może być trochę za obcisła - odparła sprzedawczyni.

- I o to chodzi. - Jody uśmiechnęła się uprzejmie, wyobrażając sobie, jak garściami wrywa kobiecie

gustownie ufarbowane włosy.

- Sprawdzę numer towaru - powiedziała sprzedawczyni, celowo trzymając metkę tak, by Jody zobaczyła cenę. Zerknęła na nią ukradkowo, by sprawdzić reakcję.
- On płaci - powiedziała Jody, tylko po to, żeby ją rozdrażnić. - To prezent.
- O, to miło - powiedziała tamta, próbując się rozpromienić, ale wyraźnie zniesmaczona. Jody ją rozumiała. Pół roku temu sama nienawidziłaby kobiety, którą teraz udawała. Sprzedawczyni dodała: - Nada się doskonale na świąteczne przyjęcia.
- Właściwie to na pogrzeb. - Jody nie pamiętała, by kiedykolwiek tak dobrze bawiła się w sklepie.
- O, tak mi przykro. - Kobieta popatrzyła na nią przepaszająco i położyła ręce na sercu w geście współczucia.
- W porządku. Nie znałam zmarłego zbyt dobrze.
- Rozumiem - powiedziała sprzedawczyni. Jody spuściła wzrok.
- Byłam jego żoną.
- Przyniosę sukienkę - rzuciła kobieta, po czym odwróciła się i pospiesznie oddaliła.

Dotąd Tommy tylko raz był w Safewayu, gdy sklep był jeszcze otwarty: w dniu, w którym zgłosił się do pracy. Teraz miał wrażenie, że panuje tu zdecydowanie zbyt wielki ruch i zdecydowanie zbyt wielka cisza bez ryku Stonesów albo Pearl Jam z głośników. Czuł, że w pewnym sensie jego terytorium naruszyli obcy. Nie cierpiał klientów, którzy niweczyli pracę Zwierzaków, zdejmując towary z półek.

Gdy przechodził obok biura, skinął głową dyrektorowi i ruszył do pokoju socjalnego, by zabić czymś czas, dopóki nie nadejdzie początek zmiany. Było to pozbawione okien pomieszczenie za działem mięsnym, wyposażone w plastikowe krzesła, składany stolik z laminatu, ekspres do kawy i najróżniejsze plakaty o bezpieczeństwie pracy. Tommy strzepnął z krzesła jakieś okruszki, znalazł poplamiony kawą egzemplarz Reader's Digest pod otwartą paczką czerstwych ciastek i usiadł, by poczytać i stroić fochy.

Przeczytał: „Niedźwiedź dopadł mamę! Dramat z życia wzięty” i „Jestem dwunastnicą Joego”. Zaczął odczuwać, że wzywa go łazienka i Środkowy Zachód - jedno i drugie przypisywał Reader's Digest - gdy natrafił na artykuł pod tytułem „Nietoperze: nasi dzicy i niezwykli skrzydlaci przyjaciele”, a jego dwunastnica aż zadrżała z zaciekawienia.

Ktoś wszedł na zaplecze i Tommy, nie podnosząc wzroku, powiedział:

- Wiedziałaś, że gdyby mroczki żywiły się ludźmi, a nie owadami, to jeden nietoperz mógłby w ciągu jednej nocy zjeść całą ludność Minneapolis?

- Nie wiedziałam - odparł kobiecie głos.

Tommy uniósł wzrok znad czasopisma i zobaczył nową kasjerkę, Marę, która odsuwała krzesło od stołu. Była wysoka i trochę chuda, ale miała duży biust. Niebieskooka blondynka około dwudziestki.

Tommy spodziewał się któregoś z chłopaków i patrzył na nią przez chwilę, zanim zmienił biegi.

- O, cześć. Jestem Tom Flood. Z nocnej zmiany.

- Widziałam cię - powiedziała. - Mam na imię Mara. Jestem nowa.

Uśmiechnął się.

- Miło cię poznać. Przyszedłem trochę wcześniej, żeby nadgonić papierkową robotę.

- Reader's Digest? - Uniosła brwi.

- A, to? Nie, zwykle tego nie czytam. Po prostu zauważyłem ten artykuł o nietoperzach i mnie zaniepokoił. To nasi dzicy i niezwykli skrzydlaci przyjaciele, wiesz? - Popatrzył na stronę na dowód swojego zainteresowania. - Wiedziałaś na przykład, że nietoperz wampir to jedyny ssak, którego udało się zamrozić i przywrócić do życia?

- Przepraszam, ale nietoperze przyprawiają mnie o dreszcze.

- Mnie też - powiedział Tommy, odrzucając czasopismo na bok. - Lubisz czytać?

- Ostatnio czytałam bitników. Dopiero się wprowadziłam i chciałam się zapoznać z literaturą tego miasta.

- Żartujesz. Sam mieszkam tu raptem parę miesięcy. To wspaniałe miasto.

- Nie bardzo miałam okazję poznać. Przeprowadzka i w ogóle. Miałam wcześniej trudną sytuację i próbuję się przestawić.

Mówiąc, nie patrzyła na niego. Z początku sądził, że czuje do niego wstręt, ale gdy się jej przyjrzał, zrozumiał, że to po prostu z nieśmiałości.

- Byłaś na North Beach? Wszyscy bitnicy mieszkali tam w latach pięćdziesiątych.

- Nie, jeszcze nie znam miasta.

- O, musisz iść do księgarni City Lights i do Enrico's. We wszystkich barach w tej dzielnicy wiszą na ścianach zdjęcia Kerouaca i Ginsberga. Prawie słyszysz cały ten jazz.

W końcu spojrzała na niego i się uśmiechnęła.

- Interesujesz się bitnikami? - Oczy miała duże, jasne i krystalicznie błękitne. Podobała mu się.

- Jestem pisarzem - powiedział. Teraz to on odwrócił wzrok. - To znaczy, chcę być. Mieszkałem w Chinatown, to przy samym North Beach.

- Może dasz mi wskazówki, jak dotrzeć w różne fajne miejsca.

- Mógłbym ci je pokazać - odparł. Gdy tylko wypowiedział te słowa, chciał cofnąć propozycję. Jody go zabije.

- Byłoby wspaniale, jeśli nie masz nic przeciw temu. Nie znam w mieście nikogo oprócz innych kasjerek, a one wszystkie mają swoje życie.

Tommy trochę się pogubił. Dyrektor mówił, że Mara niedawno straciła dziecko, więc przyjął założenie, że jest mężatką. Nie chciał sprawić wrażenia, że próbuje ją poderwać. Tak naprawdę wcale nie chciał jej poderwać. Ale jeśli była samotna, z nikim niezwiązana...

Nie, Jody by nie zrozumiała. Nigdy wcześniej nie miał dziewczyny, więc nie znał pokusy skoku w bok. Nie wiedział jak sobie z tym radzić.

- Mógłbym trochę oprowadzić ciebie i twojego męża, a potem poszlibyście w miasto - zaproponował.

- Jestem rozwiedziona - odparła. - Nie byłam mężatką zbyt długo.

- Przykro mi - powiedział.

Potrząsnęła głową, jakby chciała odegnąć jego współczucie.

- Krótka historia. Zaszłam w ciążę i wzięliśmy ślub. Dziecko zmarło, a on odszedł. - Powiedziała to beznamyślnie, jakby nabrała dystansu do tych przeżyć. Jakby spotkało to kogoś innego. - Próbuję zacząć od nowa. - Spojrzała na zegarek. - Lepiej już pójść. Do zobaczenia.

Wstała i zbierała się do wyjścia z pakamery.

- Maro - powiedział, a ona się odwróciła. - Bardzo chętnie cię oprowadzę, jeśli chcesz.

- Byłoby miło. Dzięki. Do końca tygodnia pracuję na dzienną zmianę.

- Nie ma sprawy - odparł. — Co powiesz na jutrzejszy wieczór? Nie mam samochodu, ale możemy się spotkać w Enrico's na North Beach, jeśli chcesz.

- Zapisz mi adres. - Wyjęła z torebki świstek papieru i długopis, i podała mu.

Zanotował adres.

- O której? - spytała.

- Może o siódmej?

- No to o siódmej - potwierdziła i wyszła z pokoju socjalnego.

Już nie żyję, pomyślał Tommy.

Jody obróciła się przed lustrem, podziwiając, jak leży na niej mała czarna. Rozcięcie na plecach sięgało krzyża, a dekolt mostka, ale materiał nie rozsuwał się dzięki czarnej, przezrystej siateczce.

Sprzedawczyni stała obok i marszczyła brwi, trzymając większe rozmiary tej samej sukienki.

- Na pewno nie chce pani przymierzyć piątki?

- Nie, jest w sam raz - odparła Jody. - Przydadzą mi się do niej jakieś czarne pończochy.

Kobieta zwalczyła grymas dezaprobaty i zdobyła się na profesjonalny uśmiech.

- A ma pani odpowiednie buty?

- Jakież propozycje? - spytała Jody, nie odrywając wzroku od swojego odbicia. Pomyślała, że parę miesięcy temu w życiu by się w czymś takim nie pokazała. Do diabła, ale teraz już nie jest „w życiu”.

Roześmiała się z tej myśli, a sprzedawczyni wzięła to do siebie i uprzejmy uśmiech zniknął z jej ust. Z nutką niesmaku w głosie powiedziała:

- Myślę, że do kompletu nadałyby się włoskie dziwkarskie szpilki i bordowa szminka.

Jody posłała jej porozumiewawczy uśmiech.

- Wiesz to z własnego doświadczenia, nie? Po wizycie w dziale obuwniczym Jody trafiła do stoiska z kosmetykami, gdzie tryskający energią homoseksualny sprzedawca namówił ją na dobór kolorów na komputerze. Z niedowierzaniem patrzył na ekran.

- O mój Boże. To niesamowite.

- Co? - spytała niecierpliwie. Chciała po prostu kupić szminkę i wyjść. Zaspokoili swoje sklepowe potrzeby, doprowadzając do łez kobietę z działu strojów wieczorowych.

- Jest pani moją pierwszą zimą - oznajmił Maurice. (Miał na imię Maurice, wyczytała to na jego plakietce). - Wie pani, miałem już tysiąc jesieni, przychodzą też wiosny, ale zima... Będzie fajnie! Maurice zaczął układać stosy cieni do powiek, szminek, tuszów do rzęs i pudrów na ładzie przy palecie zimowych barw. Rozkręcił tusz i przysunął go do twarzy Jody.

- To jest „śniedź na wiązach”, przypomina barwę martwych drzew w śniegu. Doskonale podkreśli kolor pani oczu. Śmiało, proszę spróbować.

Podczas gdy Jody malowała rzęsy tuszem przed ustawionym na ładzie powiększającym lusterkiem, Maurice czytał profil „zimowej kobiety”.

- „Zimowa kobieta jest dzika niczym zamieć i świeża niczym śnieg, który dopiero spadł. Niektórzy widzą w niej chłód, ale pod powierzchownością królowej śniegu kryje się ogniste serce. Lubi surową prostotę sztuki japońskiej i śmiałą złożoność rosyjskiej literatury. Woli linie ostre od łagodnych, refleksję od dąsów, rock and rolla od country i folku. Jej drink to wódka, jej samochód jest niemiecki, a jej środek przeciwbólowy to advil. Zimowa kobieta lubi słabych mężczyzn i mocną kawę. Jest podatna na anemię, histerię i myśli samobójcze. - Maurice cofnął się od lady i uklonił, jakby czytał na scenie.

Jody oderwała wzrok od lusterka i zamrugała powiekami - rzęsy wyglądały na tle bladej skóry niczym gwiazdzisty wzór rodem z Mechanicznej pomarańczy.

- To wszystko wiadomo z mojej cery? Maurice skinął głową i podał jej pędzelek.

- Proszę, wypróbujmy ten róż, żeby trochę podnieść kości policzkowe. Nazywa się „amerykańska rdza” i naśladuje kolor ramblera rocznik '63, którym jeżdżono po zasolonych drogach. Bardzo zimowy.

Jody pochyliła się nad ladą, by Maurice mógł dosięgnąć jej policzków.

Pół godziny później przejrzała się w lusterku, przekreślonym teraz na niepowiększającą stronę, i wyduła wargi. Pierwszy raz naprawdę wyglądała jak wampir.

- Szkoda, że nie mamy aparatu fotograficznego - piał Maurice. - Jest pani zimowym arcydziełem. - Podał jej małą torebkę, pełną kosmetyków. - Razem trzysta dolarów.

Zapłaciła mu.

- Mogę się gdzieś przebrać? Chcę zobaczyć, jak wyglądam w nowym stroju.

Maurice wyciągnął rękę.

- Tam jest przymierzalnia. I jeszcze prezent, droga pani, zestaw balsamów „Needless Notion” o wartości pięćdziesięciu dolarów. - Podał jej udający Gucciego woreczek, pełen butelek.

- Dzięki. - Wzięła woreczek i poczłapała do przymierzalni. W połowie drogi usłyszała głos pulchnej sprzedawczyni z działu strojów wieczorowych, odwróciła się i zobaczyła, że kobieta rozmawia z Mauricem. Skupiła się, by wyłowić ich słowa ponad gwarem i świąteczną muzyką z głośników.

- Jak poszło? - spytała kobieta. Maurice uśmiechnął się.

- Kiedy stąd odchodziła, wyglądała jak Barbie na wyprawie Donnerów.

Oboje radośnie przybili piątkę. Dranie, pomyślała Jody.

POD KONIEC NOCY...

Cesarz zapalał zapalką kubańskie cygaro, ciągnąc i raz, po raz je sprawdzając, aż końcówka zajaśniała niczym rewolucja. - Nie zgadzam się z ich ideologią - powiedział - ale trzeba oddać marksistom sprawiedliwość. Skręcają świetne cygara.

Bummer fuknął i warknął na cygaro, a potem otrząsnął się gwałtownie, obryzgując Cesarza i Lazarusa mgiełką drobnych kropelek.

Mężczyzna podrapał boston teriera za uszami. - Uspokój się, mały, kąpiel była ci potrzebna. Jeśli pokonamy wroga, to walecznością i odwagą, nie zaś smrodem naszych ciał.

Wkrótce po zachodzie słońca członkowie jachtklubu dali Cesarzowi cygaro i zaproponowali mu skorzystanie z klubowych pryszniców. Ku niezadowoleniu dozorczy, Cesarz wykąpał się razem z Bummerem i Lazarusem, przez co odpływy zapchały się sierścią i brudem, jak to po bohaterach. Teraz spędzali wieczór na tym samym pomoście, na którym spali. Cesarz delektował się cygarem, a żołnierze stali na warcie.

- Dokąd teraz? Czy, zanim podejmiemy trop, musimy czekać, aż łajdak znowu zabije? Bummer rozważał te pytania, analizując słowa w swoim psim mózgu i szukając słowa „jeść”. Nie znalazłszy go, zaczął lizać się po jajkach, by usunąć drażniącą woń perfumowanego mydła. Kiedy osiągnął pożądaną równowagę (czyli oba jego końce pachniały z grubsza tak samo), obszedł pomost, znacząc pacholki, by ostrzec morskich intruzów. Ustaliwszy granice swojego władztwa, poszedł poszukać czegoś nieżywego, w czym mógłby się wytarzać, by usunąć ostatnie ślady prysznic. Źródło właściwego zapachu znajdowało się w pobliżu, tyle że pod wodą.

Bummer ruszył w stronę zapachu i stanął na skraju pomostu. Zobaczył mały biały obłok nad burta oddalonego o sto metrów jachtu. Zaszczekał, żeby chmurka wiedziała, że ma się trzymać z daleka.

- Uspokój się, mały - powiedział Cesarz.

Lazarus wytrząsnął wodę z uszu i dołączył do Bummera na krańcu pomostu. Obłok znajdował się w połowie drogi między jachtem a brzegiem. Pulsował i kłębił się, sunąc nad wodą w ich kierunku. Lazarus opuścił głowę i warknął. Bummer dla równowagi zawył donośnie.

- Co jest, panowie? - spytał Cesarz. Zgasił cygaro o podeszwę buta i bezpiecznie schował pozostałą część do kieszeni na piersi, zanim pokuśtykał, odrętwiały od siedzenia, na skraj pomostu.

Chmurka była już blisko. Lazarus obnażył zęby i zawarczał. Bummer cofnął się od krawędzi pomostu, niepewny, czy powinien skoczyć, czy trwać na obranej pozycji.

Cesarz popatrzył nad wodę i zobaczył obłok. Jego krawędzie nie były rozmyte, lecz wyraźnie zarysowane, przypominał więc raczej grudę żelu niż parę wodną.

- To tylko trochę mgły, nie...

Zauważył twarz, tworzącą się we mgle, która na jego oczach zmieniła się w kształt dłoni, a potem w głowę psa.

- Chociaż meteorologia nie jest moją specjalnością, zaryzykuję twierdzenie, że nie jest to zwykła mgła.

Obłok przybrał formę olbrzymiej żmii, która podniosła głowę sześć metrów nad wodę, jakby szykowała się do ataku. Bummer i Lazarus cofnęły się, szczekając jak najęte.

- Panowie, skryjmy się pod prysznice. Zostawiłem miecz przy umywalce. - Cesarz odwrócił się i puścił biegiem po pomoście, a psy deptały mu po piętach. Gdy dotarł do budynku klubowego, odwrócił się i zobaczył, że mgła wpełza na brzeg pomostu. Jak zaczarowany patrzył na obłok materializujący się w postać wysokiego, ciemnowłosego mężczyzny.

Zwierzaki zaczęli się schodzić do sklepu około północy. Tommy z zadowoleniem skonstatował, że wyglądają na przynajmniej równie skacowanych jak on. Drew, wysoki, wymizerowany i śmiertelnie poważny, kazał im usiąść na kasach i czekać na jego diagnozę. Chodził od jednego do drugiego, oglądając ich języki i białka oczu. Potem ruszył w stronę biura i najwyraźniej zapamiętał się w swoim skupieniu. Po chwili wszedł do środka i wrócił z wykazem towarów przywiezionych przez ciężarówkę.

Drew zapamiętał liczbę skrzyń, po czym pokiwał głową i z kieszeni koszuli wyjął flakonik z pigułkami, który następnie podał Tommy'emu.

- Weź jedną i popij. Kto pił tequilę? Simon, który nasunął sobie czarnego stetsona na oczy, podniósł rękę z cichym jękiem.

- Ty weź dwie. To valium piątka.

- Heroina dla kur domowych - stwierdził Simon.

- Niech każdy wypije litr gatorade, weźmie tabletkę „Pepto”, trzy aspiryny, trochę witaminy B i dwie pastylki kofeiny.

Barry, łysiejący płetwonurek, stwierdził:

- Nie ufam tym lekom sprzedawanym przy kasie.

- Jeszcze nie skończyłem - oznajmił Drew. Z kieszeni koszuli wyciągnął aluminiową tubkę na cygaro, odkręcił końcówkę i przechylił pojemnik nad dłoń. Ze środka wpadł podłużny zwitek żółtego papieru. Podał go Tommy'emu.

Zwitek pachniał jak krzyżówka skunksa i eukaliptusowej pastylki na kaszel. Tommy uniósł brwi, patrząc na niego.

- Co to?

- Nie bój się. Polecane przez Ministerstwo Zdrowia Jamajki. Ma ktoś ogień? Simon rzucił swoją zippo Drew, a ten podał ją Tommy'emu.

Tommy zawahał się, zanim zapalił skręta, i spojrział na Drew.

- To tylko zioło, tak? Nie jakaś autorska mieszanka typu „zabij rodzinę piłą łańcuchową i udław się własnymi rzygami”, prawda?

- Nie, jeśli stosuje się ją zgodnie z instrukcją - odparł Drew.

- Aha. Dobra. -Tommy zapalił zippo, zapalił jointa i głęboko się zaciągnął. Zatrzymał dym w płucach, do oczu napłynęły mu łzy, a determinacja wykrzywiła twarz, zmieniając ją w pysk maskarona.

Kończyny mu się wygięły, jakby stanowił przypadek błyskawicznego świra konwulsyjnego, po czym podał skręta Lashowi, czarnemu rekinowi biznesu.

Rozległo się uderzenie w drzwi, a potem nagłący łomot, który zatrzęsł szybami w oknach. Tommy rzucił jointa i zakaszłał, prychając salwą dymu i śliny prosto w twarz Lasha. Zwierzaki wydali okrzyk i odwrócili się, nie tyle zaskoczeni tym dźwiękiem, ile udręczeni atakiem na ich wspólnego kaca.

Przed podwójnymi automatycznymi drzwiami stał Cesarz i grzmocił w nie swoim drewnianym mieczem. Psy skakały wokół jego nóg, szczekając i podskakując, jakby zapędziły szopa na dach sklepu.

Tommy, wciąż próbując złapać oddech, wsunął rękę do kieszeni w poszukiwaniu sklepowych kluczy i ruszył w stronę drzwi.

- W porządku. Znam go.

- Każdy go zna - odparł Simon. - Stuknięty stary pierdziel.

Tommy przekręcił klucz i otworzył drzwi na oścież. Cesarz wpadł do sklepu i runął na podłogę.

Bummer i Lazarus przeskoczyły nad swoim panem i zniknęły między regałami.

Cesarz zaczął się miotać po podłodze i Tommy musiał się cofnąć, by nie oberwać drewnianym mieczem po pischelach.

- Spokojnie - powiedział Tommy. - Nic ci nie jest. Cesarz podźwignął się i złapał go za ramiona.

- Musimy zebrać siły. Potwór jest blisko. Szybko! Tommy popatrzył na swoich i się uśmiechnął.

- Jest w porządku, naprawdę. - A potem powiedział do Cesarza: - Powoli, dobra? Przynieść ci coś do jedzenia?

- Nie ma na to czasu. Musimy z nim walczyć. Simon zawołał:

- Może Drew da mu coś na wyluzowanie! Drew podniósł jointa i przystąpił do rytuału ponownego

zapalania go.

Tommy zamknął drzwi i przekręcił klucz, po czym wziął Cesarza za ramię i poprowadził go do biura.

- Widzisz, Wasza Wysokość, jesteś już w środku. Bezpieczny. A teraz usiadźmy i zobaczmy, co da się zrobić.

- Zamknięte drzwi go nie zatrzymają. Może przybrać postać mgły i przesączyć się przez najwęższą szczelinę. - Zwrócił się do Zwierzaków: - Chwyćcie za broń, dopóki jest czas.

- Kto? - spytał Lash. - O czym on mówi? Tommy odchrząknął.

- Cesarz uważa, że w mieście grasuje wampir.

- Bez jaj - powiedział Barry.

- Właśnie go widziałem - oznajmił starzec. - W marinie. Na moich oczach zmienił się z obłoku mgły w człowieka. I nie został daleko w tyle.

Tommy poklepał go po ramieniu.

- Nie mów głupstw, Wasza Wysokość. Nawet gdyby wampiry istniały, nie mogłyby się zmieniać w parę.

- Ale ja to widziałem.

- Słuchaj - odparł Tommy - widziałeś coś innego. Wiem na pewno, że wampiry nie mogą zmienić się w parę.

- Wiesz na pewno? - powtórzył Simon.

Tommy spojrzał na niego, spodziewając się ujrzeć charakterystyczny uśmiech, ale Simon naprawdę czekał na odpowiedź.

Tommy pokręcił głową.

- Próbuję zapanować nad sytuacją, Simon. Możesz dać mi spokój?

- Skąd wiesz? - Simon nie dawał za wygraną.

- Było w książce, którą czytałem. Pamiętasz? Też ją czytałeś.

Simon poczuł się tak, jakby właśnie usłyszał pogroźki, co zresztą odpowiadało prawdzie.

- Akurat — powiedział, znów nasuwając sobie czarnego stetsona na oczy i opierając się o kasę. - No to powinienesz wezwać do swojego koleżki chłopców z wariatkowa.

- Zajmę się nim - zapewnił Tommy. - Zaczniście robotę z ciężarówką. - Otworzył drzwi biura i

popchnął Cesarza w ich stronę.

- A co z żołnierzami?

- Nic im nie grozi. Wejdz i wszystko mi opowiedz. - Ale potwór...

- Gdyby chciał mnie zabić, już bym nie żył. - Tommy zamknął za nimi drzwi.

Efektowna fryzura, pomyślała Jody. Efektowna fryzura będzie pasowała do tego stroju. A przez tyle lat próbowałam wiązać włosy, podczas gdy wystarczyło się ubrać jak luksusowa dziwka i wszystko by grało.

Szła przez Geary Street, wciąż trzymając w ręce woreczek z kosmetykami, podróbkę Gucciego.

Gdzieś tu był nowy klub, a ona miała przemożną ochotę zatańczyć, a przynajmniej trochę się pokazać.

Nędzarz z kartonową tabliczką z napisem: „Jestem bezrobotnym analfabetą (tę kartkę napisał kolega)” zatrzymał ją i próbował jej sprzedać bezpłatną gazetę.

- Mogę ją sobie wziąć, skąd chcę. Jest darmowa - powiedziała Jody.

- Naprawdę?

- Tak. Rozdają ją we wszystkich sklepach i kafejkach w mieście.

- Nawet się zastanawiałem, dlaczego tak leżą.

Jody miała do siebie pretensje, że dała się wciągnąć w tę wymianę zdań.

- Na okładce jest napisane „gratis”.

Kloszard pokazał tabliczkę na swojej szyi i starał się wyglądać żałośnie.

- Może i tak da mi pani za nią ćwierć dolara? Jody zaczęła się oddalać. Kloszard ruszył za nią.

- Na dziesiątej stronie jest dobry artykuł o grupach wsparcia.

Spojrzała na niego.

- Ktoś mi mówił - wyjaśnił. Zatrzymała się.

- Dam panu to, jeśli pan da mi spokój. - Podała mu kosmetyki.

Zachowywał się, jakby to musiał przemyśleć. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, zatrzymując się na dekolcie, zanim popatrzył jej w oczy.

- Może jakoś się dogadamy. Na pewno zimno pani w tej sukience. Mógłbym panią ogrzać.

- Zazwyczaj — powiedziała Jody — kiedy spotykam faceta, który nie ma pracy, nie umie czytać i nie kąpał się od paru tygodni, od razu robię się mokra z podniecenia, ale dziś mam dość kiepski nastrój, więc bierz ten worek i daj mi tę pieprzoną gazetę, zanim wycisnę twój łeb jak pryszcz. -Dźgnęła jego pierś woreczkiem z kosmetykami, popychając go na wystawę zamkniętego sklepu fotograficznego.

Kloszard nieśmiało podał jej gazetę, którą wyrwała mu z ręki.

- Jesteś lesbijką, tak? - spytał.

Jody wydarła się na niego. Był to wysoki, głośny, nieartykułowany wyraz czystej ludzkiej frustracji - Hendriksowska nuta, zaśpiewana przez miliard pokutujących dusz z piekielnego chóru. Szyba sklepu fotograficznego rozprysła się na kawałki, które spadły na chodnik. Kloszard zasłonił uszy i uciekł.

- Super - powiedziała Jody, naprawdę dumna z siebie. Otworzyła gazetę i czytała, idąc ulicą do klubu.

Przed klubem stanęła w kolejce dobrze ubranych osób, chcących wejść do środka, i znów pograżyła się w lekturze gazety, napawając się spojrzeniami mężczyzn, które dostrzegała kątem oka.

Klub nazywał się 753. Jody miała wrażenie, że wszystkie nowe modne kluby wystrzegają się normalnych nazw na rzecz liczb. Kurt i jego kumple maklerzy byli wielkimi miłośnikami klubów z numerami w nazwie, więc ich rozmowy w poniedziałkowe poranki bardziej przypominały równania: „Poszliśmy do czternaście dziewięćdziesiąt dwa i dziesięć sześćdziesiąt sześć, a potem Jimmy wypił dziesięć siedem-siedem w dziewiętnaście siedemnaście i nawalił się jak sto pięćdziesiąt”. Normalnie, słysząc tyle liczb w jednej wypowiedzi, Kurt rzuciłby się do komputera, by wyznaczyć tendencje i punkty oporu. Oczy jej się zaszklily na wspomnienie liczb, z powodu których życie z maklerem stawało się drogą przez mękę, nawet jeśli nie był on aż takim dupkiem.

Pomyślała: ciekawe, czy będzie tu Kurt. Mam nadzieję. Mam nadzieję, że tu jest z tym swoim małym dobrze wychowanym cudeńkiem bez cycków. Jej to nie ruszy, ale on tysiąc razy umrze z zazdrości.

A potem usłyszała dźwięk alarmu z oddali i pomyślała: może powinnam się nauczyć, jak wykorzystywać tę wrogość?

- Ty, w małej czarnej! - zawołał selekcjoner.

Jody podniosła wzrok znad gazety.

- Wejdz - powiedział tamten.

Gdy mijała innych ludzi w kolejce, starannie unikała kontaktu wzrokowego. Jakiś facet wyciągnął rękę i złapał ją za ramię.

- Powiedz, że jestem z tobą - poprosił. - Czekam od dwóch godzin.

- Cześć, Kurt - powiedziała. - Nie zauważyłam cię. Kurt cofnął się o krok.

- O... O mój Boże. Jody? Uśmiechnęła się.

- Jak twoja głowa? Próbował złapać oddech.

- Dobrze. Naprawdę dobrze. Wyglądasz...

- Dzięki, Kurt. Miło znowu cię zobaczyć. Lepiej wejść do środka.

Kurt zdążył złapać tylko powietrze za nią.

- Możesz powiedzieć, że jestem z tobą?! Odwróciła się i popatrzyła na niego tak, jakby znalazła go, porośniętego zielenią, z tyłu lodówki.

- Wybrano mnie, Kurt. A ty jesteś pariasem. Nie sądzę, żebyś pasował do wizerunku, który próbuję stworzyć.

Gdy wchodziła do klubu, słyszała, że Kurt mówi do faceta obok:

- Wiesz, to lesbijka.

Jody pomyślała: tak, muszę nad tym popracować i nauczyć się kontrolować swoją wrogość.

Motywy przewodnim w 753 było dawne San Francisco. Ściśle rzecz biorąc, dawne San Francisco, które płonie, co też dawne San Francisco czyniło bardzo często. Pośrodku parkietu ustawiono zabytkowy wóz strażacki z ręczną pompą. Celofanowe języki ognia strzelały do środka z imitacji okien, napędzane powietrzem z wentylatorów. Z dysz na suficie dobywał się dym z suchego lodu, który leciał na tłum młodych pracujących ludzi, pocących się nierytmicznie pod warstwami bawełny i wełny. Tu miłośnik grunge we flanelowej koszuli, tam rastafarianin w ubraniu farbowanym na batik i z dreadami. Paru neohipisów. Grupa reliktyw Nowej Fali o czarnych oczach i białych twarzach – wyglądali na wyobcowanych - kontemplujących kolejną część ciała, w którą można by wrazić kolczyk. Kilku niegroźnych koleśków z przedmieścia, którzy przyszli na dżezik, luzik i lansik w wypełnionych żelazem świecących w ciemnościach, pneumatycznych, licencjonowanych przez NBA adidasach za trzysta dolarów. Selekcyjner starał się uzyskać pewne zróżnicowanie, ale modne piwo z minibrowaru kosztowało tu siedem dolców, więc tłum siłą rzeczy składał się w znacznej mierze z japiszonów. Kelnerki w strażackich kaskach serwowały hektolitry importowanej wody i dziękowały za niepalenie.

Jody wspięła się na stół przy barze i rozłożyła gazetę, by nie narazić się na kontakt wzrokowy z pijanym facetem siedzącym obok. Pomysł nie zdał egzaminu.

- Przepraszam, zauważyłem, że usiadłaś. Ja też siedzę. Jaki ten świat mały, nie? Podniosła na chwilę spojrzenie i uśmiechnęła się. Błąd.

- Mogę postawić ci drinka? - spytał pijany.

- Dziękuję, nie piję - odparła, myśląc: po co tu przyszłam? Co chciałam osiągnąć?

- To przez moje włosy, tak? Spojrzała na faceta. Był mniej więcej w jej wieku, a na głowie miał łysinę i coś, co nasuwało skojarzenie z niedokończoną operacją przeszczepiania włosów. Wyglądało to tak, jakby ostrzelano go z naładowanego kosmykami karabinu maszynowego. Zrobiło jej się go żal.

- Nie, naprawdę nie piję.

- To może wodę mineralną?

- Nie, dzięki. W ogóle nic nie piję. Ze stołka za nią dobiegł męski głos.

- Napije się tego.

Odwróciła się i zobaczyła szklanekę wypełnioną gęstym, czerwono-czarnym płynem, którą postawiła przed nią trupio blada dłoń. Palce wskazujący i środkowy wydawały się trochę za krótkie.

- Ciągle jeszcze odrastają - wyjaśnił wampir.

Jody wzdrygnęła się tak mocno, że omal nie runęła w tył razem ze stołkiem. Wampir złapał ją za ramię i przytrzymał.

- Ej, koleś - powiedział rzadkowłosy. - Łapy precz. Wampir puścił Jody i wyciągnął rękę, by złapać go za ramię i mocno przycisnąć do stołka. Pijany mężczyzna szeroko otworzył oczy. Wampir uśmiechnął się.

- Ona rozszarpie ci gardło i wypije krew, kiedy będziesz umierał. Tego chcesz? Rzakowłosy gwałtownie pokręcił głową.

- Nie. Byłem już żonaty. Wampir go puścił.

- Idź sobie.

Rzakowłosy zsunął się ze stołka i wbiegł w tłum na parkiecie. Jody zerwała się i chciała popędzić za nim. Wampir złapał ją za ramię i obrócił.

- Nie - powiedział.

Chwyciła go za nadgarstki i zaczęła ścisnąć. Ludzka ręka zmieniałaby się w miazgę. Wampir uśmiechnął się. Jody wbiła w niego spojrzenie.

- Puść - powiedziała.

- Usiądź.

- Morderca.

Wampir odrzucił głowę w tył i parsknął śmiechem. Barman, krzepki atletyczny typ podniósł wzrok, po czym się odwrócił. Jeszcze jeden zbyt głośny pijak i tyle.

- Mogę cię pokonać - powiedziała, choć tak naprawdę w to nie wierzyła. Chciała się wyrwać i uciec.

Wampir, nie przestając się uśmiechać, powiedział:

- To byłaby ciekawa historia dla prasy, nie? „Bładoskóra para demoluje klub podczas kłótni”. To jak? J ody puściła jego nadgarstek, ale nie odrywała spojrzenia od jego oczu. Były całe czarne, pozbawione tęczy.

- Czego chcesz? Wampir przerwał kontakt wzrokowy i pokręcił głową.

- Chcę twojego towarzystwa, ma się rozumieć. A teraz usiądź.

Jody znów wspięła się na stół i wbiła wzrok w szklankę przed sobą.

- Teraz lepiej. Już prawie po wszystkim, wiesz? Nie sądziłem, że wytrzymasz tak długo, ale niestety, to się musi skończyć. Zabawa stała się trochę zbyt publiczna. Musisz się oderwać od bydła. Oni cię nie rozumieją. Już do nich nie należysz. Jesteś ich wrogiem. Wiesz o tym, prawda? Wiedziałaś, odkąd zabiłaś pierwszy raz. Nawet twój pupil o tym wie.

Jody zaczęła się trząść.

- Jak się dostałeś na poddasze, żeby wziąć książkę Tommy'ego? Wampir znowu się uśmiechnął.

- Z czasem rozwijają się pewne umiejętności. Jesteś jeszcze młoda, nie rozumiałabyś.

Jakaś część Jody chciała przyłożyć mu pięścią w twarz i uciekać, ale inna część pragnęła uzyskać odpowiedzi na wszystkie pytania, które kłębiły się w jej głowie od tamtej nocy, gdy uległa przemianie.

- Dlaczego ja? Dlaczego mi to zrobiłeś? Wstał i poklepał ją po ramieniu.

- Już prawie po wszystkim. Kłopot z pupilami polega na tym, że zawsze umierają. Pod koniec nocy zostajesz sama. Poznasz to uczucie już bardzo niedługo. Pij. - Odwrócił się i odszedł.

Jody patrzyła za nim i odczuwała ulgę, ale jednocześnie i zawód. Miała tak wiele pytań.

Podniosła szklankę, powąchała zawartość i omal się nie udławiła.

Barman zachichotał.

- Jeszcze nikt nie zamówił u mnie podwójnej grenadyny. Podać coś jeszcze?

- Nie, muszę go dorwać.

Wzięła gazetę, wstała, wbiegła po schodach i wypadła z klubu. Odkryła, że jeśli odpowiednio rozkłada ciężar ciała, może biegać nawet w szpilkach. Jeszcze jeden plus wampirzej siły, pomyślała.

Złapała bramkarza za ramię i odwróciła go.

- Widziałeś szczupłego, bladego faceta, który przed chwilą wyszedł?

- Tam. - Mężczyzna pokazał wschodnią część Geary. - Poszedł pieszo.

- Dzięki - rzuciła przez ramię, ruszając chodnikiem i czekając, by puścić się biegiem, kiedy tylko zniknie mu z pola widzenia. Przebiegła odcinek między dwiema przecznicami, po czym zdjęła buty i wzięła je do ręki. Ulica była pusta. Ciszę przerywał tylko szum przewodów elektrycznych, a także jej ciche kroki.

Pokonała dziesięć przecznic, zanim go zauważyła, opartego o latarnię.

Odwrócił się i patrzył na nią, gdy podchodziła.

- No, szczenię, co zrobisz, jak mnie złapiesz? - spytał cichym głosem, wiedząc, że i tak usłyszy. - Zabijesz mnie? Wyrwiesz znak drogowy i przebijesz mi nim serce? Oderwiesz mi głowę i pobawisz się nią jak pacynką, podczas gdy moje ciało klapnie na chodnik? - Wampir udał owo klapnięcie, przewrócił oczami i wyszczerzył się w uśmiechu.

Jody nic nie powiedziała. Nie wiedziała co ma zrobić. Nie zastanawiała się nad tym.

- Nie - odparła. - Jak mogę cię powstrzymać, żebyś nie zabił Tommy'ego?

- Oni zawsze zdradzają, wiesz? To leży w ich naturze.

- A jeśli odejdę? I nie powiem mu, dokąd?

- Wie o naszym istnieniu. Musimy się ukrywać. Zawsze. I całkowicie.

Czuła dziwny spokój. Może sprawiło to słówko „my”? Może rozmowa normalnym głosem z kimś, kto stał sto metrów od niej? Niezależnie od przyczyn nie bała się, przynajmniej nie o siebie.

- Skoro musimy się ukrywać, to po co te zabójstwa? - spytała.

Znowu się roześmiał.

- Widziałaś kiedyś, jak kot przynosi ptaka, którego zabił?

- Po co?

- Prezenty, szczenię. A teraz, jeśli zamierzasz mnie zabić, zrób to, proszę. A jeśli nie, idź się bawić ze swoim pupilem, dopóki możesz.

Odwrócił się i ruszył przed siebie.

- Czeka! - zawołała Jody. - To ty wciągnąłeś mnie przez okno do piwnicy?

- Nie - odparł, nie oglądając się. - Ratowanie ciebie mnie nie interesuje. A jeśli pójdziesz za mną, przekonasz się, jak można zabić wampira.

Mam cię, dupku, pomyślała. Naprawdę ją uratował! SPOSÓB NA NUDE Pół godziny po północy. Stał na szczycie południowo-zachodniej wieży Oakland Bay Bridge, na wysokości jakichś pięćdziesięciu pięter nad stalowoszarą zatoką, i zastanawiał się: na nogi czy na główkę? Miał na sobie czarny jedwabny garnitur. Wahał się przez chwilę, bo pożałował garnituru. Lubił dotyk jedwabiu na skórze. No trudno.

Trzy kilometry dalej Jody szła przez Market Street, żałując, że nie może się po prostu upić do nieprzytomności. Ciekawe, pomyślała. Gdybym tak znalazła kogoś mocno zalanego i napiła się jego krwi? Nie, ten mój cholerny system obronny uznałby pewnie alkohol za truciznę i zwalczył skutki. Tyle pytań. Szkoda, że nie pamiętałam, by je zadać.

Zatrzymała się przy budce telefonicznej i zadzwoniła do Tommy'ego, do sklepu.

- Safeway Marina.

- Tommy, to ja.

- Ciągle się gniewasz?

- Chyba niewystarczająco. Chciałam ci tylko powiedzieć, żebyś został w sklepie, dopóki nie zrobi się widno. Pod żadnym pozorem nie wychodź. I trzymaj się blisko chłopaków, o ile możesz.

- Czemu? Co się dzieje?

- Po prostu rób, co mówię.

- Posprzątałem mieszkanie. Przynajmniej z grubsza.

- Pogadamy o tym jutro wieczorem. Zostań w domu, dopóki się nie obudzę, dobra?

- Dalej będziesz wkurzona?

- Pewnie tak. No to do zobaczenia. Pa. - Odwiesiła słuchawkę. Jak to możliwe, że czasami jest taki mądry, a czasami taki tępy? Może ten wampir miał rację, że człowiek nigdy jej nie zrozumie. Poczuli się nagle bardzo samotna.

Weszła do całonocnego baru i zamówiła kubek kawy. Wciąż mogła delektować się zapachem kawy, nawet jeśli o jej picciu nie mogło być mowy.

Otworzyła gazetę kupioną od kłoszarda za kosmetyki, i zaczęła czytać ogłoszenia towarzyskie. „Pan szuka pani”, „pani szuka pana”, „pan szuka pana”, „pani szuka pani”, „pan szuka małego, puszystego zwierzątka”. Wachlarz kategorii był bardzo szeroki. Przebiegła wzrokiem po bardziej przyziemnych ogłoszeniach, aż jej wzrok spoczął na anonsie umieszczonym pod hasłem „grupy wsparcia”. „Jesteś wampirem? Nie musisz samotnie mierzyć się z tym problemem. Anonimowi Krwiopijcy mogą ci

pomóc.

Pn. - pt. o północy. Centrum Kultury Azjatyckiej, pok. 212, zakaz palenia".

Był piątek. Była północ. Do Centrum Kultury Azjatyckiej miała dziesięć minut piechotą. Czy to naprawdę aż takie proste? Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła po wejściu do pokoju 212 w Centrum Kultury Azjatyckiej, był fakt, że od wszystkich osób siedzących w kręgu na plastikowych krzesłach, od całej dwudziestki, biją fale gorąca. Wszyscy byli ludźmi.

Zaczęła się wycofywać do drzwi, gdy kobieta o figurze gruszki, w trykocie i czarnej pelerynie, podeszła do niej i złapała ją za rękę.

- Witaj - powiedziała. Odstłoniła parę dość dziwacznych kłó, przez które sepleniała. - Jestem Tabitha. Właśnie mieliśmy zaczynać. Wejdz. Mamy kawę i ciastka.

Zaprowadziła Jody na pomarańczowe plastikowe krzesło i zachęciła ją, by usiadła.

- Pierwszy raz jest trudny, ale wszyscy przez to przechodziliśmy.

- Bardzo wątpię - odparła Jody, ścierając z policzka kropelkę śliny Tabithy.

Kobieta wskazała plastikowy medalion, który nosiła na szyi na grubym srebrnym łańcuszku.

- Widzisz ten chip? Od sześciu miesięcy jestem czysta i bezkrwawa. Jeśli ja dałam radę. to i ty możesz. Krok po kroku, noc po nocy.

Tabitha ścisnęła jej ramię, po czym zarzuciła sobie pelerynę na ramię, wykonała dramatyczny zwrot i przeszła przez salę do stołu z ciastkami. Peleryna załopotała za nią.

Jody popatrzyła na pozostałych obecnych. Wszyscy rozmawiali, większość zerkała na nią ukradkowo pomiędzy jednym a drugim łykiem kawy. Wszyscy mężczyźni byli wysocy i szczupli, mieli wystające jabłka Adama i brzydką cerę. Nosili różne stroje, od biznesowych garniturów po dżinsy i flanelowe koszule. Wyglądałoby to na wieczorne spotkanie kółka szachowego, gdyby nie te peleryny. Wszyscy, jak jeden mąż, nosili peleryny. Czterech na siedmiu miało kły. Z tych czterech par kłó dwie wykonano z plastiku, który świecił w ciemności.

Jody skupiła się na dwóch, którzy w kącie szeptali między sobą.

- Mówiłem ci, że pełno tu lasek. Widziałeś tę rudą? -Zerknął na nią ukradkiem.

Jego kolega odparł:

- Zdaje się, że w zeszłym tygodniu widziałem ją na spotkaniu nałogowych czyściochów.

- Nałogowe czyściochy, chciałem się tam wybrać. Jakie proporcje?

- Mnóstwo gejów, ale niewiele lasek. W większości pachną jak płyn do czyszczenia „Pine Sol”, ale

to nawet fajne, jeśli kręcą cię gumowe rękawice.

- Super, spróbuję. Chyba przestanę chodzić na dorosłe dzieci alkoholików, bo tam wszyscy szukają winnych, a nikt nie chce iść do łóżka.

Nie wiem, czy chcę tak wyraźnie słyszeć tę cichą desperację, pomyślała Jody. Przeniosła uwagę na obecne w pomieszczeniu kobiety.

Brunetka, na oko metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, w czarnej szacie chórzystki i z makijażem w stylu kabuki, żaliła się tlenionej blondynce w sfatygowanej sukni ślubnej.

- Chcą, żeby ich wiązać, to ich wiążę. Chcą klapsów, dostają klapsy. Chcą, żeby im ubliżać, to ubliżam. Ale spróbuj wypić chociaż odrobinę ich krwi i od razu zaczynają się drzeć jak małe dzieci. A przecież ja też mam swoje potrzeby.

- Wiem, jak to jest - potwierdziła blondynka. - Raz poprosiłam Roberta, żeby się położył spać w trumnie, i od razu odszedł.

- Masz trumnę? Ja też chcę.

Chryste, pomyślała Jody, muszę się stąd zmywać. Tabitha klasnęła w dłonie.

- Zaczynamy nasze spotkanie! Ci, którzy dotąd stali, wzięli sobie krzesła. Kilku mężczyzn przepychało się, by usiąść obok Jody.

Chudy świr o oddechu pachnącym masłem orzechowym nachylił się do niej i powiedział:

- W Halloween wystąpiłem u Oprah w „Mężczyźni, którzy piją krew i kobiety, dla których to jest obrzydliwe”. Jeśli chcesz, po spotkaniu możemy iść do mnie i obejrzeć nagranie.

- Idę stąd - stwierdziła Jody. Zerwała się z krzesła i ruszyła do drzwi.

Za plecami usłyszała głos Tabithy:

- Cześć, nazywam się Tabitha i jestem krwiopijcą.

- Cześć, Tabitho - odpowiedziała chórem grupa.

Na dworze Jody rozejrzała się po ulicy, zastanawiając się, w którą stronę iść i co robić. Przystanąła przy budce telefonicznej i zdała sobie sprawę, że nie ma do kogo zadzwonić. Do oczu napłynęły jej łzy.

Po co w ogóle łudzić się nadzieją? Jediną osobą, która miała jakieś pojęcie o jej samopoczuciu, był wampir, który ją stworzył. A on wyraźnie dał jej do zrozumienia, że nie zamierza jej pomagać. Wredny skurwiel.

Powinnam zaaranżować jego spotkanie z moją matką, pomyślała, mogliby razem patrzeć z góry na

ludzkość. Uśmiechnęła się na tę myśl.

Potem telefon zadzwonił. Patrzyła na niego przez chwilę, potem rozejrzała się za kimś, kto by odebrał, ale oprócz faceta stojącego przy samochodzie kilka przecznic dalej ulica była pusta.

Podniosła słuchawkę.

- Halo.

Odezwał się męski głos.

- Spodziewałem się, że prędzej czy później się tu pojawisz.

- Kto mówi? - spytała Jody. Głos wydawał się młody, brzmiał nieznajomo.

- Na razie nie mogę powiedzieć.

- Dobra - odparła. - No to pa.

- Czekaaj, czekaaj, czekaaj, nie rozłączaj się. - Co?

- Jesteś prawdziwa, nie? To znaczy, jesteś prawdziwym wampirem? Jody odsunęła od siebie słuchawkę i patrzyła na nią, jakby to był przedmiot z kosmosu.

- Kto mówi?

- Nie chcę ci się przedstawiać. Nie chcę, żebyś mogła mnie znaleźć. Powiedzmy tylko, że jestem przyjacielem.

- Tak samo jest z większością moich przyjaciół - stwierdziła Jody. - Nie mówią mi, jak się nazywają ani jak ich znaleźć. Dzięki temu mój plan spotkań jest w miarę pusty.

Kim był ten facet? Kto mógł wiedzieć, że ona jest właśnie tutaj?

- Dobra, chyba jestem ci coś winien. Studiuję medycynę na... miejscowej uczelni. Robiłem badania jednego z ciał... ciał ludzi, których zabiłaś.

- Nikogo nie zabiłam. Nie wiem o czym mówisz. Jeśli jestem tym, za kogo mnie uważasz, skąd wiedziałeś, że tu będę? Jeszcze godzinę temu sama tego nie wiedziałam.

- Czekałem, od paru tygodni każdej nocy prowadziłem obserwacje. Opracowałem teorię, że twoje ciało nie wydziela zauważalnego ciepła, i miałem rację.

- O czym mówisz? Nikt nie widzi ciepłoty ciała u innych.

- Spójrz na ulicę. Przy białej toyocie. Silnik pracuje, swoją drogą. Jeśli zrobisz ruch w moją stronę, już mnie nie ma.

Jody uważniej przyjrzała się człowiekowi stojącemu przy białym samochodzie. Silnik był uruchomiony. Mężczyzna trzymał telefon komórkowy i patrzył na nią przez wielką lornetkę.

- Widzę cię - potwierdziła. - Czego chcesz?

- Patrzę na ciebie przed termowizor. Nie wydzielasz żadnego ciepła, stąd wiem, że to ty. Moja teoria się potwierdziła.

- Jesteś gliną?

- Nie, mówiłem, że studiuje medycynę. Nie chcę cię wydać. Właściwie myślę, że mogę ci pomóc, jeśli cię to interesuje.

- Gadaj - powiedziała. Zasłoniła słuchawkę i skupiła się na facecie obok samochodu. Słyszała, jak mówi do komórki.

- Jedno z ciał oddali naszemu wydziałowi, kiedy koroner skończył już swoją robotę. Mężczyzna około sześćdziesiątki, trzecia ofiara, zdaje się. Zauważyłem, że na szyi ma czyste miejsce, jakby ktoś go tam umył. Koroner nie wspomniał o tym w raporcie. Pobrałem próbkę tkanki i obejrzałem ją pod mikroskopem. Tkanka w tym miejscu żyła. Regenerowała się. Próbowałem ją hodować, ale już obumierała, dopóki mnie nie tknęło i czegoś nie dodałem.

- Czego? - spytała Jody.

Nie wiedziała co myśleć. Facet wiedział, że ona jest wampirem. O dziwo, ogarnęła ją chęć, by zaatakować. Jakiś instynkt obronny chciał, by zrobiła mu krzywdę. Zabiła. Z wysiłkiem próbowała się opanować.

- Hemoglobiny. Dodałem trochę ludzkiej hemoglobiny i tkanka znowu zaczęła się regenerować.

Zbadałem ją sekwencjonerem. To nie jest ludzkie DNA. Podobne, ale nie ludzkie. Nie generuje ciepła, a procesy metaboliczne wyglądają inaczej niż w komórkach ssaków. Koroner stwierdził, że to on odprowadził krew z ciała, ale nigdy wcześniej tego nie robił. Wiedziałem, że faceta zamordowano.

Zgadłem. Zobaczyłem to ogłoszenie w Weekly o grupie wsparcia dla wampirów, więc czekałem.

- Przyjmijmy, że ci wierzę - powiedziała Jody. - I przyjmijmy, że ty wierzysz w te brednie. Jak mógłbyś mi pomóc? Zakładając, że bym chciała?

- Moja specjalność to terapia genowa. Istnieje szansa, że mógłbym odwrócić proces.

- To nie nauka. Nie sądzę, żebyś miał rację z tą swoją teorią. Nie masz pojęcia o wielu rzeczach, których nie da się naukowo wyjaśnić. Jeśli jeszcze tego nie wiesz, to się dowiesz. Mówisz o magii.

- Magia to po prostu nauka, której jeszcze nie poznaliśmy. Chcesz, żebym ci pomógł, czy nie?

- Dlaczego miałbyś to robić? Według twojej wiedzy zabijam ludzi.

- Rak też zabija, a jednak nad tym pracuję. Masz pojęcie, jaka w tej dziedzinie panuje konkurencja o stanowiska? Obowiązuje zasada: wszystko albo nic. Jak źle pójdzie, dostanę tytuł doktora i będę robił szczerom lewatywy za pięć dolców za godzinę. A dzięki temu, czego się od ciebie nauczę, moje CV znajdzie się na samym wierzchu.

Jody nie wiedziała co powiedzieć. Jakaś jej część chciała rzucić słuchawkę i ruszyć na niego. Inna część chciała przyjąć jego pomoc.

- Co miałabym robić? - spytała.

- Na razie nic. Jak mogę cię złapać?

- Nie mogę powiedzieć. Zadzwoń. Jaki masz numer?

- Nie mogę powiedzieć. Westchnęła.

- Słuchaj no, panie geniusz. Wymyśl coś. A przy okazji, naprawdę nie zabiłam tych ludzi.

- To dlaczego w ogóle mnie słuchasz?

- Koniec rozmowy. Wsiadaj do samochodu i ucz się prosić szczury, żeby się wypięły. Zegnam.

- Czekał, możemy się gdzieś spotkać. Jutro. W jakimś miejscu publicznym.

- Nie, to musi być po zmroku. W jakimś ustronnym miejscu. Mógłbyś wszędzie porozstawiać gliniarzy. - Wypowiadając te słowa, ciągle go obserwowała. Odłożył lornetkę i zobaczyła, że ma orientalne rysy.

- To ty zabijasz. Na moim miejscu spotkałabyś się w ustronnym, ciemnym miejscu?

- W porządku. Jutro wieczorem. O siódmej w Enrico's na Broadwayu. Wystarczająco publiczne miejsce?

- Jasne. Mogę przynieść sprzęt do pobierania krwi? Pozwolisz mi?

- A ty byś mi pozwolił? - spytała. Nie odpowiedział.

- Żartuję - powiedziała. - Słuchaj, nie chcę ci zrobić krzywdy, ale nie chcę też, żeby coś się stało mnie. Kiedy stąd odjedziesz, pędź jak szalony i nie jedź prosto do domu.

- Czemu?

- Bo naprawdę nie zabiłam tych ludzi, ale wiem, kto to zrobił, i ten ktoś mnie śledzi. Jeśli cię widział, grozi ci niebezpieczeństwo.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, słycać było tylko widmowe odgłosy połączenia przez sieć komórkową. Jody widziała, że facet o orientalnych rysach na nią patrzy.

W końcu odchrząknął.

- Ile was jest?

- Nie wiem - odparła.

- Wiem, że nie wszystkie ofiary ulegają przemianie. To by nie zdało egzaminu. Za sprawą postępu geometrycznego cała ludzkość zmieniałaby się w wampiry w ciągu miesiąca. - Wydawał się bardziej pewny siebie, sprowadziwszy rozmowę z powrotem na grunt nauki.

- Jutro powiem ci, co wiem. Ale nie licz na zbyt wiele. Mało wiem. Albo powiem ci teraz, jeśli chcesz pogadać twarzą w twarz. Tak czy owak, to kiepski pomysł gadać o tym przez komórkę.

- Tak, masz rację. Ale nie teraz. Nie tutaj. Rozumiesz, prawda? Skinęła głową, przesadnie akcentując ten ruch, żeby na pewno zobaczył.

- Im dłużej tu stoisz, tym większa szansa, że zobaczy cię... ten drugi. No to do jutra. O siódmej.

- Włozysz tę sukienkę? Uśmiechnęła się.

- Podoba ci się? Dopiero kupiona.

- Jest super. Nie spodziewałem się, że jesteś kobietą.

- Dzięki. Idź już.

Patrzyła, jak wsiada do toyoty, wciąż trzymając komórkę w dłoni.

- Obiecujesz, że nie będziesz mnie śledzić?

- Wiem, gdzie będziesz jutro wieczorem, zapomniałeś?

- A, fakt. Przy okazji, na imię mam Steve.

- Miło mi. Jody.

- Pa - powiedział. Przerwał połączenie.

Jody odłożyła słuchawkę i patrzyła za odjeżdżającym samochodem.

Świetnie, następny, o którego muszę się martwić, pomyślała.

Wcześniej nie przyszło jej do głowy, że jej stan może być odwracalny. Ale z drugiej strony, ten student medycyny nic nie wiedział o ciele, które obróciło się w proch. Też mi nauka.

Na nogi czy na główkę, pomyślał. Wiatr przyciskał mu do skóry nogawki jedwabnych spodni od garnituru. Zamontowane na moście światło do ostrzegania samolotów błyskało mu czerwienią prosto w twarz. Widział falę gorąca, która unosiła się, wirowała i rozmywała nad zatoką.

Nazywał się Elijah Ben Sapis. Miał metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i od ośmiuset lat był wampirem.

Jako człowiek był alchemikiem i zajmował się mieszaniem trujących substancji i powtarzaniem tajemnych zaklęć, by zmienić ołów w złoto i poznać tajemnicę wiecznego życia. Nie należał do mistrzów w tym fachu. Nigdy nie udało mu się dokonać przemiany w złoto, choć za sprawą dziwnego błędu w obliczeniach wynalazł teflon na osiem wieków wcześniej, niż DuPont znalazł dla niego zastosowanie.

(Należy jednak nadmienić, że niedawno archeologowie odkryli na Grenlandii wikińskie runy opowiadające o Żydzie, który w 1224 roku znalazł się na dworze Konstantyna Wielkiego. Chciał sprzedać cesarzowi nieprzywierające rozgrzewane pręty do sali tortur, lecz szybko odprowadzono go na kopach do bram miasta. Prawdziwość tej opowieści podawano w wątpliwość, jako że zaczyna się ona od słów: „Nigdy nie wierzyłem, że w swoich listach piszesz prawdę, do chwili, gdy Gunner i ja...”. A potem relacjonuje seksualne przygody dwóch wikingów i haremu śniadoskórych bizantyjskich lasek).

Poszukiwanie wiecznego życia przyniosło nieco lepsze efekty. Zgoda, nie obyło się bez skutków ubocznych, takich jak picie ludzkiej krwi i unikanie światła słonecznego, ale zdołał się przyzwyczaić. Być może, po tylu latach, i ona miała się skończyć. Bał się chwycić tej nadziei.

Minęło sto lat, odkąd jakieś szczenię przetrwało tak długo. Tamta była kobietą z plemienia Janomamów, z dorzecza Amazonki. Przez trzy miesiące polowała w dżungli, zanim wróciła do wioski i wywołała przemianę u swojej siostry. Obie obwołały się boginiami i żądały od wioski ofiar. Został je nad rzeką, gdy pożywiały się martwą staruszką, i zabił je bez najmniejszej satysfakcji. Może ta ruda? Może to ona? Na główkę, postanowił. Odbił się, złożył jak scyzoryk, i pomknął przez pięćdziesiąt pięter ku czarnej wodzie. Trudność polegała na tym, by nie zmienić się we mgłę, zanim wpadnie do wody. To by było zbyt proste.

Uderzenie w wodę zerwało mu ubranie z grzbietu. Szwy w butach pękły pod wpływem ciśnienia.

Wynurzył się na powierzchnię, nagi, jeśli nie liczyć jednej skarpetki, która jakimś cudem przetrwała uderzenie, i popłynął w stronę swojego jachtu, myśląc, że niepotrzebnie ratował ją przed słońcem.

Widocznie rozpaczliwie brakuje mu rozrywek.

CO MASZ W KIESZENI — PAŁKĘ?

Tommy wyrzucił Cesarza ze sklepu o świcie. Była to długa noc. Próbował trzymać zwariowanego władcę z dala od Zwierzaków, jednocześnie rozładowując towar i próbując obmyślić swoje

spotkanie z Marą od strony logistycznej. To wszystko pod wpływem cudownego zioła doktora Drew, najwyraźniej oddziałującego na tę część mózgu, która powoduje, że człowiek siada w kącie i ślini się, patrząc na swoje ręce. Po zakończeniu zmiany nie przyjął zaproszenia na piwo i frisbee na parking, zwinął bagietkę dostawcy pieczywa i złapał autobus do domu, zamierzając iść prosto do łóżka. Wiedział, że z jego planu nici, gdy Frank, motocyklista/rzeźbiarz, wyszedł mu naprzeciw przed budynek, trzymając żółwia z brązu o znajomym wyglądzie.

- Flood, zobacz. - Uniósł żółwia. - Udało się!

- Co się udało? - spytał Tommy.

- Galwanizacja. Chodź, pokażę ci. - Odwrócił się i wprowadził Tommy'ego przez obrotowe drzwi do odlewni.

Odlewnia zajmowała cały parter budynku. Znajdował się w niej duży piec, z którego dobywało się stłumione dudnienie. Stało tam kilka dużych zbiorników z piaskiem, w których leżały gipsowe formy w różnych stadiach zaawansowania.

Frank powiedział:

- Robimy dużo rzeźb ogrodowych. Posągi Buddy mają wzięcie u gości, którzy hodują karpiki koi.

Właśnie do tego potrzebowaliśmy żółwi. Monk już sprzedał jednego babce z Pacific Heights za pięćset dolarów. Rzecz niebywała.

- Moje żółwie? - zapytał Tommy. Przyjrzał się uważniej gadowi z brązu, którego trzymał Frank. - Zelda!

- Uwierzysz? - powiedział Frank. - Zrobiliśmy oba w niecałe osiem godzin. Przy użyciu wosku potrwałoby to parę dni. Pokażę ci.

Zaprowadził go na drugą stronę warsztatu, gdzie niski korpulentny mężczyzna w skórze i dżinsach pracował przy dużym pleksiglasowym zbiorniku, pełnym jakiejś przejrystej, zielonej cieczy.

- Monk - powiedział Frank. - To nasz sąsiad, Tom Flood. Flood, to mój partner, Monk.

Monk burknął coś pod nosem, nie podnosząc głowy znad sprężarki, z którą najwyraźniej miał jakiś kłopot. Tommy już rozumiał, skąd się wzięło jego przezwisko. Miał dużą łysinę o kształcie odwróconej miski, otoczoną wianuszkami włosów. Benedyktyńska wersja Easy Ridera, braciszek Tuck na kołach.

- To - powiedział Frank, wskazując trzymetrowy zbiornik - jest największy, o ile nam wiadomo, zbiornik do galwanizacji na całym zachodnim wybrzeżu.

Tommy nie wiedział, jak zareagować. Wciąż był oszołomiony widokiem brązowej podobizny Zeldy.

- Fajowo - powiedział w końcu.

- Tak, stary. Możemy zrobić wszystko, co znajdziemy. Bez form, bez wosku. Wystarczy namoczyć.

Tak zrobiliśmy z twoimi żółwiami.

Do Tommy'ego zaczęło coś docierać.

- Chcesz powiedzieć, że to nie była rzeźba? Pokryliście moje żółwie mosiądzem?

- Właśnie. Ten płyn jest przesycony roztopionym metalem. Opryskaliśmy żółwie cienką warstwą farby na bazie metalu, która przewodzi prąd. Potem podpięliśmy do nich kabel i zanurzyliśmy je w zbiorniku. Prąd wyciąga z wody metal, który łączy się z farbą na żółwiu. Jeśli zostawisz go na dłużej, warstwa metalu robi się gruba i solidna. I voila, mamy ogrodowego żółwia z brązu. Chyba jeszcze nikt tego nie robił. Mamy wobec ciebie dług, facet.

Monk burknął coś z wdzięcznością. Tommy nie wiedział, czy właściwszy byłby gniew, czy rozpacz.

- Mogłeś mi powiedzieć, że je zabijecie.

- Myślałem, że wiesz. Sorki. Możesz wziąć tego, jeśli chcesz. - Frank chciał mu wręczyć pokrytą brązem Zeldę.

Tommy pokręcił głową i odwrócił wzrok.

- Chyba nie mógłbym na nią patrzeć. - Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

Frank powiedział:

- No weź, stary. Jesteśmy ci to winni. Gdybyś czegoś potrzebował...

Tommy wziął Zeldę. Jak to wyjaśni Jody? „A, właśnie, zmieniłem twoje zwierzaki w rzeźby”. Coś takiego zaraz po kłótni! Zaczął człapać po schodach na górę. Czuł się zupełnie zagubiony.

Jody zostawiła mu na blacie kartkę.

Tommy, koniecznie musisz tu być, kiedy się obudzę. Jeśli wyjdiesz, będziesz miał poważne, groźne dla życia kłopoty. Nie żartuję. Muszę Ci powiedzieć o paru ważnych rzeczach. Teraz nie mam czasu, zaraz odpłynę.

Bądź tu, kiedy się obudzę.

Jody

- Super - powiedział Tommy do Peary'ego. - I co teraz zrobię z Marą? Za kogo Jody się uważa, że mi grozi? Co mi robi, jeśli mnie tu nie będzie? Nie mogę tu być. Może ją czymś zajmiesz, dopóki nie wrócę do domu? - Tommy poklepał zamrażarkę i do głowy przyszedł mu pewien pomysł.

- Wiesz, Peary, naukowcy zamrozili nietoperze wampiry, a potem ożywili je, całe i zdrowe.

Właściwie jak miałyby się połączyć? Ile już razy w środę myślała, że jest wtorek? Poszedł do sypialni i spojrzął na Jody, która dotarła do łóżka, ale nie zdążyła się przebrać i wciąż miała na sobie czarną sukienkę.

No, no, pomyślał Tommy, dla mnie nigdy tak się nie ubiera.

Wyglądała tak spokojnie. Seksownie, ale spokojnie.

Będzie zła, jeśli się dowie. Ale i tak jest zła. Tak naprawdę nie stanie jej się nic złego. Po prostu wyciągnę ją jutro rano i przykryję kocem elektrycznym. Przed wschodem słońca odtaje, a ja załatwię sprawę Mary. Mogę jej powiedzieć, że jestem w związku. Nie mogę niczego zaczynać, dopóki to trwa.

Może z czasem Jody trochę się uspokoi.

Uśmiechnął się.

Otworzył pokrywę zamrażarki, po czym poszedł do sypialni po Jody. Zaniósł ją do kuchni i położył w urządzeniu na Pearym. Gdy układał ją w pozycji embrionalnej, poczuł ukłucie zazdrości.

- Tylko bądźcie grzeczni, dobra? - Poutykał wokół niej kilka mrożonych posiłków, po czym delikatnie zamknął pokrywę.

Wpęczając do łóżka, pomyślał, że jeśli Jody kiedykolwiek się o tym dowie, to naprawdę się wkurzy.

Tommy spał od trzech godzin, kiedy zaczęło się walenie do drzwi. Sturlał się z materaca, zatoczył po ciemnym pomieszczeniu i oślepiło go światło, gdy otworzył drzwi poddasza. Powoli odzyskiwał wzrok, otwierając drzwi przeciwpożarowe.

- Pan Thomas Flood junior? - zapytał Rivera.

- Tak - odparł Tommy, opierając się o ościeżnicę.

- Jestem inspektor Alphonse Rivera z policji San Francisco. - Uniósł odznakę. - Aresztuję pana dodał, wyciągając nakaz z kieszeni marynarki - za porzucenie pojazdu na drodze publicznej.

- Pan żartuje - powiedział Tommy.

Cavuto przeszedł przez próg, złapał Tommy'ego za ramię i odwrócił go, a drugi glina odpiął kajdanki od paska.

- Ma pan prawo milczeć... - zaczął Cavuto.

Dwie godziny później Tommy został poddany procedurom i badaniom. Zdjęto mu odciski palców i - tak jak spodziewał się Cavuto - odpowiadały one odciskom na egzemplarzu W drodze, znalezionym pod zwłokami menela. To wystarczyło, żeby uzyskać nakaz przeszukania poddasza. Pięć minut po tym, jak tam weszli, pojechał do nich samochód ze sprzętem kryminalistycznym i ekspertami

sądowymi, a także dwie furgonetki koronera. W kategorii miejsc zbrodni akcje poddasza w dzielnicy SOMA stały bardzo wysoko.

Cavuto i Rivera pozostawili miejsce zbrodni ekspertom sądowym, po czym wrócili na komisariat, gdzie wyciągnęli Tommy'ego z celi do uroczego, różowego pokoju przesłuchań, wyposażonego w metalowy stół i dwa krzesła. Na jednej ze ścian znajdowało się lustro, a na stole stał magnetofon. Tommy usiadł i wbił wzrok w różową ścianę, przypominając sobie, że słyszał coś o uspokajającym działaniu różowej barwy. Najwyraźniej na niego to nie działało. Żołądek zawiązał mu się w supeł.

Rivera i Cavuto przeprowadzili już dziesiątki przesłuchań i zawsze przybierali te same role: Cavuto był złym gliną, a Rivera dobrym. Tak naprawdę Rivera nigdy się nie czuł jak dobry glina. Częściej bywał gliną zmęczonym i przepracowanym, który jest miły, bo nie ma siły na złość.

- Chcesz zapalić? - spytał.

- Jasne - odparł Tommy. Cavuto przyskoczył do niego.

- Wielka szkoda, gnojku. Tu nie wolno palić. - Rola złego gliny sprawiała mu sporą frajdę. W domu nieraz ćwiczył to przed lustrem.

Rivera wzruszył ramionami.

- Ma rację. Nie możesz zapalić.

- Nie szkodzi. I tak nie palę - powiedział Tommy.

- To co powiesz na prawnika? - spytał Rivera. - Albo na telefon?

- O północy powinienem być w pracy - odrzekł Tommy. - Wygląda na to, że się spóźnię, więc lepiej wykorzystam ten telefon.

Cavuto przemierzał pomieszczenie, tak regulując tempo, by przy każdym stwierdzeniu odwracać się do Tommy'ego. Obrócił się na pięcie.

- Tak, chłopcze, spóźnisz się. Spóźnisz się o jakieś trzydzieści lat, o ile cię nie usmażą.

Przerażony Tommy skulił się na krześle.

- Dobrze, Nick - pochwalił Rivera.

- Dzięki. - Wyszczerył zęby wokół niezapalonego cygara i cofnął się od stołu, przy którym siedział Tommy.

Teraz ruszył się Rivera.

- Dobra, chłopcze, nie chcesz adwokata. Od czego chcesz zacząć? Złapaliśmy cię na dwóch morderstwach, a prawdopodobnie na trzech. Jeśli opowiesz całą historię o wszystkich innych

zabójstwach, będziemy mogli odstąpić od kary śmierci.

- Nikogo nie zabiłem.

- Nie zgrywaj niewiniątka - odparł Cavuto. - Znaleźliśmy dwa ciała w twojej zamrażarce. I mnóstwo twoich odcisków na książce, która leżała pod trzecim ciałem przed twoim mieszkaniem. Mieszkałeś w motelu, gdzie znaleźliśmy czwarte ciało. Mamy też szafę pełną damskich ubrań i naocznych świadków, którzy widzieli kobietę w pobliżu miejsca znalezienia piątego ciała...

Tommy mu przerwał:

- Właściwie w zamrażarce jest tylko jedno ciało. Drugie to moja dziewczyna.

- Ty popaprańcu. - Cavuto odchylił się, jakby chciał mu przyłożyć.

Rivera zrobił krok, by go powstrzymać. Tommy skulił się na krześle. Rivera wziął partnera na bok.

- Przez chwilę ja się tym zajmę. - Zostawił Cavuto, który meł w ustach przekleństwa, i wrócił, by usiąść naprzeciwko Tommy'ego.

- Słuchaj, chłopcze, przyłapaliśmy cię na dwóch zabójstwach, na zimnym uczynku, że tak powiem.

Mamy poszlaki, które wskazują na kolejne. Pójdiesz do więzienia na bardzo długo, a szanse na karę śmierci wydają się w tym momencie dość spore. Jeśli wszystko nam powiesz i niczego nie pominiesz, być może zdołamy ci pomóc, ale musisz dać nam wystarczająco dużo informacji, żebyśmy zamknęli wszystkie sprawy. Rozumiesz? Tommy skinął głową.

- Ale ja nikogo nie zabiłem. Wsadziłem tylko Jody do zamrażarki. Przyznaję, że postąpiłem nieładnie, ale jej nie zabiłem.

Cavuto warknął. Rivera pokiwał głową, jakby przyjmował tę historię do wiadomości.

- Dobrze, ale jeśli ty ich nie zabiłeś, to kto? Czy ktoś, kogo znasz, zmusił cię tego? Cavuto wybuchł.

- O Chryste, Rivera! Czego byś chciał, nagrania wideo? To sprawka tego małego sukinsyna.

- Nick, proszę. Daj mi chwilę.

Cavuto podszedł do stołu i pochylił się tak, że jego twarz znalazła się naprzeciwko twarzy Tommy'ego. Wyszeptał, szorstko i chrapliwie:

- Flood, nie myśl, że się z tego wywiniesz, jeśli zakręcisz tyłkiem i mrugniesz okiem. Może w Castro taki numer by przeszedł, ale ja jestem na to odporny, chwytasz? Teraz wyjdę. A jeśli po powrocie okaże się, że jeszcze nie opowiedziałeś wszystkiego mojemu partnerowi, sprawię ci ból. I to duży, chociaż nie zostawię żadnych śladów. - Wstał, uśmiechnął się, a potem odwrócił i wyszedł z pomieszczenia.

Tommy popatrzył na Riverę.

- Zakręcę tyłkiem i mrugnę okiem?

- Nick uważa, że jesteś słodki.

- Jest gejem?

- Absolutnie. Tommy pokręcił głową.

- Nigdy bym się nie domyślił.

- Jest też masonem. - Rivera wysunął papierosa z paczki i zapalił. - Pozory mogą mylić.

- Hej, myślałem, że tu nie wolno palić. Rivera dmuchnął mu dymem w twarz. - Trzymałeś dwoje ludzi w zamrażarce, a pieprzysz mi tu o paleniu.

- Słuszna uwaga.

Inspektor odchylił się na krześle.

- Tommy, dam ci jeszcze jedną szansę, żebyś mi powiedział, jak zabiłeś tych ludzi, a potem wpuszczę tu Nicka i wyjdę. Naprawdę mu się podobasz. A to dźwiękoszczelny pokój, wiesz.

Tommy ciężko przełknął ślinę.

- Nie uwierzy mi pan. To dość fantastyczna historia. W grę wchodzi zjawiska nadnaturalne.

Rivera potarł skronie.

- Szatan kazał ci to zrobić? - spytał znużonym tonem. - Nie.

- Elvis?

- Mówiłem, że nadnaturalne.

- Tommy, powiem ci coś, czego nigdy nikomu nie mówiłem. Jeśli komuś to powtórzysz, zaprzeczę.

Pięć lat temu widziałem białą sowę o dwudziestometrowej rozpiętości skrzydeł, która zleciała z nieba, porwała demona ze zbocza góry i odleciała.

- Słyszałem, że gliniarze dostają najlepsze dragi - stwierdził Tommy.

Rivera wstał.

- Przyprowadzę Nicka.

- Nie, zaraz. Powiem. To był wampir. Możecie rozmrozić Jody, to wam powie.

Rivera wyciągnął rękę i włączył magnetofon.

- Zwolnij. Zaczynaj od początku i mów, aż dojdiesz do momentu, w którym wprowadziliśmy cię do tego pokoju.

Godzinę później Rivera i Cavuto spotkali się za weneckim lustrem. Cavuto nie był zadowolony.

- Wiesz, wolałbym, żebyś zagroził, że go po prostu pobiję.

- Poskutkowało, nie?

- Nie ma tu nic, co możemy wykorzystać. Zupełnie nic. Jeśli będzie się tego trzymał, wywinie się, bo uznają go za niepoczytalnego. To zbyt pokręcone. Chciałbym wiedzieć, jak spuścił krew z ciała.

- Chłopak uważa się za pisarza. Popisuje się swoją wyobraźnią. Niech sobie trochę posiedzi, a my pójdziemy coś zjeść. Chcę znaleźć Cesarza.

- Tego pojeba?

- Od kilku tygodni zgłaszał, że widuje wampira. Może widział, jak chłopak popełnia któreś z tych morderstw.

ODDAWANIE CZCI

Gilbert Bendetti lubił swoją pracę, naprawdę lubił. Była to w pewnym sensie posada rządowa, więc warunki miał przyzwoite, a pracę lekką. Lubiał też pracować na nocną zmianę, panował wtedy spokój, a w prosektorium zwykle siedział sam, więc nie musiał się przejmować swoją nadwagą czy brzydką cerą.

Lubił się bawić komputerami i sprzętem laboratoryjnym, lubił też odbierać telefony i zachowywać się oficjalnie. Nocna służba w biurze koronera byłaby wspaniałą posadą, nawet gdyby nie mógł bzykać umarlaków, ale gdy dochodził ten element, robiło się bajecznie.

Dzisiejszego wieczoru Gilbert aż kipiał z niecierpliwości. Tego popołudnia przywieźli Pannę Super i wydali mu wyraźne zalecenia, by jej nie zamykał, tylko trzymał na zewnątrz i czekał, aż odtaje przed autopsją. Jakiś psychol wsadził ją do zamrażarki. Pojeb jeden, wsunął jej pod ręce mrożone posiłki. Teraz leżała zwinięta na noszach na kółkach i go kusiła. Ta koktajlowa sukienka, te rude włosy - nie mógł się doczekać.

Sprawdził dziennik i zamknął oprawne w skórę książki w szufladzie biurka, po czym poluzował fartuch laboratoryjny i ruszył korytarzem, by sprawdzić jej miękkość. Kiedy sprawdzał poprzednim razem, nabrała nieco elastyczności, ale wiedział, że w środku będzie... no, zimna, pomimo kapiącego spod pach soku ze steku Salisbury.

Przez przeszklone drzwi przeszedł do kostnicy i oto była, tam gdzie ją zostawił. Jej wydatne wargi wyglądały bardzo uwodzicielsko, a śliczne nogi były podwinięte.

- Mój aniołku - odezwał się Gilbert - pomóc ci z tymi nieznośnymi rajstopami? Wprostował jej nogi i podniósł sukienkę. Dziewczyna wciąż była dość chłodna, ale dało się nią poruszać. I dobrze, bo kiedy pojawia się stężenie pośmiertne, napiętność może cię zmusić do pozycji, która stanowiłaby trudne wyzwanie nawet dla mistrza jogi. Gilbert już nieraz naciągnął sobie plecy.

Miała czarne rajstopy, ale stopy - z wyjątkiem prawego palucha - były zakurzone. Widocznie chodziła boso. Gilbert włożył sobie ten palec do ust wkrótce po tym, jak ją przywieźli. Był to rodzaj gry wstępnej.

Rozważał sprawdzenie jej termometrem do mięsa, ale była tak doskonała, że nie chciał zostawiać śladów na tym pięknym ciele. Sięgnął jej pod sukienkę, złapał za gumkę rajstop i zaczął je zdejmować.

- Czarne koronkowe majtki, o rany... - Próbował sobie przypomnieć jej imię, a w końcu sprawdził karteczkę na palcu u nogi. - O rany, Jody, skąd wiedziałaś, że lubię czarne koronki? Ściągnął jej rajstopy, przerywając, by zdjąć karteczkę z palca, a potem przesunął dłońmi po udach w stronę czarnych, koronkowych majtek.

- I naturalnie rude włosy - powiedział, opuszczając majtki na podłogę. Cofnął się na chwilę, by przyjrzeć się jej z podziwem i zrzucić z siebie fartuch. Zablokował kółka noszy, wyciągnął mrożone posiłki spod jej ramion i rozpiął rozporek.

- Będzie tak dobrze. Tak dobrze. - Wspiął się na koniec noszy, uważając, by nie stracić równowagi.

Nic bardziej nie psuło atmosfery niż upadek i walnięcie głową o linoleum.

Polizal jej nogę, przesuając się w górę.

- Tommy, to łaskocze - powiedziała. Podniósł wzrok.

Nie, zdawało mi się.

Wrócił do przerwanej zajęcia.

- Nie, najpierw wezmę prysznic - stwierdziła. Usiadła. Gilbert pchnął tak mocno, że nosze oparły się na krawędzi i zrzuciły Jody na podłogę. Cofał się, trzymając się za pierś i nie mogąc złapać oddechu, z rozkołysanym, więdącym wackiem. Jody wstała.

- Kim jesteś? Nie mógł mówić. Nie mógł oddychać. Czuł się tak, jakby serce owinięto mu drutem kolczastym, ciągnionym przez konny zaprzęg. Cofnął się na rząd szuflad i uderzył się w głowę.

Jody rozejrzała się dookoła.

- Jak się tu znalazłam? Odpowiadaj.

Gilbert jęknął i padł na kolana.

- Gdzie jest Tommy? I gdzie są, kurwa, moje majtki? Gilbert potrząsał głową. Przewrócił się na bok, z wysiłkiem zaczerpnął jeszcze dwa oddechy, po czym zmarł.

- Hej! - powiedziała. - Potrzebuję paru odpowiedzi. Tamten się nie odezwał. Jody patrzyła, jak czarna aura jego śmierci znika, pozostawiając tylko resztki nimbu gorąca wokół jej ciała.

- Przepraszam - powiedziała.

Rozejrzała się: nosze, rząd wielkich szuflad ze zwłokami, narzędzia do sekcji - bez dwóch zdań wyglądało to jak kostnice w filmach. Coś poszło bardzo nie tak, kiedy spała.

Chciała zerknąć na zegarek, ale już go nie miała. Zegar nad ciałem Gilberta pokazywał pierwszą w nocy.

Dlaczego obudziłam się tak późno? Muszę znaleźć Tommy'ego i dowiedzieć się, co się stało.

Podniosła z podłogi majtki i wciągnęła je na siebie. Rajstopy zostawiła tam gdzie leżały, rozglądając się za butami. Nigdzie ich nie widziała. Nie widziała też swojej torebki.

Pieniądze. Muszę mieć na taksówkę.

Ukucnęła przy ciele Gilberta i zaczęła szperać mu w kieszeniach. Znalazła trzydzieści dolarów i trochę drobniaków. Niemal machinalnie wcisnęła jego odsłonięty członek z powrotem do spodni i zapięła mu rozporek.

- Zrobiłam to dla twojej rodziny, a nie dla ciebie -oznajmiła. A potem pomyślała: robię się jeszcze

gorsza od Tommy'ego. Gadam ze zmarłymi.

Ruszyła do drzwi, a potem zatrzymała się i popatrzyła na ścianę z szufladami. Straszny domysł dopadł ją niczym nagłe kichnięcie.

Tommy jest pewnie w jednej z tych szuflad. Wampir go zabił, a kiedy przyjechał coroner, pomyśleli, że ja też nie żyję. Ale dlaczego mnie oszczędził? I dlaczego tak długo się budziłam? Może to przez tego studenta medycyny. Kiedy nie przyszłam na spotkanie, powiedział glinom, gdzie mnie szukać. Zaraz, przecież nie wiedział, gdzie mnie szukać.

Przeszła przez przeszklone drzwi, a potem przez korytarz, gdzie przystanęła przy telefonie i zadzwoniła na poddasze. Nikt nie odebrał. Następnie wybrała numer Safe-waya w Marinie.

- Safeway Marina. - Rozpoznała głos Simona McQueena.

- Simon, mówi Jody. Muszę pogadać z Tommym.

- Kto? Kto mówi?

- Jody. Dziewczyna Tommy'ego. Muszę z nim pogadać.

Przez chwilę Simon milczał. Gdy wreszcie przemówił, jego głos był o oktawę niższy.

- Nie wiesz, gdzie jest Flood?

- A tam go nie ma? -Nie.

- Wszystko u niego w porządku?

- W pewnym sensie w porządku. A ty? Dobrze się czujesz?

- Tak. Dobrze. Gdzie Tommy?

- A to ci dopiero. Na pewno dobrze się czujesz?

- Tak. Gdzie Tommy?

- Nie mogę ci powiedzieć przez telefon. Przyjadę po ciebie. Gdzie jesteś?

- Nie mam pewności. Poczekaj. - Podbiegła do drzwi. Na szybie widniał nadrukowany adres.

Wróciła do telefonu i podała Simonowi adres dwie przecznice dalej.

- Znajdę kogoś, żeby mnie zastąpił. Będę tam za pół godziny.

- Dzięki, Simon. - Odłożyła słuchawkę. Co się, do diabła, działo? Czekać na przyjazd Simona, Jody odrzuciła awanse dwóch facetów w mercedesie, którzy wzięli ją za prostytutkę. Pomyłka wydawała się zrozumiała, wzięwszy pod uwagę, że stała boso w bocznej uliczce, ubrana w krótką koktajlową

sukienkę, mimo że noc była chłodna. W końcu, gdy im oświadczyła, że jest tajną agentką policji, zmiękli i odjechali ze zwieszonymi głowami.

Simon wyjechał z za rogu pięć minut później i zahamował wśród kłębów spalonej gumy i testosteronu.

Gwałtownym ruchem otworzył jej drzwi.

- Wsiadaj.

Jody wskoczyła na fotel pasażera. Simon wydawał się lekko zaskoczony, że nie skorzystała z dwóch schodków, zamontowanych pod drzwiami.

- Wysoko dziś skaczesz, mała - stwierdził. Zamknęła drzwi.

- Gdzie Tommy?

- Spokojnie, zawiozę cię do niego. - Simon wrzucił bieg i ruszył z rykiem silnika. - Na pewno dobrze się czujesz?

- Tak, wszystko w porządku. Dlaczego nie mogłeś mi powiedzieć przez telefon, co się stało z Tommym?

- Ukrywa się. Zdaje się, że policja poszukuje go za jakies zabójstwa.

- Zabójstwa Skręcacza Karków?

- Zgadza się. - Simon spojrzał na nią. - Nie jest ci zimno?

- A, zgubiłam płaszcz.

- Buty też?

- Tak, buty też. Gonili mnie jacyś faceci. - Wiedziała, że nie brzmi to zbyt przekonująco.

Jechali przez Market w stronę Bay Bridge. Simon uśmiechnął się i zsunął kapelusz na tył głowy.

- Nigdy nie jest ci zimno, co, mała?

- Co masz na myśli? Simon nacisnął guzik centralnego zamka. Usłyszała, jak zamek szczęknął obok niej. Simon ciągnął:

- Gorąco też nie, prawda? Ani nie chorujesz. Nie chorujesz? Jody złapała uchwyt na drzwiach.

Sięgnął do marynarki i wyciągnął colta pythona. Wymierzył w nią i odciągnął kurek.

- Wiem, że kule cię pewnie nie zabiją, ale założę się, że będzie bolało jak diabli. A powtykałem w nie z przodu małe drewniane kołki, bo a nuż załatwi to sprawę.

Jody nie miała pojęcia, co może jej zrobić kula z rewolweru, i wcale nie chciała się przekonać.

- Czego chcesz? Zatrzymał półciężarówkę w bocznym zaułku i wyłączył silnik.

- Paru rzeczy. Nie wiem, której chcę najpierw, zanim nie odpowiesz mi na kilka pytań.

- Czego tylko sobie życzysz. Jesteś przyjacielem Tommy'ego. Nie musisz być taki zawzięty. Po prostu pytaj.

- Miło z twojej strony, mała. Powiedz mi, chorujesz?

- Każdemu zdarza się zachorować. Od czasu do czasu się przeziębam.

Simon wcisnął jej lufę w zębra.

- Nie chrzań. Wiem, czym jesteś.

Pierwszy raz uważnie mu się przyjrzała. Dosłownie płonął, gorąco biło z niego czerwonymi falami, nawet w stosunkowo ciepłej kabinie pikapa. Ale pod tą aurą zobaczyła coś, czego nie zauważyła, gdy widziała go pierwszy raz. Może dlatego, że nie wiedziała czego szukać. Pod nimbem gorąca otaczała Simona cienka, czarna korona, taka, jaką widziała już u innych ludzi. Aura śmierci, ale cieńsza, jakby dopiero rosła.

- Jesteś pewien, że znowu nie zachowujesz się jak dupek? Przetrzymujesz dziewczynę przyjaciela - powiedziała.

- Nie bierz mnie pod włos, ruda. Widziałem jak śpisz, kiedy zrobiliśmy imprezę w waszym domu.

Dotknąłem cię. Jesteś zimna jak cycek czarownicy. A Flood ciągle narzeka, że całymi dniami śpisz. Albo jak kupował te żółwie: musiały być żywe. Ale nie poskładałem tego wszystkiego do kupy, dopóki Cesarz nie zaczął krzyczeć o wampirach, a gliniarze zwinęli Flooda.

- Zwariowałeś. To niczego nie dowodzi. Wampiry nie istnieją.

- Mówisz? A wiesz, czemu aresztowali Tommy'ego?

- Nie. Nie wiedziałam...

- Bo znaleźli cię martwą w zamrażarce. Przymknęli go za to, że cię zabił, panienko. Nadal miałem wątpliwości, kiedy zadzwoniłaś. Będiesz moją pierwszą martwą dupą, nie licząc tego razu, kiedy trzepałem kapucyna nad zdjęciem Marylin.

Jody była oszołomiona. Ogarnęła ją fala paniki, a jej wewnętrzny głos krzyczał: „Zabij go, ukryj się.

Zabij go, ukryj się". Stłumiła go.

- Robisz to, bo chcesz seksu?

- No, częściowo. Widzisz, nie bzykałem się porządnie od pięciu lat, od kiedy złapałem te zarazki.

Trudno zużyć trzy ręczniki, kiedy twój fiut niesie śmierć. Ale nie jestem żadnym pedziem. Pozwoliłem na to, żeby jakaś dziwka z Oakland poczęstowała mnie mieszanką hery i koki. W sześć osób używaliśmy jednej strzykawki.

- Umierasz na AIDS? - spytała.

- Po co owijać w bawełnę, mała. Lepiej wyłożyć kawę na ławę.

- Wybacz, ale kiedy ktoś celuje do mnie z rewolweru i grozi, że mnie zgwałci, zapominam o dobrych manierach.

- Nie będzie żadnego gwałtu, jeśli sama tego nie zechcesz. Ważniejsza jest druga sprawa.

- Druga sprawa?

- Chcę, żebyś zmieniła mnie w wampira.

- Nie, nie chcesz. Nie wiesz, jak to jest.

- Nie muszę wiedzieć, mała. Wiem, że umrę, jeśli tego nie zrobisz. To już nie tylko HIV, choroba rozwinęła się na maksa. Ledwie wkładam i zdejmuję buty, tak mnie bolą nogi. Lekarz faszkuje mnie taką ilością pigułek, że koń by się udławił. Zrób to.

Jody mu współczuła. Pomimo tej jego postawy aroganckiego kowboja, widziała, że się boi.

- Nie wiem jak. Nie wiem, jak mnie zmieniono. To się po prostu stało.

Wbił lufę pod jej pierś i przesunął się na jej siedzenie.

- Cholera, wystarczy, że ugryziesz mnie w szyję. No już!

- To nie działa. Po prostu bym cię zabiła. Nie wiem jak cię zmienić w wampira.

Odsunął broń od żeber i przyłożył do uda.

- Liczę do trzech, a potem strzelę ci w nogę, jeśli nie zaczniesz mnie zmieniać. A potem policzę do trzech i strzelę w drugą nogę. Nie chciałem tego robić, ale musisz zrozumieć.

Widziała, że w oczach zbierają mu się łzy. Nie chciał tego robić, ale wiedziała, że robi. Zaczęła się zastanawiać, czy gdyby wiedziała jak go zmienić, toby się zgodziła.

- Simon, proszę, naprawdę nie wiem jak cię zmienić. Puść mnie. Może się dowiem.

- Nie mam czasu, mała. Jeśli mam zamienić światło dnia na życie nocami, wybieram noce.

Zaczynam liczyć. Raz!

- Simon, nie. Czekaj. -Dwa! Patrzyła, jak z oka wypływa mu łza. Poczwała, że jego ciało się naprężyło, i spojrzwała na rewolwer.

Ściągnęła w jego dłoni się napinały. Zrobi to.

- Trzy! Jody błyskawicznie wysunęła prawą rękę i otwartą dłonią walnęła go poniżej podbródka, jednocześnie drugą ręką odsuwając rewolwer. Broń wypaliła i kula przeleciała przez podłogę samochodu. Wystrzał zagłuszył odgłos pękającego karku Simona, ale wyczuła dłonią chrupnięcie. Simon skulił się na siedzeniu, głowa poleciała mu w tył i otworzył usta, jakby zamarł podczas głośnego śmiechu. Przez dzwonięcie w uszach Jody usłyszała ostatni oddech, dobywający się z jego płuc. Otaczająca go czarna aura zbladła.

Wyciągnęła rękę i poprawiła mu stetsona.

- Boże, Simon, przepraszam. Tak mi przykro.

Rivera prowadził. Cavuto siedział na miejscu pasażera, palił i gadał przez radio. Włączył mikrofon.

- Jeśli ktoś zobaczy dzisiaj Cesarza, niech go zatrzyma, a potem wezwie Riverę i Cavuto. Chcemy go przesłuchać, ale nie jest, powtarzam, nie jest podejrzany. Innymi słowy, nie przestraszcie go.

Cavuto odwiesił mikrofon na deskę rozdzielczą i zwrócił się do Rivery.

- Naprawdę nie uważasz, że to strata czasu?

- Mówiłem, Nick, tylko wydział zabójstw i koroner wiedzą o upływie krwi. Nasi chłopcy nie puściliby pary z gęby. A nawet jeśli był przeciek z biura koronera, nie wyobrażam sobie, nie wyobrażam sobie, żeby ktoś powiedział o tym Cesarzowi. Ktokolwiek popełnił te zabójstwa, zachowywał się jak wampir. Może nawet uważa się za wampira. Więc jeśli chcemy go złapać, musimy udawać, że ścigamy wampira.

- Bzdura. Mamy na chłopaka wystarczająco wiele dowodów, żeby już teraz sporządzić akt oskarżenia, a kiedy spece od medycyny sądowej skończą robotę w jego mieszkaniu, będzie go można skazać.

- Tak - odparł Rivera. — Jest tylko jeden problem. Cavuto przewrócił oczami.

- Wiem, uważasz, że nikogo nie zabił.

- Ty też.

Cavuto zacisnął zęby na cygarze i wyjrzał przez okno samochodu na grupkę pijaków stojących na rogu przy sklepie z alkoholem.

- Prawda? - naciskał Rivera.

- On wie, kto to zrobił. I gdybym musiał zaprowadzić jego słodki tyłeczek prosto na krzesło

elektryczne, żeby zaczął gadać, zrobię to.

Rozległo się wezwanie z radia.

- Nawijaj - powiedział Cavuto do mikrofonu.

Z trzeszczącego mikrofonu przemówił głos operatora.

- Dziesiątka zatrzymała Cesarza na rogu Mason i Bay. Mają go przywieźć? Cavuto odwrócił się do Rivery i uniósł brwi. - No?

- Nie, powiedz, że będziemy tam za pięć minut. Cavuto włączył mikrofon.

- Nie trzeba, już jedziemy.

Trzy minuty później Rivera zatrzymał obok radiowozu nieoznakowanego dodge'a pod zakazem parkowania. Dwaj umundurowani funkcjonariusze bawili się z Lazarusem i Bummerem. Zbroje psów pobrzękiwały podczas tych harców. Cesarz stał obok, nie wypuszczając z ręki drewnianego miecza.

Rivera pierwszy wysiadł z samochodu.

- Dobry wieczór, Wasza Wysokość.

- O ja pierdołę - mruknął Cavuto pod nosem i wygramolił się z pojazdu.

- Witam o wczesnym poranku, inspektorze. - Cesarz uklonił się. - Widzę, że drań igra z nami wszystkimi. Rivera skinął głową do mundurowych.

- Załatwione, chłopaki, dzięki. - Jeden z funkcjonariuszy okazał się kobietą. Posłała Riverze nieprzystojne spojrzenie, idąc do radiowozu.

Rivera na powrót skupił uwagę na Cesarzu.

- Zgłaszałeś, że w mieście grasuje wampir. Cesarz zmarszczył brwi.

- I muszę przyznać, inspektorze, że jestem nieco rozczarowany brakiem natychmiastowej reakcji.

- Wal się - powiedział Cavuto.

- Byliśmy zajęci - wyjaśnił Rivera.

- No, ale nareszcie przyjechaliście. - Cesarz machnął w stronę Bummera i Lazarusa, które czekały przy jego nogach. - Znacie żołnierzy?

- Poznaliśmy się - powiedział Rivera i pomachał ręką. - Wasza Wysokość, zgłosiłeś, że widziałeś wampira. - Rivera wyciągnął notes z kieszeni marynarki. - Trzy razy w ciągu trzech i pół miesiąca. - Wyjął odbitkę zdjęcia, które zrobiono Tommy'emu na komisariacie, i podał Cesarzowi. - To jego

widziałeś?

- Wielkie nieba, nie. To mój przyjaciel, C. Thomas Flood, ambitny młody pisarz. Dobry, choć trochę zagubiony chłopak. Załatwiłem mu posadę w Safewayu w Marinie.

- Ale to nie on jest wampirem, o którym mówiłeś?

- Nie. Ten drań jest starszy i ma ostre rysy. Przypuszczałbym, że ma arabskie pochodzenie, gdyby nie był taki blady.

Cavuto podszedł bliżej i wziął zdjęcie od Rivery.

- Zgłosiłeś zwłoki, które znaleźli w SOMA, ale mówiłeś, że nic nie widziałeś. Nie widziałeś tego człowieka gdzieś w pobliżu miejsca zbrodni?

- Ofiarą był mój przyjaciel, Charlie. Niestety, rozum zostawił w Wietnamie, ale i tak był dobrą duszą. Kiedy go znalazłem, od pewnego czasu już nie żył. Drań zostawił go, żeby zgnił.

Cavuto się z jeżył.

- Ale tego wampira też nie widziałeś na miejscu zbrodni.

- Raz widziałem go w dzielnicy finansowej, raz w Chinatown, no i zeszłej nocy w przystani jachtowej. Prawdę mówiąc, ten młodzieniec udzielił mi schronienia w Safewayu.

Zadzwoił pager Cavuto. Policjant to zignorował.

- Widziałeś Flooda i tego wampira razem?

- Nie, uciekłem z pomostu, kiedy facet zmaterializował się z mgły.

- Idę stąd - oświadczył Cavuto, wyciągając ręce do nieba. Sprawdził pager i wrócił do samochodu.

Rivera został.

- Przykro mi, Wasza Wysokość, mój partner musi się nauczyć manier. A teraz, gdybyś mi powiedział...

Cavuto zatrąbił i wychylił się przez okno.

- Rivera, chodź. Znaleźli następnego. Jedziemy.

- Poczekaj chwilę. - Rivera wyjął z portfela wizytówkę i podał ją Cesarzowi. - Wasza Wysokość, możesz zadzwonić do mnie jutro około południa? Przyjadę po was, gdziekolwiek będziecie. Kupię jakiś obiad dla ciebie i żołnierzy.

- Oczywiście, synu. Cavuto krzyknął przez okno:

- No chodź, ten jest świeży!

- Uważaj - powiedział inspektor do Cesarza. - Miej oczy dookoła głowy, dobra? Cesarz się uśmiechnął.

- Bezpieczeństwo przede wszystkim.

Rivera odwrócił się i poszedł do samochodu. Jeszcze nie zdążył zamknąć drzwi, gdy jego partner ruszył.

- Znowu skręcony kark - powiedział Cavuto. Ciało w pikapie niedaleko Market. Mundurowi znaleźli je pięć minut temu.

- Upływ krwi?

- Mieli dość rozumu, żeby nie mówić o tym przez radio. Ale jest świadek.

- Świadek?

- Bezdomny, który spał w zaułku, widział kobietę opuszczającą miejsce zbrodni. Komunikat z rysopisem poszedł do wszystkich patroli. Ruda kobieta w sukience koktajlowej.

- Pieprzysz.

Cavuto odwrócił się i popatrzył mu w oczy.

- Ninja z pralni powróciła.

- Santa, kurwa, Maria — powiedział Rivera.

- Uwielbiam, kiedy gadasz po hiszpańsku.

Radio znowu zatrzeszczało, centrala wzywała ich numer. Rivera złapał mikrofon i włączył go.

- Co znowu? - spytał.

GLINY I TRUPY

Wkurza mnie ten gość - powiedział Cavuto, wypuszczając chmurę błękitnego dymu tytoniowego na rząd szuflad na zwłoki. - Nienawidzę skurwiela. - Stał nad trupem Gilberta Bendettiego, któremu z boku brzucha sterczał termometr.

- Inspektorze, tu nie wolno palić - upomniał go mundurowy funkcjonariusz, wezwany na miejsce zbrodni.

Cavuto machnął w stronę szuflad.

- Myślisz, że im to przeszkadza? Policjant pokręcił głową.

- Nie, sir.

- A tobie, posterunkowy Jeeter, też to nie przeszkadza, prawda? Jeeter przełknął ślinę.

- Ee... nie, sir.

- To dobrze - stwierdził Cavuto. - Spójrz na drzwi radiowozu, Jeeter. Tam jest napisane „chronią i służą”, a nie „wkurwiają i marudzą”.

- Tak, sir.

Rivera wszedł przez dwuskrzydłowe drzwi w towarzystwie wysokiego mężczyzny około sześćdziesiątki, który miał na sobie fartuch laboratoryjny i okulary w srebrnych oprawkach.

Cavuto podniósł wzrok.

- Doktorze, już? Doktor naciągnął na twarz maskę chirurgiczną i podszedł do trupa. Pochylił się nad Gilbertem i sprawdził termometr.

- Nie żyje od jakichś czterech godzin. Godzinę śmierci określiłbym na pomiędzy pierwszą a pierwszą trzydzieści. Przed sekcją nie mogę mieć pewności, ale na oko stawiam na zawał serca.

- Nienawidzę gościa - powtórzył Cavuto. Spojrzał w dół na karteczkę identyfikacyjną Jody, która leżała na linoleum, obrysowana kredą. - Może ten facet umieścił tę rudą nie tam gdzie trzeba? Koroner podniósł wzrok.

- Absolutnie nie. Ktoś zabrał ciało.

Rivera trzymał notes i zapisywał, podczas gdy doktor mówił.

- Jakies wieści o tym kowboju, którego właśnie przywieźli? Upływ krwi?

- Tu też nie mogę być pewien, ale wygląda na to, że przyczyną śmierci był skręcony kark. Mógł nastąpić jakiś upływ krwi, ale nie taki jak u innych. Ponieważ siedział, krew mogła spłynąć w dół.

- A co z raną na szyi? - spytał Rivera.

- Jaką raną? - zdziwił się koroner. - Nie było żadnej rany na szyi. Osobiście oglądałem ciało.

Riverze opadły ręce i długopis pacnął o linoleum.

- Doktorze, mógłby pan sprawdzić jeszcze raz? Nick i ja wyraźnie widzieliśmy rany klute z prawej strony szyi.

Doktor wstał, podszedł do szuflad i wysunął jedną z nich.

- Proszę sprawdzić.

Cavuto i Rivera stanęli po obu stronach szuflady. Rivera odwrócił głowę Simona w bok i przyglądał się jego szyi. Podniósł wzrok na partnera, który pokręcił głową i odszedł.

- Nick, widziałeś je, prawda? Cavuto pokiwał głową. Rivera odwrócił się do koronera.

- Doktorze, widziałem rany, przysięgam. Za długo się tym zajmuję, żeby coś pomylić.

Tamten wzruszył ramionami.

- A kiedy wy ostatnio spaliście?

- Ze sobą, znaczy się? Koroner zmarszczył brwi. Rivera powiedział:

- Dzięki, doktorze, mamy trochę roboty na innym miejscu zbrodni. Wrócimy tu. Chodźmy, Nick.

Cavuto znowu stał nad Gilbertem.

- Nienawidzę tego gościa i nienawidzę kowboja w szufladzie. Mówiłem już o tym? Rivera odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi, a potem zatrzymał się i spojrzał w dół. Na linoleum widniał wyraźny ślad, odcisnięty brązowym sosem do mięs. Zostawiła go niewielka stopa, bosa stopa kobiety.

Rivera odwrócił się do koronera.

- Doktorze, pracują tu jakieś kobiety?

- Tutaj nie. Tylko w biurze.

- Kurwa! Nick, chodź, musimy pogadać. - Rivera wypadł przez dwuskrzydłowe drzwi, które zakołysały się po jego wyjściu.

Cavuto powoli ruszył za nim. Zatrzymał się przy drzwiach i znowu popatrzył na koronera.

- Ma dziś zły humor, doktorze. Tamten pokiwał głową.

- Ani słowa prasie o upływie krwi, o ile nastąpił. I o zaginionych zwłokach.

- Oczywiście, że nie. Nie mam ochoty rozpowiadać, że w moim biurze giną zwłoki - odparł koroner.

Rivera czekał na Cavuto w korytarzu.

- Musimy wypuścić chłopaka, wiesz o tym.

- Możemy go przetrzymać jeszcze dwadzieścia cztery godziny.

- Nie zrobił tego.
- Fakt, ale coś wie.
- Może powinniśmy go puścić i śledzić.
- Daj mi jeszcze raz spróbować. Sam na sam.
- Jak chcesz. Musimy rozważyć coś jeszcze. Tak jak ja, widziałeś te ślady po nakłuciach na szyi kowboja, nie? Cavuto gryzł cygaro i patrzył w sufit. -No? Cavuto skinął głową.
- Może inni też mieli rany. Może mieli rany, które zniknęły. A widziałeś ten ślad stopy?
- Widziałem.
- Nick, wierzysz w wampiry? Cavuto odwrócił się i ruszył korytarzem.
- Coś mocniejszego.
- Chodzi ci o drinka? Tamten obejrzał się przez ramię i warknął. Rivera uśmiechnął się.
- Byłem ci go winien.

Tommy oceniał temperaturę w celi na jakieś osiemnaście stopni, ale jego towarzysz, studziesięciokilowy, niemal dwumetrowy, nieogolony, brudny, jednooki psychopata z tatuażami przedstawiającymi Disneyowskich bohaterów, i tak ociekał potem.

Może, pomyślał Tommy, kuląc się w kącie za kiblem, na pryczy jest cieplej. A może to duży wysiłek

- przez sześć godzin patrzeć na kogoś złowrogo, bez mrugania, kiedy ma się tylko jedno oko.
- Nienawidzę cię - oznajmił jednooki.
- Przykro mi - odrzekł Tommy.

Tamten wstał i naprężył biceps. Miki i Goofy zatrzęśli się ze złością.

- Nabijasz się ze mnie? Tommy nie chciał nic mówić, więc gwałtownie pokręcił głową, starając się, by na jego twarzy nie pojawiło się nic, co mogłoby przypominać choćby cień uśmiechu.

Jednooki usiadł na pryczy i na powrót przystąpił do złowrogo patrzenia.

- Za co siedzisz?
- Za nic - odparł Tommy. - Nic nie zrobiłem.
- Nie pierdol mi tu, frajerze. Za co cię aresztowali? Tommy zaczął się wiercić, próbując wtopić się w ścianę z pustaków.

- No, wsadziłem swoją dziewczynę do zamrażarki, ale moim zdaniem to nie zbrodnia.

Jednooki uśmiechnął się pierwszy raz, odkąd umieszczono go w celi.

- Moim też nie. Nie użyłeś broni palnej, co?

- Nie, tylko bezszronowej zamrażarki z Searsa.

- To dobrze. Nie odpuszczają przy przestępstwach z użyciem broni palnej.

- No - zagadnął Tommy, ośmielając się wysunąć z kąta na dwa centymetry - a ty za co siedzisz? - Przyszło mu do głowy deptanie niemowląt, kanibalizm, masakra w barze szybkiej obsługi.

Jednooki zwiesił głowę.

- Za naruszenie praw autorskich.

- Żartujesz? Mężczyzna zmarszczył brwi.

Tommy wcisnął się z powrotem w kąt i dodał:

- Naprawdę? To kiepsko.

Jednooki ściągnął obszarpaną koszulkę. Siedmiu Krasnoludków zatańczyło na jego potężnej klatce piersiowej pomiędzy bliznami po ranach kłutych i postrzałach. Na jego brzuchu Królowa Śnieżka i Kopciuszek trwały w czułym uścisku, pochłonięte wzajemnym lizaniem sobie muszelek.

- Tak, popełniłem błąd i chodziłem bez koszuli. Jakiś kierownik z Disneya, który przyjechał tu na wakacje, zobaczył mnie na nabrzeżu. Wezwał swoje prawnicze psy.

Tommy pokręcił ze współczuciem głową.

- Nie wiedziałem, że za naruszenie praw autorskich wsadzają do więzienia.

- Tak naprawdę to nie wsadzają. Dopiero jak wyrwałem facetowi ręce ze stawów, w sprawę włączyła się policja.

- To chyba też nie zbrodnia, co? Jednooki potarł skronie, jakby usiłował przywołać wspomnienia.

- To było przy jego dzieciakach.

- A - powiedział Tommy.

- Flood, powstań - rzucił strażnik, który właśnie stanął w drzwiach celi.

Za nim stał inspektor Nick Cavuto.

- Chodź, piękniśiu - powiedział. - Idziemy na ostatni spacer.

Krew nie wywołała u niej haju rozlewającego się po ciele falą gorąca, tak jak to bywało wcześniej.

Nie, przypominało to raczej przyjemną sytość po łazaniu zjedzonej na obiad i popitej podwójnym espresso.

Tak czy owak, poczuła, jak w jej nogi wstępuje siła. Wyrwała rygle z metalowej ościeżnicy drzwi poddasza z równą łatwością jak wcześniej rozdarła plastikową taśmę, którą policja przegrodziła drzwi.

Dziwne, pomyślała. Z żywego ciała pije się inaczej.

Wyrzuty sumienia po zabiciu Simona minęły w kilka sekund i kontrolę nad nią przejął umysł drapieżcy. Tym razem ujawniły się inne jego cechy, nie tylko instynkt szukania kryjówki i zabijania, ale także ochrony.

Jeśli Tommy siedział w więzieniu za wsadzenie jej do zamrażarki, to znaczyło, że policja znalazła też Peary'ego i zapewne próbuje oskarżyć Tommy'ego również o inne morderstwa. Ale jeśli znajdą kolejną ofiarę w czasie gdy Tommy siedzi za kratkami, będą musieli go wypuścić. A ona potrzebowała go na wolności, bo chciała wiedzieć, czemu ją zamroził, a przede wszystkim należało już wytoczyć działa na drugiego wampira, a urządzić na niego bezpieczne łowy dało się jedynie za dnia.

Ugryzła Simona w szyję i posługując się nadgarstkiem, naciskała rytmicznie jego serce, pompując krew, gdy piła. W tym działaniu nie było poczucia winy ani świadomości. Kierował nią umysł drapieżnika. Pomyślała o krępych strażaku, który przyszedł do Transameriki, by poprowadzić dla pracowników kurs o zachowaniu się w razie trzęsienia ziemi, obejmujący także pierwszą pomoc. Co by powiedział, gdyby jedna z jego uczennic wykorzystała nabytą technikę do pompowania krwi z osoby zamordowanej? „Przepraszam, panie strażaku, ciągnęłam jak odkurzacz, ale to nie wystarczyło. Jeśli to jakieś pociecha, wcale nie było mi przyjemnie”.

Krew Simona dodała jej nieco siły, która jednak najwyraźniej odpłynęła, gdy Jody weszła do mieszkania. Wyglądało gorzej niż po śniadaniu Zwierzaków. Kanapa była odepchnięta pod ścianę, książki ściągnięte z półek i rozrzucone po podłodze. Szafki były pootwierane, a ich zawartość wałała się na blacie. Każdą powierzchnię pokrywała patyna proszku do zbierania odcisków palców. Chciało jej się płakać.

Przypomniała sobie, jak przez dwa miesiące mieszkała z basistą zespołu heavymetalowego, który przewrócił ich mieszkanie do góry nogami, szukając pieniędzy na narkotyki. Pieniądzy? Pobiegnęła do sypialni i do szafy, gdzie wcisnęła resztę forsy, którą dał jej wampir. Pieniądze zniknęły.

Gwałtownym ruchem otworzyła szufladę, w której trzymała bieliznę. Kilka tysięcy dolarów chowała w staniku - ten zwyczaj pozostał jej z czasów, gdy ukrywała pieniądze przed basistą. Znalazła je. Miała dosyć na miesięczny czynsz, ale co potem? Nie będzie to miało znaczenia, jeśli Tommy nie powstrzyma tego drugiego wampira. Była pewna, że tamten zabije ich oboje, i to niebawem.

Gdy ważyła w dłoni zwitki banknotów, usłyszała odgłos otwieranych drzwi na klatkę schodową, a

potem kroki na schodach. Poszła do kuchni i czekała, przycupnięta za blatem.

Ktoś był w mieszkaniu. Mężczyzna. Słyszała bicie jego serca. Bił od niego zapach potu i dawno użytego dezodorantu. Był to dezodorant Tommy'ego. Wstała.

- Cześć - powiedział. - O rany, tak się cieszę, że cię widzę.

ON BYŁY OSZUST, A ONA ODMROŻONA.

Zacząła się pochylać nad blatem, by go przytulić, ale się powstrzymała. - Wyglądasz strasznie - stwierdziła. Był nieogolony, włosy sterczały mu w brudnych kosmykach, a ubranie wyglądało tak, jakby w nim spał. Ale wrażenie było fałszywe. W ogóle nie spał.

- Dzięki - odparł. - Też jesteś trochę potargana. Podniosła rękę, dotknęła splątanych włosów, po czym ją opuściła.

- A myślałam, że moje rude włosy pasują do odmrożeń.

- Mogę to wyjaśnić.

Obeszła blat i stanęła przed nim, nie wiedząc, czy go uściskać, czy uderzyć.

- Świetna sukienka. Nowa?

- Była świetna, dopóki nie rozmroził się na niej soczysty stek. Co się stało, Tommy? Dlaczego byłam zamrożona? Wyciągnął rękę, by dotknąć jej twarzy.

- Jak się masz? To znaczy, dobrze się czujesz?

- Fajnie, że pytasz. - Zgromiła go spojrzeniem. Popatrzył jej w oczy, po czym odwrócił wzrok.

- Jesteś bardzo piękna, wiesz? - Opadł na podłogę i usiadł plecami do blatu. - Tak mi przykro, Jody.

Nie chciałem zrobić ci krzywdy. Po prostu byłem... trochę samotny.

Otarła łzy napływające jej do oczu. Widziała, że jest mu szczerze przykro. A zawsze ruszały ją żalodne przeprosiny, nawet wtedy, gdy basista, z którym się spotykała, oddał jej wieżę stereo do lombardu. A może zrobił to ten robotnik budowlany?

- Co się stało? - naciskała. Patrzył w podłogę i kręcił głową.

- Nie wiem. Chciałem z kimś pogadać o książkach. Z kimś, kto ma o mnie dobre zdanie. Poznałem dziewczynę w pracy. Chciałem tylko iść z nią na kawę, nic więcej. Ale pomyślałem, że nie zrozumiesz.

Więc... no, wiesz.

Usiadła na podłodze naprzeciwko niego.

- Tommy, mogłeś mnie zabić.

- Przepraszam! - krzyknął. - Boję się ciebie. Czasami boję się jak diabli. Uważałem, że nic ci się nie stanie, inaczej bym tego nie zrobił. Chciałem tylko poczuć się ważny, ale to ty jesteś dla mnie ważna.

Chciałem tylko pogadać z kimś, kto patrzy na sprawy tak samo jak ja, kto rozumie co czuję.

Chcę się z tobą pokazywać, nawet w dzień. Tak naprawdę nigdy wcześniej nie miałem dziewczyny.

Kocham cię. Chcę się wszystkim z tobą dzielić.

Spuścił wzrok, nie chciał napotkać jej spojrzenia.

Wzięła go za rękę i ścisnęła.

- Wiem, co czujesz. Nawet sobie nie wyobrażasz jak dobrze to wiem. I też cię kocham.

W końcu popatrzył na nią, a potem przyciągnął ją do siebie. Długo się przytulali, kołysząc się nawzajem niczym płaczące dzieci. Minęło pół godziny, odmierzone słonymi od łez pocałunkami, zanim spytała:

- Chcesz wziąć prysznic? Nie chcę cię puścić, a niedługo będzie świt.

Rozgrzani i umyjni pod prysznicem przeszli tanecznym krokiem, wciąż mokrzy, przez ciemną sypialnię, po czym padli na niepościelony materac. Być przy niej, być w niej - oznaczało dla Tommy'ego tyle, co przybycie w miejsce, gdzie czuł się bezpieczny i kochany, a te mroczne, wrogie istoty, przemierzające świat na zewnątrz, rozplływały się w zapachu jej mokrych włosów, w delikatnym pocałunku w powiekę, w pomieszanych, wyszeptanych wyznaniach i słowach wsparcia.

Jody nigdy tak tego nie czuła. Dla niej to była ucieczka od zmartwień i podejrzeń, od umysłu drapieżcy, który pojawiał się za dnia niczym rekin, zwabiony zapachem krwi.

Nie odczuwała przymusu żerowania, ale inny rodzaj głodu skłaniał ją, by trzymać go głęboko, długo i nieruchomo, by go obejmować i pozostawić tam na zawsze. Dotyk jego dłoni i ust pobudzał jej wampirze zmysły, jakby w końcu jej zmysł dotyku dorósł do tego, by odczuwać życie jako rozkosz. Miłość.

Kiedy skończyli, trzymała twarz Tommy'ego przy swojej piersi i słuchała jego oddechu, który stawał się coraz wolniejszy, w miarę jak zasypiał. Łzy popłynęły z kącików jej oczu, gdy nastał świt, uwalniając ją od ostatniej myśli tej nocy: wreszcie jestem kochana, a muszę z tego zrezygnować.

O zachodzie słońca Tommy wciąż spał. Pocałowała go delikatnie w czoło, a potem uszczypnęła w ucho, by go zbudzić. Otworzył oczy i uśmiechnął się. Widziała to w ciemności: był to szczery

uśmiech.

- Hej - powiedział. Przytuliła się.

- Musimy wstać. Mamy coś do załatwienia.

- Jesteś zimna. Zimno ci?

- Nigdy nie jest mi zimno. - Sturlała się z łóżka i podeszła do włącznika światła. - Oczy - uprzedziła, zanim zapaliła światło.

Tommy osłonił oczy.

- Na miłość Boga, Montresorsie!

- Poe? - spytała. - Tak? - Mhm.

- Widzisz? Umiem rozmawiać o książkach. Usiadł.

- Przepraszam. Nie dałem ci szansy. Chyba zawsze rozmawialiśmy o... o twoim stanie.

Uśmiechnęła się i podniosła parę dzinsów oraz flanelową koszulę ze sterty na podłodze.

- Dwie noce temu gadałam z tym drugim wampirem. Dlatego zostawiłam kartkę.

Tommy natychmiast się rozbudził.

- Rozmawiałaś z nim? Gdzie?

- W klubie. Byłam na ciebie zła. Chciałam wyjść. Pokazać się.

- Co powiedział?

- Że to już prawie koniec. Myślę, że spróbuje cię zabić. A może nas oboje.

- No to do dupy.

- I musisz go powstrzymać.

- Ja? Dlaczego ja? To ty masz rentgenowski wzrok i w ogóle.

- Jest zbyt silny. Mam wrażenie, że jest bardzo stary. I mądry. Myślę, że im dłużej jest się wampirem, tym większe ma się możliwości. Z biegiem czasu zaczynam... więcej odczuwać.

- Zbyt silny dla ciebie, a ja mam go powstrzymać? Jak?

- Musisz go dorwać, kiedy będzie spał.

- Zabić go? Tak po prostu? Nawet gdybym go znalazł, jak miałbym go zabić? Wam nie da się zrobić krzywdy. Chyba żeby mieć jakiś kryptonit.

- Mógłbyś go wyciągnąć na słońce. Albo obciąć mu głowę... Jestem pewna, że to by załatwiło sprawę. Albo w ogóle go poćwiartować i porozrzucić szczątki. - Musiała odwrócić od niego wzrok, kiedy to mówiła. Miała wrażenie, że mówi to ktoś inny.

- Jasne - powiedział Tommy. - Wrzucić go do worka na śmieci i wsiąść do czterdziestki dwójki.

Zostawiać kawałek na każdym przystanku. Zwariowałaś? Nikogo nie zabiję, Jody. Nie nadaję się do tego.

- No, ja nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego po prostu nie przeniesiemy się do Indiany? Spodoba ci się. Mógłbym dostać pracę, opiekę związków i uszczęśliwić swoją mamę. Nauczyłabyś się grać w kręgle. Będzie wspaniale. Żadnych trupów w zamrażarce, żadnych wampirów... A właśnie, jak... to znaczy gdzie się rozmroziłaś?

- W kostnicy. W towarzystwie zbrojnego, gotowego przeżyć ze mną na jawie swoje mokre sny.

- Zabiję go!

- Nie trzeba.

- Ty go zabiłaś? Jody, nie możesz...

- Nie zabiłam go. Po prostu umarł. Ale jest coś jeszcze.

- Zamieniam się w słuch.

- Wampir zabił Simona. Tommy był wstrząśnięty.

- Jak? Gdzie?

- Tak samo jak innych. Dlatego gliniarze cię puścili.

Tommy trawił to przez chwilę, po czym przez kolejną chwilę siedział i patrzył na swoje ręce. Podniósł wzrok i spytał:

- Skąd wiedziałaś, że siedziałem w więzieniu?

- Powiedziałaś mi.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Byłeś w nocy taki zmęczony. Nie dziwię się, że nie pamiętasz. - Zapięła flanelową

koszulę. - Tommy, musisz znaleźć wampira i go zabić. Myślę, że Simon stanowił jego ostatnie ostrzeżenie, zanim weźmie się za nas.

Tommy pokręcił głową.

- Nie mogę uwierzyć, że załatwił Simona. Dlaczego właśnie jego?

- Bo był ci bliski. Chodź, zrobię ci kawę. - Ruszyła do kuchni i potknęła się o mosiężnego zółwia. - Co to jest?

- To długa historia - odparł.

Jody rozejrzała się, nasłuchując odgłosu żółwich pazurów.

- Gdzie Scott i Zelda?

- Wypuściłem je na wolność. Idź zrobić kawę.

Rivera i Cavuto siedzieli w nieoznakowanym wozie w zaułku naprzeciwko poddasza, na przemian drzemiąc i czuwając.

Aktualnie Rivera pełnił wartę, podczas gdy Cavuto chrapał na fotelu kierowcy. Riverze nie podobały się ostatnie wydarzenia. Wyglądało na to, że dziwaczne zjawiska same do niego przychodzą. Jego robota polegała na znajdowaniu dowodów i łapaniu złych ludzi, ale zbyt często - a zwłaszcza w tym wypadku - dowody wskazywały na złych ludzi, którzy wcale nie byli ludźmi. Nie chciał wierzyć, że w San Francisco grasuje wampir - ale wierzył. I wiedział, że nigdy nie przekona Cavuto, ani zresztą nikogo innego. Mimo wszystko zabrał przed wyjściem z domu srebrny krzyżyk swojej matki. Miał go w kieszeni razem z odznaką. Odczuwał pokusę, by go wyjąć i zmówić różaniec, ale Cavuto, pomimo donośnego chrapania, miał lekki sen i Rivera nie chciał znieść upokorzenia, gdyby rosty gliniarz ocknął się w środku zdrowaśki.

Rivera szykował się, by obudzić partnera i samemu się zdrzemnąć, gdy na poddaszu zapaliło się światło.

- Nick - powiedział. - Światło się pali. Cavuto obudził się, od razu czujny. - Co?

- Światło się pali. Chłopak wstał. Cavuto zapalił cygaro.

- No i?

- Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć.

- Słuchaj, Rivera, zapalone światło jeszcze nie oznacza, że coś się dzieje. Wiem, że po dziesięciu czy dwunastu godzinach wydaje się, że to jest coś, ale to nieprawda. Tracisz dystans. Chłopak wychodzi, chłopak kogoś dusi, to by było coś.

Rivera poczuł się urażony. Służył w policji równie długo jak Cavuto, i nie musiał wysłuchiwać

takich pierdół.

- Bujaj się, Nick. I tak moja kolej na spanie. Jego partner spojrzał na zegarek.

- Zgadza się.

Przez chwilę obserwowali w milczeniu okna. W środku poruszały się jakieś cienie. Zbyt wiele cieni.

- Na górze jest ktoś jeszcze - stwierdził Rivera. Cavuto zmrużył oczy i wziął lornetkę z siedzenia.

- Wygląda na dziewczynę. - Ktoś przeszedł obok okna. - Rudą dziewczynę z gęstymi włosami.

Tommy pociągnął łyk kawy i westchnął.

- Nawet nie wiem, od czego zacząć. To wielkie miasto i nie znam go zbyt dobrze.

- No, możemy tu poczekać, aż sam po nas przyjdzie. - Jody patrzyła na jego kubek, obserwując bijące od napoju (ale gorąca). - Boże, ależ brakuje mi kawy.

- Nie możesz po prostu trochę połązić, dopóki czegoś nie poczujesz? Lestat umie...

- Nie zaczynaj!

- Przepraszam. - Pociągnął następny łyk. - Zwierzaki mogliby pomóc. Będą chcieli pomścić Simona.

Mogę im powiedzieć?

- Czemu nie? Ćpają akurat tyle, że mogą ci uwierzyć. Poza tym, dzisiaj na pewno pisali o tym w gazecie.

- Tak, na pewno. - Odstawił kubek i popatrzył na nią. - A ty skąd się dowiedziałaś o Simonie? Odwróciła wzrok.

- Byłam w kostnicy, kiedy go przywieźli.

- Widziałaś go?

- Słyszałam rozmowę gliniarzy. Wymknęłam się, korzystając z zamieszania, kiedy znaleźli tego martwego zboczeńca.

- Aha - powiedział Tommy, nie do końca przekonany. Wzięła go za rękę.

- Lepiej już idź. Zadzwońię po taksówkę.

- Zabrali wszystkie pieniądze - stwierdził.

- Trochę mi zostało. - Dała mu dwie studolarówki. Uniósł brwi.

- Trochę? Uśmiechnęła się.

- Uważaj. Trzymaj się blisko ludzi, dopóki nie zrobi się widno. Nie wysiadaj z taksówki, jeśli w pobliżu nie będzie wielu osób. Jestem pewna, że on nie chce świadków.

- Dobra.

- I zadzwoń, gdyby coś się działo. Postaraj się wrócić przed jutrzejszym zachodem słońca, ale jeśli nie dasz rady, zadzwoń i zostaw mi wiadomość, gdzie jesteś.

- Żebyś mogła mnie ochronić?

- Żebym mogła spróbować.

- Dlaczego nie pójdziesz ze mną?

- Bo dwóch gliniarzy obserwuje mieszkanie z zaułka. Widziałam ich przez okno. Chyba nie chcemy, żeby mnie zobaczyli?

- Ale w tym zaułku jest ciemno.

- Otóż to.

Tommy wziął ją w ramiona.

- To takie fajne. Kiedy wrócę, poczytasz mi po ciemku, wisząc nago pod sufitem? - Jasne.

- Sprośne limeryki?

- Wszystko. - To takie fajne.

Pięć minut później Tommy stał na dole, przy drzwiach przeciwpożarowych uchylonych tylko na tyle, by mógł zobaczyć nadjeżdżającą taksówkę. Gdy niebiesko-biała taksówka DeSoto zatrzymała się przy chodniku, otworzył drzwi, a obok niego przemknęła czarno-biała kometa.

- Bummer! Stój! - zawołał Cesarz.

Piesek mknął po schodach na górę, każdy stopień witając szczekaniem i brzękiem. Rondel, pełniący funkcję hełmu, wisiał na pasku do góry dnem i walił o krawędź każdego schodka. Pies zatrzymał się u szczytu schodów i przypuścił atak na drzwi, okraszony szczekaniem, skakaniem i drapaniem.

Tommy oparł się o ścianę, trzymając się za pierś. Boże, atak serca na pewno pokrzyżuje plany zamordowania wampira, pomyślał.

- Wybacz mu - powiedział Cesarz. - Zawsze tak robi, gdy mijamy twój dom. - Następnie zwrócił się do Lazarusa: - Czy byłbyś łaskaw przyprawić naszego towarzysza broni? Golden retriever pognął po schodach i złapał skaczącego Bummera w powietrzu, po czym zniósł go, trzymając zębami za

sierść na karku, choć terier wyrywał się i warczał.

Cesarz uwolnił Lazarusa od rzucającego się ładunku i wepchnął mniejszego z żołnierzy do przepastnej kieszeni płaszcza. Zapiął guzik i uśmiechnął się do Tommy'ego.

- Uporczywy entuzjazm w poręcznym opakowaniu wielokrotnego użytku.

Tommy parsknął śmiechem, bardziej zdenerwowany niż rozbawiony.

- Wasza Wysokość, co tu robisz?

- Cóż, szukam cię, synu. Władze pytały o ciebie w związku z tym potworem. Nadeszła pora, by działać. - Wypowiadając te słowa, Cesarz zawzięcie machał mieczem.

Tommy cofnął się.

- Jeszcze komuś wyklujesz tym oko. Cesarz wsparł broń na piersi.

- A, słusznie. Bezpieczeństwo przede wszystkim. Tommy dał nad ramieniem Cesarza znak taksówkarzowi.

- Wasza wysokość, zgadzam się, czas coś zrobić. Właśnie jadę zorganizować pomoc.

- Rekruci! - wykrzyknął starzec. - Czy połączymy siły w walce ze złem? Postawimy miasto pod broń? Zagnamy zło z powrotem do mrocznej szczeliny, z której wypęzło? Czy moi żołnierze i ja możemy skorzystać z twojej taksówki? - Poklepał się po podrygującej kieszeni.

Tommy zerknął na kierowcę.

- No, nie wiem. - Otworzył tylne drzwi i się nachylił. - Z psami i z władcą można? - spytał taksjarza.

Kierowca odpowiedział po persku coś, co Tommy wziął za „tak”.

- Jedziemy. - Tommy cofnął się o krok i dał Cesarzowi znak, by wsiadł.

Lazarus wskoczył na tylne siedzenie ze szczękiem zbroi, a w ślad za nim do samochodu wsiedli Cesarz i Tommy. Gdy tylko taksówka dojechała do następnej przecznicy, Bummer się uspokoił i Cesarz wypuścił go z kieszeni.

- Coś go drażni w tym twoim budynku. Nie rozumiem tego.

Tommy wzruszył ramionami, zastanawiając się, jak powiedzieć Zwierzakom o śmierci Simona.

Cesarz opuścił szybę. On i jego żołnierze jechali przez miasto z wysuniętymi na zewnątrz głowami, mrużąc oczy przed wiatrem, na podobieństwo gargulców.

Cavuto klepnął Riverę w ramię, wyrywając go ze snu.

- Obudź się, coś się dzieje. Właśnie podjechała taksówka, a ten stary świr wyszedł z za rogu ze swoimi psami.

Rivera przetarł oczy i wyprostował się w fotelu.

- Co tu porabia Cesarz?

- Jest chłopak. Jak on, do diabła, ściągnął tu tego starego świra? Patrzyli, jak Tommy i Cesarz rozmawiają. Tommy co jakiś czas zerkał na taksówkarza. Minęło parę minut i wszyscy wsiedli do samochodu.

- Jedziemy - powiedział Cavuto i uruchomił silnik.

- Czekał, wypuść mnie. -Co?

- Chcę zobaczyć, dokąd pójdzie dziewczyna. Co to za jedna.

- Idź i zapytaj.

- Wsiadam. - Rivera zabrał z siedzenia swoją krótkofalówkę. - Bądźmy w kontakcie. Wezwę inny wóz. Cavuto wiercił się na miejscu kierowcy.

- Zadzwoń na komórkę, jeśli zobaczysz dziewczynę. Nie dotykaj radia.

Rivera przystanął w pół kroku.

- Myślisz, że to ta dziewczyna z kostnicy, tak?

- Wsiadaj - powiedział Cavuto. - On odjeżdża.

Taksówka ruszyła. Cavuto pozwolił im dojechać do następnej przecznicy, po czym pojechał za nimi, a Rivera stał w ciemnym zaułku i dotykał krzyżyka w kieszeni.

Cztery piętra wyżej, z dachu budynku przemysłowego, wampir Elijah Ben Sapir spoglądał w dół na Riverę, zauważając, jak wiele ciepła policjant traci przez miejsce, gdzie jego włosy się przeredzały.

- Na nogi czy na główkę? - zapytał sam siebie.

JEDEN ZA WSZYSTKICH I... NO WIECIE

Mogliby być Siedmioma Wspaniałymi albo Siedmioma Samurajami. Gdyby każdy z nich był wyszkolonym profesjonalistą, rewolwerowcem z wadami charakteru czy wojownikiem z przeszłością - albo gdyby każdy miał sekretny powód, by przyłączyć się do samobójczej misji, antybohaterskie poczucie sprawiedliwości i palącą potrzebę przywrócenia porządku rzeczy -

mogliby stać się elitarną jednostką bojową, która dzięki pomysłowości i odwadze odniesie zwycięstwo nad nieprzyjaciółmi. tak naprawdę jednak byli niezorganizowaną bandą wiecznych nastolatków, nieszkolonych i nieprzygotowanych na cokolwiek, z wyjątkiem rozładowywania towaru i zabawy. Zwierzaki.

Siedzieli przy kasach, a Tommy chodził od jednego do drugiego, opowiadając o wampirze i o śmierci Simona. Nawoływał ich do działania, podczas gdy Cesarz stał obok i cytował fragmenty mowy Henryka V przed bitwą pod Azincourt.

- Gliny nie uwierzą, a nie dam rady zrobić tego sam - powiedział Tommy.

- My, wybrani... - mówił Cesarz.

- To kto jest ze mną? Nie odezwali się ani słowem.

- Barry - powiedział Tommy - jesteś pletwonurkiem. Masz jaja, nie? Jasne, łysiejesz i trochę tyjesz, ale masz szansę coś zmienić.

Barry przyglądał się wzorkom na podłodze. Tommy doskoczył do Drew, który tak nisko zwiesił głowę, że przetłuszczone jasne włosy opadły mu na twarz.

- Drew, masz najpełniejszą wiedzę chemiczną ze wszystkich ludzi, jakich spotkałem. Pora ją wykorzystać.

- Trzeba rozładować ciężarówkę - zauważył Drew. Tommy podszedł do Clinta. Wbił spojrzenie w jego grube okulary, poczochrał mu kręcone czarne włosy.

- Clint, Bóg chce, żebyś to zrobił. Ten wampir to ucieleśnienie zła. Pewnie, jesteś trochę wypalony, ale i tak mógłbyś komuś przyłożyć w imię prawości.

- Błogosławieni cisi - powiedział Clint.

- Jeff! - zawołał Tommy. Olbrzym spojrzał w górę, jakby neonowe światła kryły w sobie klucz do wszechświata. - Jeff, jesteś wielki i głupi, masz spuchnięte kolano, ale hej, facet, wyglądasz świetnie.

Może jakoś to wykorzystamy? Jeff zaczął pogwizdywać.

Tommy zrobił kilka kroków w przód.

- Lash, twoi ziomkowie byli od stuleci uciskani. Pora na kontratak. Widzisz, może jeszcze nie masz MBA, ale nie wycisnęli jeszcze z ciebie wszystkich możliwości. Czy Martin Luther King cofnąłby się przed takim wyzwaniem? Malcolm X? James Brown? Nie miałeś snu? Nie masz ochoty zaśpiewać „I feel good”? Lash pokręcił głową.

- Rano muszę się uczyć, stary.

- Troy Lee? Tradycje samurajskie? Jesteś tu jedynym wyszkolonym wojownikiem.

- Jestem Chińczykiem, a nie Japończykiem.

- Wszystko jedno. Jesteś gościem od kung-fu. Możesz sięgnąć facetowi do kieszeni i zabrać mu portfel, zanim się połapie, że czegoś brakuje. Nikt nie ma takiego refleksu jak ty.

- Dobra - powiedział Troy. Tommy przystanął w pół kroku.

- Serio?

- Jasne, pomogę ci. Simon był dobrym kumplem.

- No, no — powiedział Tommy. Spojrzał na Gustava. - No? Tamten pokręcił głową.

- Viva Zapata! - wykrzyknął Tommy.

- Zostaw go w spokoju - wtrącił Troy Lee. - Ma rodzinę.

- Słusznie - przyznał Tommy. - Przepraszam, Gustavo. Troy Lee wstał i stanął przed innymi Zwierzakami.

- Chuje. Worki taniej psiej karmy. Gdyby Simon was widział, powystrzelałby was, co do jednego.

To może być najlepsza impreza w naszym życiu.

Drew uniósł głowę.

- Impreza?

- Tak - potwierdził Troy Lee. - Impreza. Wypijemy parę browarów, skopimy parę tyłków, rozwalimy parę potworów, może poderwiemy parę lasek. Chryste, Drew, kto wie, co nas spotka. A ciebie to ominie.

- Wchodzę w to - powiedział Drew.

- Ja też - dodał Barry.

Troy zerknął na Jeffa i Clinta.

- No? Pokiwali głowami.

- Lash, wchodzisz?

- Dobra - powiedział bez przekonania Lash.

- Dobra - powtórzył Tommy. - Rozładujmy ciężarówkę. I tak do rana nie możemy się za to wziąć.

Wtedy obmyślmy plan i zdobędziemy broń.

Troy Lee uniósł palec.

- Jedna sprawa. Jak znajdziemy wampira?

- Dobra, bierzmy się do pracy - powiedział Tommy.

Ranek zastał Zwierzaków na parkingu przed Safewayem. Pili piwo i omawiali strategię, jak znaleźć potwora i jak go wykończyć.

- Czyli, o ile wiemy, dragi na niego nie działają? - spytał Drew.

- Raczej nie - odparł Tommy.

- Nic dziwnego, że jest wkurwiony - stwierdził Drew.

- A co z bronią? - spytał Jeff. - W domu mam śrutówkę Simona.

Tommy zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

- Można zrobić im krzywdę. To znaczy uszkodzić je. Ale Jody niesamowicie szybko wraca do zdrowia, a ten facet może być jeszcze szybszy. Tak czy siak, wolę mieć przeciwko niemu dwunastkę niż nic.

- Kołek w serce w filmach zawsze działa - stwierdził Barry. Tommy skinął głową.

- Może się udać. Możemy spróbować. Jeśli się da, możemy go też poćwiartować.

- Kusze harpunowe - powiedział Barry. - Mam trzy. Jedną na CO2 i dwie na gumę. Nie niosą daleko, ale można go będzie przygwoździć przy ćwiartowaniu.

- Mam parę krótkich mieczy - wtrącił Troy Lee. - Ostrych jak brzytwa.

- Dobrze - powiedział Tommy. - Przynieś je.

- A ja przyniosę Słowo Boże - odezwał się Clint. Przez całą noc krzyczał „ukorz się, Szatanie!”, doprowadzając Zwierzaków do szału.

- Może lepiej idź do domu i się pomódl - powiedział Lash i popchnął go. - Tutaj trzeba działać. - Znowu zwrócił się do grupy: - Słuchajcie, chłopaki, kusze i miecze są super, ale jak znaleźć tego faceta? Gliniarze szukają go od trzech miesięcy i najwyraźniej nie mieli szczęścia. Jeśli gość naprawdę ściga Tommy'ego, to najlepiej będzie urządzić zasadzkę w jego mieszkaniu. A nie jestem pewien, czy chcę się z nim mierzyć, kiedy nie będzie spał. Simon był też moim przyjacielem, ale należał także do najszybszych ludzi, jakich znałem, a wampir załatwił go jak dziecko, chociaż w gazecie pisali, że miał broń. Nie wiem...

- Ma rację - stwierdził Drew. - Mamy przejebane. Chce ktoś skoczyć promem do Sausalito i sterroryzować japiszońskich artystów? Mam grzybki.

- Grzybki! Grzybki! Grzybki! - zakrzyknęli.

Nagle rozległ się łoskot, jakby ktoś walił kijem w pokrywę śmietnika - tak też właśnie było. Cesarz, który przez całą noc milczał, teraz wszedł do kręgu.

- Panowie, zanim kręgosłupy zmienią wam się w galaretkę, weźcie się w garść. Rozmyślałem.

- O, nie! - krzyknął ktoś.

- Chyba znam sposób, żeby znaleźć drania i pozbyć się go przed zachodem słońca.

- Jasne - mruknął z sarkazmem Drew. - Jak? Cesarz wziął Bummera i podniósł go tak, jakby prezentował Świętego Graala.

- Nigdy nie było lepszego żołnierza ani lepszego tropiciela szczurów kanałowych. Ależ byłem głupi!

- Przepraszam, Wasza Wysokość - powiedział Tommy. - Ale o czym ty, kurwa, mówisz?

- Aż do poprzedniej nocy nie wiedziałem, że urocza młoda kobieta, z którą dzielisz łóżko, jest wampirem. Ale za każdym razem, gdy mijaliśmy wasz budynek, Bummer dostawał szału. Zachowywał się tak samo, kiedy napotykaliliśmy tego drania. Zdaje się, że jest szczególnie wyczulony na zapach wampirów.

Wszyscy patrzyli na niego i czekali.

- Zbierzcie odwagę i broń, towarzysze. Spotkamy się tu za dwie godziny i usuniemy z miasta to źródło zła. A ten mały pies nas poprowadzi.

Wzrok Zwierzaków spoczął na Tommym, który wzruszył ramionami i pokiwał głową. Mieli teraz nowego przywódcę.

- Dwie godziny, chłopcy — powiedział Tommy. - Cesarz dowodzi.

Cavuto widział przez lornetkę, jak Zwierzaki się rozpraszają. Siedział na parkingu przed Fort Mason, sto metrów od Safeway. Odłożył lornetkę i wybrał numer Rivery w telefonie komórkowym.

- Rivera.

- Coś się dzieje? - spytał Cavuto.

- Nie, myślę, że przy świetle dziennym nic się nie wydarzy. Światła były zgaszone, kiedy chłopak wszedł, ale słyszałem odkurzacz. Dziewczyna tam jest, ale nie zapaliła światła.

- Czyli lubi sprzątać po ciemku.

- Przypuszczam, że widzi w ciemnościach.

- Nie chcę o tym rozmawiać - odparł Cavuto. - Coś jeszcze?

- Niewiele. Jakieś dzieciaki rzucały we mnie z dachu kamieniami. Goście z odlewni pod mieszkaniem chłopaka zaczęli coś robić. Paru meneli w zwartym szyku oddaje mocz w zaułku. A co u ciebie?

- Chłopak pracował całą noc, wypił parę piw z ekipą. Właśnie się rozdzielili, ale chłopak i świr ciągle są tutaj.

- Dlaczego nie wezwiesz kogoś, żeby cię zluzował?

- Nie chcę, żeby się to nam wymknęło spod kontroli, dopóki nie dowiemy się więcej. Bądź pod telefonem.

- Jakieś wieści od koronera?

- Tak, właśnie rozmawialiśmy przez telefon. Facet z pikapa stracił dużo krwi. Facet z kostnicy ani kropli. Zawał serca. Nadal nie znaleźli ciała dziewczyny.

- Pewnie dlatego, że całą noc sprzątała dom.

- Muszę kończyć - powiedział Cavuto.

Tommy i Cesarz stali na parkingu, gdy Zwierzaki wrócili toyotą Troya Lee i zaczęli wyładowywać sprzęt.

- Stop, stop, stop - powiedział Tommy. - Nie możemy jeździć po całym mieście z kuszami i mieczami.

- I strzelbami - dodał z dumą Jeff, ładując nabój do komory śrutówki Simona.

- Włóż to z powrotem do samochodu.

- Nie ma sprawy - odparł Drew, podnosząc rolkę świątecznego papieru do pakowania prezentów. - Dallas, dwudziestego drugiego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego.

- Co? - spytał Tommy.

- Lee Harvey Oswald wchodzi do składnicy książek z żaluzją. Kilka minut później Jackie zbiera kawałki mózgu z bagażnika lincolna. Gdyby ktoś pytał, wszyscy kupiliśmy żaluzje naszym mamom pod choinkę.

- A - powiedział Tommy. - Dobra.

Clint wysiadł z toyoty ubrany w szatę chórzysty. Na jego szyi wisiało pół tuzina krzyży. W jednej

ręce trzymał torebkę krakersów, a w drugiej pistolet na wodę.

- Jestem gotowy - oznajmił Tommy'emu i Cesarzowi.

- Przekąski - zauważył Tommy, ruchem głowy wskazując torebkę. - Dobry pomysł.

- To Przenajświętsza Hostia - odparł Clint. Wzniósł pistolet. - Naładowany wodą święconą.

- Te rzeczy nie działają, Clint.

- Człowieku małej wiary - odparł tamten.

Bummer i Lazarus odeszły od Cesarza i teraz obwąchiwały Clinta.

- Widzisz, one poznały moc Ducha.

W tym momencie Bummer skoczył i złapał torebkę, po czym pognął za róg sklepu, ścigany przez Lazarusa, Clinta i Cesarza.

- Zatrzymać go! - zawołał Clint do starszego mężczyzny, który wychodził ze sklepu. - Zabrał ciało Chrystusa!

- Proszę nie robić mu krzywdy! - krzyknął Cesarz. - To nasza jedyna nadzieja na ocalenie miasta! Tommy pędził za nimi. Mijając zdumionego staruszka, rzucił:

- W zeszłym tygodniu grali w karty z Elvisem. Co zrobić? Mężczyzna najwyraźniej przyjął to wyjaśnienie i pospiesznie się oddalił. Tommy dogonił ich za sklepem, gdzie Cesarz trzymał Bummera jedną ręką, drugą zaś wymachiwał drewnianym mieczem, by odpędzić Clinta, gdy tymczasem Lazarus wylizywał ostatnie okruszki z rozerwanej torebki.

- Zjadł Najświętszego Zbawiciela! - zawodził Clint. -Zjadł Najświętszego Zbawiciela! Tommy złapał Clinta w pasie i odciągnął go.

- W porządku, Clint. Bummer jest chrześcijaninem. Jeff okrążył róg, a jego reeboki w rozmiarze czternaście łoskotały niczym końskie kopyta. Popatrzył na opróżnioną torebkę.

- A, rozumiem. Liofilizowali go, tak? Zza rogu wyłonił się Drew, a za nim Lash i Troy Lee.

- Jakaś impreza wojskowa, czy jak? - spytał Drew. Jeff powiedział:

- Nie wiedziałem, że liofilizowali Jezusa, a wy? Lash zerknął na zegarek.

- Mamy niecałe sześć godzin, zanim się ściemni. Może powinniśmy zacząć? Tommy puścił Clinta, a Cesarz opuścił miecz.

- Musimy mieć coś, żeby Bummer złapał trop - stwierdził. - Coś, czego ten drań dotykał.

Tommy pogrzebał w kieszeni i wyjął jedną ze studolarówek, którą dała mu Jody.

- Jestem niemal pewien, że jej dotykał, ale minęło już trochę czasu.

Cesarz wziął stówę i podsunął ją Bummerowi pod nos. To nie powinno mieć znaczenia. Zmysły ma czułe, a serce prawe. - Do Bummera zaś powiedział:

- To ten zapach, mały. Znajdź go.

Odstawił Bummera na ziemię i pies natychmiast pognał przed siebie, szczekając i prychając. Łowcy wampirów ruszyli za nim, ale stracili go z oczu, gdy skręcił za sklep. Kiedy i oni skręcili, ujrzeli idącego w ich stronę dyrektora, który trzymał na rękach warczącego Bummera.

- Flood, to twój pies?

- Sam sobie jest panem - oznajmił Cesarz.

- Wbiegł do sklepu i zaślinił całą forszę w kasie numer osiem. Tresowałeś go do szukania pieniędzy? Cesarz popatrzył na banknot w swojej dłoni, a potem na Tommy'ego.

- Może lepiej znaleźć coś innego, żeby złapał trop.

- Gdzie ostatnio widziałeś wampira? - spytał Tommy.

Ochroniarz, pilnujący bramy w jachtklubie Saint Francis, nie uwierzył w ani jedno słowo.

- Naprawdę - powiedział Tommy. - Przyszliśmy zrobić dekoracje na przyjęcie bożonarodzeniowe. - Dla potwierdzenia tych słów jego kumple pomachali świątecznie opakowaną bronią. - Przyjechał też arcybiskup, żeby odprawić wieczorną mszę. - Tommy wskazał Clintą, który wyszczerzył się i puścił oko zza grubych okularów.

- Deus ex machina - powiedział Clint, wyczerpując tym samym swoją znajomość łaciny. - Szalom - dodał dla większego efektu.

Ochroniarz postukał w swoją teczkę.

- Przykro mi, panowie, nie mogę was wpuścić bez kart członkowskich albo przepustek dla gości.

Cesarz odchrząknął z dystynkcją.

- Dobry człowieku, każda chwila opóźnienia może stać się przyczyną ludzkich cierpień.

Ochroniarz pomyślał, że być może są to pogrożki, a w zasadzie miał nawet taką nadzieję, bo wtedy mógłby wyciągnąć pistolet. Jego ręka już opadała do paska, gdy zadzwonił telefon w budce przy bramie.

- Zostańcie tu - pouczył łowców wampirów. Odebrał telefon i pokiwał głową do słuchawki, po czym

spojrzał na drugą stronę Marina Boulevard, gdzie parkował brązowy dodge. Odłożył słuchawkę i wyszedł z budki.

- Wejdźcie - powiedział, wyraźnie niezadowolony. Nacisnął guzik, brama się uniosła i Zwierzaki weszli do środka, kierując się do wschodniej przystani. Dwie minuty później brązowy dodge ruszył i stanął przy bramie. Cavuto opuścił szybę i błysnął odznaką.

- Dzięki - zwrócił się do ochroniarza. - Będę za pana miał ich na oku.

- Nie ma sprawy - odparł tamten. - Ma pan czasem okazję kogoś zastrzelić?

- Nie dzisiaj - powiedział inspektor. Przejechał przez bramę, trzymając się poza zasięgiem wzroku Zwierzaków.

Na końcu przystani Zwierzaki i Cesarz patrzyli żałośnie na wielki biały jacht motorowy, kotwiczący sto metrów od brzegu. Bummer szczekał jak opętany.

- Widzicie? - odezwał się Cesarz. - Wie, że drań jest na pokładzie.

- To na pewno ta łódź, z której się wyłonił?

- Bez wątplenia. Na samą myśl dostaję dreszczy. Mgła, z której powstaje potwór...

- Wszystko świetnie - powiedział Tommy - ale jak dostaniemy się na pokład? - Odwrócił się do Barry'ego, który nakładał sobie krem z filtrem przeciwsłonecznym na łysinę. - Możecie przepłynąć?

- Wszyscy możemy przepłynąć - odparł Barry. - Ale jak nie zamoczyć broni? Mógłbym tu ściągnąć swojego zodiaca i przewieźć tam nas wszystkich, ale to trochę potrwa.

- Ile?

- Z godzinę.

- Do zachodu słońca mamy cztery, może pięć godzin -stwierdził Lash.

- Jedź po niego - powiedział Tommy.

- Nie, czekaj - powstrzymał go Drew, patrząc na rzędy jachtów w pobliskich przesmykach. - Jeff, umiesz pływać? Rosły skrzydłowy pokręcił głową. -Nie.

- To dobrze. - Wziął od niego wielką, owiniętą świątecznym papierem śrutówkę, po czym złapał go za ramię i wepchnął do wody.

- Człowiek za burką! Człowiek za burką! Potrzebna nam łódź.

Nieliczni właściciele i członkowie załóg, którzy wykonywali różne prace na pobliskich łodziach, unieśli głowy. Drew dostrzegł spory ponton ratunkowy na rufie dwudziestometrowego jachtu.

- Tam, chłopaki. Weźcie go.

Mężczyźni wdrapali się na pokład. Załoga jachtu pomogła im przerzucić ponton przez burtę.

Jeff, miotając się w wodzie, zdołał wrócić do pomostu. Jeff odepchnął go strzelbą.

- Jeszcze nie teraz, wielkoludzie. - Przez ramię zaś zawołał: - Szybciej, chłopaki! On się topi! Tommy, Barry i Lash w gumowym pontonie wiosłowali ze wszystkich sił. Członkowie załogi i Cesarz wykrzykiwali polecenia, podczas gdy Drew i Troy Lee patrzyli, jak ich kolega robi co może, by nie utonąć.

- Świetnie sobie radzi jak na kogoś, kto nie umie pływać - powiedział ze spokojem Drew.

- Nie chce zmoczyć włosów - dodał z taoistyczną prostotą Troy.

- Tak, szkoda mu tych dwóch godzin z suszarką w ręce. Tommy przeszedł na przód pontonu i wyciągnął do Jeffa wiosło. - Trzymaj.

Jeff miotał się i chlapał, ale nie złapał wiosła.

- Jeśli przestanie machać rękami, głowa pójdzie mu pod wodę - zawołał Troy. - Musicie go złapać.

Tommy pacnął Jeffa plastikowym wiosłem w głowę.

- Trzymaj! Skrzydłowy zanurzył się na chwilę, po czym znów wypłynął na powierzchnię.

- Raz! - zawołał Drew.

- A teraz trzymaj! - wydarł się Tommy. Uniósł wiosło, jakby chciał zadać kolejny cios. Jeff gwałtownie pokręcił głową i sięgnął po wiosło, znowu idąc pod wodę.

- Dwa! Tommy wyciągnął wiosło z ucepionym pióra Jeffem, a Barry i Lash dźwignęli wielkoluda na ponton.

- Dobra robota, panowie - pochwalił Cesarz.

Członkowie jachtklubu stali na skraju pomostu i patrzyli na to wszystko ze zdumieniem. Drew odwrócił się do nich.

- Ten ponton będzie nam potrzebny na jakiś czas, dobra? Jeden z tamtych zaczął protestować, więc Jeff wepchnął nabój do śrutówki, zrywając świąteczny papier.

- Wielkie łowy na rekiny. Musimy mieć ponton. Mężczyzna pokiwał głową i cofnął się.

- Jasne, ile tylko będziecie potrzebować.

- Dobra! - zawołał Tommy. - Wszyscy do pontonu! Drew i Troy Lee pomogli wsiąść Cesarzowi,

potem podali Bummera i Lazarusa, a na koniec sami weszli do pontonu. Cesarz stał z przodu, gdy płynęli przez zatokę w stronę Sanguine II.

Dwadzieścia metrów od jachtu Bummer zaczął szczekać i skakać po całym pontonie.

- Drań na pewno jest na pokładzie - stwierdził Cesarz. Podniósł Bummera i wcisnął go do kieszeni. - Dobra robota, mały.

Po pięciu minutach wszyscy znaleźli się na pokładzie, a ponton był mocno przywiązany do rufy.

- Jak stoimy z czasem, Lash? - spytał Tommy.

- Mamy jeszcze cztery, może cztery i pół godziny światła. Obudzi się o zachodzie słońca czy dopiero po ciemku?

- Jody budzi się zwykle od razu o zachodzie słońca. Czyli założmy, że cztery - odparł Tommy - Dobra. Rozdzielmy się i znajźmy wampira.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - powiedział Jeff. Ociekał wodą, a wargi posiniały mu z zimna.

Wszyscy popatrzyli na niego. Zawstydził się, że jest w centrum uwagi. - Wiecie, we wszystkich horrorach ludzie się rozdzielają i potwór wykańcza ich po kolei.

- Słuszna uwaga - przyznał Tommy. - Trzymajmy się razem. Znajźmy skurwiela i załatwmy sprawę.

- Uniósł w salucie opakowaną niczym prezent kuszę. - Za Simona!

- Za Simona! - krzyknęli pozostali, schodząc za Tom-mym pod pokład.

STATEK GŁUPCÓW

Tommy poprowadził ich wąskim korytarzykiem do dużej kabiny, wyłożonej drewnem orzechowym i wyposażonej w ciężkie meble z ciemnego drewna. Na ścianach wisiały obrazy i półki wypełnione grubymi, oprawnymi w skórę woluminami. Złote druty, biegnące z przodu półek, mające utrzymać książki na miejscu na rozkołysanym morzu, stanowiły jedyny dowód, że znajdują się na jachcie. Nie było tu okien. Jedyne światło pochodziło z małych reflektorków, wpuszczonych w sufit i skierowanych na obrazy.

Tommy przystanął pośrodku kabiny i stłumił w sobie ochotę, by obejrzeć książki. Lash podszedł do niego.

- Widzicie? - spytał Lash. Głową wskazał duży obraz -jaskrawe kolory i wyraźne kształty, zawijasy i linie proste -wiszący między dwojgiem drzwi po przeciwległej stronie kabiny.

Tommy stwierdził:

- Wygląda jak coś, co wisi na lodowce, przyczepione magnesami w kształcie biedronek.

- To Miro - orzekł Lash. - Musi być wart miliony.

- Skąd wiesz, że to oryginał?

- Tommy, popatrz na ten jacht. Jeśli stać cię na taką łajbę, nie wieszasz w niej kopii. - Lash wskazał inne, mniejsze malowidło, które przedstawiało kobietę spoczywającą na stercie satynowych poduszek. - To Goya. Pewnie bezcenny.

- No ale co chcesz powiedzieć? - spytał Tommy.

- Zostawiłbyś coś takiego bez ochrony? Poza tym nie wydaje mi się, żeby dało się pływać tak dużą łodzią bez załogi.

- Super - powiedział Tommy. - Jeff, daj mi tę strzelbę. Jeff, wciąż trzęsąc się po wyjściu z wody, podał mu broń.

- Naładowana - oznajmił.

Tommy wziął śrutówkę, sprawdził blokadę i ruszył naprzód.

- Miejcie oczy otwarte, chłopcy.

Przeszli przez drzwi po prawej stronie Miro i znaleźli się w kolejnym korytarzyku, wyłożonym dla odmiany drewnem tekowym. Na ścianach, pomiędzy żaluzjowymi tekowymi drzwiami wisiały obrazy.

Tommy przystanął przy pierwszych drzwiach i dał znak Barry'emu, by osłaniał go kuszą, po czym otworzył drzwi. W środku, na samobieżnych wieszakach wisiały rzędy garniturów i marynarek. Powyżej widniały półki pełne kapeluszy i drogich butów.

Tommy odepchnął część garniturów na bok i zajrzał za nie, szukając wzrokiem nóg.

- Nikogo tu nie ma - stwierdził po chwili. - Wziął ktoś latarkę?

- O tym nie pomyślałem - przyznał Barry.

Tommy wycofał się z garderoby i ruszył do następnych drzwi.

- To łazienka.

- Nie cała - zauważył Barry, zajrzawszy do środka nad jego ramieniem. - Nie ma toalety.

- Wampiry nie korzystają z toalety - wyjaśnił Tommy. - Wygląda na to, że facet kazał zbudować ten jacht specjalnie dla siebie.

Szli korytarzykiem, zaglądając do każdego pomieszczenia. Niektóre były pełne obrazów i rzeźb, które zapakowano, oznakowano i ustawiono w równych rzędach. W innych leżały zrolowane orientalne dywany. Jedno z pomieszczeń wyglądało jak biuro, wyposażone w komputery, kopiarkę, faksy i regały.

Była też kolejna łazienka bez toalety.

Podążyli dalej korytarzykiem, który skręcał łagodnie w lewo, biegnąc wzdłuż burty przy dziobie. Na końcu znajdowały się spiralne tekowe schodki, które prowadziły na górny pokład, a także w dół. Z góry sączyło się światło.

Korytarzyk zakręcał przy dziobie i wiódł z powrotem na rufę.

- Korytarz prowadzi pewnie do drugich drzwi w tej dużej kabinie - stwierdził Tommy. - Lash, ty, Clint, Troy i Jeff sprawdźcie drzwi po tej stronie. Wasza Wysokość, Barry i Drew, chodźcie ze mną.

Spotkamy się tutaj.

- Myślałem, że mamy trzymać się razem - powiedział Jeff.

- Nie sądzę, żebyście coś tu znaleźli. A jeśli znajdziecie, krzyczcie jak szaleni.

Cesarz poklepał Lazarusa po głowie.

- Zostań tu, piesku. To nie potrwa długo.

Tommy wskazał strzelbą przed siebie i ruszył po schodach. Wyszedł na mostek i zmrużył oczy, oślepiony wpadającym przez okna światłem. Przesunął się w bok i rozejrzał dookoła, podczas gdy pozostali wchodzili za nim po schodach.

- Wygląda jak mostek statku kosmicznego - zwrócił się Tommy do Cesarza, gdy ten dotarł na górę.

Z przodu, pod szerokimi opływowymi szybami, znajdowały się niskie konsole, pełne przełączników i ekranów. Połyskiwało na nich pięć różnych monitorów radaru. Na przynajmniej dziesięciu innych ekranach wyświetlały się liczby i tekst. Czerwony, zielony i bursztynowy blask odbijały się od rzędów dźwigierek ponad trzema komputerowymi klawiaturami. Jediną rzeczą, która w jakimś stopniu kojarzyła się Tommy'emu z żeglarstwem, było chromowane koło sterowe.

- Ktoś wie, co to jest? - spytał. Barry powiedział:

- Przypuszczam, że to załoga, o której rozmawialiśmy. Cała łajba jest zautomatyzowana.

Podszedł do jednej z konsol, a wtedy wszystkie ekrany i lampki w jednej chwili rozbłyły.

- Niczego nie dotknąłem - zapewnił.

Rozległa się syrena z Alcatraz i spojrzeli przez okno na opuszczone więzienie. Mgła płynęła nad

zatoką w stronę brzegu.

- Jak tam czas? - spytał Tommy. Drew spojrział na zegarek.

- Jakież dwie godziny.

- Dobra, sprawdźmy dolny pokład.

Gdy schodzili po schodach, Lash powiedział:

- Nic. Znowu sztuka, znowu elektronika. Nie ma kam-buza i nie mogę się zorientować, gdzie śpi załoga.

- Nie ma załogi - odparł Tommy, ruszając w dół schodów. - Wszystkim sterują maszyny.

Podłogę dolnego pokładu wyłożono blachą stalową, tłoczoną w romboidalny wzór. Nie było tu dywanów ani drewna. Po stalowych przegrodach biegły rury i przewody. Stalowy właz prowadził do wąskiego przejścia. Światło z mostka, znajdującego się dwa pokłady wyżej, oświetlało pierwsze metry przejścia, dalej zaś panowała ciemność.

- Drew - odezwał się Tommy - masz zapalniczkę?

- Zawsze - odparł Drew i podał mu jednorazową zapalniczkę gazową.

Tommy pochylił się i przeszedł przez właz, po czym zrobił kilka kroków i pstryknął zapalniczką.

- Ten korytarz prowadzi pewnie do maszynowni - stwierdził Lash. - Ale powinien być szerszy.

Postukał w stalową ścianę i rozległ się głuchy odgłos. - Pewnie wokół nas jest paliwo. Ta łajba musi mieć niesamowity zasięg.

Tommy spojrział na zapalniczkę, a potem znów na Lasha, na którego twarzy tańczyły jasne błyski.

- Paliwo?

- W szczelnych zbiornikach.

- Aha - powiedział Tommy. Przeszedł jeszcze kawałek i uderzył łokciem o metalowe koło włazu. - Au!

- Otwórz - powiedział Drew.

Tommy podał mu śrutówkę i zapalniczkę, po czym chwycił za właz. Naparł na niego z całej siły, ale właz ani drgnął.

- Pomóżcie.

Lash prześlizgnął się obok Drew i dołączył do Tommy'ego. Obaj naparli całym ciężarem. Metal

zaskrzypiał opornie, a potem puścił. Tommy otworzył właz i w nozdrza uderzył go odór uryny i rozkładu.

- Chryste. - Odwrócił się i zakaszłał. - Lash, daj zapalniczkę.

Lash spełnił polecenie. Tommy wsunął rękę przez właz i zapalił płomień. Tuż za włazem znajdowała się krata, a za nią przegniły materac, trochę pustych puszek po konserwach i wiadro. Szare ściany były wysmarowane czerwono-brązowymi plamami, z których jedna wyglądała jak odcisk dłoni.

- Czy to on? - spytał Cesarz. Tommy cofnął się i oddał zapalniczkę.

- Nie, to klatka. Lash zajrzał do środka.

- Więzienie? Nie rozumiem.

Tommy zasunął przegrodę i stanął na stalowej podłodze, próbując złapać oddech.

- Mówiłeś, że ta łajba ma niesamowity zasięg. Pewnie może pływać całymi miesiącami?

- Tak - odparł Lash.

- Musi gdzieś przechowywać żywność.

W sarkofagu wampira, tuż nad jego twarzą, komputerowy ekran wyświetlał mnóstwo informacji.

Jedną stronę ekranu rozświetlał schemat Sanguine II, na którym widniało dziewięć czerwonych kropek, symbolizujących łowców wampirów i Lazarusa. Linie zielonych kropek ukazywały drogę, jaką pokonali od wejścia na pokład. Inna część ekranu wyświetlała godzinę, o której się zjawili, a jeszcze inna prezentowała różne ujęcia na zewnątrz jachtu: ponton przywiązany z tyłu, pomost, mgłę okrywającą budynek klubowy Saint Francis. Odczyty z radaru wskazywały pozycję okolicznych statków, linii brzegowej, Alcatraz i Golden Gate w oddali. Napędy dysków optycznych zapisywały wszystkie informacje, by wampir mógł je odtworzyć, gdy się obudzi.

Czujniki ruchu zarejestrowały obecność Barry'ego przy konsoli i aktywowały przełączniki, które przekierowały całe sterowanie statkiem do sarkofagu. Sanguine II czuwał i czekał na swojego pana.

- Jak tam czas, Lash? - spytał Tommy.

- Około godziny.

Zgromadzili się na rufie i patrzyli, jak mgła wpełza na brzeg. Przeszukali cały jacht, a potem obeszlili go jeszcze raz, zaglądnąjąc do każdej szafki i każdego schowka.

- Musi tu być.

- A może - odezwał się Cesarz - powinniśmy wrócić na brzeg, żeby Bummer mógł podjąć inny trop.

Słyszając swoje imię, Bummer zaczął ujadać i wysunął głowę z kieszeni Cesarza. Tommy podrapał psiaka za uszami.

- Wypuść go.

Cesarz rozpiął kieszeń i Bummer wyskoczył na zewnątrz, ugryzł Tommy'ego w kostkę, po czym przebiegł przez właz.

- Za nim -poleciał Cesarz.- Złapał trop. -Pognał za psem, nie odstępowały na krok przez Zwierzaki i Tommy'ego, który lekko utykał.

Pięć minut później stali na stalowej podłodze maszynowni. Bummer drapał w podłogę i skamlał.

- To głupie - powiedział Barry. - Przechodziliśmy tędy już pięć razy.

Tommy spojrział na tę część podłogi, w którą drapał pies. Widniał tam prostokątny otwór o wymiarach trzy metry na metr, zabezpieczony gumową uszczelką.

- Nie szukaliśmy pod podłogą.

- Pod podłogą jest woda, nie? - spytał Jeff. Tommy uklęknął i zbadał szczelinę. - Troy, daj mi jeden z tych mieczy.

Troy Lee podał mu miecz. Tommy wepchnął miecz pod uszczelkę i klinga wsunęła się w szczelinę.

- Wetknij tam drugi miecz i pomóż mi to podważyć. Troy wsunął ostrze w szparę i razem policzyli do trzech.

Krawędź stalowej płyty uniosła się. Pozostali chwycili ją i pociągnęli. Płyta powędrowała w górę, odsłaniając sarkofag z nierdzewnej stali, który wymiarami przypominał trumnę i znajdował się pół metra pod podłogą. Bummer wskoczył do otworu i zaczął biegać po sarkofagu, podskakując i szczekając.

- Dobra robota, piesku - pochwalił Cesarz.

Tommy popatrzył na kumpli trzymających w górze metalową płytę.

- Panowie, poznajcie właściciela tego jachtu.

Drew puścił płytę i wskoczył do otworu. Było tam dosyć miejsca, by mógł się poruszać wokół sarkofagu.

- Są tu hydrauliczne podnośniki. I do środka prowadzi mnóstwo kabli.

- Otwórz - poleciał Troy Lee, trzymając miecz w pogotowiu.

Drew pociągnął wieko sarkofagu, a potem kopnął w jego bok.

- Grube to ustrojstwo. Bardzo grube. - Wyciągnął rękę i złapał miecz Troya, wepchnął klingę pod pokrywę i nacisnął. Ostrze pękło.

- Jezu, Drew! Ten miecz kosztował mnie tygodniową wypłatę.

- Przepraszam - powiedział Drew. - Nie otworzymy tego. Nawet łomem.

- Lash, jak tam czas? - spytał Tommy.

- Czterdzieści minut, plus minus pięć.

Tommy zwrócił się do Drew.

- Co myślisz? Jak to otworzyć? Palnikiem? Drew pokręcił głową.

- Za grube. Trzeba by kilku godzin. Lepiej wysadzić.

- Czym? Drew wyszczerzył się w uśmiechu.

- Codziennymi artykułami, które znajdziesz w każdej kuchni. Ktoś musi wrócić do sklepu i przynieść mi parę rzeczy.

Cavuto zobaczył, że toyota Troya Lee zawraca. Odłożył lornetkę i szybko cofnął samochód na podjazd za budynkiem z prysznicami. Nacisnął guzik ponownego wyboru numeru na komórce i ochroniarz przy bramie odebrał po pierwszym dzwonku.

- Jachtklub Saint Franics, brama.

- Jeszcze raz inspektor Cavuto. Muszę wiedzieć, na kogo zarejestrowany jest jacht Sanguine Dwa.

- Nie wolno mi udzielać takich informacji.

- Proszę posłuchać, muszę za chwilę zastrzelić paru gości. Pomoże mi pan czy nie?

- Jest zarejestrowany na holenderską firmę armatorską. Ben Sapir Limited.

- Widział pan, jak ktoś wchodził na ten jacht albo z niego schodził? Załoga? Goście? Nastąpiła chwila ciszy, gdy ochroniarz sprawdzał listę.

- Nie, nikogo nie było, odkąd zawinął do przystani. Tylko tankowanie ostatniej nocy. Zapłacono gotówką. Brak podpisu. Kurczę, ta łódka ma niezłą pojemność zbiorników.

- Długo tu kotwiczy? Znowu przerwa.

- Trochę ponad trzy miesiące. Przyłynęła piętnastego września.

Cavuto zerknął do notesu. Pierwsze ciało znaleziono siedemnastego września.

- Dzięki - powiedział do ochroniarza.

- Ci ludzie, których kazał mi pan wpuścić, sprawiają kłopoty. Zabrali ponton.

- Właśnie wracają. Niech robią, co chcą. Na moją odpowiedzialność.

Cavuto rozłączył się i wybrał numer komórki Rivery.

Rivera odebrał po pierwszym dzwonku.

- Aha.

- Gdzie jesteś? - Cavuto usłyszał, że partner zapala papierosa.

- Obserwuję mieszkanie chłopaka. Mam samochód. A ty?

- Chłopak jest z resztą nocnej zmiany na dużym jachcie motorowym w jachtklubie Saint Francis.

Łajba ma ponad trzydzieści metrów i nazywa się Sanguine Dwa. Zarejestrowana na holenderską firmę armatorską. Siedzą tam już parę godzin. Dwóch właśnie wyszło.

- Nie wyglądał mi na żeglarza.

- Za cholereę. Ale zostaję tutaj. Sanguine Dwa przyplłynął dwa dni przed pierwszym morderstwem.

Może powinniśmy zdobyć nakaz?

- Pod zarzutem?

- Nie wiem. Podejrzenie piractwa.

- Chcesz wezwać inne jednostki?

- Nie, chyba że coś się wydarzy. Nie chcę robić szumu. Jak u ciebie? Dziewczyna dała znak życia?

- Nie. Ale robi się ciemno. Dam ci znać.

- Idź tam, zapukaj do tych cholernych drzwi i dowiedz się, co się dzieje.

- Nie mogę. Nie jestem przygotowany na przesłuchanie ofiary zabójstwa. Nie mam doświadczenia.

- Nie znoszę, kiedy tak mówisz. Zadzwon. - Cavuto rozłączył się i zaczął pocierać skronie, by pozbyć się bólu głowy. Jeff i Troy Lee biegali między regałami w Safewayu. Troy wyczytywał kolejne pozycje z listy Drew, a Jeff pchał wózek.

- Pudełko wazeliny - powiedział Troy. - Przyniosę z magazynu. Ty weź cukier i „Wonder Grow”.

- Dobra - odrzekł Jeff.

Spotkali się przy kasie ekspresowej. Kasjerka, kobieta w średnim wieku z rozjaśnionymi włosami, zgromiła ich wzrokiem znad zabarwionych na różowo szkieł okularów.

- Daj spokój, Kathleen - powiedział Troy. - Te pierdoły o maksymalnie ośmiu artykułach nie dotyczą pracowników.

Podobnie jak większość osób zatrudnionych w Safewayu na dziennej zmianie, Kathleen trochę się bała Zwierzaków. Westchnęła i zaczęła przeciągać towary nad skanerem, podczas gdy Troy Lee upychał je w torbach: dwa dwuipółkilogramowe worki cukru, dziesięć pudełek nawozu „Wonder Grow”, pięć litrów burbona „Wild Turkey”, paczka podpałki do grilla, ogromne pudełko proszku do prania, pudełko świeczek, worek węgla drzewnego, dziesięć pudełek kulek na mole...

Doszedłszy do wazeliny, Kathleen przerwała i popatrzyła na Jeffa. Posłał jej swój najlepszy uśmiech w stylu amerykańskiego chłopca.

- Urządzamy małą imprezkę - wyjaśnił.

Fuknęła i podliczyła rachunek. Jeff rzucił na ladę garść banknotów, po czym wybiegł za Troyem ze sklepu, pchając wózek z zawrotną prędkością.

Dwadzieścia minut później Zwierzaki biegali po Sanguine II z torbami dla Drew, który klęczał w otworze ze stalowym sarkofagiem. Tommy podał mu pudełka z nawozem.

- Azotan potasu - wyjaśnił Drew. - Do zabawy się nie nadaje, ale azotany robią niezłe bum. - Zerwał pokrywkę z pudełka i wysypał proszek na rosnący stosik. - Dajcie mi trochę tego „Wild Turkey”.

Tommy podał mu dwie butelki. Drew odkręcił jedną i napił się. Zadrżał, zamrugał, gdy w oczach stanęły mu łzy, i resztę zawartości butelki wylał na suche składniki.

- Podaj mi ten złamany miecz. Muszę to czymś wymieszać.

Tommy sięgnął po miecz i podniósł wzrok na Lasha.

- Jak tam? Tamten nawet nie spojrzał na zegarek.

- Oficjalnie zapadł już zmrok.

PIEKŁO NA ZIEMI

Gdy Jody się obudziła, ogarnął ją niepokój. - Tommy! - zawołała. Wskoczyła z łóżka i pobiegła do salonu, nie zatrzymując się, by zapalić światło. - Tommy? Na poddaszu panowała cisza. Sprawdziła automatyczną sekretarkę. Brak wiadomości.

Nie zrobię tego znowu, pomyślała. Nie zniosę kolejnej nerwowej nocy.

Posprzątała bałagan po policyjnym przeszukaniu poprzedniego wieczoru, natarła drewno sokiem z cytryny, wyszorowała zlew i wannę, a potem do świtu oglądała kablówkę. Przez cały czas rozmyślała o tym, co Tommy mówił o dzieleniu się, o byciu z kimś, kto rozumie co widzisz i czujesz. Tego właśnie chciała.

Chciała kogoś, kto biegałby z nią nocami, słyszał, jak budynki oddychają, i widział, jak tuż po zmierzchu chodniki emanują fale ciepła. Ale chciała Tommy'ego. Chciała miłości. Chciała krwawego haju i seksu, który chwycił ją za serce. Chciała podniecenia i poczucia bezpieczeństwa.

Chciała stanowić część tłumu, ale być jednostką niezależną. Chciała być człowiekiem, ale nie rezygnować z siły, zmysłów i przytomności umysłu wampira. Chciała mieć to wszystko naraz.

A gdybym miała wybór, pomyślała, gdyby ten student medycyny mógł mnie wyleczyć, czy wróciłabym do życia jako człowiek? To by oznaczało, że Tommy i ja możemy pozostać razem, ale on już nigdy by nie poczuł, jak to jest być bogiem. I ja też nie. Już nigdy więcej.

No to odejdę. Co wtedy? Będę sama. Bardziej sama niż kiedykolwiek. Nie cierpię być sama.

Przerwała wędrówkę po pokoju i podeszła do okna. Gliniarz z poprzedniej nocy ciągle tam był, siedział w brązowym dodge'u i patrzył. Drugi poszedł za Tommym.

- Tommy, ty palancie. Zadzwoń do mnie.

Ten gliniarz pewnie wiedział, gdzie jest Tommy. Ale jak go skłonić, żeby powiedział? Uwieść go? Użyć nacisku na nerwy, jak rasa Wolkan ze Star Treka? Chwyty duszenia? Może powinienem tam wejść i zapukać, pomyślał Rivera. „Inspektor Rivera, policja San Francisco.

Jeśli ma pani parę minut, chciałbym porozmawiać o pani śmierci. Jak było? Kto to zrobił? Wkurzyło to panią?".

Usiadł wygodniej w fotelu samochodowym i pociągnął łyk kawy. Próbował ograniczyć palenie.

Najwyżej cztery papierosy na godzinę. Był już po czterdziestce i nie wytrzymał czterech paczek w ciągu nocy - wracał wtedy do domu z obolałym gardłem, wypalonymi płucami i nieznośnym bólem zatok.

Spojrzał na zegarek, by sprawdzić, czy minęło dość czasu, odkąd wypalił ostatniego papierosa. Prawie.

Opuścił szybę i coś złapało go za gardło, pozbawiając tchu. Upuścił kawę i poczuł, że parzy go w uda, gdy sięgał do kurtki po pistolet. Coś chwyciło go za rękę i trzymało mocno niczym wnyki na niedźwiedzie.

Dłoń na jego szyi nieco poluzowała uścisk i zdołał wciągnąć trochę powietrza. Próbował odwrócić głowę, a wtedy ręka znów zacisnęła się na jego gardle, uniemożliwiając mu oddychanie. Przez okno wsunęła się jakaś ładna twarz.

- Cześć - powiedziała Jody. Znowu nieco poluzowała uścisk.

- Cześć - wychrypiął Rivera.

- Czujesz moją rękę na swoim nadgarstku? Rivera poczuł, że niedźwiedzie wnyki na jego nadgarstku zaciskają się. Palce mu zdrętwiały i cała ręka zapłonęła bólem.

- Tak!

- Dobra - powiedziała. - Jestem pewna, że mogłabym zmiażdżyć ci tchawicę, zanim zdążyłbyś drgnąć, ale chcę, żebyś i ty był tego pewien. Jesteś? Próbował skinąć głową.

- Dobrze. Wczoraj twój partner śledził Tommy'ego. Wiesz, gdzie teraz są? Rivera znowu usiłował przytaknąć. Na siedzeniu obok zaćwierkał telefon komórkowy.

Puściła jego rękę, wyciągnęła mu pistolet z kabury pod pachą, zdjęła blokadę i wymierzyła mu w głowę, a wszystko to zrobiła, zanim zdążył zaczerpnąć choćby jeden oddech.

- Zabierz mnie tam - powiedziała.

Elijah Ben Sapir patrzył na czerwone kropki przesuwające się po ekranie nad jego twarzą. Obudził się w radosnym nastroju, miał bowiem zabić pupila szczenięcia, ale potem zobaczył, że do jego siedziby wdarli się intruzi. Doznał uczucia tak rzadkiego, że rozpoznał je dopiero po chwili. Strach. Minęło sporo czasu, odkąd się ostatnio bał. Uczucie było przyjemne.

Kropki na ekranie znajdowały się na rufie jachtu, to wchodząc, to wychodząc z głównej kabiny powyżej. Co kilka sekund któraś z kropek zniknęła z ekranu, po czym pojawiała się znowu. Intruzi przechodzili na ponton przy rufie i z powrotem.

Wampir sięgnął w górę i pstryknął kilkoma przełącznikami. Wielkie silniki diesla po obu stronach sarkofagu ryknęły, budząc się do życia. Jeszcze jeden przełącznik i elektryczny kabestan zaczął podnosić kotwicę.

- Ruchy, ruchy, ruchy! - wrzasnął Tommy do kabiny. - Silniki ruszyły.

Barry przeszedł przez właz, niosąc brązowy posąg baletnicy. Tommy czekał na rufie z Drew. Troy Lee, Lash, Jeff, Clint i Cesarz ze swoimi żołnierzami byli już w pontonie i próbowali znaleźć trochę miejsca, by móc się poruszać między obrazami i posągami.

- Odbiór - powiedział Tommy, biorąc rzeźbę od Barryego, podczas gdy sam krzepki nurek przeszedł przez burtę prosto w ramiona czekających Zwierzaków, omal nie wywracając pontonu. Tommy rzucił posąg Cesarzowi, który pod jego ciężarem padł na podłogę pontonu.

Tommy przełożył nogę przez reling i obejrzał się.

- Podpalaj, Drew. Teraz! Drew pochylił się i przyłożył zapalniczkę do końcówki paska materiału pokrytego woskiem, który biegł przez pokład rufowy i właz do głównej kabiny. Przez chwilę patrzył,

jak płomień podąża wzdłuż lontu, a potem wstał i dołączył do Tommy'ego przy relingu.

- Pali się.

Przeszli przez reling, a Zwierzaki rozsunęli się na boki i pozwolili im obu bez przeszkód zeskoczyć do pontonu. Ponton zakoleysał się i wyprostował. Tommy usiłował złapać oddech, by wydać rozkaz.

- Wiosłujcie! - krzyknął Cesarz.

Zaczęli młócić wodę wiosłami. Z jachtu dobiegł głośny szczęk, przeniesienie napędu zaskoczyło i ponton zakoleysał się, gdy dwie śruby ruszyły i zaczęły odpychać jacht.

- Rivera - powiedział Rivera do komórki.

- Jacht ruszył - oznajmił Cavuto. - Zdaje się, że właśnie pomogłem tym gościom go złupić. - Rozpiął skórzany futerał na siedzeniu, odsłaniając duży, chromowany pistolet samopowtarzalny „Desert Eagle” kalibru 12,7 milimetra. Broń strzelała nabojami o masie mniej więcej małego psa i miała odrzut młota pneumatycznego. Jeden strzał mógł obrócić pustak w garść żwiru.

- Już jadę - powiedział Rivera.

- Co z dziewczyną? - Cavuto wsunął magazynek do pistoletu, a drugi włożył do kieszeni marynarki.

- Jest... Nic jej nie będzie. Jestem na rogu Van Ness i Lombard. Przyjadę za jakieś trzy minuty. Nie wzywaj wsparcia.

- Ja nie... o Jezu Chryste!

- Co?

- To kurestwo właśnie wyleciało w powietrze! Z rufy Sanguine II trysnęła fontanna płomieni, a potem minęła sekunda i reszta jachtu zniknęła w chmurze ognia, która wzbiła się do nieba. Jacht minął falochron i wypłynął jakieś trzysta metrów w głąb zatoki, gdy płomyk spalił lont i dotarł do zapalnego koktajlu Drew.

Ponton dotarł właśnie do przystani, gdy nastąpiła eksplozja. Tommy wskoczył na pomost i patrzył, jak rozwiewa się chmura dymu o kształcie grzyba. Nadeszła fala uderzeniowa i Tommy złapał Cesarza, zanim ten przewrócił się do wody.

Wszędzie wokół zaczął spadać deszcz gruzu. Po wodzie rozlała się kałuża ognia i niespalonego paliwa, rozświetlając okolicę roztańczoną, pomarańczową łuną.

- Niezła impreza na wodzie, co?! - krzyknął Drew. Zwierzaki wygramolili się z jachtu na pomost i zaczęli wyładowywać dzieła sztuki. Tommy stał z boku i patrzył na pożar. Bummer kulił się na rękach swojego pana.

- Myślicie, że go dorwaliśmy? Jeff podał Troyowi baletnicę Degasa i obejrzał się przez ramię.

- Nie ma chuja, dorwaliśmy. Dobra mieszanka, Drew. Drew uklonił się i omal nie zleciał za brzeg pomostu. Cesarz powiedział:

- Niestety, myślę, że ten wybuch mógł zwrócić uwagę władz, panowie. Zalecałbym szybki odwrót.

Drew popatrzył na płonącą plamę ropy.

- Szkoda, że nie mam kwasu. Po kwasie wyglądałoby to super.

Jeff zeskoczył do pontonu i podał pozostałym ostatni obraz - Miro. Popatrzył za plecy Troya Lee zmagającego się z ciężką ramą i powiedział:

- Ojoj.

- Co? - spytał Troy.

Jeff dał znak głową i wszyscy się odwrócili. Cavuto mierzył do nich z bardzo dużego i bardzo błyszczącego pistoletu.

- Nie ruszać się! Nie ruszali się. Kusze leżały na pomoście. Clint trzymał strzelbę przy boku i modlił się. Rzucił ją.

- Rzuć to - polecił Cavuto.

- Rzuciłem - odparł Clint.

- To prawda, rzucił - potwierdził Tommy. - I to zanim pan poprosił. Powinien mieć u pana duży plus.

Cavuto dał znak pistoletem.

- Wszyscy na ziemię. Twarzami do dołu. Ale już! Zwierzaki padli. Lazarus zaszczekał.

Cesarz wystąpił naprzód.

- Panie władzo, ci młodzi ludzie...

- Ale już! - wrzasnął Cavuto. Cesarz padł na pomost obok Zwierzaków.

Ekrany pociemniały na chwilę przed tym, jak rzuciło nim o ścianę sarkofagu. Przewracał się w środku, czując, że stal parzy mu ciało przy każdym kontakcie. Sarkofag jarzył się na czerwono z gorąca i wypełnił się dymem ze spalonej izolacji i ubrania.

Po kilku sekundach wirowanie ustało. Wampir znalazł się u szczytu sarkofagu, z twarzą wciśniętą w kolana. Poczł klucie na skórze i siłą woli chciał sprawić, by ustąpiło, ale od wielu dni nie jadł, więc gojenie następowało powoli.

Zlokalizował pokrywę, znajdując zniszczony monitor CRT i ekrany radaru. Zza nich wlewała się

drobna mgiełka słonej wody. Pchnął wieko, ale nawet nie drgnęło. Wymacał zasuwę i zwolnił je, po czym napał na stal z siłą, która zmiażdżyłaby błotnik samochodu, ale pokrywa została na swoim miejscu.

Wysoka temperatura podczas eksplozji za-spawała ją w położeniu zamkniętym.

Powinienem być go zabić w zeszłym tygodniu, pomyślał wampir. Pokarało mnie za uleganie zachciankom.

Wsunął dłoń w zniszczony CRT, szukając źródła wlewającej się wody, po czym skupił siłę woli i zmienił się we mgłę. Przemiana następowała powoli, bo był bardzo słaby, gdy jednak w końcu utracił materialną postać, podążył za wodą i przez szczelinę przedostał się na otwarte morze.

Sarkofag leżał na dnie, czterdzieści metrów pod powierzchnią wody. Gdy tylko wampir uciekł, ciśnienie czterech atmosfer przywróciło mu materialną postać. Próbował przemienić się we mgłę, ale bez powodzenia. Potem popłynął w stronę pomarańczowego blasku na powierzchni, myśląc: najpierw śmierć chłopaka, a potem nowy garnitur.

Wyplął pośrodku płonącej plamy ropy, po czym machnął nogami na tyle mocno, by wybić się ponad wodę, i znów spróbował zmienić się we mgłę. Jego kończyny rozpląły się w powietrzu w parę wodną, chłostaną językami ognia i odcinającą się bielą na tle czarnych kłębow dymu. Nie zdołał się utrzymać w górze. Spadł z powrotem do wody, ciągnąc za sobą ogon pary wodnej, który pod powierzchnią znów nabrał solidnych kształtów. Pełen wściekłości i frustracji, zaczął płynąć wokół falochronu w stronę jacht klubu.

Cavuto celował z desert eagle'a to do jednego z leżących Zwierzaków, to do drugiego, i ruszył do przodu, by pozbierać ich broń. Lazarus warknął i cofnął się, widząc zbliżającego się rosnącego gliniarza. W oddali rozbrzmiały syreny. Członkowie załóg i właściciele jachtów wylaniali się z luków swoich łodzi niczym zaciekawione pieski preriowe.

- Do środka! - krzyknął Cavuto i ciekawscy zniknęli pod pokładami.

Cavuto usłyszał kroki na pomoście za swoimi plecami i obrócił się na pięcie. Ochroniarz, widząc przepastną lufę eagle'a, zatrzymał się, jakby natrafił na pole siłowe. Cavuto odwrócił się z powrotem, by znów celować do Zwierzaków.

Przez ramię rzucił:

- Wracaj do bramy i dzwoń pod dziewięćset jedenaście. Powiedz, żeby przysłali mi wsparcie.

- Okej — powiedział ochroniarz.

- Dobra, gnojki, jesteście aresztowani. A jeśli któryś choćby drgnie, zrobię z niego mokrą plamę.

Macie prawo...

Wampir wyłonił się z wody niczym mokra kometa i wylądował na pomoście za Zwierzakami. Był

cały poczerniały, a jego ubranie wisiało w osmalonych strzępach. Cavuto strzelił bez zastanowienia i spudłował. Wampir podniósł wzrok i uśmiechnął się do niego, po czym sięgnął w dół, chwycił Tommy'ego za koszulę na plecach i poderwał go niczym szmacianą lalkę.

Cavuto wycelował i strzelił znowu. Drugi pocisk trafił wampira w udo, wyrywając siedmiocentymetrowy kawał ciała. Wampir puścił Tommy'ego, odwrócił się do inspektora i skoczył.

Trzeci strzał trafił go w brzuch, a siła uderzenia rozrzuciła wokół strzępy mięsa i obróciła go w powietrzu niczym piłkę. Upadł bezładnie u stóp policjanta. Ten próbował się cofnąć, by oddać następny strzał, ale zanim zdołał wycelować, wampir wyrwał mu pistolet z ręki, spustem zdzierając mu z palca kawał skóry.

Cavuto odskoczył w tył, sięgając do marynarki po swoją specjalną broń. Wampir rzucił potężny pistolet za siebie.

- Już nie żyjesz - warknął.

Cavuto widział, jak ziejące rany w nodze i brzuchu tamtego pulsują, pienia się i wypełniają dymem.

Chwycił rękojeść rewolweru w chwili, gdy wampir rzucił się na niego, wyciągając rozcapierzone dłonie, by zatopić palce w jego klatce piersiowej.

Inspektor uchylił się, usłyszał syk i głośny łoskot, po czym podniósł wzrok, zdumiony, że jeszcze żyje. Wampir zatrzymał się tuż przed nim. Lśniący harpun przebił mu nogę i przygwoździł go do pomostu. Kilka metrów dalej stał czarnoskóry chłopak z gazową kuszą harpunową.

Wampir obrócił się i chwycił harpun. Cavuto wyciągnął rewolwer, ale z powodu zranionego palca wyrzucił go poza pomost. Za jego plecami rozległ się pisk opon i dźwięk nadjeżdżającego nabrzeżem samochodu. Drugi harpun utkwiał w ramieniu wampira.

Tommy odrzucił kuszę na bok. Zwierzaki stali już na nogach.

- Troy, rzuć mi miecz! Troy Lee podniósł miecz z pokładu i rzucił go Tommy'emu. Tommy odsunął się na bok. Miecz świsnął obok niego i zabrzączał na pomoście tuż przy inspektorze, który stał bez ruchu, wciąż oszołomiony po tym, jak niemal ujrzał swoją śmierć.

- Rękojeścią do przodu, durniu - powiedział Tommy i pobiegł po miecz.

Wampir wyrwał sobie harpun z ramienia, po czym sięgnął po drugi, sterczący mu z nogi.

Cesarz podniósł swój drewniany miecz z pomostu i ruszył na wampira. Lash złapał go za kołnierz i odciągnął na bok, gdy Barry wystrzelił trzeci harpun, trafiając wampira w biodro. Jeff wypalił z hukiem ze śrutówki.

Wampir zatrząsał się i krzyknął. Tommy rzucił się po miecz leżący pod nogami inspektora. Potężny gliniarz pomógł mu wstać.

- Dzięki - powiedział Tommy.

- Nie ma za co - odparł Cavuto.

- Nie zabiłem tych ludzi.

- Zacząłem się domyślać - przyznał inspektor. Brązowy samochód ostro zahamował na pomoście.

Tommy na chwilę podniósł wzrok, a potem odwrócił się i ruszył do wampira, który ścisnął harpun sterczący z jego nogi. Z jego wrzających ran dobywała się para. Ciało próbowało się goić nawet wtedy, gdy zadawano mu kolejne obrażenia.

Tommy wznosił miecz ponad głowę wampira i zamknął oczy.

- Nie! - Był to głos Jody.

Otworzył oczy. Jody klęczała i osłaniała wampira, który przestał walczyć i czekał na ostateczny cios.

- Nie - powiedziała. - Nie zabijaj go.

Tommy opuścił klingę. Jody popatrzyła na wciąż trzymającego strzelbę Jeffa.

- Nie - poprosiła.

Jeff spojrział na Tommy'ego. Ten skinął głową. Opuścił strzelbę.

- Zabijcie drania, szybko! - krzyknął Cesarz, wciąż zmagający się z trzymającym go za płaszcz Lashem.

- Nie - powiedziała Jody. Wyciągnęła harpun z nogi wampira, który krzyknął z bólu. Pogłaskała go po głowie. - Jeszcze jeden - oznajmiła cicho. Wyrwała mu harpun z biodra, na co zareagował jękiem.

Jody podparła go. Zwierzaki i Cavuto patrzyli, nie wiedząc, co robić. Clint modlił się cicho, a jego głos zagłuszało zbliżające się wycie syren.

- Krew — powiedział wampir. Spojrzął jej w oczy. - Twoja.

- Daj mi ten miecz, Tommy - poprosiła Jody. Zawahał się i uniósł broń do ciosu.

- Nie! - Zasłoniła wampira własnym ciałem.

- Ale, Jody, on zabijał ludzi.

- Nic nie wiesz, Tommy. Oni wszyscy i tak umierali.

- Z drogi.

Jody odwróciła się do inspektora Cavuto.

- Niech mu pan powie. Wszystkie ofiary były śmiertelnie chore, prawda? Cavuto pokiwał głową.

- Koroner powiedział, że żadna nie pożyłaby dłużej niż parę miesięcy.

Tommy był bliski łez.

- Zabił Simona.

- Simon miał AIDS, Tommy.

- Niemożliwe. Nie Simon. Simon był zwierzakiem wszystkich Zwierzaków.

- Ukrywał to przed wami. Śmiertelnie się bał. A teraz daj mi miecz, proszę.

- Nie. Odsuń się.

Tommy cofnął się, by uderzyć. Poczł dłoń na ramieniu, a potem drugą, która chwyciła jego trzymającą miecz rękę i pociągnęła ją w dół. Odwrócił się i ujrzał Cesarza.

- Zostaw go, synu. Miarą siły człowieka jest jego miłosierdzie. Daj mi miecz. Koniec zabijania.

Starzec wyjął mu miecz z dłoni i podał go Jody. Wzięła broń i przeciągnęła krawędzią klingi po swoim nadgarstku, który następnie przytknęła wampirowi do ust.

Ujął jej przedramię w dłonie i zaczął pić. Jody spojrzała na inspektora.

- Pański partner jest przykuty kajdankami do kierownicy. Proszę go zabrać i odejść, nim zjawi się tu ktoś jeszcze. Potrzebuję samochodu. I nie chcę, żeby ktoś mnie śledził.

Cavuto przełączył się z powrotem w tryb policjanta.

- Gównno tam.

- Proszę zabrać partnera i iść. Chce pan to wyjaśniać? - Co?

- To wszystko. - Oderwała rękę od warg wampira i szerokim gestem omiotła przystań. - Niech pan posłucha, nie będzie już zabójstw. Obiecuję. Odejdziemy i nigdy nie wrócimy. Więc niech pan odpuści. I zostawi w spokoju Tommy'ego i tych chłopaków.

- Bo co? - spytał Cavuto.

Jody wzięła starego wampira w ramiona, podniosła go i sama wstała.

- Bo wrócimy.

Zaniosła wampira do nieoznakowanego radiowozu i położyła na tylnym siedzeniu, po czym wpełzła do środka. Rivera siedział z przodu. Cavuto podszedł do samochodu i przez okno podał partnerowi kluczyki do kajdanek.

- Mówiłem ci - powiedział Rivera. Ten pokiwał głową.

- Mamy przejebane, wiesz? Musimy ich wypuścić. Rivera rozpiął kajdanki i wysiadł z samochodu.

Stanął obok Cavuto, niepewny, co dalej robić.

Jody wysunęła głowę przez tylne okno.

- Chodź, Tommy, ty prowadzisz.

Tommy odwrócił się do Cesarza, który skinął mu głową, a potem do Zwierzaków.

- Chłopaki, zabierzcie te rzeczy z nabrzeża. Samochodem Troya. Zmywajcie się stąd. Jutro zadzwonię do sklepu.

Wzruszył ramionami, wsiadł do wozu i zapuścił silnik.

- Co teraz?

- Do mieszkania. On musi mieć ciemne miejsce, żeby wyzdrowieć.

- Nie podoba mi się to, Jody. Chcę, żebyś o tym wiedziała. Chciałbym wiedzieć, co cię łączy z tym facetem.

Wampir jęknął.

- Jedź - poleciała.

Cofnęli się z pomostu, pozostawiając Zwierzaków, którzy zbierali dzieła sztuki, i dwóch policjantów, patrzących na to ze zdumieniem.

- Kocham cię, Tommy - powiedziała - ale potrzebuję kogoś, kto jest taki jak ja. Kogoś, kto mnie rozumie. Wiesz, jak to jest, prawda?

- Więc uciekasz z pierwszym starym, bogatym gościem, jaki się napatoczył?

- To ten jedyny, Tommy. - Pogłaskała nadpalone włosy wampira. - Nie mam wyboru. Nie cierpię być sama. A gdyby zginął, nigdy bym się nie dowiedziała kim jestem.

- Więc wy dwoje wyjeżdżacie? Zostawisz mnie?

- Żałuję, że nie znam innego sposobu. Przykro mi.

- Wiedziałem, że złamiesz mi serce.

RZEŻBY

Zachodzące słońce rzuciło ciepły pomarańczowy blask na wielką Piramidę, podczas gdy poniżej Cesarz delektował się cappuccino na betonowej ławie, a Bummer i Lazarus walczyły o resztki półtorakilogramowego befsztyka.

- Panowie, chciałbym wam pozwolić, niczym Cyncynat, na zasłużony odpoczynek dzielnych żołnierzy, ale miasto ciągle jest w potrzebie. Drań zniknął, ale nie zniknęła rozpacz mojego ludu. Mamy bardzo wiele obowiązków.

Minęła go rodzina turystów, spiesząca się, by przed zmrokiem dotrzeć na przystanek tramwaju linowego przy California Street, i Cesarz uniósł kubek w salucie. Ojciec rodziny, łysiejący gruby mężczyzna w bluzie z Alcatraz, wziął ten gest za prośbę o drobne i odezwał się:

- Dlaczego nie znajdzie pan pracy? Cesarz uśmiechnął się.

- Dobry człowieku, ja mam pracę. Jestem cesarzem San Francisco i regentem Meksyku.

Turysta wykrzywił z niesmakiem twarz.

- Spójrz na siebie. Spójrz na swoje ubranie. Śmierdzisz. Powinieneś się wykapać. Jesteś tylko kloszardem.

Cesarz opuścił wzrok na postrzępione mankiety swojego wełnianego płaszcza, na przetartą sztruksową kurtkę, poplamioną wampirzą krwią, na dziury w brudnych trampkach. Podniósł rękę i powąchał, a potem zwiesił głowę.

Turyści odeszli.

Cavuto i Rivera siedzieli w skórzanych fotelach przy kominku w mieszkaniu Cavuto w Cow Hollow.

W kominku palił się ogień, płomienie strzelały i tańczyły, walcząc z wilgotnym chłodem znad zatoki.

Pokój był umeblowany dębowymi antykami, na półkach stały powieści kryminalne, a na ścianach wisiały pistolety i plakaty filmów z Bogartem. Rivera pił koniak. Cavuto szkocką. Na stoliku między nimi stał metrowej wysokości posąg baletnicy.

- To co z tym zrobimy? - spytał Cavuto. - Pewnie pochodzi z kradzieży.

- Może nie - odparł Rivera. - Mógł ją kupić od samego Degasa.

- Ten czarny chłopak mówił, że jest warta miliony. Myślisz, że ma rację? Rivera zapalił papierosa.

- Jeśli to autentyk, to tak. Więc co z nią zrobimy?

- Zostało mi tylko kilka lat do emerytury. Zawsze chciałem mieć antykwariat z rzadkimi książkami.

Rivera uśmiechnął się do tej myśli.

- Żona chce zwiedzić Europę. Sam mógłbym mieć jakąś małą firmę. Może nauczyłbym się grać w golfa?

- Możemy to oddać i po prostu dosłużyć do emerytury. Po tym wszystkim przeniosą nas z zabójstw, wiesz? Jesteśmy za starzy na narkotyki. No to pewnie obyczajówka. Każdej nocy będziemy się drzeć na dziwki.

Rivera westchnął.

- Będę tęsknił za wydziałem zabójstw.

- Tak. Było tam bardzo spokojnie.

- Zawsze chciałem się czegoś dowiedzieć o rzadkich książkach - powiedział Rivera.

- Zero golfa - odrzekł Cavuto. - Golf jest dla mięczaków.

Tommy przesunął kanapę, by móc siedzieć przodem do dwóch rzeźb, a potem zaczął podziwiać swoje dzieło. Cały dzień pracował w odlewni na dole, pokrywając Jody i wampira cienką warstwą przewodzącej farby i umieszczając ich w zbiornikach. Dwaj rzeźbiarze o wyglądzie motocyklistów z radością mu pomogli, zwłaszcza kiedy Tommy wyciągnął garść gotówki z reklamówki, którą przyniósł Cesarz.

Posągi wyglądały bardzo realistycznie. I nic dziwnego, pod warstwą brązu wciąż żyły, z wyjątkiem Zeldy, która stała obok dwojga wampirów. Tommy włożył Jody trykot, zanim pokrył ją farbą. Wampira ubrał we własne szorty. Zdumiewające, jak szybko wampir wracał do zdrowia po napiciu się krwi Jody.

Najgorsze było czekanie - czekanie przed sypialnią, gdzie Jody zaniósła wampira, czekanie, aż stracą przytomność o świcie, nasłuchiwanie ich cichych głosów. O czym mówili? Ogólnie rzecz biorąc, wampir wyglądał całkiem nieźle. Niemal wszystkie obrażenia na jego ciele do rana się zagoiły. Jody, pokryta równą warstwą brązu, wyglądała pięknie. Ostatnim etapem pracy było wywiercenie małych otworów na uszy, by mógł do niej mówić.

- Jody, wiem, że jesteś pewnie bardzo, bardzo wkurzona. Nie obwiniam cię. Ale nie miałem wyboru.

To nie na zawsze, tylko do czasu, aż wymyślę co zrobić. Nie chciałem cię stracić. Wiem, że chciałaś po prostu odejść i pewnie tak byś zrobiła, ale on nie. Nie pozwoliłby mi zostać przy życiu.

Tommy czekał przez chwilę, jakby się spodziewał jakiejś reakcji posągu. Wziął z podłogi reklamówkę z pieniędzmi i ją uniósł.

- A w ogóle jesteśmy bogaci! Super, co? Już nigdy nie będę się nabijał z Lasha i jego biznesowych studiów. W niecały dzień opchnął dzieła sztuki z jachtu i dał nam dziesięć centów z dolara. Nasza dola to ponad sto tysięcy dolców. Chłopcy polecieci do Vegas. Próbowaliśmy dać dolę Cesarzowi,

ale wziął tylko tyle, żeby wystarczyło na zarcie dla Bummera i Lazarusa. Powiedział, że pieniądze odciągnęłyby go od obowiązków. Ekstra, co? Opuścił reklamówkę i westchnął.

- Tamci dwaj gliniarze ci uwierzyli. Zostawią nas w spokoju. Złożyli raport, że zabójca był na jachcie, który wyleciał w powietrze. Lash dał ochroniarzowi trochę forsy, żeby potwierdził ich wersję. Nie mogłem uwierzyć, że na to poszli. Zdaje się, że ten duży trochę mnie lubi. Napiszę o tym książkę.

Przyjechałem tu w poszukiwaniu przygód, a z tobą to naprawdę była przygoda. I nie chcę z tego zrezygnować. Wiem, że nie jesteśmy tacy sami. Ale nie powinniśmy być samotni, kiedy mamy siebie nawzajem. Kocham cię. Coś wymyślę. Muszę się położyć. Długo nie spałem.

Wstał i podszedł do Jody.

- Przepraszam - powiedział. Pocałował zimne brązowe wargi i skierował się do sypialni, kiedy zadzwonił telefon.

- Pewnie Zwierzaki dzwonią z jakiegoś kasyna - powiedział i odebrał. - Halo.

- Ee, cześć - odezwał się jakiś męski głos. - Czy mógłbym rozmawiać z Jody? Tommy odsunął słuchawkę od siebie i popatrzył na nią, po czym znów przytknął ją do ucha i powiedział:

- Jody... no... odeszła.

- Wiem. Mogę z nią pogadać?

- Ty pojebie.

- Czy to Thomas C. Flood? Ten z gazety? Kim był ten facet?

- Słuchaj, kolego, to była pomyłka. Dorwali faceta, który popełnił te morderstwa.

- Nazywam się Steve. Nie mogę ci podać swojego nazwiska. Muszę mieć pewność, że jestem bezpieczny. Studiuję medycynę w Berkeley. Parę nocy temu rozmawiałem z Jody. Mieliśmy się spotkać w Enrico's, ale się nie pojawiła. W sumie dobrze się stało, bo poznałem miłą dziewczynę, która pracuje z tobą w Safewayu. Tak czy owak, kiedy zobaczyłem w gazecie nazwisko Jody, postanowiłem poszukać jej numeru.

- Skoro czytałeś gazetę, wiesz, co spotkało Jody - powiedział Tommy. - To nie jest śmieszne.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, a potem Steve spytał:

- Wiesz, kim ona jest? Tommy był wstrząśnięty. - A ty?

- Więc wiesz?

- Jest, a raczej była, moją dziewczyną.

- Słuchaj, nie próbuję cię szantażować ani nic. Nie chcę cię wydać. Rozmawiałem z Jody o odwróceniu procesu. Myślę, że znalazłem sposób.

- Żartujesz.

- Nie. Powiedz jej. Zadzwoń jutro wieczorem. Wiem, że w ciągu dnia śpi.

- Czekał - przerwał mu Tommy. - Mówisz poważnie? To znaczy, naprawdę możesz z powrotem zmienić ją w człowieka?

- Tak mi się wydaje. Pewnie potrwa to parę miesięcy. Ale ze sklonowanymi komórkami w laboratorium mi się udało.

Tommy zakrył mikrofon i odwrócił się do posągu Jody.

- Dzwoni facet, który mówi, że może ci pomóc. Możemy...

Z dziurek w metalowych uszach leciała para, tworząc wielki kłęb pośrodku pokoju. Tommy upuścił słuchawkę i cofnął się. Słyszał wołanie Steve'a z telefonu.

Oparł się o blat w kuchni.

- Jody, to ty? Kłęb pary pulsował, wypuszczał macki - a może ręce? Zupełnie jakby przybierał materialny kształt.

Jody pomyślała: oj, Tommy, nie uwierzysz, czego się nauczyłam ostatniej nocy. Czeka cię przygoda twojego życia, kochaneczku. A będzie to bardzo długie życie. Zobaczysz takie rzeczy... Nie mogę się doczekać, kiedy ci je pokażę.

Stała się zupełnie cielesna i stanęła przed nim, naga, uśmiechnięta.

Tommy przycisnął telefon do piersi.

- Jesteś wkurzona, co?

- Nie zamierzałam cię opuścić, Tommy. Kocham cię.

- A co z nim? - Wskazał zamkniętego w brzoju wampira.

- Musiałam mu wmówić, że z nim pójdę, żeby się dowiedzieć wszystkiego, co chciałam wiedzieć.

Dużo się nauczyłam. I ciebie też tego nauczę. - Ruszyła w jego stronę.

- Pokazał ci numer z mgłą, tak?

- Tak. I jak zrobić wampira.

- Nie żartuj. To się może przydać.

- I to niedługo - odparła. Odwróciła się i spojrzała na starego wampira. - Całkiem dobry pomysł z tym brązem. Nie miałam pewności, co z nim zrobię, gdy się już wszystkiego dowiem. Może potem coś wymyślimy, żeby go wypuścić, ale żeby nam nie zagrażał.

- Czyli nie jesteś zła? I nie odchodzisz?

- Nie. Myślałam, że muszę, ale tak naprawdę nigdy nie chciałam. Ty i ja będziemy razem bardzo, bardzo długo.

Tommy się uśmiechnął.

- Świetnie, dzwoni ten facet i mówi...

- Rozłącz się, Tommy. I chodź tutaj.

- Ale on mówi... że może cię zmienić z powrotem.

- Rozłącz się. - Wzięła od niego słuchawkę i odłożyła ją na blat, a potem przytuliła go i pocałowała.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)